



m a r a

o y e r

t a j e m n i c a

M I C H E L L E H O D K I N

Michelle Hodkin
MARA DYER: TAJEMNICA
Przełożyła Małgorzata Fabianowska

Tytuł oryginału: The Unbecoming of Mara Dyer

Polish language translation copyright © 2014 by Małgorzata Fabianowska

Original English language edition copyright. Copyright © 2011 by Michelle Hodkin.

Published by arrangement with Simon and Schuster Books For Young Readers, an Imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage and retrieval system, without permission in writing from the Publisher.

Wydanie I

Warszawa

SPIS TREŚCI

Dedykacja

Motto

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

Podziękowania

Biogram autorki

*Dedykuję tę książkę dziadkowi Bobowi, który wypełnił moją wyobraźnię
rozmaitymi historiami; Janie, której zazdrościły wszystkie dzieci; i mojej
mamie, która kocha mnie aż za bardzo.*

Naprawdę nie nazywam się Mara Dyer, ale mój prawnik powiedział, że powinnam się na coś zdecydować. Na jakiś pseudonim. Nom de plume, tak to się nazywa. Wiem, bo czytałam się o tym. Dziwnie jest mieć fałszywe imię i nazwisko, ale wierz mi – to i tak jest najbardziej normalna rzecz w moim obecnym życiu. Pewnie niepotrzebnie ci o tym piszę. Ale gdyby nie mój długi jęzor, nikt nie miałby pojęcia, że siedemnastolatka, która uwielbia Death Cab for Cutie, mogłaby popełnić morderstwo. Nikt by nie wiedział o istnieniu pewnej porządnej uczennicy, która przyczyniła się do śmierci kilku osób. Dlatego ważne jest, że ty to wiesz. Dzięki temu nie staniesz się następną ofiarą.

„Mara Dyer”

Nowy Jork

1

WCZEŚNIEJ

Laurelton, Rhode Island

Ozdobne znaki na tabliczce drgały w blasku świecy, a litery i cyfry tańczyły mi w głowie. Mieszały się i rozlewały jak alfabetyczna zupa. Drgnęłam, kiedy Claire wsunęła mi w rękę wskaźnik w kształcie serca. Normalnie nie reagowałam tak nerwowo i miałam nadzieję, że Rachel niczego nie zauważyła. Tabliczka ouija do wywoływania duchów była najfajniejszym z jej prezentów urodzinowych. Dostała ją od Claire. Ja podarowałam Rachel bransoletkę, ale jej nie założyła.

Uklękałam na dywanie i przekazałam wskaźnik Rachel. Claire pokręciła głową z lekceważeniem.

– To tylko zabawa, Maro – powiedziała Rachel z uspokajającym uśmiechem.

W przyćmionym świetle jej zęby wydawały się jeszcze bardziej białe.

Przyjaźniłyśmy się od przedszkola. Ona była ciemna i szalona, a ja jasna i ostrożna. Ale nie wtedy, kiedy byliśmy razem. Przy Rachel stawałam się śmielsza. Przynajmniej do niedawna.

– Nie mam o co pytać duchów – rzuciłam do Rachel.

Nie dodałam głośno, że mamy już po szesnaście lat i jesteśmy na to za duże.

– Zapytaj, czy Jude kiedykolwiek cię polubi.

Nie zwiódł mnie niewinny ton głosu Claire. Policzki mi zapłonęły, ale obróciła sprawę w żart, choć miałam ochotę jej odpyskować.

– A mogę poprosić o samochód? Czy to taki Święty Mikołaj z zaświatów?

– Ponieważ dzisiaj są moje urodziny to ja zaczynam. – Rachel przyłożyła palce do wskaźnika.

Claire i ja dołączyłyśmy swoje.

– Och! Rachel, zapytaj, jak umrzesz.

Rachel pisnęła ze strachu, a ja spiorunowałam Claire wzrokiem. Od czasu, kiedy przeprowadziła się tu sześć miesięcy temu, przylgnęła do mojej przyjaciółki jak wygłodniała pijawka. Miała dwie życiowe misje, obie równie ważne – sprawić, żebym poczuła się jak piąte koło u wozu,

i zadręczać mnie z powodu sympatii do jej brata, Jude'a. Obie jej misje mnie wykańczały.

– Tylko nie popychaj wskaźnika – upomniała mnie Claire.

– Dzięki za uwagę. Coś jeszcze?

Zanim zdążyłyśmy się posprzeczzać, Rachel zadała pytanie:

– Jak umrę?

Wpatrywałyśmy się w tabliczkę. Nogi mi ścierpły od długiego klęczenia na wykładzinie w pokoju Rachel i zaczęły mnie boleć kolana. Nic się nie działo.

Wtem coś się zaczęło. Patrzyłyśmy, jak wskaźnik przesuwa się pod naszymi palcami. Zatoczył półkole na tabliczce – zaczął od A, lecz nie zatrzymał się, tylko sunął dalej, aż zwolnił przy K, a potem minął L..

Zatrzymał się na M.

– Morderstwo? – W głosie Claire zabrzmiało podniecenie.

Była strasznie schematyczna. Co Rachel w niej widziała?

Wskaźnik najwyraźniej uznał, że nie tędy droga, bo cofnął się od U i przyspieszając, wrócił do początku.

Pokazał A.

Rachel była zdezorientowana.

– Masakra?

– A może malaria? – podpowiedziała Claire. – Albo maraton? Wystartujesz w maratonie i padniesz przed metą!

Rachel roześmiała się, na chwilę rozpraszając lęk, który czał się w moim żołądku. Kiedy zaczynałyśmy tę zabawę, wkurzał mnie ostentacyjny dramatyzm w zachowaniu Claire. Teraz już nie tak bardzo.

Wskaźnik śmignął po tabliczce i śmiech Rachel zamarł.

R.

Zamilkłyśmy. Nie spuszczałyśmy oczu ze wskaźnika, który znów wrócił do początku.

Do A.

I znieruchomiał.

Czekałyśmy, aż wskaże jeszcze jakąś literę, ale więcej się nie poruszył. Po trzech minutach Rachel, Claire i ja cofnęłyśmy ręce. Czułam, że dziewczyny na mnie patrzą.

– To chce, żebyś je zapytała – powiedziała łagodnie Rachel.

– Jeśli „to” oznacza Claire, nie wątpię, że tego chce. – Podniosłam się roztrzęsiona, czując mdłości.

Miałam dosyć.

- Nie popychałam wskaźnika - zaprotestowała Claire, spoglądając wielkimi oczami to na mnie, to na Rachel.

- Przysięgasz na własny palec? - zapytałam nie bez sarkazmu.

- Jasne! - warknęła Claire, teraz już wkurzona. Wstała i podeszła do mnie. Zbyt blisko. Jej zielone oczy niebezpiecznie lśniły. - Nie popychałam wskaźnika - powtórzyła. - On chciał, żebyś to ty go prowadziła.

Rachel chwyciła mnie za rękę i podciągnęła się, wstając z podłogi. Popatrzyła Claire prosto w oczy.

- Wierzę ci - powiedziała. - Słuchajcie, zrobimy coś jeszcze?

- Na przykład co? - zapytała Claire obojętnym tonem, a ja nie spuszczałam z niej wzroku.

No, jedź, Rachel!

- Obejrzyjmy The Blair Witch Project. - Oczywiście, był to ulubiony film Claire. - Co wy na to? - Głos Rachel prosił, lecz był pewny siebie.

Oderwałam spojrzenie od Claire i przytaknęłam, zmuszając się do uśmiechu. Claire zrobiła to samo. Rachel ulżyło, ale mnie nie. Ze względu na starą przyjaźń musiałam jednak przełknąć złość i udawać, że wszystko jest w porządku. Usadowiliśmy się na kanapie i Rachel, zdmuchnąwszy świece, włączyła film.

Sześć miesięcy później obie już nie żyły.

Szpital Rhode Island
Providence, Rhode Island

Otworzyłam oczy. Z lewej strony rytmicznie popiskiwało jakieś urządzenie. Spojrzałam na prawo. Za szafką stojącą przy łóżku inne urządzenie wydawało syczące dźwięki. Bolała mnie głowa i nie wiedziałam, gdzie jestem. Na próżno usiłowałam powiązać z określoną godziną pozycję wskazówek zegara znajdującego się nad drzwiami łazienki. Słyszałam głosy na korytarzu. Leżałam wysoko podparta na szpitalnym łóżku. Poduszki ugięły się pode mną, kiedy uniosłam się na łokciach, nasłuchując. Coś załaskotało mnie pod nosem. Rurka. Podniosłam rękę do twarzy, żeby ją odsunąć, ale kiedy na nie spojrzałam, zobaczyłam więcej rurek. Nasadzone na igły wystawały z mojego ciała. Bolało mnie i ciągnęło, kiedy poruszałam rękami, i robiło mi się niedobrze.

– Wyjmijcie mi to – szepnęłam.

Widziałam miejsca, w których ostra stal wchodziła w moje żyły. Zaczęłam łapać powietrze, a w gardle narastał mi krzyk.

– Wyjmijcie mi to – powiedziałam głośniej.

– Słucham? – zapytał cichy głos z miejsca, którego nie widziałam.

– Wyjmijcie to! – wrzasnęłam.

Jakieś postacie stłoczyły się koło mojego łóżka. Rozpoznałam twarz ojca, przejętą i bledszą niż zwykle.

– Uspokój się, Maro.

Wtem zobaczyłam swojego młodszego brata Josepha, który patrzył na mnie przerażonymi, wielkimi oczami. Pozostałe twarze były tylko czarnymi plamami, za to wyraźnie widziałam płataninę rur i igieł i czułam, że do granic naprężyły moją suchą skórę. Nie mogłam myśleć. Nie mogłam mówić. Ale mogłam się ruszać. Sięgnęłam drugą ręką do przedramienia i wyszarpnęłam wenflon. Zadałam sobie gwałtowny ból, ale choć trochę wróciłam do rzeczywistości.

– Po prostu oddychaj. Wszystko w porządku. Jest okej.

Nic nie było w porządku ani okej. Nie słuchali mnie, a powinni mi

pomóc i wyjąć te rurki. Usiłowałam jeszcze raz to powiedzieć, lecz narastała ciemność i pochłaniała pokój.

Zamrugłam, ale nic więcej nie zobaczyłam. Popiskiwanie i syczenie ustało.

– Leż spokojnie, kochanie.

Moje powieki zatrzepotały na dźwięk głosu mamy. Pochyliła się nade mną, żeby poprawić poduszki, i fala ciemnych włosów opadła na jej alabastrowy policzek. Usiłowałam się poruszyć, odsunąć się od niej, ale trudno mi było nawet unieść głowę. Za plecami mamy mignęły mi dwie pielęgniarzki z kwaśnymi minami. Jedna miała czerwoną szramę na policzku.

– Co mi się stało? – wyszeptałam z wysiłkiem.

Wargi miałam suche jak papier.

Matka odsunęła mi z twarzy kosmyk włosów zlepionych potem.

– Zaraz coś ci dadzą i poczujesz się lepiej.

Wciągnęłam powietrze. Z mojego nosa znikła rurka. Ręce też były wolne. Miałam tylko białe bandaże w miejscach wkłuć, splamione kilkoma kroplami krwi. Coś zniknęło także z mojej piersi i mogłam spokojnie oddychać. Powoli wypuściłam powietrze. Igły i rurki nie zastaniały mi już widoku pokoju.

Popatrzyłam na ojca siedzącego pod ścianą. Sprawiał wrażenie bezradnego i zrezygnowanego.

– Co się stało? – zapytałam w półprzytomnie.

– Miłaś wypadek, kochanie – odpowiedziała mama.

Ojciec spojrzał na mnie, ale nic nie powiedział. Jak zwykle było to zadanie matki.

Miałam płataninę myśli. Wypadek. Kiedy?

– Czy jakiś kierowca... – zaczęłam, ale nie byłam w stanie dokończyć.

– To nie wypadek samochodowy, Maro. – Głos matki był spokojny, była skupiona. Wiedziałam, że włączyła swój sposób mówienia psychologa z poradni. – Co zapamiętałaś jako ostatnie?

To pytanie zirytowało mnie dużo bardziej niż ocknięcie się w szpitalnym pokoju czy widok igieł wktutych w moją skórę. Dopiero teraz uważnie się jej przyjrzałam. Oczy miała podkrążone, a na paznokciach, zwykle perfekcyjnie zadbanych, lśnął się lakier.

– Jaki dziś dzień? – spytałam, siląc się na spokój.

– A jak myślisz? – Matka uwielbiała odpowiadać pytaniem.

Przesunęłam dłoń po twarzy. Skóra, pobudzona dotykiem, zdawała

się mi podpowiadać.

– Środa?

Mama popatrzyła na mnie z uwagą.

– Niedziela.

Niedziela. Spojrzałam w bok i powędrowałam wzrokiem po szpitalnym pokoju. Wcześniej nie zauważyłam kwiatów, a teraz widziałam je wszędzie. Tuż obok mojej głowy stał na szafce wazon z żółtymi różami. Rachel je uwielbiała. Obok szafki, na krześle dostawionym do łóżka, zobaczyłam pudełko z kilkoma moimi rzeczami z domu. Na wierzchu, z bezwładną ręką przerzuconą poza krawędź, leżała stara szmaciana lalka, którą do-stałam od babci, kiedy byłam mała.

– Co pamiętasz, Maro?

– W środę miałam test z historii. Wróciłam ze szkoły do domu i...

Przeszukiwałam myśli i wspomnienia. Pamiętałam, jak wchodziłam do domu i w drodze do swojego pokoju na piętrze zgarnęłam z kuchni batonik zbożowy. Położyłam plecak obok biurka, usiadłam i wyciągnęłam Trzy dramaty Sofoklesa. Coś pisałam. Potem narysowałam coś w szkicowniku. A potem... nic.

Lodowaty strach wpłynął mi do żołądka.

– To wszystko – powiedziałam, patrząc matce w oczy.

Powieka lekko jej drgnęła.

– Byłaś w Tamerlane... – zaczęła.

O Boże.

– Budynek się zawalił. Ktoś doniósł o tym w czwartek o piętnastej. Kiedy przyjechała policja, wśród gruzów usłyszano twój głos.

Ojciec odchrząknął.

– Krzyczałaś.

Matka rzuciła mu ostre spojrzenie i znów zwróciła się do mnie:

– Budynek się zawalił, ale ty na szczęście znalazłaś się w komorze powietrznej, która utworzyła się w piwnicy. Kiedy do ciebie dotarli, byłaś nieprzytomna. Być może zemdłałaś z powodu odwodnienia albo też coś spadło ci na głowę. Masz jeszcze tego dowody – dodała, odgarniając mi włosy.

Spojrzałam ponad ramieniem mamy i zobaczyłam jej plecy, odbite w lustrze nad umywalką. Zastanawiałam się, jak muszą wyglądać te „dowody”, skoro cały budynek zawalił mi się na głowę.

Zmusiłam się, żeby usiąść prosto. Milczące pielęgniarzki nie-dostrzegalnie zeszywniały. Zachowywały się raczej jak strażniczki.

Moje obolałe członki zaprotestowały, kiedy wyjrzałam ponad krawędź łóżka. Mama patrzyła w lustro razem ze mną. Miała rację – widać było tylko granatowy siniak na prawym policzku. Odgarnęłam włosy, żeby zobaczyć, jak daleko on sięga. Poza tym wyglądałam normalnie. Po prostu. Koniec, kropka. Przeniostałam spojrzenie na matkę.

Byłyśmy tak inne. Nie odziedziczyłam ani jej pięknych orientalnych rysów, ani idealnego owalu twarzy, ani błyszczących czarnych włosów. W moich rysach odbijał się rasowy nos ojca i kształt jego szczęki.

Tak czy inaczej, poza jednym sińcem, nie wyglądałam jak ktoś, komu cały gmach zwałił się na głowę. Zmrużywszy oczy, jeszcze raz zerknęłam do lustra, a potem opadłam na poduszki i wgapiałam się w sufit.

– Lekarze mówią, że szybko dochodzisz do siebie. – Mama uśmiechnęła się blado. – Mogłabyś nawet dzisiaj wrócić do domu, jeśli czujesz się na siłach.

Przeniostałam spojrzenie na pielęgniarki.

– Dlaczego one tutaj są? – zapytałam, nie spuszczając wzroku z dwóch kobiet.

Budziły we mnie lęk.

– Dyżurują przy tobie od środy – poinformowała mama. Skinęła głową w stronę siostry ze szramą na policzku. – To jest Camilla – powiedziała i wskazała na drugą. – A to Linda.

Ta ze szramą uśmiechnęła się, ale w jej uśmiechu nie było ciepła.

– Masz niezły prawy sierpowy.

Zmarszczyłam czoło i zerknęłam na matkę.

– Kiedy oprzytomniałaś po raz pierwszy, dostałaś napadu paniki, dlatego siostry muszą tu czuwać na wypadek, gdybyś... znów poczuła się dezorientowana – wyjaśniła.

– To się zdarza – dodała Camilla. – Ale jeśli czujesz się już w pełni sobą, możemy odejść.

Skinęłam głową, przemagając suchość w ustach.

– Dziękuję. I przepraszam.

– Nie ma sprawy, dziecko – zapewniła nieszczercze Camilla. Linda nie odezwała się słowem. – Wezwij nas, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Odwróciły się i wymaszerowały z sali, zostawiając mnie z rodziną.

Ulżyło mi, gdy sobie poszły. Uświadomiłam sobie, że moja re-akcja na te kobiety nie była normalna. Stwierdziłam, że muszę skupić się na czymś innym. Omiotłam wzrokiem pokój, aż moje spojrzenie zatrzymało się na żółtych różach stojących przy łóżku. Były świeże, jeszcze nierozwinięte.

Zastanawiałam się, kiedy Rachel je kupiła.

– Była tutaj?

Twarz mamy spoważniała.

– Kto?

– Rachel.

Ojciec wydał dziwny dźwięk, a mama – ta opanowana, perfekcyjna mama – wyglądała na zmieszaną.

– Nie – odpowiedziała. – Róże są od jej rodziców.

Nie spodobał mi się sposób, w jaki wypowiedziała te słowa.

– Czyli nie przyszła?

– Nie.

Poczułam, że lodowacieję, ale zaczęłam się pocić.

– A dzwoniła? – dopytywałam się.

– Nie, Maro.

Miałam ochotę wyć. Zamiast tego wyciągnęłam rękę.

– Daj mi telefon. Muszę do niej zadzwonić.

Matka usiłowała się uśmiechnąć, ale rezultat był żałosny.

– Pogadamy o tym później, dobrze? Teraz musisz odpocząć.

– Chcę zadzwonić do niej teraz. – Mój głos był bliski załamania i ja czułam, że zaraz się rozsypię.

Teraz odezwał się ojciec:

– Ona była z tobą, Maro. Claire i Jude też.

Nie.

Coś ścisnęło mi pierś i ledwo wystarczyło mi powietrza, żeby mówić.

– Czy oni też są w szpitalu? – zapytałam tylko dla porządku, bo odpowiedź zobaczyłam w oczach rodziców.

– Nie przeżyli – odpowiedziała powoli mama.

Nieprawda. To nie mogło się stać. Nie miało prawa się stać. Coś śliskiego i przerażającego pełzło mi przez gardło.

– Jak? Jak umarli? – wydusiłam z siebie.

– Budynek się zawalił – wyjaśniła mama, już spokojnie.

– Ale dlaczego?

– Był stary, Maro. Przecież o tym wiesz.

Zamilkłam. Jasne, że wiedziałam. Kiedy ojciec zaczął pracę po studiach prawniczych i zamieszkał na Rhode Island, reprezentował w sądzie rodzinę chłopca, który wszedł do wnętrza tej rudery. I zginął. Dlatego Danielowi kategorycznie zakazano wstępu do starego gmachu, chociaż mój idealny starszy brat i tak by się nie zdobył na taki wyczyn.

Mnie oczywiście też tego zakazano.

Ale ja tam chodziłam. Z Rachel, Claire i Jude'em.

Z Rachel. Rachel...

Nagle pojawiła mi się przed oczami, gdy śmiało wchodziła do przedszkola, prowadząc mnie za rękę. Albo gdy gasiła światło w sypialni i zdradzała mi szeptem swoje sekrety, kiedy już wysłuchiwała moich.

Nie miałam czasu, żeby przetrwać słowa „z Claire i Jude'em”, bo słowo „Rachel” wypełniło cały mój umysł. Poczułam, jak paląca łza spływa mi po policzku.

– A jeśli... a może ona też trafiła na pustą przestrzeń? – zapytałam.

– Nie, kochanie. Przeszukano ruiny. Znaleźli... – mama przerwała.

– Co? – W moim głosie zadźwięczała histeria. – Chcę wiedzieć!

– Znaleźli... szczątki – odpowiedziała wymijająco. – Ich już nie ma, Maro. Nie przeżyli.

Szcątki. Czyli kawałki ciała. Fala mdłości podeszła mi do gardła. Walczyłam z odruchem wymiotnym. Trwałam tak, wpatrując się intensywnie w żółte róże od matki Rachel, a potem zacisnęłam powieki i usiłowałam wydobyć z odpornej pamięci jakiegokolwiek wspomnienie tamtego wieczoru. Po co tam poszliśmy? Co tam robiliśmy? Co ich zabiło?

– Chcę wiedzieć, co się stało.

– Maro...

Usłyszałam znów ten zawodowy, uspokajający ton. Zacisnęłam palce na pościeli. Mama pragnęła mnie chronić, ale tylko mnie dręczyła.

– Musisz mi powiedzieć – błagałam, a w gardle czułam popiół.

Mama popatrzyła na mnie oczami pełnymi bólu i troski.

– Powiedziałabym ci, gdybym mogła. Ale tylko ty możesz to wiedzieć, nikt inny.

Cmentarz Laurelton, Rhode Island

Oślepiały mnie promienie słońca odbijające się od lśniącego mahoni trumny Rachel. Nie mrużyłam oczu, licząc, że zaczną łzawić. Powinnam zapłakać. Ale nie mogłam.

Za to inni mogli i płakali. Ludzie, z którymi Rachel nie zamieniła nawet jednego słowa, i tacy, których nie lubiła. Przyszła cała szkoła, poza Claire i Jude'em. Ich pogrzeb miał się odbyć po południu.

Dzień przybrał tonację białoszara. Typowy mroźny zimowy dzień w Nowej Anglii. Jeden z moich ostatnich tutaj.

Porywy wiatru poruszały kosmykami włosów na mojej twarzy. Tłum żałobników – parada czarnych sylwetek na tle jednostajnej szarości nieba – oddzielił mnie na moment od rodziców. Ciśniej owinęłam się płaszczem, chroniąc się przed badawczym spojrzeniem mamy. Obserwowała moje reakcje od chwili, kiedy wypisano mnie ze szpitala. To ona pierwsza przybiegła w nocy, kiedy krzykiem pobudziłam sąsiadów; to ona znalazła mnie schowaną w szafie i zapłakaną. Kiedy dwa dni później zastała mnie otepiątą i wpatrzoną bezradnie w odłamek rozbitego lustra, który ścisnęłam w zakrwawionej dłoni, poprosiła o pomoc swoich znajomych.

Postawiono diagnozę. Psycholog orzekł, że cierpię na zespół stresu pourazowego, PTSD. Koszmary senne i halucynacje wzrokowe stały się moją nową rzeczywistością. Coś w moim zachowaniu w trakcie badań musiało dać psychologowi do myślenia, gdyż zalecił nawet pobyt w zakładzie opieki długoterminowej.

Na to nie mogłam się zgodzić. Zaczęłam natomiast napierać, żebyśmy przeprowadzili się do innego miasta, bo zmiana otoczenia dobrze mi zrobi.

Pamiętałam, jak nagle zwęziły się źrenice mamy, kiedy przedstawiłam jej ten pomysł. Ależ była czujna! Ostrożna i spięta, jakbym była bombą tykającą pod jej łóżkiem.

– Myślę, że to by mi naprawdę pomogło – powiedziałam, choć nie byłam już tego taka pewna.

Od dwóch nocy nie miałam koszmarów i poza nieszczęsnym epizodem

z lustrem, którego nie pamiętałam, nic złego się nie wydarzyło. Psycholog przesadzał, zupełnie jak moja mama.

– Czemu tak uważasz? – Jej głos był spokojny i rzeczowy jak zwykle, ale zauważyłam, że mama ma obgryzione paznokcie.

Szukając argumentu, usiłowałam przypomnieć sobie rozmowę, którą odbyłam w gabinecie, a raczej swój monolog.

– Rachel zawsze będzie w tym domu. Wszystko, na co spoglądam, ciągle mi o niej przypomina. Jeżeli wrócę do szkoły, to też będę ją wszędzie widziała. A chcę chodzić do szkoły. Potrzebuję tego. Muszę czymś zająć myśli.

– Dobrze, porozmawiam z ojcem – powiedziała mama, badając wzrokiem moją twarz.

Domyślałam się z każdej bruzdy na jej czole, z każdego ruchu głowy, że absolutnie nie może pojąć, jak jej córka zdołała wymknąć się z domu i znaleźć w miejscu, do którego pod żadnym pozorem nie powinna trafić. Ciągle mnie o to pytała, ale nie potrafiłam odpowiedzieć.

Nagle, jak znikąd, rozległ się głos Daniela:

– Chyba zaraz się skończy – powiedział.

Moje serce uspokoiło się, kiedy spojrzałam na swojego starszego brata. Jak słusznie przewidywał, kapłan poprosił, abyśmy skłonili głowy i zmówili modlitwę.

Przestąpiłam z nogi na nogę, aż zmarznięta trawa chrupnęła mi pod stopami, i zerknęłam na mamę. Nie byliśmy religijni, więc nie bardzo wiedziałam, jakie panują tu zasady. Nikt mnie nie pouczył, jak należy się zachować na pogrzebie przyjaciółki. Mama pochyliła głowę, aż czarne krótko podcięte włosy opadły falą na idealnie gładki policzek. Pokazała mi w ten sposób, co mam robić, i czekała, jak zareaguję. Odwróciłam wzrok.

Po kilku chwilach głowy uniosły się i ożywiły, uwolnione od pogrzebowych powinności. Tłum zaczął się przeredzać. Daniel był przy mnie, kiedy dzieciaki z klasy po kolei podchodziły z kondolencjami, mówiąc, jak strasznie im przykro i że będziemy w kontakcie, kiedy wyjadę. Nie byłam w szkole od dnia wypadku, ale niektórzy odwiedzili mnie w szpitalu. Podejrzewałam, że raczej z ciekawości. Nikt nie pytał, jak to się stało, a ja byłam zadowolona, bo nie musiałam tłumaczyć, że nic nie pamiętam.

Nagle głośne krakanie zaburzyło atmosferę powagi i dziesiątki czarnych ptaszydeł z trzepotem nadciągnęło nad nasze głowy. Stado

gawronów obsiadło nagie gałęzie drzew przy parkingu.

Zerknęłam na brata.

– Zaparkowałeś pod tymi drzewami?

Skinął głową i ruszył w stronę samochodu.

– Świetnie – powiedziałam, spiesząc za nim. – Teraz będziemy zbierać kupy z dachu.

– Zamorduję – mruknął.

– Co? – Stałam jak wryta.

– Mówię, że zamorduję te gawrony. Ledwie przyleciały, a już srają. Czyszczenie chwilę potrwa, więc może wolisz pojechać z tatą i mamą?

– Wolę poczekać – odpowiedziałam i uśmiechnęłam się.

– Tak też myślałam.

Byłam wdzięczna Danielowi. Zerknęłam za siebie, żeby się upewnić, że mama na nas nie patrzy. Była zajęta rozmową z rodziną Rachel, którą znaleźliśmy od lat. Nie powinnam zapominać, że rodzice również będą musieli rzucić wszystko: ojciec – kancelarię prawną, a matka – swoich pacjentów. Na szczęście Joseph, choć miał tylko dwanaście lat, bez większych oporów przyjął wiadomość o przeprowadzce i zgodził się zostawić swoich przyjaciół. Musiałam przyznać, że rodzinę wygrałam na loterii. Przy okazji zanotowałam w pamięci, aby być bardziej tolerancyjna wobec mamy. W końcu to nie jej wina, że musimy wyjechać.

To tylko moja wina.

OSIEM TYGODNI PÓŹNIEJ

Miami, Floryda

– Ja się zabiję! – jęknął Daniel.

– Czekaj, jeszcze chwila. – Niecierpliwie patrzyłam na wielkiego pająka, który tkwił na stole, odgradzając mnie od śniadaniowego banana. Milczące pertraktacje trwały.

– W takim razie pozwól, że to załatwię. Bo się spóźnimy.

Pan Daniel Perfekcyjny już się spinał na myśl, że mógłby nie dojechać na czas do szkoły.

– Nie zgadzam się, bo go zabijesz.

– I co z tego?

– Będzie martwy.

– I...?

– Po prostu pomyśl – powiedziałam, nie odrywając oczu od stawonogiego przeciwnika. – U pajaków panuje matriarchat. Jej małe czekają w sieci i będą czekały całymi dniami, nie wiedząc, że zamordowano ich matkę.

– To jest ona?

– Tak. – Skinęłam głową w kierunku pająka. – Ma na imię Roxanne.

– Rozumiem. W takim razie zabierz stąd Roxanne, zanim Joseph potraktuje ją stronami „Wall Street Journal”.

– Co wspólnego ma nasz młodszy brat z „Wall Street Journal”?

– Czyta to, bo uważa, że jest zabawne.

Uśmiechnęłam się. Jasne. Roxanne, jakby słyszała groźbę Daniela, odsunęła się o parę cali. Sięgnęłam po kawałek kuchennego ręcznika, żeby ją zgarnąć, ale w ostatniej chwili cofnęłam rękę. Od dziesięciu minut obsesyjnie powtarzałam ten ruch – sięganie i wycofywanie. Chciałam wynieść Roxanne z kuchni na wolność, do rajskiej krainy, jaką był nasz ogród, gdzie miałyby owadów pod dostatkiem.

Nie potrafiłam jednak stanąć na wysokości zadania. Byłam głodna i miałam ochotę na banana. Znów sięgnęłam po Roxanne i znów moja ręka zawisła w powietrzu.

Daniel z westchnieniem wstawił filiżankę do kuchenki mikrofalowej.

Nacisnął parę klawiszy i podstawka zaczęła się obracać.

– Nie powinieneś stać przed mikrofalą.

Zignorował mnie.

– Możesz dostać raka mózgu.

– To udowodnione? – zapytał.

– A chcesz się przekonać?

Daniel przyjrzał się mojej ręce, zamartej w połowie drogi pomiędzy mną a pajakiem.

– Przy twoim poziomie nerwicy prawdziwą miłość możesz znaleźć tylko w telewizyjnym serialu – stwierdził.

– Może, ale za to nie będę miała raka. Ty też o tym pomyśl.

Daniel wyjął z szafki batonik zbożowy.

– Masz – powiedział i rzucił mi go, ale o tej porze byłam kompletnie nie do życia.

Nawet nie drgnęłam i batonik upadł na blat za mną. Roxanne wystraszyła się i uciekła.

Daniel zgarnął kluczyki i ruszył do drzwi. Wyszłam za nim bez śniadania, ale za to wprost w słoneczny blask.

– Jedziemy – rzucił z udawanym wigorem. – Tylko mi nie mów, że dostajesz napinki z powodu pierwszego dnia w nowej szkole. – Tupnął nogą, płosząc maleńkie jaszczurki wygrzewające się na kamiennej podłodze tarasu. – Kolejny raz.

– Zastanawiam się, czy w Laurelton teraz pada śnieg.

– Zapewne. Ale jakoś tego nie żałuję.

Myślałam, że nie może już być bardziej upalnie, ale wnętrze hondy civic Daniela dowodziło, że się mylę. Łapiąc powietrze, dałam bratu znak, żeby natychmiast otworzył okna.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Co? – zniecierpliwiłam się.

– Przecież nie ma upału.

– Umieram z gorąca. Ty nie?

– Nie... jest najwyżej dwadzieścia parę stopni.

– Może się jeszcze nie przyzwyczaiłam.

Dopiero od paru tygodni mieszkaliśmy na Florydzie, a wcześniej miałam dziurę w życiorysie. Na razie nienawidziłam tego miejsca.

Daniel nie opuścił uniesionych brwi, ale przynajmniej zmienił temat.

– Wiesz, że mama chciała dzisiaj zawieźć cię do szkoły?

Jęknęłam. Tego ranka nie miałam ochoty odgrywać pacjentki. Ani

w inne poranki. Rozwazałam, czy nie kupić mamie drutów i włóczki albo akwareli. Zdecydowanie potrzebowała jakiegoś hobby, które odciągnęłoby jej uwagę ode mnie.

– W takim razie dzięki za podwózkę. – Popatrzyłam na brata. – Bardzo duże dzięki.

– No problemo – odparł i z rozkosznie głupkowskim uśmiechem włączył się do ruchu na autostradzie.

Daniel niemiłosiernie się włókł przyklejony do kierownicy z nosem na przedniej szybie. Spóźniliśmy się i kiedy zajechaliśmy na zatłoczony szkolny parking, nikt już nie kręcił się przy luksusowych brykach, które tam stały.

Sięgnęłam do tyłu samochodu po czysty, starannie spakowany plecak Daniela podróżujący w roli pasażera. Podałam mu go i wysiadłam. Ruszyliśmy ku ozdobnej kutej bramie Akademii Sztuk i Nauk Croydena, naszej nowej świątyni wiedzy. Szczyt bramy zdobił wielki herb – tarcza rozdzielona na połowy szerokim, pionowym pasem, zwieńczona hełmem rycerskim i podtrzymywana przez dwa lwy. Szkoła wydawała się dziwnie nie na miejscu w tej raczej zubożonej okolicy.

– Chyba nie wspomniałem, że po południu odbiera cię mama – powiedział Daniel.

– Zdrajca – mruknęłam.

– Wiem. Ale chcę się spotkać z doradczynią szkolną w sprawie wyboru studiów, a ona ma czas tylko dzisiaj po lekcjach.

– Nie wiem, po co ci to. Ze swoimi stopniami możesz przebierać w uczelniach.

– Nie jestem taki pewien.

Zerknęłam na brata z ukosa.

– Co jest?

– Nic, patrzę na ciebie – wyjaśniłam, nadal na niego łypiąc.

– Wyglądasz, jakbyś miała wylew i sparaliżowało ci połowę twarzy – stwierdził. – W każdym razie mama będzie tu na ciebie czekać. – Wskazał mały placzyk z boku kampusu. – Tylko bądź dla niej miła.

Stłumiłam ziewnięcie.

– O rany, Daniel, czy od samego rana musisz być taką starą zrzędką?

– Uważaj na swój język. Jest tu niestosowny.

– Przesadzasz – mruknęłam.

Uniosłam głowę i odczytywałam po drodze nazwiska sławnych absolwentów Croyden, wypisane na ceglany łuku, tak imponujące, jak:

Heatcliff Rotterdam III, Parker Preston XXVI czy Annalise Bennet von...

– Podobno Joseph kogoś już tak nazwał. Może złapał te nazwiska od ciebie – powiedział Daniel.

Roześmiałam się.

– To nie jest śmieszne – obruszył się.

– Daj spokój, nie kłóć się o głupie słowo.

Daniel już otwierał usta, żeby mnie skontrolować, kiedy usłyszałam w jego kieszeni Chopina. Wyciągnął komórkę, ruchem warg informując mnie, że dzwoni mama, i pokazał na przeszklony budynek, w którym mieściła się administracja szkoły.

– Idź tam – powiedział głośno.

Postusznie ruszyłam przed siebie.

Bez brata, który mnie ciągle rozpraszał, mogłam wreszcie spokojnie podziwiać kampus. Szmaragdowozielone trawniki, przyszyżone co do milimetra, przykrywały ziemię jak dywan. Dwie krzyżujące się szerokie aleje obramowane kwitnącymi klombami dzieliły teren na cztery części. W jednej z nich znajdowała się biblioteka z rozbudowaną kolumnadą, a w innej bufet, stołówka i sala gimnastyczna z rozsuwanymi oknami. Pozostałe dwie części mieściły imponujący budynek szkolny i nie mniej imponujące biuro. Wszystkie obiekty łączyły ceglane ścieżki i łukowe pergole, schodzące się przy wielkiej fontannie pośrodku trawnika.

Podświadomie oczekiwałam, że z budynków wylegnie chór leśnych stworzeń, aby zaśpiewać radosną pieśń. Wszystko w tym miejscu aż piszczało: JESTEŚMY PERFEKCYJNI I TY TEŻ BĘDZIESZ! Nic dziwnego, że mama wybrała taką szkołę.

Poczułam się tu jak nędzarka w swoim T-shircie i džinsach. W Croyden obowiązywały mundurki, ale na szczęście dla Daniela i dla mnie jeszcze ich dla nas nie sprowadzono. Już samo prze-niesienie się ze szkoły publicznej do prywatnej, i to w środku trymestru, było niemałym wyzwaniem, a czekał mnie jeszcze przykry obowiązek noszenia gładkich spódniczek i podkolanówek. Niestety, matka była snobką i nie ufała publicznym szkołom, zwłaszcza w dużych miastach. Po tym, co wydarzyło się w grudniu, nie miałam siły z nią dyskutować.

W sekretariacie pobrałam plan lekcji i mapę kampusu. Kiedy wyszłam, Daniel dopiero skończył rozmowę.

– No i jak mama? – zapytałam.

Lekko wzruszył ramionami.

– Nic, kontrola – skwitował, przeglądając papiery. – Opuściliśmy

pierwszy semestr, więc według planu zaczynasz od algebry II.

Idealnie. Po prostu idealnie.

Daniel przyglądał się kampusowi. Szkoła była dostosowana do funkcjonowania w gorącym klimacie. Z klas wychodziło się bezpośrednio na dwór jak w motelu. Po minucie analizy planu mój brat wskazał na najbardziej oddalony budynek.

– To powinno być w tamtym rogu. Postuchaj, możemy nie zobaczyć się aż do lunchu. Chcesz, żebyśmy zjedli go razem? Muszę pogadać z dyrektorem i kierownikiem wydziału muzycznego, ale potem będę wolny, więc...

– Nie, dzięki, poradzę sobie.

– Na pewno? Bo na razie nie mam towarzystwa do stołówki i jeszcze nie wiem, czym tu trują.

Zartował sobie, ale wyczułam w nim niepokój. Od czasu, kiedy wróciłam ze szpitala, śledził mnie braterskim okiem, choć nie tak jawnie i z tak histerycznym zaangażowaniem jak matka. Dlatego był mniej irytujący. Z drugiej strony musiałam się bardziej starać, aby przekonać go, że dam sobie radę i nie zaliczę żadnej wpadki. Na wszelki wypadek przybrałam minę dorosłej, znudzonej i obojętnej i tak uzbrojona dziarsko ruszyłam w stronę swojego budynku. Daniel postanowił jednak odprowadzić mnie aż do klasy.

– Daj spokój, nie trzeba – powiedziałam, dla lepszego efektu wzruszając ramionami. – Lepiej już sobie idź, bo jak się opuścisz w nauce, to nie skończysz szkoły i umrzesz w biedzie. – Popchnęłam go ze śmiechem i się rozdzieliliśmy.

W miarę jak zbliżałam się do klasy, moja dumna poza zniknęła. Śmieszne. Spinałam się jak kiedyś, pierwszego dnia w przedszkolu, a tymczasem był to tylko pierwszy dzień w szkole bez Rachel... i jednocześnie pierwszy z wielu, które będę musiała przeżyć już sama. Należało wziąć się w garść. Przełknęłam bolesną kulę, która narastała mi w gardle, i spróbowałam rozszyfrować swój plan lekcji:

AP Angielski, p. Leib, sala B35

Algebra II, p. Walsh, sala 264

Historia Ameryki, p. McCreery, sala 4

Sztuka, p. Gallo, sala L

Hiszpański I, p. Morales, sala 213

Biologia II, p. Prieta, aneks

Beznadziejne. Szłam wzdłuż budynku, sprawdzając numery sal, ale

zanim znalazłam algebrę II, trafiłam na automaty z napojami i słodyczami. Były cztery i stały w rzędzie z tyłu budynku, naprzeciw piknikowych pawilonów w stylu tropikalnych chat, rozstawionych na trawniku. To mi przypomniało, że nie zjadłam śniadania. Rozejrzałam się. Było już późno, ale uznałam, że parę minut mnie nie zbawi.

Położyłam papiery na podłodze i zaczęłam szukać w torebce drobnych. Kiedy wpuściłam ćwierćdolarówkę w szczelinę, druga, którą trzymałam w ręku, upadła mi na ziemię. Schyliłam się po nią, bo kasy wystarczało mi tylko na jedną rzecz. Podniosłam monetę, dorzuciłam ją do automatu i wcisnęłam kombinację klawiszy, która miała mi zapewnić paczkę M&M's.

Automat pożarł całą moją kasę. Co za niefort!

Jeszcze raz wybrałam numer. Nic. Mój upragniony smakołyk przepadł. Chwyciłam maszynę i nią potrząsnęłam. Potem jej dokopałam. Nadal nic.

– Wypluj to! – wrzasnęłam do bezdusznego sprzętu.

Nie posłuchał. Wymierzył mi jeszcze parę bezsilnych kopniaków. Bydlę nie reagowało.

– Masz problem z kontrolowaniem agresji.

Obróciłam się gwałtownie, słysząc za plecami przyjemny, melodyjny angielski akcent.

Osoba, do której należał głos, siedziała przy stoliku pod dachem najbliższego pawilonu. Totalny luz stroju – żeby nie powiedzieć nieład – sprawił, że w pierwszej chwili nie zwróciłam uwagi na twarz. Chłopak – jeśli można go było tak określić, bo wyglądał raczej na studenta niż licealistę – nosił converse'y bez sznurowadeł. Wąskie czarne dżinsy i biała, klasyczna koszula opinały jego szczupłą, sprężystą postać. Krawat miał rozluźniony, mankiety rozpięte, a szkolny blezer, zwinięty w kłęb, leżał obok niego na ławie.

Szczęka o silnym zarysie i podbródek sprawiały wrażenie, jakby gość nie golił się od paru dni. Jego oczy miały szary odcień, a kosmyki ciemnokasztanowych włosów sterczały we wszystkie strony. W porównaniu z mieszkańcami Florydy, których dotąd widziałam, wydawał się blady.

Był bardzo przystojny. I uśmiechał się do mnie.

Sprawił wrażenie, jakby mnie znał. Odwróciłam się, sprawdzając, czy nikt za mną nie stoi. Nikogo nie było. Pusto. Kiedy znów spojrzałam na chłopaka, już go tam nie było.

Zamrugłam zdezorientowana i schyliłam się po swoje rzeczy. Usłyszałam zbliżające się kroki, które zatrzymały się, zanim ten ktoś do mnie doszedł.

Zobaczyłam opaloną dziewczynę w sznurowanych trzewikach, białych podkolanówkach i granatowej spódnicy do kolan. Myśl, że za tydzień będę tak samo ubrana, sprawiła mi ból.

Stała pod ramię z bardzo zadbanym, wyjątkowo dorodnym blondasem. Dwójka ludzi w blezerach z herbem szkoły spoglądała na mnie wyniośle, zadzierając swoje rasowe nosy, równomiernie upstrzone piegami.

– Uważaj – powiedziała dziewczyna zjadliwym tonem.

Na co mam uważać? Nie zrobiłam nic złego. Uznałam jednak, że nie będę się tłumaczyć. Na razie znałam w tej szkole tylko jedną osobę o takim samym nazwisku jak moje.

– Przepraszam – bąknęłam, choć nie wiedziałam, za co powinnam się kajać. – Nazywam się Mara Dyer i jestem tu nowa.

To było widać.

Obojętny uśmiech pojawił się na pięknej twarzy Dziewczyny przy Automacie.

– Witaj w szkole – pozdrowiła mnie.

I piękna parka odeszła.

Zabawne. Wcale nie poczułam się powitana.

Postanowiłam na razie nie myśleć o obu dziwnych spotkaniach. Z planem w ręku okrążyłam budynek, ale nie mogłam namierzyć swojej sali. Weszłam na piętro i dopiero tam ją znalazłam.

Drzwi były zamknięte. Nie miałam ochoty wchodzić spóźniona ani w ogóle tam wchodzić. Ale straciłam już jedną lekcję i nie było sensu zwlekać. Trudno, raz się żyje. Otworzyłam drzwi i weszłam do klasy.

Kiedy dwadzieścia parę głów obróciło się w moją stronę, na ścianach sali pojawiły się rysy. Pajęczyna pęknięć rozszerzyła się gwałtownie, pełzając do sufitu, który zaczął się sypać. Poczułam w gardle jakiś wyschnięty wiór. Nikt się nie odezwał, może dlatego, że w pomieszczeniu

było pełno pyłu. Czułam, że zaraz się rozkaszę.

Katastrofa przydarzyła się tylko mnie.

Kula światła pękła na podłodze, tuż u stóp nauczyciela, obsypując mnie kaskadą iskier. Nie były realne, a jednak odskoczyłam tak gwałtownie, że upadłam.

Usłyszałam niemile plaśnięcie, gdy moja twarz spotkała się ze lśniącem linoleum. W głowie eksplodował mi ból. Ciepła krew pociekła strugą z nosa, zalewając usta i podbródek. Oczy miałam otwarte, ale niewiele widziałam przez zasłonę pyłu. Za to wszystko słyszałam. Zbiorowe wstrzymanie oddechów i nerwowe okrzyki nauczyciela usiłującego się dowiedzieć, czy żyję. Dziwne, ale nie zrobiłam żadnego ruchu, tylko leżałam na podłodze, ignorując rozbrzmiewające wokół stłumione głosy. Wolałam tkwić w bólu niż wstać i stawić czoła upokorzeniu.

– U-um... czy wszystko w porządku? Słyszysz mnie? – W głosie nauczyciela narastała panika.

Usiłowałam wypowiedzieć swoje imię, ale zabrzmiało to raczej jak „umieram”.

– Niech ktoś pobiegnie po siostrę Licas, zanim ta panna wykrwawi się tu na śmierć!

Po tych słowach zaczęłam się podnosić, usiłując niepewnie stanąć na nogach, które jakby nie należały do mnie.

– Wszystko w porządku – zapewniłam i popatrzyłam po sali. Wyglądała jak normalna szkolna klasa. Żadnego pyłu, żadnych pęknięć. – Nie potrzebuję pielęgniarki – dodałam szybko. – Naprawdę. Po prostu czasami miewam krwotoki z nosa. – Tak, tak, chichoczcie. Obśmiejcie to. – Nic mnie nie boli i już nie krwawię. – Rzeczywiście, nie krwawiłam, ale musiałam wyglądać jak upiór.

Nauczyciel przyjrzał mi się nieufnie.

– Hm – powiedział. – Naprawdę nic ci się nie stało? Skoro tak, może pójdziesz do łazienki i się obmyjesz? A kiedy wrócisz, zapoznasz się z nami.

– Tak, dobrze, dziękuję – bąknęłam. – Zaraz wracam. – Przemogłam słabość i zaryzykowałam szybkie spojrzenie na klasę i nauczyciela.

Na wszystkich twarzach malowała się mieszanka zaskoczenia i przerażenia. Z wyjątkiem, jak zauważyłam, znanej mi już Dziewczyny przy Automacie. Jakie to milutkie.

Wyszłam z sali. Chwiałam się jak mleczny ząb, który można wyrwać

jednym ruchem. Kiedy przestałam słyszeć szepty i drżący głos nauczyciela, przyspieszyłam i prawie biegłam. Z rozpędu minęłam łazienkę dziewcząt, nie zauważywszy wahadłowych drzwi. Zawróciłam, a kiedy znalazłam się w środku, od razu skupiłam uwagę na wzorze ohydnej, żółtej terakoty podłogi. Potem policzyłam boksy. Robiłam wszystko, byle tylko nie spojrzeć w lustro. Usiłowałam się uspokoić, aby kolejny atak paniki nie spowodował nowego krwotoku.

Zmusiłam się, żeby oddychać powoli i głęboko. Nie chciałam się umyć. Nie chciałam wracać do klasy. Im dłużej jednak zwlekałam, tym bardziej prawdopodobne było to, że nauczyciel pošle za mną pielęgniarkę. A tego bym nie zniosła. Podeszłam do umywalki, na której walały się strzępy mokrych papierowych ręczników, i spojrzałam przed siebie.

Dziewczyna w lustrze uśmiechnęła się. Ale to nie byłam ja.

To była Claire. Jej rude włosy spływały na ramiona zamiast moich, kasztanowych. Wtem odbicie złowrogo zafalowało. Pomieszczenie przechyliło się i omal nie upadłam. Przygryzłam wargi i mocno oparłam się o blat. Kiedy znów spojrzałam w lustro, jak zwykle patrzyłam na siebie.

Serce łomotało mi w piersi. Uspokajałam się, że to nic takiego. W klasie też nic się nie stało. Wszystko było w porządku. Po prostu efekt napinki z powodu pierwszego dnia szkoły. Katastrofalnego pierwszego dnia. W końcu uspokoiłam się na tyle, że żołądek zapomniał zareagować na widok zaschniętej krwi na twarzy.

Wyszarpnęłam garść papieru z podajnika i zmoczyłam go pod kranem. Kiedy chciałam zmyć twarz, przykra woń mokrego papierowego ręcznika wywołała falę mdłości. Zebrało mi się na wymioty.

I stało się.

Byłam na tyle przytomna, żeby odgarnąć włosy z twarzy, zanim opróżniłam do umywalki skromną zawartość swojego żołądka. Jak dobrze, że nie dane mi było zjeść śniadania!

Dyszałam ciężko przez chwilę, a potem wytarłam usta, przepłukałam je wodą i wszystko wyplułam do umywalki. Na chwilę okryłam się potem, ale to był typowy objaw po wymiotach. Doprawdy, rewelacyjny start w nowej szkole! Dobrze, że mój T-shirt cudem ocalał po wydobyciu się płynów z mojego organizmu.

Ciężko oparłam się o blat. Jeśli nie pójdę na końcówkę algebry, nauczyciel pośle paru geniuszy, żeby mnie odnaleźli, żywą albo martwą. Obmyłam się szybko i dzielnie stawiawszy czoła upałowi, pomaszerowałam z powrotem. Drzwi klasy były otwarte, bo widocznie nie zamknęłam ich za sobą, wychodząc. Z sali dobiegał monotony głos nauczyciela tłumaczącego równania. Wzięłam głęboki wdech i weszłam.

W jednej chwili nauczyciel znalazł się tuż przy mnie. Grube szkła nadawały mu wygląd odrażającego owada.

– Och, wyglądasz dużo lepiej! Proszę, siadaj. Nazywam się Walsh. Nie usłyszałem twojego imienia.

– Mara. Mara Dyer – powiedziałałam niewyraźnie.

– Cóż, panno Dyer, lubi pani efektowne wejścia.

Rozległ się stłumiony chichot.

– No tak, nie było to zbyt eleganckie. – Usiadłam w pierwszym rzędzie, przy stoliku wskazanym przez nauczyciela, przy drzwiach, blisko jego biurka. Było to jedyne wolne miejsce w klasie.

Przez osiem męczących minut i dwadzieścia siedem niekończących się sekund oblewałam się potem w siódmym kręgu mojego prywatnego piekła, tkwiąc nieruchomo w ławce. Słuchałam wykładu, ale nie usłyszałam z niego ani słowa. Zagłuszał je wstyd. Miałam koszmarne wrażenie, że każdy centymetr mojego ciała jest boleśnie obnażony i wystawiony na badawcze spojrzenia nowej klasy.

Usiłowałam się odciąć od szeptów, które zewsząd do mnie dobiegały, lecz nie potrafiłam ich rozszyfrować. Odruchowo przyłożyłam dłoń do tyłu bolącej głowy, jakbym chciała się chronić przed palącymi, anonimowymi spojrzeniami, które zdawały się przewiercać mi czaszkę. Desperacko zerkiałam na drzwi w nadziei, że za chwilę wyrwę się z tego koszmaru, choć wiedziałam, że szepty się nasilą, kiedy wyjdę.

Zadźwięczał dzwonek, ogłaszając koniec mojej pierwszej lekcji w Croyden. Nie brzmiał jak dzwon zwycięstwa.

Przeczekałam masowy pęd do wyjścia, bo musiałam jeszcze załatwić z nauczycielem sprawę podręcznika i sprawdzić, co dalej jest w planie. Pan Walsh uprzejmie mnie poinformował, że do testu semestralnego mam podejść za trzy tygodnie tak jak wszyscy, po czym wrócił za biurko i zagłębił się w papierach, zostawiając mnie samą wobec wyzwania następnych lekcji.

Reszta dnia upłynęła jednak zdumiewająco zwyczajnie. Zaczęła się przerwa obiadowa, ale nie poszłam do stołówki. Zarzuciłam na ramię ciężką torbę i ruszyłam przed siebie. Postanowiłam znaleźć jakieś zaciszne miejsce, gdzie nikt nie będzie mnie niepokoił, aby poczytać sobie książkę, którą wzięłam z domu. Żołądkowe ekscesy do reszty odebrały mi apetyt.

Zbiegłam na dół, skacząc po dwa stopnie, przeszłam przez trawnik i zatrzymałam się przy ogrodzeniu, za którym znajdowała się niezagospodarowana część szkolnego terenu. Wysokie drzewa ocieniały budynek, w którym mieściły się klasy. Dziwaczny krzyk nieznanego ptaka wwiercił się w nieruchome od upału powietrze. Miałam wrażenie, że znalazłam się w cywilizowanym koszmarze ekskluzywnego Parku Jurajskiego. Nerwowo otworzyłam książkę w miejscu, w którym skończyłam czytanie, ale kiedy się zorientowałam, że w kółko czytam ten

sam akapit, dałam sobie spokój. W gardle znów rosta mi gula. Bezsilnie oparłam się o siatkę ogrodzenia, czując, jak druty wrzynają mi się w ciało przez cienki materiał bluzki, i zamknęłam oczy, aby odgrodzić się od świata.

Ktoś zaśmiał się za moimi plecami.

Gwałtownie odwróciłam głowę, przeniknięta strachem. To był śmiech Jude'a. Poznałam jego głos. Podniosłam się powoli i stanęłam twarzą do ogrodzenia. Wczepiwszy palce w oczka siatki, wpatrywałam się w jurajską dżunglę, nasłuchując, skąd dochodzi głos.

Widziałam tylko drzewa. No jasne, Jude nie żył. Tak jak Claire. I Rachel. To by oznaczało, że w ciągu niecałych trzech godzin trzy razy doświadczyłam halucynacji. Niedobrze.

Odwróciłam się i spojrzałam na kampus. Był pusty. Zerknęłam na zegarek i wpadłam w panikę, bo za minutę zaczynała się następna lekcja. Z wysiłkiem przetknęłam ślinę, chwyciłam torbę i pobiegłam w stronę najbliższego budynku. Kiedy wychyłam z za rogu, stanęłam jak wryta.

Jude stał kilkanaście metrów ode mnie. Wiedziałam, że nie mógł tam być – ale przecież był. Patrzył na mnie nieprzyjaźnie, bez uśmiechu, spod daszka ukochanej bejsbolówki Patriotsów, której nigdy nie zdejmował. Sprawiał wrażenie, jakby chciał porozmawiać.

Odwróciłam się i ruszyłam dalej. Zrazu oddalałam się od niego powoli, ale szybko przeszłam do biegu. Raz obejrzałam się przez ramię, żeby sprawdzić, czy jeszcze tam stoi.

Był.

Tuż za mną.

Jakimś cudem najbliższe drzwi, które otworzyłam, oznaczone numerem 213, okazały się wejściem do pracowni języka hiszpańskiego. Wszystkie miejsca były zajęte, a zatem znów się spóźniłam.

– Panna Dii-er?! – huknęła nauczycielka.

Zdezorientowana i wystraszona nerwowo zatrzasnęłam za sobą drzwi.

– Nazywam się Dyer – sprostowałam.

Trudno dociec, czy z powodu tej uwagi, czy spóźnienia, zostałam ukarana. Nauczycielka kazała mi stanąć przed klasą i zarzuciła gradem pytań po hiszpańsku, na które za każdym razem odpowiadałam „nie wiem”. Nie raczyła nawet się przedstawić; po prostu siedziała za biurkiem, a ścięgna naprężyły się na jej żyłastych przedramionach, kiedy szybko notowała coś w dzienniku. Pojęcie hiszpańskiej inkwizycji nabrało dla mnie nagle zupełnie nowego znaczenia.

Tortury trwały całe dwadzieścia minut. Kiedy wreszcie skończyła, kazała mi usiąść przy stoliku, który stał obok jej biurka, twarzą do całej klasy. Koszmar. Wlepiłam spojrzenie w zegar i liczyłam sekundy pozostałe do końca tej męki. Kiedy rozległ się dzwonek, skoczyłam do drzwi.

– Ktoś powinien cię przytulić – odezwał się jakiś głos za moimi plecami.

Odwróciłam się i zobaczyłam niskiego chłopaka w białej koszuli rozpiętej pod szyją. Na niej miał żółty T-shirt z napisem JESTEM SCHEMATEM.

– Miły jesteś – powiedziałam, zmuszając się do uśmiechu. – Ale jakoś sobie poradzę. – Musiałam za wszelką cenę zachowywać się normalnie.

– Och, to nie była propozycja. Po prostu obserwacja. – Chłopak odgarnął z oczu grzywę dredów i wyciągnął do mnie rękę. – Jamie Roth – przedstawił się.

– Mara Dyer – odpowiedziałam automatycznie, bo przecież już wiedział.

– Hej, to ty jesteś ta nowa? – Kpiące rozbawienie błysnęło w jego ciemnych oczach.

Nie opuściłam wzroku.

– Zabawne. I ty jesteś zabawny.

Skłonił się teatralnie.

– Nie przejmuj się Moralesową. To najgorsza belfrzyca na świecie.

– Czyli innych też tak traktuje? – zapytałam, kiedy oddaliśmy się na bezpieczną odległość od klasy.

Przerzuciłam ciężką torbę na drugie ramię, podejrzliwie skanując spojrzeniem kampus w poszukiwaniu duchów zmarłych. Nikogo nie wykryłam. Na razie.

– No, może nie aż tak, ale też paskudnie. Miałaś szczęście, że nie cisnęła w ciebie kredą. A przy okazji, jak tam twój nos?

Czyżby był rano na algebrze?

– Dzięki, już dobrze. Jesteś pierwszą osobą, która o to pyta. A w ogóle pierwszą, która powiedziała mi coś miłego.

– Ludzie byli dla ciebie niemili?

Zadawało mi się, że kiedy mówił, dostrzegłam w jego ustach srebrny błysk. Kolczyk w języku? Interesujące. Nie wyglądał na kogoś takiego.

Kiwnęłam głową i przerzuciłam się na intensywną obserwację mojego nowego szkolnego towarzystwa. Zdążyłam się już zorientować, że noszono tu różne wariacje szkolnych mundurków, nieznacznie różniące się fasonami koszul, spódnic, spodni czy blezerów. Paru indywidualistów miało kamizelki. Jednak na próżno było tu szukać modowych kalk – odjazdowych butów, włosów ufarbowanych na czarno i pasujących do nich mrocznych makijaży. Tu dokonano się coś więcej niż tylko nakaz noszenia mundurków – jakimś cudem udało im się totalnie ujednolicić styl. Wszyscy byli idealnie zadbani, o nienagannym wyglądzie, u nikogo żaden włos nie śmiał odstawać. Jamie ze swoimi dreadami, kolczykiem i wyeksponowanym T-shirtem był wyjątkiem, podobnie jak wyluzowany osobnik, którego spotkałam rano.

Poczułam, że łokieć Jamiego dźgnął mnie w żebra.

– No, gadaj, nowa! Kto był niemity? Nie trzymaj człowieka w niepewności.

Uśmiechnęłam się.

– Wcześniej jedna dziewczyna kazała mi uważać. – Kiedy opisałam Jamiemu Dziewczynę przy Automacie, brwi podjechały mu do góry. – Jej towarzysz był równie niemity – zakończyłam.

Jamie pokręcił głową.

– To mi wygląda na Shawa – stwierdził i uśmiechnął się do siebie. – Boże, ale z niego gość.

– Eem... czy ten twój Shaw cierpi na przerost mięśni i nosi koszulę

z postawionym kołnierzem? Szedł pod ramię z tamtą dziewczyną.

Jamie zaczął się śmiać.

– Twój opis może pasować do wielu dupków z Croyden, ale nie do Noaha Shawa. Prędkiej do Davisa, jeśli miałbym już kogoś typować.

Teraz ja uniostałam brwi.

– Aiden Davis, supergwiazda lacrosse'a i fan Misji Moda. Poprzednik Shawa u boku Anny. Chodzili z sobą, dopóki Shaw, jak to się mówi, nie znudził się Anną. Teraz są przyjaciółmi. – Jamie zatrzepotał rzesami. Zaczęłam go lubić. – No powiedz, co zrobiłaś Annie? – nalegał.

Popatrzyłam na niego w osłupieniu.

– Ja jej coś zrobiłam?

– Musiałaś zrobić coś, co przyciągnęło jej uwagę. Normalnie traktowałyby cię jak powietrze, ale pokazałyby pazury, gdyby tylko Shaw zawiesił na tobie oko – wyjaśnił. Popatrzył na mnie przeciągle, zanim zaczął mówić dalej. – Co też niechybnie uczyni, bo wyeksploatował już żeńskie zasoby Croyden. Dostownie.

– O to Anna nie musi się martwić. – Wyciągnęłam plan lekcji, mapkę i zaczęłam się rozglądać, próbując zlokalizować aneks, w którym mieściła się klasa biologiczna. – Nie interesuje mnie podkradanie czyichś chłopaków – dodałam.

Ani chodzenie z chłopakami, czego już nie powiedziałam głośno. Wystarczyło, że mój ostatni chłopak nie żył.

– Och, to już nieaktualne. Shaw spławił ją po paru tygodniach. Punkt dla niego. Dostała furii, jak zwykle dziewczyny w takich sytuacjach. Nie zna piekła straszliwszej furii nad wściekłość porzuconej kobiety, i takie tam. Wcześniej Anna była niewinna jak dziewczę z obrazka, ale w epoce postshawowskiej popadła w waginalny odpał. Gdyby zrobić z tego komiks, byłby prawdziwym hitem.

Parsknęłam śmiechem. Po drodze patrzyłam na budynki, ale żaden nie wyglądał jak przybudówka.

– A gość, do którego się tak lepiła, nie ma z tym problemu? – zapytałam z roztargnieniem.

Jamie uniósł brew.

– Zła Królowa? Coś ty.

Aha.

– Skąd ta ksywka?

Jamie popatrzył na mnie jak na idiotkę.

– Tak tylko pytam – spłoszyłam się.

- Powiedzmy, że kiedyś chciałem zaprzyjaźnić się z Davisem. Oczywiście w sensie platonicznym – dodał skwapliwie. – Niestety, okazało się, że nie jestem w jego typie. Do dzisiaj w szczęce mi pyka, kiedy ziewam. – Zademonstrował mi to.

- Uderzył cię?

Za naszymi plecami szemrała fontanna. Zatrzymaliśmy się przed budynkiem najbardziej oddalonym od szkolnego biura. Sprawdziłam tabliczki na drzwiach sal lekcyjnych. Obłąd. W życiu nie nauczę się topografii tego miejsca.

- Tak. Davis ma wyjątkowo wredny prawy sierpowy.

Podobnie jak ja.

- Ale z czasem mu oddałem.

- Tak? – Nie wierzyłam, że Jamie miałby szanse w walce na noże z Aidenem Davisem, nawet uzbrojonym tylko w rolkę papieru klo....

Jamie uśmiechnął się chytrze.

- Załatwiłem go ebolą.

Zamrugałam zdziwiona.

- Spoko, nie mam wirusa. Ale to czwarty poziom zagrożenia biologicznego.

Znów zamrugałam.

- Innymi słowy, ebola nie jest dostępna dla nastoletnich bioterrorystów, nawet jeśli mają tatusiów lekarzy. – Jamie zrobił rozczarowaną minę. – Ale Davis uwierzył i omal nie narobił w gacie. To była piękna chwila. Niestety, drań wygadał wszystko szkolnym pedagogom. A ci mu uwierzyli. I wezwali mojego starego, żeby sprawdzić, czy nie przechowuje eboli w domu. Idioci. Jeden drobny żart z gorączką krwotoczną i już przyklejają ci etykietkę niezrównoważonego. – Pokręcił głową i uśmiechnął się krzywo. – Lepiej więc nie zadawaj się z wariatem.

- Przestań – zaprotestowałam, choć poczułam się trochę dziwnie.

Ale sama nie byłam lepsza.

Jamie mrugnął do mnie i kiwnął głową.

- Dobra. Powiedz, jaką teraz masz lekcję?

- Zdaje się, że biologię z Prietą. W jakimś aneksie, który cholera wie, gdzie jest.

- Za tymi bugenwillami. – Jamie pokazał na ogromne, osypane kwiatami krzewy, które znajdowały się około trzystu metrów od nas, w zupełnie innej części kampusu.

- Dzięki – powiedziałam. – W życiu bym tam nie trafiła. A ty, jaką

masz lekcję?

Wzruszył ramionami.

– Fakultet z fizyki, ale dzisiaj się zrywam.

Fakultet z fizyki. Imponujące.

– Więc... jesteś na moim roku?

– Nie, na trzecim. – Jamie musiał dostrzec moje niedowierzenie, bo szybko dodał: – Przezimowałem jedną klasę. A geny niziołka przejąłem pewnie od rodziców przez osmozę.

– Przez osmozę? Chodzi ci chyba o dziedziczenie? Zresztą wcale nie jesteś taki niski. – Było to kłamstwo, ale nieszkodliwe.

– Jestem adoptowany – wyjaśnił Jamie. – I błagam. Jestem kurdupłem. Nie drągałem. Koniec, kropka. – Wzruszył ramionami i znacząco popukał się w nadgarstek. – Lepiej pędź do Priety, bo się spóźnisz. – Pomachał mi. – Nara.

– Pa!

No i zyskałam przyjaciela. W myślach poklepałam się po plecach. Daniel będzie ze mnie dumny. A mama jeszcze bardziej. Postanowiłam sprezentować im tę wieść jak kot, który przynosi mysz swemu panu. Może to wystarczy, żeby wywinąć się od terapii.

Jeśli, oczywiście, zachowam dla siebie swoje dzisiejsze omamy.

Udało mi się przeżyć resztę dnia bez hospitalizacji czy innych wpadek. Po lekcjach mama czekała na mnie dokładnie tam, gdzie mówił Daniel. Była mistrzynią świata w takich drobnych „mamowych” chwilach i dzisiaj też mnie nie zawiodła.

– Mara, skarbie! Jak tam twój pierwszy dzień? – Jej głos ociekał entuzjazmem. Przesunąwszy na włosy okulary przeciwsłoneczne, pochyliła się, żeby mnie pocałować. I zeszywniała. – Co się stało?

– Co?

– Masz krew na szyi.

Cholera, a myślałam, że wszystko zmyłam.

– Krew poleciała mi z nosa. – Była to prawda, choć niecała.

Mama zrobiła się nagle bardzo spokojna. Przypatrywała mi się spod zmrużonych powiek, z uwagą i troską. Typowe dla niej i takie irytujące.

– Jak to? Nigdy nie miałaś krwotoku z nosa!

Miałam ochotę zapytać: „A skąd wiesz?”. Niestety, ona naprawdę wiedziała. Kiedyś mówiłam jej wszystko. Ale ten czas już minął.

Wwierciłam się piętą w żwir.

– Dzisiaj miałam.

– Tak nagle, ni z tego, ni z owego? Bez powodu? – Przeszyła mnie przenikliwym spojrzeniem psychoterapeutki, które mówiło: „Kręcisz!”.

Nie zamierzałam się przyznać, że sala lekcyjna zaczęła się walić, gdy tylko do niej weszłam. Ani że nawiedzili mnie dzisiaj zmarli przyjaciele, za łaskawym zezwoleniem mojego PTSD. A przecież od czasu przeprowadzki nie miałam żadnych objawów. Byłam na pogrzebach. Ogarniałam swój pokój. Wychodziłam z braćmi. Starłam się robić wszystko, czego ode mnie oczekiwano, byle uniknąć terapii w zamkniętym ośrodku. Wyznanie matce prawdy o tym, co się dzisiaj wydarzyło, mogłoby mieć niewyobrażalne skutki.

Popatrzyłam jej w oczy.

– Tak, bez powodu.

Nie kupiła tego.

– Mówię prawdę – skłamałam. – Możemy już o tym nie rozmawiać? – Zaledwie wypowiedziałam te słowa, wiedziałam, że będę ich żałować.

Miałam rację. Milczaliśmy przez resztę drogi do domu, a im dłużej

jechałyśmy tak bez słowa, tym bardziej podnosiło się mamie ciśnienie.

Usiłowałam to zignorować i skupić się na trasie, bo chciałam ją zapamiętać. Za parę dni miałam pojechać do szkoły sama, gdyż Daniel musiał odbyć wiele razy przekładaną wizytę u dentysty. Tylko trochę pocieszało mnie to, że Perfekcyjny Brat ma tak zwane ubytki.

Domy, które mijaliśmy, były niskie i kłocowate, z plastikowymi delfinami i ohydnyymi niby-antycznymi posągami na trawnikach. Zupełnie jakby zebrała się rada miejska i przegłosowała, że Miami ma być kompletnie pozbawione dobrego gustu. Mijaliśmy kolejne aleje handlowe, z których każda wyglądała jak klon drugiej i zgodnie krzyczały szyldami sieciówek: Michaels! Kmart! Home Depot! Zachodziłam w głowę, dlaczego musi ich być tyle w promieniu osiemdziesięciu kilometrów, skoro wystarczyłaby tylko jedna.

Dojechałyśmy do naszego nowego domu po godzinie nieznośnego tkwienia w korku, kiedy mój żołądek zaczął się buntować po raz drugi tego dnia. Mama wysiadła z auta z westchnieniem ulgi. Ja siedziałam dalej bez ruchu. Bracia jeszcze nie wrócili, taty długo miało nie być i nie chciałam sama wchodzić do jaskini lwa.

Gapiałam się na deskę rozdzielczą, tragikomicznie dusząc się w sosie własnych zgryzot, gdy nagle omal nie wybiłam dachu głową, spłoszona pukaniem w szybę.

Uniosłam głowę i zobaczyłam Daniela. Jasność dnia zaczęła przygasać, nasycając niebo głębokim, królewskim błękitem. Drgnęłam. Jak długo tu siedziałam? Opuściłam szybę.

Daniel popatrzył na mnie przez otwarte okno.

– Ciężki dzień?

Zmusiłam się, żeby powrócić do normalności.

– Skąd wiesz?

Joseph trzasnął drzwiami hondy i podszedł do nas, uśmiechnięty od ucha do ucha. Wypchany plecak miał założony na oba ramiona. Wysiadłam i klepnęłam młodszego brata w ramię.

– Jak tam twój pierwszy dzień?

– Bosko! Graliśmy w futbol i trener zaproponował, żebym w przyszłym tygodniu zagrał mecz, a w klasie mam fajne dziewczyny, choć jedna jest dosyć straszna i zagadywała mnie, ale starałem się być dla niej miły – wyrzucił z siebie na jednym wydechu.

Uśmiechnęłam się. Mogłam przypuszczać, że Joseph zaraz wkręci się w jakąś dodatkową aktywność. Był śmiały i zdolny. Obaj moi bracia tacy

byli.

Mimo woli porównywałam ich, kiedy szli w stronę domu jednakowym, zamaszystym krokiem. Joseph był bardziej podobny do matki i miał jej gęste, proste włosy, zupełnie inne niż moje i Daniela. Jednak obaj odziedziczyli po niej śniadą karnację, podczas gdy ja byłam klasycznym białasem po tacie. Nasze twarze nie wykazywały rodzinnego podobieństwa. To mnie nieco smuciło.

Daniel otworzył drzwi domu. Kiedy wprowadziliśmy się miesiąc temu, z niemałym zaskoczeniem stwierdziłam, że podoba mi się to miejsce. Wejście zdobiły bukszpany w donicach i kosze z kwiatami, a cała posiadłość była naprawdę duża. Tata mówił, że ma prawie pół hektara.

Niestety, nie był to mój dom.

Weszliśmy do środka całą trójką, w zwartym szyku. Słyszałam, jak mama krząta się po kuchni, ale kiedy się zorientowała, że jesteśmy, wyszła do nas do holu.

– Cześć, chłopaki! – niemal krzyknęła. – Jak wam minął dzień? – Uściskała obu synów, ignorując córkę trzymającą się z boku.

Joseph z młodzieńczym entuzjazmem rozpoczął sprawozdanie, a Daniel spokojnie ruszył za nimi do kuchni, czekając na swoją turę pytań. Skorzystałam z okazji, żeby się od nich urwać, i skręciłam w korytarz prowadzący do mojej sypialni. Po drodze mijałam szereg rozsuwanych drzwi po jednej stronie i wystawę rodzinnych fotografii na przeciwległej ścianie. Były tam zdjęcia moje i braci jako rozkosznych bobasów, a potem dzieci – w tym nieznośne szkolne fotografie klasowe. Dalej umieszczono zdjęcia innych krewnych i naszych dziadków. Jedno z nich przyciągnęło mój wzrok.

Było to czarno-białe zdjęcie babci w dniu jej ślubu. Patrzyła na mnie ze złoczonej ramki, siedząc spokojnie z rękami splecionymi na podołku. Dłonie miała pomalowane henną, a gładko uczesane, czarne włosy dzielił rygorystyczny przedziałek. Błysk flesza uwydatnił tradycyjną kropkę bindi pomiędzy idealnymi łukami jej brwi. Miała na sobie bogaty ślubny strój, a krawędzie jej sari zdobiły zawite wzory. Na moment zawładnęło mną dziwne uczucie, lecz uleciało, zanim zdołałam je zdefiniować.

Wtem pędem nadbiegł Joseph i omal mnie nie przewrócić.

– Sorki! – krzyknął i znikł za rogiem.

Oderwałam wzrok od zdjęcia i schroniłam się w nowej sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Padłam na puszystą białą narzutę łóżka i ściągnęłam tenisówki,

zahaczając nimi o podnózek. Upadły na dywan z głuchym stuknięciem. Leżałam, patrząc na ciemne, puste ściany. Mama chciała pomalować je na różowo jak w moim dawnym pokoju – to taki psychologiczny nonsens, że da mi to oparcie w nowym otoczeniu. Co za bzdura. Kolor ścian nie przywróci mi Rachel. Zagrałam na litość i mama pozwoliła mi wybrać ciemny, nasycony niebieski. Dzięki temu pokój zyskał wyrafinowany styl, podkreślony przez białe mebelki. Malutkie ceramiczne różyczki zdobiły żyrandol, wybrany przez nią, nadając pomieszczeniu kobiecy charakter. Całość ładnie z sobą współgrała. Do tego po raz pierwszy w życiu miałam własną łazienkę, co było zdecydowanym plusem.

Nie powiesiłam nic na ścianach i nie zamierzałam tego robić. Na dzień przed wyprowadzką z Rhode Island wyrzuciłam cały karton zdjęć i obrazów, zachowując tylko wykonany przez siebie portret Rachel, naszkicowany z profilu. Wpatrywałam się w ten samotny obrazek, zastanawiając się, jak poważnie Rachel na nim wygląda. Zwłaszcza przez kontrast z jej wesołym, szkolnym wizerunkiem. Taką zapamiętałam ją za życia. Nie oglądałam jej w trumnie.

To była już zamknięta epoka.

– Kochanie? Śpisz?

Drgnęłam, słysząc głos mamy. Ile czasu upłynęło? Momentalnie powrócił niepokój. Strużka potu spłynęła mi po plecach, choć w domu nie było gorąco.

Zmusiłam się, żeby usiąść na łóżku.

– Nie.

Wpatrywała się we mnie badawczo.

– Nie jesteś głodna? – zapytała. Znikła jej wcześniejsza irytacja i zastąpiła ją zwykła troska. – Kolacja już prawie gotowa – dodała.

– Tata wrócił?

– Jeszcze nie. Pewnie spóźni się na kolację.

– Zaraz schodzę na dół.

Mama z wahaniem dała krok w głąb pokoju.

– Ciężki był ten pierwszy dzień, prawda?

Z westchnieniem przymknęłam oczy.

– Nic specjalnego się nie działo, ale wolałabym o tym nie rozmawiać.

Omiotła spojrzeniem pokój, a ja poczułam się winna. Bardzo kochałam mamę, naprawdę. Była taka troskliwa i opiekuńcza. Ale w ciągu ostatniego roku męcząco narzucała mi swoją obecność. W zeszłym miesiącu stało się to dla mnie prawdziwą torturą. W dniu przeprowadzki przez całe szesnaście godzin jazdy nie odezwałam się słowem, choć wybrano samochód wyłącznie dla mojego dobra, gdyż bałam się latać i w ogóle miałam lęk wysokości.

Po przyjeździe Daniel powiedział mi, że podsłuchał, jak mama i tata kłócili się o moją hospitalizację. Mama oczywiście była za. Przecież ktoś musiał stale nade mną czuwać! Nie wyobrażałam sobie jednak, że miałabym uczyć się do egzaminów w celi z miękkimi ścianami. W tamtym czasie utrzymywał się jeszcze efekt mojej dzielnej postawy w czasie pogrzebów, ale zdawałam sobie sprawę, że muszę trzymać swoje szaleństwo na wodzy, aby nie dać mamie żadnego pretekstu. Na razie mi się udawało. Na razie.

Mama nie podtrzymała rozmowy. Cmoknęła mnie w czoło i wróciła do kuchni. Wstałam, wyszłam z pokoju i w skarpetkach podreptałam przez korytarz, uważając, żeby nie poślizgnąć się na lakierowanej podłodze.

W jadalni bracia siedzieli już przy stole, a mama jeszcze działała w kuchni, więc przeszłam do salonu. Rozsiadłam się na kanapie i włączyłam telewizor. Pokazały się wiadomości. Zrobiłam w rogu okienko i zaczęłam przeszukiwać kanały.

– Maro, możesz to wyłączyć? – poprosiła mama.

Trzy fotografie ukazały się za plecami prezenterki prowadzącej dziennik.

Ekipy policyjne i ratownicze z Laurelton odnalazły dziś rano ciała Rachel Weston i Claire Lowe, lecz nadal poszukuje się szczątków siedemnastoletniego Jude'a Lowe'a. Ratownicy podejrzewają, że mogą się one znajdować w ocalałym skrzydle budynku, lecz mury w każdej chwili grożą zawaleniem.

W szoku wpatrywałam się w ekran.

– Co to... – wyszeptalam.

– Słucham? – Mama weszła do salonu i wyjęła mi pilot z ręki.

W tym momencie twarze moich przyjaciół znikły. Zastąpiła je fotografia ciemnowłosej dziewczyny, uśmiechającej się radośnie w rogu ekranu.

Śledczy badają nowe wątki w sprawie zabójstwa piętnastoletniej Jordan Palmer – kontynuowała prowadząca. – Oddział policji z Miami z psami tropiącymi przeszukuje teren wokół posiadłości Palmerów. Na miejscu jest reporter Kanału Siódmego.

Ekran wypełnił filmowany z ręki chwiejny obraz oddziału policjantów w beżowych mundurach, z owczarkami niemieckimi na naprężonych smyczach, przeczesujących morze wysokich traw, ciągnące się za szeregiem nowo zbudowanych domów.

Nasi informatorzy podają, że sekcja zwłok dziecka ujawniła niepokojące szczegóły związane z domniemaną przyczyną jego śmierci, lecz władze nie ogłosiły jeszcze oficjalnego komunikatu.

– Nowe tropy w dochodzeniu, jak już wspomniałem, pojawiły się w wyniku przesłuchania świadków. Będziemy kontynuować działania – powiedział kapitan Ron Roseman z Wydziału Kryminalnego w Miami. – Dla dobra śledztwa nie mogę na razie ujawnić więcej szczegółów.

Prezenterka z uśmiechem przerzuciła się na nowy temat – literackiej inicjatywy w okręgu szkolnym Broward. Mama oddała mi pilot.

– Mogę zmienić kanał? – spytałam, usiłując zachować spokojny ton głosu.

Widok zmarłych przyjaciół na ekranie poraził mnie, ale nie mogłam

nic po sobie pokazać.

– Najlepiej to wyłącz. Kolacja już gotowa – powiedziała.

Sprawiła wrażenie spiętej bardziej niż zwykle. Nie pierwszy raz pomyślałam, że to raczej mama potrzebuje uspokajaczy.

Z uśmiechem przylepionym do twarzy dołączyłam do braci przy stole. W czasie jedzenia zmuszałam się, żeby śmiać się z ich dowcipów, ale w głowie wciąż miałam obrazy Rachel, Jude'a i Claire, które widziałam przed chwilą. Nie, nie widziałam. Były tylko halucynacjami.

– Czy coś się stało, Maro? – zapytała mama, wytrącając mnie z transu.

Wyraz mojej twarzy musiał ją mocno zaniepokoić.

– Nie, skąd – odpowiedziałam pogodnie, pochylając głowę, aż włosy opadły mi na twarz.

Wstałam, wzięłam swój talerz i zaniostałam do zlewu, aby opłukać go przed włożeniem do zmywarki.

Talerz wyslizgnął mi się z mokrej dłoni i huknął w stalowe dno zlewu, roztrzaskując się na kawałki. Kątem oka dostrzegłam, jak mama i Daniel wymieniają spojrzenia. Byłam jak złota rybka w słoju, bez podwodnego zamku, w którym mogłabym się ukryć.

– Wszystko w porządku? – zapytał Daniel.

– Tak. Wysunął mi się z ręki. – Szybko zebrałam kawałki, wrzuciłam je do kosza i wróciłam do siebie, żeby odrobić lekcje.

Idąc przez korytarz, zerknęłam na zdjęcie babci. Odwzajemniła spojrzenie i odprowadziła mnie wzrokiem. Byłam śledzona. Na każdym kroku.

Wrażenie czegoś czającego się i obserwującego mnie skrycie towarzyszyło mi następnego dnia w drodze do szkoły. Kiedy wjechaliśmy na parking, Daniel niespodziewanie powiedział:

– Wiesz, przydałoby się, żebyś złapała trochę słońca.

Rzuciłam mu szybkie spojrzenie.

– Serio?

– Tak tylko powiedziałem, bo jakoś blado wyglądasz.

– Przyjęłam do wiadomości – odparłam sucho. – Lepiej znajdź miejsce, bo się spóźnimy.

Z głośników łagodnie sączyła się muzyka Rachmaninowa, ale nie była w stanie wyciszyć moich rozstrojonych nerwów.

A tym bardziej Daniel.

– Kusi mnie, żeby rozepchnąć się zderzakiem – powiedział.

Choć wyjechaliśmy z domu wcześniej, jazda do szkoły zajęła nam czterdzieści minut, a teraz musieliśmy stać w kolejce luksusowych bryk pchających się przez bramę.

Obserwowaliśmy, jak na drugim końcu parkingu dwa auta celują w to samo miejsce. Czarny mercedes sedan śmignął z piskiem opon przed samym nosem niebieskiego focusa i zajął miejscówkę. Kierowca forda wściekle zatrąbił.

– Wariactwo – mruknął Daniel.

Kiwnęłam głową, obserwując, jak kierowca mercedesa wysiada z wozu wraz z pasażerem. Zanim jeszcze dostrzegłam twarz, rozpoznałam nienagannie wyprostowane długie blond włosy. No jasne, Anna. W następnej sekundzie zidentyfikowałam kwaśną minę jej nieodłącznego towarzysza, Aideny.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy wolne miejsce, Daniel uśmiechnął się na pożegnanie.

– Puść esemesa, gdybyś mnie potrzebowała, dobrze? Oferta lunchu nadal aktualna.

– Dam radę.

Kiedy dotarłam do sali języka angielskiego, drzwi były jeszcze otwarte, ale wszyscy już siedzieli. Zajęłam jedyne wolne miejsce, w drugim rzędzie, ignorując spojrzenia paru uczniów, którzy byli wczoraj

na algebrze. Nauczycielka, pani Leib, pisała coś na tablicy. Kiedy skończyła, odwróciła się z uśmiechem do klasy.

– Witam państwa. Kto mi powie, co znaczy to pojęcie?

Pokazała na tablicę, na której widniało słowo: „hamartia”. Od razu wzrosła moja pewność siebie i poczułam, że ta lekcja wreszcie mi się uda. Punkt dla szkoły w Laurelton i publicznego systemu nauczania. Zerknęłam na klasę. Nikt nie podniósł ręki. No i dobra. Ja podniosłam.

– A, nowa uczennica.

Bardzo, bardzo chciałam zatrzeć swoje wczorajsze wystąpienie.

Uśmiech pani Leib był szczery, kiedy wychyliła się ku mnie zza biurka.

– Jak się nazywasz?

– Mara Dyer.

– Miło mi cię poznać, Maro. Proszę, mów.

– Wina tragiczna! – zawołał ktoś za mną. Rozpoznałam brytyjski akcent.

Zerknęłam przez ramię i zauważyłam widzianego wczoraj chłopaka. Poznałabym go, nawet gdyby nie wyglądał tak samo niedbale jak wtedy, w rozpiętej pod szyją koszuli, z podwiniętymi rękawami i rozluźnionym krawatem. Był tak samo przystojny i tak samo się uśmiechał. Spiorunowałam go wzrokiem spod zmrużonych powiek.

Pani zrobiła to samo.

– Dziękuję, Noah, ale pytałam Marę. Poza tym określenie „wina tragiczna” jeszcze niczego nie wyjaśnia. Czy możesz krótko omówić jego znaczenie, Maro?

Uczyniłam to z chęcią, zwłaszcza teraz, kiedy już wiedziałam, że Luzerski Brytol jest słynnym Noahem Shawem.

– Słowo: hamartia oznacza błąd lub pomyłkę – powiedziałam. – Często tragiczną pomyłkę.

Pani Leib z aprobatą skinęła głową.

– Bardzo dobrze. Ciekawa jestem, czy omawialiście Trzy dramaty w twojej poprzedniej szkole?

– Tak – odpowiedziałam. Pewność siebie aż we mnie kipiała.

– To świetnie, w takim razie wyprzedzasz nasz materiał. My kończymy na razie Króla Edypa. Czy ktoś z was – ale nie Mara! – może powiedzieć mi, na czym polegała wina tragiczna Edypa?

Tylko Noah podniósł rękę.

– Dwa razy na jednej lekcji, panie Shaw? To do pana niepodobne. Cóż, proszę zademonstrować klasie swój błyskotliwy intelekt.

Noah mówił, nie spuszczać ze mnie wzroku. Myliłam się wczoraj – jego oczy nie były szare, tylko niebieskie.

– Jego wina tragiczna polegała na braku samoświadomości.

– Albo nadmiarze dumy – wtrąciłam.

– Proszę, polemika! – Pani Leib klasnęła w ręce. – Uwielbiam to. Cieszyłabym się jeszcze bardziej, gdyby reszta klasy zechciała się uaktywnić. – Odwróciła się do tablicy i pod słowem „hamartia” zapisała odpowiedź moją i Noaha. – Moim zdaniem oba stwierdzenia są poprawne. Błąd Edypa wynikał z jego nieświadomości, kim naprawdę jest. Tym samym Edyp przyczynił się do upadku króla. Zarazem jego duma albo dokładniej – jego pycha doprowadziła do tragicznego końca. Na następny poniedziałek proszę, abyście napisali wypracowanie zawierające błyskotliwą analizę tematu.

W klasie rozległ się zbiorowy jęk.

– Bez uwag proszę. Za tydzień zaczynamy temat antybohaterów.

Pani Leib kontynuowała lekcję; większość z tego, co mówiła, już wiedziałam. Znudzona wyciągnęłam swój zaczytany egzemplarz Lolity, z oślimi uszami, i zasłoniłam go szkicownikiem. Klimatyzacja w pomieszczeniu musiała szwankować, bo robiło się coraz bardziej duszno, a czas nieznośnie się dłużył. Kiedy wreszcie rozległ się dzwonek, byłam spragniona świeżego powietrza. Tak gwałtownie zerwałam się od stolika, że wywróciłam krzesło. Kiedy pochyliłam się, żeby je podnieść, czyjeś ręce już to zrobiły.

Ręce Noaha.

– Dzięki – powiedziałam. Nasze spojrzenia się spotkały.

Patrzył na mnie tym samym wszytkowiedzącym wzrokiem co wczoraj. Opuściłam oczy lekko zmieszana i w pośpiechu zaczęłam się pakować. Ktoś z tłoczących się uczniów potrącił mnie i książka spadła na podłogę. Jakiś cień zakrył okładkę, zanim zdołałam po nią sięgnąć.

– Musisz być artystą albo szaleńcem, istotą o nieskończonej melancholii, aby wypatrzeć od razu małego demona pośród pełnowartościowych dzieci – powiedział. Brytyjski akcent zmiękczał słowa, a jego głos był aksamitny i niski. – Sama pozostaje dla nich nierozpoznawalna i nieświadoma swojej fantastycznej władzy.

Gapiałam się na niego oniemiała, z otwartymi ustami. Powinnam się śmiać, bo sytuacja była w sumie zabawna. Jednak sposób, w jaki to powiedział, w jaki na mnie patrzył, był wręcz intymny. Jak gdyby znał moje sekrety. Jakbym nie miała dla niego żadnych tajemnic. Zanim

zdołałam zdobyć się na odpowiedź, Noah przykucnął i podniósł książkę.

– Lolita – powiedział, obracając ją w rękach. Nim wręczył mi tomik, jego spojrzenie przesunęło się po różowo uszmkowanych ustach dziewczyny z okładki. Nasze palce na moment się dotknęły i przeniknął je ciepły prąd. Serce biło mi tak głośno, że musiał je słyszeć. – No, no – powiedział, znów spoglądając mi w oczy. – Zdaje się, że mamy ukryty pociąg do tatusia, co? – Kąciki jego ust uniosły się w leniwym, protekcjonalnym uśmiechu.

Miałam ochotę zedrzeć mu go z twarzy.

– To ty zacytowałaś, nie ja. Notabene niedokładnie. Więc sam sobie odpowiedz.

Półuśmieszek rozrósł się do całego uśmiechu.

– Och, ja odczuwam jawny pociąg do tatusia.

– I tu mnie masz, co?

– Jeszcze nie

– Wypierdupek – mruknęłam, ruszając przed siebie.

Głupio mi było, że obrażam kogoś dopiero co poznanego, ale trudno. Sam zaczął.

Noah zrównał się ze mną.

– Chyba miałaś na myśli wypierdka? – zapytał z rozbawieniem.

– Nie – powiedziałam, tym razem głośniej. – Właśnie wypierdupka. Dupowatego wypierdka, dupka koronnego, ukoronowanie intelektualnej wypierdkowości – wyrecytowałam, jakbym czytała ze słownika wulgaryzmów.

– I tu mnie masz, co?

Jeszcze nie.

Ostatnie słowa wyświetliły mi się w myśli bez pozwolenia. Ze złością zatrzasnęłam za sobą drzwi do sali matematycznej, odcinając się od tego faceta.

Tym razem usiadłam na końcu, w nadziei, że uniknę spojrzeń takich jak wczoraj, i usiłowałam oddać się lekturze. Nie mogłam się jednak skupić, więc wsunęłam Lolitę pod torbę, po czym wyjęłam notes i długopis. Po krótkim namyśle zmieniłam długopis na inny, a potem na kolejny. Noah zalażł mi za skórę. Niezdrowy objaw.

Wtem do klasy dumnie wkroczyła Anna w asyście swego przydupasa, przerywając tok moich myśli. Parka sunęła przez klasę jak zgrany piekielny duet. Anna złapała moje spojrzenie. Szybko odwróciłam wzrok, ale nie zdołałam pohamować rumieńca. Kątem oka widziałam, że

obserwuje mnie, siadając w trzecim rzędzie.

Doznałam niemałej ulgi, kiedy Jamie zajął miejsce obok mnie. Mój jedyny jak dotąd przyjaciel w Croyden.

– No i jak tam? – zagadnął, szczerząc zęby.

Uśmiechnęłam się.

– Jak dotąd bezkrwawo.

– Na razie – powiedział, puszczając do mnie oko. – A kogo jeszcze poznałaś? Kogoś interesującego? Poza mną oczywiście.

Zniżyłam głos i zaczęłam bazgrolić w notesie.

– Interesującego? Nie. Dupkowatego – owszem.

Dołeczek w jego policzku się pogłębił.

– Niech zgadnę. Pewnego niepozornego przystojniaka o uśmiechu, od którego spadają majtki?

Możliwe.

Jamie kiwnął głową.

– Twój rumieniec mówi mi, że trafiłem.

– Być może – odparłam niedbale.

– A więc poznałaś Shawa. I co powiedział?

Zastanawiałam się, czemu tak go to interesuje.

– To dupek – skwitowałam.

– Jasne, tak powiedziałaś. Ale kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że opinia jest powierzchowna. Przecież ten gość jest uosobie...

– Proszę wyjąć prace domowe i złożyć je na moim biurku – polecił pan Walsh i zajął się zapisywaniem równania na tablicy.

– Dzięki za ogląd i pogląd – szepnęłam do Jamiego, a on znów puścił do mnie oko, podczas gdy Anna usiłowała zabić mnie wzrokiem.

Mój drugi dzień w szkole upłynął pod znakiem nudnej normalności. Lekcje, praca domowa, nabijanie się z głupich nauczycieli, praca domowa, zadania na lekcjach, praca domowa. Kiedy skończyłam, Daniel czekał już na mnie na kampusie. Ucieszyłam się na jego widok.

– No hej – powitał mnie. – Zbierajmy się, zanim zrobi się korek w bramie. I jak, drugi dzień był lepszy niż pierwszy?

Pomyślałam o wczorajszym dniu.

– Mniej więcej. Ale czy musimy mówić o mnie? Jak poszło tobie?

Wzruszył ramionami.

– Jak zwykle. Ludzie są wszędzie tacy sami. Mało wyjątków.

– Mało? Ale jednak jakieś są?

Z westchnieniem przewrócił oczami.

– Nieliczne.

– Och, Daniel, gdzie twój croydeński entuzjazm? Mów!

Daniel rzeczowo przedstawił mi swoją klasę. Kiedy dojechaliśmy do domu, był właśnie w trakcie opowiadania o olśniewającej skrzypaczce, którą poznał na muzyce. W salonie ryczał telewizor, ale rodziców nie było jeszcze w domu.

– Joseph?! – zawołał Daniel.

– Daniel? – odkrzyknął nasz młodszy brat.

– Gdzie mama?

– Pojechała na zakupy. Tata wraca dzisiaj wcześniej.

– Odrobiłeś lekcje? – dopytywał się Daniel, wchodząc do salonu.

Sięgnął po pocztę leżącą na stoliku i zaczął ją przeglądać.

– A ty odrobiłeś? – odszczeknął się Joseph.

– Zaraz się wezmę, ale nie o to chodzi. Nie tracę czasu na... co ty tam oglądasz?

– CNBC.

– Co takiego?

– Podają notowania giełdowe – odpowiedział Joseph bez mrugnięcia okiem.

Wymieniliśmy spojrzenia. Daniel podniósł do oczu grubą kopertę bez znaczka i adresu zwrotnego.

– Skąd to się wzięło?

– Klient taty przyniósł ten list na chwilę przed waszym przyjazdem.

Dziwny grymas przemknął na moment przez twarz Daniela.

– O co chodzi? – spytałam.

– Nic – zbył mnie.

Oddalił się do swojego pokoju, a za nim wyszłam i ja, zostawiając Josepha z wyrzutami sumienia, że ogląda telewizję, zamiast odrabiać lekcje. Za chwilę telewizor zamilkł.

Niedługo potem głośnie pukanie wyrwało mnie z udręki ślęczenia nad hiszpańskim, który uznałam za swój najbardziej znienawidzony przedmiot. Gorszy nawet od matmy.

Tata zajrzał przez drzwi.

– Maro?

– Tata? Hej!

Ojciec wszedł do pokoju. Wyglądał na zmęczonego, ale nawet po całym dniu pracy prezentował się nadal nienagannie. Usiadł obok mnie

na łóżku, a jego jedwabny krawat załśnił w świetle dnia.

– I jak tam w nowej szkole?

– Dlaczego wszyscy pytają mnie o szkołę? – burknęłam. – Jakby nie było innych tematów.

Udał zdziwienie.

– Jakich na przykład?

– Pogoda. Albo sport.

– Nienawidzisz sportu.

– Ale szkoły jeszcze bardziej.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się.

I zaczął mi opowiadać o pracy, a kiedy był w połowie tyrady na temat protokolancki sądowej, która paradowała przed sędzią na „dziwkarskich obcasach”, mama zawołała nas do jadalni. Pośmiałam się z tatą i od razu poprawił mi się humor. Powinnam dzisiaj spokojnie zasnąć.

Tak było, ale długo nie pospałam.

WCZEŚNIEJ

Otworzyłam oczy, kiedy walenie w okno stało się nie do zniesienia. Postać stojąca za nim rozpląszczyła twarz na szybie, zaglądając do środka. Wiedziałam, kto to, i nie byłam zaskoczona. Wsunęłam się głębiej w ciepłą pościel, mając nadzieję, że sobie pójdzie.

Znów zapukał. Nie uda mi się.

– Śpię – mruknęłam spod kołdry.

Zaczął walić w szybę jeszcze głośniejsze, aż zadrżała stara rama. Przestraszyłam się, że rozwali okno albo obudzi domowników. Obie wersje były nie do przyjęcia.

Podeszłam do okna, uchylłam je lekko i wyjrzałam przez szparę.

– Nie ma mnie w domu – szepnęłam głośno.

– Bardzo zabawne. – Jude otworzył okno i zadrżałam, kiedy owionął mnie zimny powiew. – Zamarznę tutaj przez ciebie.

– Na to jest prosty sposób – odparłam, krzyżując ramiona na piersi.

Zmieształ się. Nie widziałam jego oczu pod daszkiem bejsbolówki, ale było jasne, że patrzy na mój nocny negliż.

– O Boże, ty nie jesteś ubrana.

– Jestem ubrana. Ubrana do snu, bo jest druga w nocy.

Uniósł głowę i zobaczyłam jego szeroko otwarte kpiące oczy.

– Zapomniałaś?

– Tak – skłamałam. Wychyliłam się przez okno i popatrzyłam na podjazd. – Oni czekają w samochodzie?

Jude pokręcił głową.

– Już są w psychiatryku. Tu jesteśmy tylko my. Chodź.

Obudziłam się w środku nocy ze zdławionym krzykiem w gardle i lodowatym głazem w piersi, drżąca i złana zimnym potem. Pamiętałam. Pamiętałam. Przyptyw świadomości był niemal bolesny. Jude za moim oknem, czekający, żeby zabrać mnie do Rachel i Claire.

To zapamiętałam z nocy. Wspomnienie nie było przerażające; moją grozę budził raczej fakt, że nadal trwało. Nie było może nawet przerażające, tylko elektryzujące. Z całą pewnością wiedziałam, że mój śpiący umysł nie wymyślił tego i cała sytuacja była realna. Sondowałam swoją podświadomość w poszukiwaniu czegoś więcej, ale niczego nie znalazłam; żadnego tropu wyjaśniającego, dlaczego mielibyśmy tam pojechać.

Adrenalina buzowała mi w żyłach i nie byłam w stanie ponownie zasnąć. Sen – czy też wspomnienie – odtwarzał się wciąż na nowo w pamięci, wytrącając mnie z równowagi. Czemu teraz, tak nagle, bez zapowiedzi? Co powinnam z tym zrobić? Musiałam przypomnieć sobie tamtą noc, kiedy straciłam Rachel. Dla jej dobra. Dla mojego dobra. Mama powiedziałaaby, że mój umysł się broni, wypierając traumatyczne wydarzenia i usiłując zaklasyfikować te odczucia jako „niezdrowe”.

Po drugiej nocy z tym samym snem i z tym samym strachem przyznałam jej w duchu rację. Tego dnia w szkole byłam kłębkim nerwów. Następnego – tak samo.

Powietrze Miami drżało od upału, a ja czułam lodowatą, grudniową aurę Nowej Anglii, ziębiącą mnie do szpiku kości. Kiedy zamykałam oczy, widziałam Jude'a za oknem sypialni i wiedziałam, że Rachel i Claire na mnie czekają. W psychiatryku. W wariatkowie.

Jeśli jednak miałam funkcjonować w szkole, musiałam za wszelką cenę się wyluzować. Dlatego usiłowałam skupić się na ulotnych szczegółach tego piątkowego poranka, takich jak wirujący słup komarów, które omal nie wpadły mi do ust, kiedy zaparkowałam samochód Daniela na kampusie. Powietrze było ciężkie od wilgoci. Zauważałam wszystko, byle nie myśleć o śnie, wspomnieniach, o czymkolwiek, co należało do mojego nocnego repetytorium. Dobrze, że Daniel miał tego dnia wizytę u dentysty, bo nie miałabym ochoty gadać z nim w drodze.

Kiedy zajechałam przed szkołę, parking był jeszcze pusty. Wyjechałam

z domu stanowczo za wcześnie, nawet uwzględniając korki. Na horyzoncie gromadziły się chmury, okrywając niebo jak mroczny koc przeszywany błyskami. Zbliżał się deszcz. Nie mogłam spokojnie usiedzieć. Musiałam coś zrobić, ruszać się, strząsnąć z siebie myśli, które mnie dręczyły.

Wysiadłam z auta i ruszyłam przed siebie, oddalając się od kampusu. Mijałam puste, zaśmiecone place i nędzne domki. Nie wiem, jak długo szłam, kiedy usłyszałam skomlenie.

Przystanąłam i zaczęłam nastuchiwać. Dalszą drogę zagradzała mi siatka zwieńczona drutem kolczastym. Nie było tu trawy, tylko ubite, brudne klepisko z błotnistymi kałużami w miejscach, które jeszcze nie wyschły po ostatnim deszczu. Wszędzie walały się odpady – części urządzeń, strzępy kartonów i inne śmieci. Wśród nich znajdowała się wielka sterta pociętych starych desek i kawałki drewna. W pyłe dostrzec można było gwoździe.

Podeszłam do siatki i wspiąwszy się na palce, próbowałam zajrzeć w głąb posesji. Nic nie zobaczyłam, więc przykucnęłam, żeby spróbować innego punktu widzenia. Mój wzrok padł na kupkę części samochodowych i sunął dalej, w stronę stosu drewna. Krótka, płowa psia sierść początkowo wydawała mi się tylko kolejnym płatem ziemi, widocznym w cieniu pod stertą niedbale ułożonych szczap, grożącą w każdej chwili zawaleniem. Zwierzak był tak chudy, że wystające kości napinały parchatą skórę. Pies, zwinięty w drżący kłębek, usiłował schronić się tam przed okrutnym upałem. Ciemny pysk miał poznaczony bliznami, a krótkie uszy, ciasno przylegające do czaszki, wydawały się poszarpane.

Był naprawdę w fatalnym stanie.

Obejrzałam ogrodzenie, sprawdzając, czy nie ma w nim dziury, przez którą można by wejść, ale było szczelne. Znów przykucnęłam i zawołałam psa najbardziej łagodnym i spokojnym głosem, na jaki było mnie stać. Wypełził spod sterty i zaczął zbliżać się do mnie czujnym, sztywnym krokiem, gotów w każdej chwili do ucieczki. Brązowe ślepie patrzyły na mnie przez oczka siatki. Teraz zobaczyłam, że to suka.

Nigdy w życiu nie widziałam tak żałosnego stworzenia. Nie mogłam go tutaj zostawić, nie w tym stanie.

W tym momencie zobaczyłam obroźę.

Była solidna, szeroka i skórzana; kłódką dopięto do niej łańcuch tak masywny, że trudno było uwierzyć, iż psi szkielet może po-ruszać się z takim ciężarem u szyi. Drugi koniec nie był do niczego przyczepiony

i łańcuch po prostu włókł się po ziemi.

Wystawiłam palce przez oczka siatki i pogładziłam suchy, rozpalony nos suki, oceniając, czy dam radę ściągnąć obrozę przez jej dużą, kościstą głowę. Przez cały czas przemawiając łagodnie do zwierzęcia, wabiłam je bliżej, aby sprawdzić, na ile obroża ma luz. Już prawie mi się udało, kiedy jakiś nosowy, wściekły głos zadudnił nade mną, brutalnie przerywając ciszę.

Uniosłam głowę i zobaczyłam mężczyznę stojącego po mojej stronie ogrodzenia. Był tuż. Za blisko. Niedobrze, że nie usłyszałam, jak się zbliża. Ubrany był w poplamioną koszulkę bez rękawów i podarte dżinsy. Czoło miał wyłysiałe, a rzadkie, tłuste włosy zwisały z tyłu głowy.

– Czy ty aby nie zamierzasz ukraść mojego psa?

– Dzień dobry panu.

– Pytałem, co robisz z moim psem. – Mierzył mnie spojrzeniem nabiegłych krwią, wodnistych, niebieskich oczu.

Stłumiłam chęć zatłuczenia go na śmierć polanem i milczałam, udając, że nie słyszałam pytania. Jako nastoletnia dziewczyna miałam raczej małe szanse w konfrontacji z tym oprychem, który mógł mieć w kieszeni nóż albo pistolet.

Postarałam się o najbardziej niewinny ton głosu naiwnego dziewczątka:

– Właśnie szłam do szkoły, kiedy zobaczyłam pańskiego psa. Ona jest naprawdę słodziutka; co to za rasa? – Miałam nadzieję, że to wystarczy, żeby gość nie pożarł mnie na śniadanie. Wstrzymałam oddech, czekając, co będzie dalej.

– Nigdy w życiu nie widziałaś pitbula? – burknął, spluwając jakimś świństwem na zakurzoną ziemię.

Widziałam, ale nie tak wychudzonego. W ogóle nie widziałam dotąd psa ani żadnego zwierzęcia w takim stanie.

– Nie. To wspaniały pies! Czy nie ma apetytu?

Co za idiotyczne pytanie. Ten brak wyczucia kiedyś mnie zgubi. Może już dzisiaj.

– A co ci do tego?

No jasne. Uciekaj albo walcz.

– Ona głoduje, a łańcuch jest za ciężki. Ma poszarpane uszy i blizny na pysku. Czemu pan o nią nie dba? – pytałam coraz bardziej histerycznym głosem. – Nie zasługuje na takie traktowanie. – Przegrywałam.

Szczęka mężczyzny napięła się, podobnie jak mięśnie jego ciała.

Zbliżył swoją twarz do mojej twarzy. Wstrzymałam oddech, ale nie poruszyłam się.

– Co ty sobie myślisz? – wycedził przez zęby. – Zmiataj stąd. I lepiej się tu więcej nie pokazuj, bo pożałujesz!

Mimo woli wciągnęłam powietrze razem z jego ohydnyim odorem. Spojrzałam w dół na sukę, która odpełzła jak najdalej od swego pana i kulila się przy ziemi. Nie chciałam jej tak zostawić, ale nie miałam pojęcia, jak pokonać piętrzące się przeszkody – drut kolczasty, obrozę zamkniętą na kłódkę i ciężki łańcuch. I oczywiście jej właściciela. Z bólem spuściłam wzrok i zaczęłam się oddalać.

Wtem usłyszałam krzyk.

Odwróciłam się gwałtownie i zobaczyłam psa rozplaszczonego tak, że niemal wtapiał się w ziemię. Właściciel trzymał ciężki łańcuch. Musiał nim przed chwilą szarpnąć.

Ten zdegenerowany bydlak uśmiechnął się do mnie.

Zakipiałam gniewem, a nienawiść dosłownie się ze mnie wylewała. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam takiej nienawiści do drugiego człowieka. Ręce świerzbiły mnie, gotowe do czynu, który chciałam popełnić, a nie mogłam. Zamiast tego odwróciłam się i zaczęłam biec, aby uwolnić się od furii szalejącej w takim zakamarku mojego wnętrza, którego istnienia nawet nie podejrzewałam.

Moje stopy dudniły po asfalcie, marząc, żeby wdeptać uśmiech w tę wstrętną gębę. Zaledwie ta myśl przeszła mi mózg, a zwizualizowałam ją w jednym przeraźliwym błysku. Wgnieciona czaszka bestii; dziura wypełniona krwawą pulpą, ziejąca z boku głowy. Gęsta chmura much rojących się w otwartych ustach. Krew ściekająca na brudny piach obok sterty drewna; ciemniejąca kałuża wokół jego ciała.

Zasłużył na śmierć.

Zlana potem, rozpaczliwie łapiąc oddech, zatrzymałam się na parkingu i spojrzałam na zegarek. Siedem minut do angielskiego. Zabrałam torbę z samochodu i takim sprintem popędziłam do klasy, że zdążyłam równo z dzwonkiem. Uf.

Pani Leib weszła tuż za mną i zamknęła drzwi. Zająłam najbliższe wolne miejsce. Noah już siedział, znudzony, obojętny i jak zwykle niedbale ubrany. Nie wyjął książki ani zeszytu, co nie przeszkodziło mu poprawnie odpowiadać na każde pytanie pani Leib, kiedy wywoływała go do odpowiedzi. Pozer.

Nie mogłam skupić myśli na wykładzie. Musiałam coś zrobić z tą suką. Jakoś jej pomóc. W głowie wykluwał mi się szalony plan, wymagający nożyc do drutu, narciarskiej maski i maczugi, kiedy zadzwonił dzwonek. W pośpiechu ruszyłam do wyjścia, żeby zdążyć na następną lekcję, ale pulsująca masa uczniów skumulowała się w drzwiach, blokując mi drogę.

Kiedy wyrwałam się z pułapki, zobaczyłam, że stoję twarzą w twarz z Anną. Z niesmakiem zmarszczyła nos.

– Nie myłaś się rano?

Pewnie śmierdziałam po porannym sprincie, ale miałam dosyć jej docinków. Zwłaszcza dzisiaj. Otworzyłam usta, gotowa plunąć jadem.

– Zdecydowanie wolę, kiedy ktoś jest niedomyty niż zlany perfumami. A ty, Anno?

Ten głos mógł należeć tylko do Noaha Shawa. Odwróciłam się. Stał za mną z nieprzeniknionym uśmiechem.

Niebieskie oczy Anny zrobiły się okrągłe, a zła mina nagle stała się niewinna. Jak za sprawą magii, tylko czarnej.

– Jeśli masz do wyboru tylko te dwie opcje, Noah, to się zgadzam. Obie mnie nie dotyczą.

– Czyżbym się mylił?

Zdaje się, że nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

– Wszystko jedno – bąknęła i odeszła, rzucając mi na odchodnym spojrzenie ostre jak sztylet.

Cudnie. Poznałam swojego wroga.

Popatrzyłam na Noaha. Rzucił mi beczelny uśmieszek i momentalnie się najeżyłam.

- Nie musiałeś tego robić - powiedziałam. - Sama bym sobie poradziła.

- Wystarczyłoby zwykłe „dziękuję”.

Deszcz zaszemrał na dachu pasażu.

- Spieszę się na lekcję - mruknęłam, przyspieszając kroku.

Noah bez trudu za mną nadązał.

- Co masz teraz? - zagadnął.

- Algebrę II. Spływaj. Śmierdzą. I strasznie mnie wkurzasz.

- Odprowadzę cię.

Kłęska. Przerzuciłam torbę na drugie ramię, zmuszając się do niewygodnego milczenia. Noah pociągnął za pasek, aż gwałtownie się zatrzymałam.

- Ty to narysowałaś? - zapytał, pokazując graffiti na klapie mojej listonoszki.

- Tak.

- Masz talent - pochwalił.

Popatrzyłam mu w twarz. Zero sarkazmu. Czy to możliwe?

- Dzięki - powiedziałam, kompletnie rozbrojona jego szczerym uznaniem.

- Twoja kolej.

- Na co?

- Na komplement dla mnie. - Zignorowałam go. - Możemy iść w milczeniu, Maro, ale możesz też zadać mi parę pytań, zanim dojdziemy do klasy.

Naprawdę był wkurzający.

- Na jakiej podstawie uważasz, że jestem ciebie ciekawa?

- Na żadnej. Przeciwnie, sądzę, że zupełnie cię nie interesuję. I to jest intrygujące.

- Dlaczego?

Moja klasa była na końcu korytarza.

- Bo większość dziewczyn z tej szkoły, kiedy słyszy mój akcent, od razu pyta, skąd pochodzę. I zwykle są zachwycone, kiedy zaszczycam je rozmową. - Co za arogancja. - Notabene akcent jest brytyjski.

- Zauważyłam.

Miałam jeszcze trzy metry do celu.

- Urodziłem się w Londynie. - Półtora metra. Już mu nie odpowiem. - Moi rodzice przenieśli się tu z Anglii dwa lata temu. - Metr. - Nie mam ulubionego koloru, ale wyjątkowo nie cierpię żółtego. Koszmarny kolor. -

Pół metra. – Gram na gitarze, kocham psy i nienawidzę Florydy.

Noah gra nie fair. Wchodząc do klasy, uśmiechnęłam się mimo woli.

Od razu przeszłam na tył i usiadłam w rogu.

Wszedł za mną. A przecież to nie była jego lekcja!

Jakby nigdy nic przysunął sobie krzesło, a ja usiłowałam nie patrzeć na niego, kiedy siadał obok mnie. Zjawił się Jamie i usiadł po drugiej stronie. Rzucił mi przeciągłe spojrzenie i pokręcił głową. Wyjęłam papier w kratkę i przygotowałam się do obliczeń. W praktyce oznaczało to, że bazgroliłam po nim, dopóki nie podszedł pan Walsh, żeby zebrać prace domowe. Zatrzymał się przy Noahu.

– W czym mogę pomóc, panie Shaw?

– Dzisiaj pragnę zaliczyć lekcję u pana. Mam pilną potrzebę dodatkowego algebraicznego szlifu.

– Aha – powiedział oschle nauczyciel. – A ma pan skierowanie?

Noah wstał bez słowa i wyszedł z klasy. Wrócił, kiedy pan Walsh omawiał ostatnie prace domowe, i wręczył mu kartkę. Nauczyciel przyjął ją bez słowa i Noah wrócił na miejsce obok mnie. Co za porządki panują w tej szkole?

Nauczyciel podjął wykład, ale zamiast go słuchać, dalej wściekle mazałam po papierze. Pies. Noah rozpraszał mnie, a ja musiałam jak najszybciej wymyślić sposób na ratunek.

Myśli o nieszczęsnym stworzeniu dręczyły mnie od rana. Nie myślałam o Noahu, choć przyglądał mi się przez całą lekcję skupionym wzrokiem kociaka polującego na kłębek wełny. Czułam jego wzrok, ale nie spojrzałam na niego ani razu i nie widziałam, jak robi rozbawioną minę za każdym razem, kiedy niecierpliwie wierciłam się na krześle.

I nie zauważyłam, że jego smukłe palce co pięć sekund przeczesują zmierzwioną czuprynę.

Ani tego, że pociera brew za każdym razem, kiedy pan Walsh zadaje mi pytanie.

Ani sposobu, w jaki opiera dłoń na szorstkim policzku i...

Patrzy na mnie.

Kiedy wreszcie odezwał się dzwonek, Anna wyglądała, jakby miała mnie zabić wzrokiem, Jamie wybył, zanim zdążyłam powiedzieć słowo, a Noah spokojnie czekał, aż się spakuję. Sam nie miał żadnych rzeczy. Ani notesu, ani podręczników, ani torby. Zadziwiający. Musiał dostrzec zmieszanie na mojej twarzy, bo znów powrócił ten jego zbójcki uśmieszek.

Postanowiłam, że następnym razem ubiorę się na żółto. Najlepiej od stóp do głów, jeśli się uda.

Wyszliśmy z klasy w milczeniu. Moją uwagę zwróciły wahadłowe drzwi widoczne w oddali.

Łazienka. Świetne wyjście!

Kiedy tam doszliśmy, odwróciłam się do Noaha.

– Wstąpię tu na chwilę. Nie ma sensu, żebyś na mnie czekał.

Z hukiem popchnęłam drzwi, kątem oka widząc popłoch na jego twarzy. Trafiony zatopiony.

W środku było parę dziewczyn w nieokreślonym wieku, ale zaraz wyszły, nie zwracając na mnie uwagi. Zadowolona, że wreszcie urwałam się Noahowi, szybko uciszyłam tę część mnie, która pragnęła postuchać, jak gra na gitarze swój ulubiony utwór. Jamie ostrzegął mnie przed wplątaniem się w ten nonsens. Miał rację. Noah bawił się mną i byłabym idiotką, gdybym łudziła się, że jest inaczej.

Ale nie to było ważne. Ważny był pies. W trakcie algebry, kiedy ignorowałam Noaha, postanowiłam zadzwonić do straży dla zwierząt i zgłosić przypadek okrutnego traktowania psa. Wyjęłam komórkę. Na pewno przyślą patrol i przekonają się, że zwierzę jest bliskie śmierci, a wtedy je stamtąd zabiorą.

Zadzwoniłam do informacji, poprosiłam o numer straży dla zwierząt i zapisałam go sobie na dłoni. Po trzech sygnałach odezwał się kobiecy głos.

– Tu dyżurna oficer Diaz ze straży dla zwierząt w Miami, czym mogę służyć?

– Chciałabym zgłosić przypadek zaniedbanego psa.

Z trudem mogłam wysiedzieć na ostatniej lekcji, wiedząc, że muszę biec do psa, żeby sprawdzić, co z nim jest. Kręciłam się na krześle i nie uważałam, co oznaczało, że będę miała więcej roboty z hiszpańskim w domu.

Wraz z ostatnim dzwonkiem popędziłam po schodach na złamanie karku. Deszcz ustał, lecz alejki były śliskie, więc musiałam zwolnić tempo. Byłam w połowie drogi do parkingu, gdy zadzwoniła komórka; numer był nieznanym, więc zignorowałam go i dalej pędziłam do celu. Kiedy wypadłam za róg, zobaczyłam w oddali błyskające światła. Mój żółdek zrobił fikołka. To nie był dobry znak. Może aresztowali tego gościa? Przestałam biec i szłam powoli, przesuwając palcami po chropowatym murze znajdującym się naprzeciwko siatki. Nasłuchiwałam

głosów i metalicznego dźwięku policyjnego radia. Kiedy zbliżyłam się do domu, zobaczyłam policyjny krążownik z błyskającym kogutem na dachu oraz drugi nieoznakowany wóz.

I ambulans. Włoski zjeżyły mi się na karku.

Chytkiem weszłam na posesję. Drzwi domu były otwarte. Ludzie stali przy samochodach i ambulansie, który miał wygaszone światła. Przebiegłam wzrokiem teren, wypatrując psa. Kiedy moje spojrzenie spoczęło na stosie drewna, krew ścięła mi się w żyłach.

Nie było widać jego ust, bo zakrywała je ruchliwa masa much rojąca się nad krwawą pulpą, która była kiedyś bokiem głowy mężczyzny. Piasek pod zmiażdżoną głową był ciemny od krwi, a czerwone plamy znaczyły też dekolt brudnej koszulki.

Właściciel suki był martwy. Wyglądał dokładnie tak, jak sobie to wyobraziłam.

Drzewa, podwórko i migające światła zawirowały wokół mnie, kiedy pojęłam, że delikatna materia mojego zdrowia psychicznego zaczyna się rozchodzić w szwach.

Zaśmiałam się. Aż tak zwariowałam!

A potem zwymiotowałam.

Silne dłonie chwyciły mnie za ramiona. Kątem oka dostrzegłam zbliżających się kobietę w polowym mundurze i mężczyznę w ciemnym uniformie. Ale kto mnie trzymał?

– No, jeszcze tego brakowało. Zabierz ją stąd, Gadsen! – powiedział kobiecy głos. On też brzmiał jak z oddali.

– Zamknij się, Foley. Mogłaś odgradzić teren – odpowiedział męski głos zza moich pleców.

Mężczyzna obrócił mnie ku sobie, kiedy ocierałam usta. On też miał mundur polowy.

– Jak się nazywasz? – zapytał służbowym tonem.

– M-Mara – wykrztusiłam, prawie nie słysząc własnego głosu.

– Przyślijcie kogoś z ratowników! – zawołał. – Ona może być w szoku.

Od razu otrzeźwiałam. Żadnych ratowników. Żadnych szpitali.

– Nic mi nie jest – powiedziałam, modląc się, aby drzewa przestały tańczyć. Wzięłam parę głębokich wdechów, żeby się uspokoić. Czy to się działo naprawdę? – Po prostu pierwszy raz widziałam trupa – wyjaśniłam, zanim uświadomiłam sobie, że to prawda. Nie widziałam Rachel, Claire i Jude'a w trumnach. Pewnie niewiele było do zobaczenia.

– Na wszelki wypadek sprawdzimy – stwierdził mężczyzna. – Jeśli wszystko będzie dobrze, zadam ci kilka pytań. – Dał znak ratownikowi z ambulansu.

Wiedziałam, że z nim nie wygram.

– Dobrze – odpowiedziałam.

Zamknęłam oczy, ale ciągle widziałam krew. I muchy.

Ale gdzie była suka?

Otworzyłam oczy i rozejrzałam się za zwierzęciem. Nigdzie nie było go widać.

Ratownik podszedł do mnie i musiałam się skupić, żeby wyglądać normalnie. Oddychałam powoli i głęboko, kiedy świecił mi w oczy

ołówkową latarką. Nagle usłyszałam, jak kobieta detektyw mówi:

– Do licha, gdzie ta Diaz?

– Mówiła, że zaraz tu będzie. – Głos należał do mężczyzny, który przed chwilą ze mną rozmawiał.

– Może byś tak poszedł i przywiązał tego psa?

– Oj...

– Wolłam go nie dotykać – powiedziała kobieta. – Pchły dosłownie się na nim roją.

– Panie i panowie, oto uroki Miami.

– Wal się, Gadsen.

– Spokojnie. Nie ucieknie, ledwie trzyma się na nogach. Nie w tym problem. To jest pitbul i oni będą chcieli go uspić.

Co?

– Wykluczone, żeby pies mógł to zrobić. Facet się potknął i rozwalił sobie czaszkę o drewniany kloc z tego sagu, to jasne. Nie ma co wzywać techników, bo powiedzą nam to samo.

– Nie twierdzę, że zrobił to pies. Powiedziałem tylko, że według procedur będą musieli go uspić.

– Szkoda.

– Może powinniśmy skrócić mu męki.

Po tym wszystkim, co przeszło owo nieszczęsne stworzenie, będzie musiało być uspiione. Albo zastrzelone.

Z mojej winy.

Znów zrobiło mi się słabo. Ręka mi się trzęsa, kiedy ratownik badał puls.

– Jak się teraz czujesz? – zapytał łagodnym głosem. Miał współczujące spojrzenie.

– Dobrze – skłamałam. – Naprawdę, coraz lepiej. – Miałam nadzieję, że to wystarczy, aby dał mi spokój.

– My już skończyliśmy, detektywie Gadsen. – Mężczyzna i kobieta podeszli do nas, a Gadsen podziękował ratownikowi. Grupa policjantów, umundurowanych i po cywilnemu, rozstała się, kiedy ambulans zawracał, żeby odjechać. Lodowaty strach zmroził mi ślinę w ustach.

– Mara, tak? – upewnił się detektyw Gadsen. Jego asystentka wyjęła notes. Kiwnęłam głową. – A nazwisko?

– Dyer – odpowiedziałam.

Kobieta zapisała. Plamy potu ciemniały pod pachami jej płowego polowego munduru. U mężczyzny tak samo. A mnie, po raz pierwszy

w Miami, nie było gorąco. Miałam dreszcze.

– Jak się tu znalazłaś, Maro? – zapytał Gadsen.

– Um... – Z wysiłkiem przełknęłam ślinę. – To ja dzwoniłam w sprawie psa. – Nie było sensu kłamać. Przecież podałam swoje nazwisko i numer telefonu dyżurnej straży dla zwierząt.

Ani na moment nie spuszczał wzroku z mojej twarzy, ale zauważyłam zmianę w jego spojrzeniu. Czekał, co powiem dalej.

Odchrząknęłam.

– Wpadłam tu po lekcjach, żeby sprawdzić, czy go zabrano.

Skinął głową.

– Do jakiej szkoły chodzisz?

– Croyden.

Funkcjonariuszka to też zapisała. Byłam na nią wściekła.

Gadsen zadał mi jeszcze kilka pytań, a ja ukradkiem rozglądałam się za psem. Ciało musiano zabrać, kiedy byłam badana, bo już go nie było. Trzasnęły zamykane drzwi auta i aż podskoczyłam. Nie zauważyłam, że detektyw przestał mówić. Czekał, co powiem dalej.

– Przepraszam – bąknęłam. Parę kropli deszczu zadudniło po karoserii aut jak kule. Zaraz znowu będzie lato. – Nie usłyszałam, co pan powiedział.

Detektyw wpatrywał się we mnie.

– Powiedziałem, że moja partnerka odprowadzi cię do kampusu. – Kobieta zrobiła minę, jakby chciała odwrócić się i odejść.

– Dziękuję, nie trzeba – zapewniłam z uśmiechem, demonstrując udawany wigor. – To nie jest daleko.

– Byłby spokojniejszy, gdyby...

– Powiedziała, że da sobie radę, Vince. Chodź, dokończymy robotę.

Gadsen popatrzył na mnie łagodnie.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś.

Wzruszyłam ramionami.

– Musiałam coś zrobić.

– Oczywiście. Gdybyś coś jeszcze sobie przypomniała – wręczył mi wizytówkę – zadzwoń do mnie.

– Dobrze. Dziękuję. – Oddaliłam się, ale kiedy skręciłam za róg, przylgnęłam do muru, nasłuchując.

Pojedyncze kroki zaszleściły na żwirze, a po chwili dołączyły do nich drugie. Detektywi rozmawiali przez chwilę, aż odezwał się trzeci głos, który już znałam. Ktoś z ekipy musiał pracować we wnętrzu domu, zanim

tam przyszłam.

– Prawdopodobnie zgon nastąpił siedem godzin temu.

– Czyli około dziewiątej?

Dziewiąta. Parę minut po tym, jak rozstałam się z właścicielem suki. Gardło miałam tak suche, że nie mogłam przełknąć śliny.

– To tylko moje przypuszczenie. Upał i deszcz nie ułatwiają oceny. Wiecie, jak to jest.

– Jasne.

Dalej mówili coś o temperaturze, wilgotności i procesach rozkładu, ale szum krwi dudniącej mi w uszach głużył słowa. Kiedy kroki i głosy oddaliły się, ośmieliłam się zerknąć zza rogu.

Znikli. Może weszli do domu? Nagle zobaczyłam sukę w najdalszym kącie podwórza. Była przywiązana długą linką do starej opony. Leżała skulona; jej sierść zlewała się kolorem z brudnym piaskiem. Deszcz padał teraz gęsto, ale nawet nie drgnęła.

Ruszyłam do niej biegiem, zanim zdążyłam pomyśleć. Mój bawełniany T-shirt szybko przemókł. Klucząc wśród stert samochodowych części i innych gratów, zbliżyłam się do zwierzęcia, po czym, zwolnwszy kroku, podkrađłam się do niego cicho, zadowolona, że deszcz głuży moje kroki. Nikt w domu nie powinien mnie usłyszeć, a tym bardziej zobaczyć. Kiedy doszłam do suki, niebo otworzyło się na dobre, bezlitośnie wylewając potoki wody. Uklęknęłam i odwiązałam sukę od opony. Lekko pociągnęłam za linkę.

– Chodź – szepnęłam do poszarpanego ucha.

Suka nie poruszyła się. Może nie miała już sił. W miejscu, skąd odcięto grubą obrozę, skóra była otarta i zaropiała, więc nie chciałam na siłę ciągnąć za linkę. Z wnętrza domu dały się słyszeć głosy. Czas naglił.

Podłożyłam rękę pod wychudłe ciało suki i podniosłam ją do pozycji stojącej. Była słaba, ale ustała. Znów ponagliłam ją łagodnym szeptem, popychając zad, żeby ruszyła z miejsca. Zrobiła chwiejny krok, lecz nie poszła dalej. Ogarnęła mnie panika.

Wzięłam ją na ręce. Nie ważyła tyle, ile powinna, ale nie była też lekka. Parłam przed siebie wielkimi krokami, byle dalej od posesji. Pot i deszcz zlepiły mi włosy, a woda ściekała po karku. Zanim skręciłam za róg, byłam już porządnie zdyszana. Kolana mi się trzęsły, kiedy opuściłam sukę na ziemię.

Bałam się, że nie dam rady nieść jej przez całą drogę do samochodu Daniela. A co potem z nią zrobię? Dotąd się nad tym nie zastanawiałam,

ale teraz zdałam sobie sprawę, w co naprawdę wdepnęłam. Pies potrzebował weterynarza, a ja nie miałam pieniędzy. Na dodatek moi rodzice nie przepadali za zwierzętami. I do tego ukradłam dowód z miejsca zbrodni.

Miejsce zbrodni. Obraz czaszki rozłupanej jak arbuz i czerwieni nasycającej piasek znów pojawił się w moich myślach. Facet był martwy. Jeszcze rano życzyłam mu śmierci. Takiej, jaką zginął.

Przypadek. To musiał być przypadek.

Suka zaskomlała, przywracając mnie do rzeczywistości. Pochyliłam się i pogłaskałam ją, a potem ostrożnie ruszyłam przed siebie, uważając, żeby linka nie dotykała obolałej szyi zwierzaka.

Popchnęłam sukę do przodu i sięgnęłam do kieszeni po komórkę. Miałam jedną wiadomość głosową. Od mamy, z jej nowego biura. Ale na razie nie mogłam oddzwonić. Najpierw musiałam zawieźć psa do lecznicy. Zadzwoiłam do informacji, żeby uzyskać adres najbliższego weterynarza. Następnie zaczęłam się zastanawiać, jak oznajmię rodzicom, że – niespodzianka! – mamy psa. Liczyłam, że wzruszy ich widok sponiewieranej córki i jej nieszczęsnej towarzyszki. Nie wahałam się zagrać na ich uczuciach.

Deszcz ustał, co mnie ucieszyło, ale nagle pojawił się nowy problem. Kiedy weszłam z suką na parking, zobaczyłam, że ktoś zmierza w moim kierunku tak dobrze już znanym mi krokiem. Charakterystycznym gestem przeczesywał palcami mokrą czuprynę, drugą ręką szukając czegoś w kieszeni koszuli. Usiłowałam schować się za najbliższy samochód, ale w tym momencie suka szcęknęła. Wpadłam.

– Mara – powiedział, podchodząc do mnie.

Lekko skinął głową i cień uśmiechu zmarszczył kąciki jego oczu.

– Noah – odpowiedziałam najbardziej obojętnym głosem, na jaki mogłam się zdobyć.

Szłam dalej.

– Przedstawisz mnie swojej przyjaciółce? – Jego jasne spojrzenie przeniosło się na psa.

Mięśnie szczęki napięły się, kiedy rejestrował szczegóły – wystające kręgi, parchatą sierść i blizny – i ledwo ukrył swoją furję. Po chwili zastąpiło ją uprzejme zainteresowanie.

Usiłowałam stwarzać wrażenie normalności, jakby naturalne dla mnie było paradowanie w ulewie w towarzystwie wycieńczonego psa.

– Wybacz, Noah, ale się spieszę. – A w myśli dodałam: „Nie masz tu

czego szukać, dupku. Zmywaj się”.

– Dokąd jedziesz?

W jego głosie pojawił się nieustępliwy ton, który bardzo mi się nie spodobał.

– O Boże, prześladasz mnie jak zaraza! – warknęłam.

– Kunsztownie wymyślona, koronkowo subtelna i totalnie epicka alegoria dysonansu poznawczego – orzekł. – Cóż, dzięki. To jeden z najbardziej wyszukanych komplementów, jakie usłyszałem.

– Nie odróżniasz dżumy od cholery, Noah.

– Bo dla mnie to jedna cholera.

– Czy możesz porzucić te subtelne rozważania i zejść mi z drogi? Muszę znaleźć weterynarza... – Zerknęłam na sukę. Wpatrzona w Noaha słabo zamachała ogonem, kiedy schyliłam się, żeby ją pogłaskać. – Dla psa, którego znalazłam – dodałam tonem wyjaśnienia.

Noah uniósł brwi i zerknął na zegarek.

– Masz szczęście. Znam weterynarza, który jest sześć minut drogi stąd. Zawahałam się.

– Serio? – Co za zbieg okoliczności.

– Serio. Chodź, zawiozę cię.

Rozważyłam sytuację. Suka pilnie potrzebowała pomocy. Gdyby Noah prowadził, mogłabym spokojnie zająć się nią w drodze. Poza tym przy mojej kiepskiej orientacji mogłabym do rana błądzić po południowym Miami.

Lepiej pojechać z Noahem.

– Dzięki – powiedziałam i skinęłam głową.

Uśmiechnął się i we trójkę ruszyliśmy do jego wozu. Wypasionej toyoty prius.

Noah otworzył bagażnik, wyjął mi linkę z ręki i nie zważając na brudną, zapchlona sierść, delikatnie wziął sukę na ręce i ułożył ją na wykładzinie.

Groza, jeśli obsusia mu to cudo. Musiałam go uprzedzić.

– Znalazłam ją parę minut temu. Jest... bezdomna, nic o niej nie wiem, może nie miała treningu czystości, więc boję się, że zruj...

Noah przyłożył mi palec wskazujący do górnej wargi, a kciuk do dolnej i ścisnął leciutko, uciszając mnie. Poczułam lekki zawrót głowy i wbrew swojej woli zatrzepotałam rzęsami. Idiotyczne. Chyba się zabiję.

– Zamknij się – powiedział spokojnie. – Nie ma sprawy. Jedźmy już, dobrze?

Niedostrzegalnie kiwnęłam głową. Puls dudnił mi w żyłach. Noah otworzył przede mną drzwi. Wsiadłam.

Zapięłam pas, mając wzmożoną świadomość bliskości Noaha. On tymczasem poszperał w kieszeni i wyjął paczkę papierosów, a potem zapalniczkę. Odezwałam się, zanim zdążyłam pomyśleć.

– Ty palisz?

Posłał mi krótki, ironiczny uśmiezek.

– Poczestować cię?

Kiedy w ten sposób unosił brwi, jego czoło marszczyło się nazbyt interesująco.

Coś było ze mną nie tak, totalnie nie tak. Złożyłam to na karb pogarszającego się stanu psychicznego i umknęłam spojrzeniem w bok.

– W żadnym razie. Papierosy są obrzydliwe.

Noah wcisnął paczkę w kieszonkę koszuli.

– Jeśli ci to przeszkadza, nie będę palił – powiedział takim tonem, że od razu się najeżyłam.

– Nie przeszkadza – odparłam. – Jeśli chcesz wyglądać na czterdzieści lat w wieku dwudziestu, cuchnąć jak popielnica i dostać raka płuc, to twoja sprawa. – Słowa same popłynęły mi z ust. Trułam, ale nic nie mogłam na to poradzić.

Noah budził we mnie agresję. Z lekkim poczuciem winy zerknęłam na niego, żeby sprawdzić, czy się obraził.

Oczywiście, że nie. Był rozbawiony.

– Bawi mnie, kiedy zapalam papierosa. Amerykanie patrzą na mnie, jakbym chciał nasikać na ich dzieciaki. Doceniam twoją troskę, ale w życiu nie chorowałam ani jednego dnia.

– Gratuluję.

– Dzięki. A teraz, jeśli pozwolisz, zawieziemy tego zagłodzonego biedaka do weterynarza, dobrze?

Poczucie winy prysło. Fala gorąca oblała mi policzki i spłynęła na szyję.

– Przepraszam, może prowadzenie i rozmowa to dla ciebie komplikacja? Nie ma problemu, mogę się zamknąć.

Noah otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamknął je i pokręcił głową. Wyjechał z parkingu i niezręczna cisza zapadła na całe dziesięć minut.

Kiedy zatrzymaliśmy się przed kliniką, Noah wysiadł i zaczął obchodzić samochód. Z rozmachem otworzyłam drzwi, uprzedzając jego zamiar. Przyjął to na luzie. Zawrócił, otworzył bagażnik i wyjął sukę. Ale zamiast postawić ją na ziemi, ruszył do budynku, niosąc zwierzę w ramionach. Suka wtuliła się w jego pierś. Zdrajczyni.

Kiedy zbliżaliśmy się do wejścia, przystanął i zapytał, jak się wabi.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie mam pojęcia. Mówiłam ci, że znalazłam ją kilkanaście minut temu.

– Jasne – potaknął, przechylając głowę na bok. – Mówiłaś. Ale muszą ją zarejestrować pod jakimś imieniem.

– No to wymyśl dla niej imię. – Nerwowo przestąpiłam z nogi na nogę.

Nie miałam pojęcia, jak zapłacę za wizytę ani co powiem, kiedy tam wejdziemy.

– Hm... – mruknął i z uwagą popatrzył na sukę. – Jak się wabisz?

Stłumiłam zniecierpliwione westchnienie. Chciałam mieć to już za sobą.

Noah namyślał się, kompletnie mnie ignorując. Ułynęły wieki, nim wreszcie się uśmiechnął.

– Mabel. Nazywasz się Mabel – powiedział do suki.

Nawet na niego nie spojrzała; tkwiła rozkosznie w jego ramionach.

– Możemy wejść? – zapytałam.

– Jasne, zmoro. Bądź tak uprzejma i otwórz mi drzwi. Mam zajęte ręce.

W spojrzeniu recepcjonistki momentalnie pojawiło się współczucie, kiedy zobaczyła, w jakim stanie jest pies. Zerwała się z biurka i pobiegła po lekarza. Spłoszyłam się jeszcze bardziej na myśl, co powiem, kiedy wystawią mi rachunek za taką ofiarną akcję. Wesoły głos z drugiego końca poczekalni przerwał moje gorączkowe rozważania.

– Noah! – Drobną kobietą wyłoniła się z jednego z gabinetów. Na jej miłej twarzy malowało się radosne zaskoczenie. – Co tu robisz? – zapytała i rozpromieniła się, kiedy pochylił się i pocałował ją w oba policzki. Dziwne.

– Cześć, mamó – powiedział. – To jest Mabel. – Ruchem brody pokazał na psa wtulonego w jego ramiona. – Mara, moja koleżanka ze szkoły, znalazła ją w pobliżu kampusu.

Ocknęłam się z zaskoczenia i uprzejmie skinęłam głową. Uśmiech Noaha świadczył, że dostrzegł moje zmieszanie i jak zwykle go to

ucieszyło.

– Nie wspominałeś, że twoja mama jest weterynarzem – powiedziałam do niego cicho.

– Bo nie pytałaś.

Fakt, miał rację. Ale jednak.

Kiedy pani doktor ponownie wyłoniła się z gabinetu, podyktowała sekretarce całą listę leków i kurację, jaką zamierzała zastosować, włącznie z pozostawieniem pacjentki na weekend na obserwacji. W duchu podziękowałam niebiosom. To dawało mi czas, żeby się zastanowić, co dalej zrobić z Mabel.

Skończyła i popatrzyła na mnie wyczekująco. Zrozumiałam, że nie da się dalej odwlekać rozmowy o zapłacie.

– Um... pani doktor? – Nienawidziłam swojego głosu. – Bardzo mi przykro, ale... nie mam przy sobie pieniędzy. Mogę oczywiście zaraz iść do banku i...

Doktor Shaw przerwała mi z uśmiechem.

– Nie trzeba, Maro. Dzięki za... zaopiekowanie się nią. Ty ją znalazłaś, tak?

Z wysiłkiem przełknęłam ślinę i zerknęłam na czubki swoich butów, zanim ponownie spojrzałam jej w oczy.

– Tak, znalazłam ją.

Nie wyglądała na przekonaną, ale się uśmiechnęła.

– Dobrze zrobiłaś. Długo by nie pożyła.

Och, gdyby wiedziała! Znów mignął mi przed oczami obraz martwego ciała na skrwawionej ziemi, ale starałam się, żeby nie odbił się na mojej twarzy. Wylewnie podziękowałam mamie Noaha, po czym pożegnaliśmy się i wróciliśmy do samochodu. Noah sadził kroki dwa razy dłuższe niż moje, więc pierwszy dopadł auta i otworzył przede mną drzwi.

– Dzięki – powiedziałam, zerkając na jego zadowoloną z siebie, pełną satysfakcji minę. – Za wszystko.

– Nie ma za co – odparł obrzydliwie triumfującym tonem. Mogłam się tego spodziewać. – A teraz wyjaśnij mi, jak naprawdę znalazłaś tego psa?

Unikałam jego spojrzenia.

– O czym ty mówisz? – Oby tylko nie zauważył, że wzdragam się spojrzeć mu w oczy.

– Kiedy cię spotkałem, prowadziłaś Mabel na lince. Jednak rany na szyi świadczą, że wcześniej miała obrozę. Skąd ją wzięłaś?

Wpadłam i nie byłam w stanie wymyślić sensownego wyjaśnienia,

więc szybko zmieniałam temat. Moje spojrzenie padło na jego ciuchy.

– Dlaczego zawsze wyglądasz tak, jakbyś przed chwilą wstał z łóżka?

– Bo zwykle tak jest.

Sposób, w jaki unióśł brwi, sprawił, że spłonęłam rumieńcem.

– Bardzo trendy – skomentowałam.

Noah odchylił głowę do tyłu i zaczął się śmiać. Od razu spodobał mi się ten radosny rechot, lecz skarciłam się w duchu za taką myśl. Na próżno. Zmarszczki w kącikach oczu chłopaka były zbyt urocze, a jego uśmiech promieniał na całą twarz. Zmieniły się światła i Noah, nadal się uśmiechając, zdjął ręce z kierownicy i sięgnął do kieszeni po papierosa. Prowadził, przytrzymując kierownicę kolanami. Wytrząsnął papierosa z paczki, wyjął małą, srebrną zapalniczkę i podpalił go jednym płynnym ruchem.

Usiłowałam nie dostrzegać sposobu, w jaki jego wargi objęły filtr, ani tego, jak trzymał papierosa pomiędzy palcem środkowym a wskazującym, niemal z namaszczeniem unosząc go do ust.

Te jego cholerne usta. Palenie jest fatalnym nałogiem, ale było mu z tym do twarzy, niestety.

– Nienawidzę krępującego milczenia – powiedział Noah, przerywając tok moich grzesznych myśli. Lekko odchylił głowę i kilka pasm gęstych, falowanych włosów dostało się w złotą smugę słońca wpadającego przez okno. – Od razu robię się nerwowo – dodał.

Po takim komentarzu mogłam tylko przewrócić oczami.

– Nie mogę uwierzyć, że coś cię może zdenerwować. – Nie kłamałam.

Trudno było mi wyobrazić sobie Noaha bez jego firmowego luzu. Może nawet nie luzu, tylko wiecznego znudzenia. Był znudzony i piekielnie pociągający. A ja siedziałam obok niego. Blisko.

Mój puls przyspieszył, ścigając się z myślami. Kroiła się jakaś afera, czułam to.

– Naprawdę tak jest – kontynuował. – Poza tym dostaję szału, kiedy ktoś przygląda mi się w milczeniu.

– Kręcisz – stwierdziłam, przenosząc wzrok na migające za oknem widoki Miami.

– Jak to? – Popatrzył na mnie z miną niewiniątka.

– Nie jesteś nieśmiały.

– Nie?

– Nie. – Rzuciłam mu spojrzenie spod zmrużonych powiek. – A ile razy chcesz udać nieśmiałego, wyglądasz jak palant.

Noah uznał, że czas na obronę.

– Zraniłaś mnie do głębi tą krzywdzącą charakterystyką.

– Tylko się nie popłacz!

Wyszczrzył zęby w kolejnym luzackim uśmiechu, przyspieszając razem z innymi kierowcami.

– Dobra, niech ci będzie. Może „nieśmiały” nie jest odpowiednim określeniem. Ale robię się niespokojny, kiedy wokół mnie jest zbyt wielu ludzi. Tak naprawdę nie lubię być w centrum uwagi. – Popatrzył na mnie uważnie. – To pozostałość po mrocznej i tajemniczej przeszłości – dodał.

Usiłowałam się nie zaśmiać.

– Serio?

Mocniej zaciągnął się papierosem.

– Nie. Po prostu zawsze byłem dziwnym dzieckiem. W wieku dwunastu–trzynastu lat przyjaźniłem się tylko z dziewczynkami. Zasypiałem, czując się jak nieudacznik i marząc, że pewnego dnia dorosnę i będę kimś.

– Kimś?

– Tak. Gościem. Ciachem. I udało się.

– Co się udało?

– Pewnego ranka obudziłem się, poszedłem do szkoły i dziewczyny zaczęły mnie zauważać. Teraz mnie raczej wnerwiają.

To szczere wyznanie osłabiło moją czujność. Usiłowałam nic po sobie nie pokazać.

– Biedny Noah – powiedziałam i westchnęłam współczująco.

Uśmiechnął się, skupiony na drodze przed sobą.

– W końcu nauczyłem się, jak sobie z tym radzić, ale dopiero po przeprowadzce tutaj. Szkoda, że nie wcześniej.

– Nie wątpię, że świetnie sobie radzisz – mruknęłam.

Odwrócił się do mnie i uniósł brwi.

– Tutejsze dziewczyny są nudne.

Od razu powróciła moja arogancja.

– My, Amerykanki, jesteście takie szalone – powiedziałam.

– Nie Amerykanki. Tylko dziewczyny stąd, z Croyden.

Nagle uświadomiłam sobie, że jesteśmy już na parkingu. I stoimy. Jak to się mogło stać?

– W każdym razie większość z nich – podsumował Noah.

– Masz skłonność do kategorycznych sądów.

– Miałem, ale w ostatnim tygodniu zwątpiłem.

Biedak. Z wolna pokręciłam głowę, nie starając się ukryć uśmiešku zadowolenia.

– Ty nie jesteś jak inne dziewczyny.

– Czyżby? – prychnęłam.

Na jakiej podstawie Jamie twierdził, że Noah jest niegłupim gościem?

– Naprawdę – odpowiedział, jakby nie dostrzegł mojego sarkazmu. Albo go zignorował.

Zaciągnął się po raz ostatni, wydmuchał dym przez nos i pstryknął rakotwórczym petem przez okno.

Spojrzałam na niego z naganą.

– Czy wiesz, że zaśmiecasz środowisko?

– Jeżdżę hybrydą. To z nadmiarem równoważy moje ekologiczne wykroczenia.

– Jesteś straszny – powiedziałam bez przekonania.

– Wiem – przytaknął.

Uśmiechnął się i wychylił się tuż przed moim nosem, żeby otworzyć mi drzwi. Jego twarz znalazła się o centymetry od mojej i wyraźnie widziałam złote refleksy światła na wczorajszym zaroście, który był chyba jego znakiem firmowym. Noah pachniał drewnem sandałowym i oceanem, i tylko trochę dymem papierosowym. Zaparło mi dech w piersiach.

Kiedy zadzwoniła komórka, podskoczyłam tak gwałtownie, że walnęłam głową w dach.

– Auć!

Telefon dzwonił, za nic mając sobie mój ból. Dzwonek z utworem Tupaca Dear Mama, który ustawił dla mnie Joseph, identyfikował kontakt.

– Przepraszam, muszę...

– Chwila – powiedział Noah.

Serce tłukło mi się w piersi, nie tylko z zaskoczenia. Wargi chłopaka znajdowały się tuż przy moich, komórka wibrowała mi się w ręku i zrobiło się bardzo niefajnie.

Musiałam przywołać całą siłę woli, żeby wysiąść z auta. Pomachałam z roztargnieniem do Noaha i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Dopiero teraz odebrałam telefon.

– Halo?

– Mara! Co się z tobą działo? – Mama była na skraju hysterii.

Przesiadłam się do auta Daniela, obróciłam kluczyk w stacyjce i spojrzałam na zegar. Było bardzo późno. Niedobrze.

– Już jadę do domu. – Opony zapiszczały, kiedy na wstecznym biegu wystrzeliłam z miejsca, omal nie zahaczywszy czarnego mercedesa zaparkowanego obok.

– Gdzie byłaś?

Zapewne liczyła każdą sekundę ociągania się z odpowiedzią, więc uznałam, że trzeba powiedzieć prawdę.

– Znalazłam koło szkoty głodującą sukę. Była w tak strasznym stanie, że postanowiłam zawieźć ją do weterynarza. – Uf.

Po chwili milczenia mama zapytała:

– Gdzie teraz jest?

Jakiś palant zatrąbił na mnie, kiedy wjeżdżałam na autostradę.

– Co gdzie jest?

– Ten pies, Maro.

– Został u weterynarza.

– Jak zapłaciłaś za wizytę?

– Nie płaciłam. Spotkałam kolegę z klasy i zawiózł mnie do swojej mamy, która jest weterynarzem. Nie chciała pieniędzy.

– Co za szczęśliwy traf – skomentowała.

Ten ton w jej głosie. Niepokojący. Na wszelki wypadek nie odpowiedziałam.

– Dobrze, opowiesz mi resztę, kiedy wrócisz do domu – zakończyła niespodziewanie.

Nie zachwyciła mnie ta perspektywa, ale cisnęłam gaz, ile mogłam, ryzykując, że zgarną mnie gliny. Zmieniałam pasy, wyprzedzając jak szalona i wciskając się w każdą przerwę pomiędzy autami. Nie zwracałam uwagi na wściekłe trąbienie. Miami mnie wkurzało.

Wkrótce zajechałam przed dom. Wkradłam się do środka jak złodziej,

w nadziei, że zdołam niezauważona przemknąć do swojego pokoju, ale mama już czekała przycupnięta na poręczu kanapy w salonie. Żadnego z braci nie było widać ani słychać. Do diabła z nimi.

– Porozmawiajmy – powiedziała z nienaturalnie spokojną miną.

Przygotowałam się na egzekucję.

– Musisz odbierać moje telefony, Maro. Bez względu na okoliczności.

– Nie wiedziałam, że to ty dzwoniłaś. Nie rozpoznałam numeru.

– To mój numer służbowy. Kiedy się przeprowadziliśmy, prosiłam, żebyś go sobie zapisała. Poza tym zostawiłam ci wiadomość na poczcie głosowej.

– Nie miałam czasu jej odsłuchać. Przepraszam.

Mama pochyliła się ku mnie i badawczo wpatrzyła się w moją twarz.

– Naprawdę chodziło o psa?

Śmiało spojrzałam jej w oczy.

– Tak.

– Zatem, jeśli jutro zadzwonię do tej lecznicy, potwierdzą, że przywiozłaś go tam?

– Nie ufasz mi?

Nie odpowiedziała. Siedziała z pytająco uniesionymi brwiami, czekając, aż coś powiem.

Zacisnęłam zęby i wydusiłam z siebie:

– Pani weterynarz nazywa się Shaw, a jej lecznica jest niedaleko szkoły. Nie pamiętam adresu.

Jej mina się nie zmieniła. Miałam tego dosyć.

– Idę do pokoju – powiedziałam, odwracając się na pięcie.

Nie zatrzymywała mnie.

Trzasnęłam drzwiami odrobinę za gwałtownie. Teraz, w zaciszu własnego pokoju, nie mogłam dłużej odwlekać pomyślenia o wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło. O Noahu. I Mabel. O jej właścicielu. O jego śmierci.

Wszystko się zmieniło. Oblał mnie zimny pot, choć wiedziałam, że nie ma powodu do strachu. To niemożliwe. Absolutnie niemożliwe. O dziewiątej rano, kiedy ten drań zginął, byłam na lekcji. Musiał zginąć wcześniej. Koroner albo ktokolwiek go badał, mylił się. Zresztą mówił, że to tylko przypuszczenia.

Właśnie. Wyobraziłam sobie, jak rozmawiam ze śledczymi. Próbowaliby coś ze mnie wydusić, ale nie dałabym się. Facet już wcześniej nie żył. Cała sprawa była tylko kolejną halucynacją – co nie

powinno dziwić, zważywszy na moje zaburzenia.

A jednak dzisiaj... dzisiaj było inaczej. Pojęłam, że moje szaleństwo jest większe, niż myślałam. Mama jako psycholog zajmowała się lekko zaburzonymi pacjentami. Ja miałam ciężkie urojenia. Byłam nienormalna. Psychotyczna.

Kiedy wieczorem siedziałam z rodziną przy kolacji, czułam się dziwnie. Byłam zaskakująco spokojna, jakbym patrzyła na wszystko z dystansu. Udało mi się nawet być uprzejmą dla mamy. W pewien pokrętny sposób przekonanie o własnym szaleństwie okazało się dla mnie wsparciem. Ten facet nie żył, kiedy go rano spotkałam. Nie, zaraz – ja w ogóle go nie spotkałam!

Wyimaginowałam sobie całą tę rozmowę, żeby zyskać poczucie panowania nad sytuacją, z którą nie potrafiłam sobie poradzić. Taka była teoria mamy i wyjątkowo byłam skłonna przyznać jej rację. Mówiła, że kiedy wyszłam ze szpitala, dręczyłam się, że nie potrafię przywrócić Rachel do życia. Przyznała nawet, że myślała o lekach czy terapii, które pozwoliłyby mi się z tym uporać. Przeprowadzka na Florydę miała mi pomóc. Teraz marzyłam, żeby wrócić do domu, ale to przecież było niemożliwe, czułam się bezsilna. Zagłodzony, opuszczony, samotny pies stał się kolejną sprawą, z którą nie potrafiłam sobie poradzić.

No właśnie. Tak czy owak, byłam zaburzona. Tylko dlaczego miałam poczucie, że chodzi tu o coś jeszcze? Że coś mi umknęło? Coś bardzo ważnego?

Śmiech mamy przywrócił mnie do rzeczywistości. Kiedy się śmiała, tak pięknie promieniowała jej twarz i było mi głupio, że muszę ją oszukiwać. Nie miałam zamiaru opowiadać o dzisiejszej przygodzie. Gdybym tylko o niej napomknęła, matka momentalnie zamieniłaby się w Oko Saurona. Natychmiast zarządziłaby terapię i psychotropy. Żadne wyjście nie było dobre i stało się dla mnie jasne, że jeśli cokolwiek jeszcze się zdarzy, będę musiała poradzić sobie sama.

Tak myślałam, dopóki nie zasnęłam.

Wjechaliśmy na długi podjazd prowadzący do zardzewiałej, żelaznej bramy. Grube, bezlistne konary drzew szarpanych wiatrem kołysały się nad samochodem. Blask naszych reflektorów był jedynym światłem w okolicy. Miałam dreszcze, choć w kabinie było ciepło.

Jude otoczył mnie ramieniem i ściszył muzykę Death Cab dudniącą z głośników. Wyjrzałam przez okno. Reflektory wyluskały z mroku samochód znajdujący się przed nami. Od razu poznałam auto Claire. Kiedy zobaczyła, że się zbliżamy, zgasiła silnik. Sięgnęłam do klamki, ale Jude przytrzymał mnie za przegub.

Zacisnęłam zęby. Byłam na skraju wytrzymałości i nie chciałam się z nim kłócić.

Wyszarpnęłam rękę z jego uścisku.

– One na nas czekają.

Nie pozwalał mi wyjść.

– Na pewno jesteś na to gotowa? – Jego ton był sceptyczny.

– Jak cholera – skłamałam, maskując się uśmiechem.

– Jeśli chcesz, możemy zawrócić.

Trzeba przyznać, że propozycja była kusząca. Normalnie ciepłe łóżko kusiłoby mnie bardziej niż nocna wyprawa w lodową noc.

Ale dzisiaj było inaczej. Rachel od roku błagała mnie, żebym to zrobiła. A teraz, kiedy u jej boku pojawiła się Claire, nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby stracić najlepszą przyjaciółkę.

Dlatego, zamiast ochoczo przystać na propozycję Jude'a, przecząco pokręciłam głową.

– Powiedziałam, że wchodzę, to wejdę.

– Możemy tu poczekać. – Jude przyciągnął mnie do siebie, ale szybko się odsunęłam.

– Chcesz wrócić? – zapytałam, choć wiedziałam, co odpowie.

Odsunął się ode mnie poirytowany.

– Ja już tam byłem. To tylko stare gmaszysko. Nic ciekawego.

Wsiadł, a ja za nim. Pewnie będzie na mnie obrażony, ale jakoś to przeżyję. Chodziliśmy z sobą dopiero od dwóch miesięcy i przez pierwszy

miesiąc nawet go lubiłam. Kto by zresztą nie lubił? Jude był kwintesencją amerykańskiego chłopaka. Miał szerokie bary, ciemnoblonde włosy i zielone oczy takie same jak Claire. I był słodki, słodki jak syrop. Przez pierwszy miesiąc.

A później? Już nie tak bardzo.

Drzwi samochodu Claire od strony pasażera otworzyły się. Rachel wysiadła i rzuciła się ku mnie; jej długie, ciemne włosy falowały przy każdym kroku.

– Mara! Jak się cieszę, że jesteś! Claire była pewna, że stchórzysz w ostatniej chwili. – Uściskała mnie.

Zerknęłam na Claire stojącą przy aucie. Odpowiedziała mi spojrzeniem spod zmrużonych powiek. Wyglądała nieprzyjaźnie i była wyraźnie zawiedziona. Pewnie myślała, że się nie pojawię.

Wyzywająco uniosłam podbródek.

– Miałabym stracić szansę na nocną wizytę w tym słynnym psychiatryku? W życiu! – Objęłam Rachel ramieniem i uśmiechnęłam się do niej, a potem wymownie spojrzałam na swoją rywalkę.

– Co tak długo jechaliście? – zapytała Claire.

Jude wzruszył ramionami.

– Mara zasnęła.

Claire uśmiechnęła się chłodno.

– Normalka.

Otworzyłam usta, żeby jej odszczeknąć, ale Rachel wzięła mnie za rękę, która zdążyła już zamarznąć jak sople.

– Dobra, ważne, że wreszcie jest. Będzie zabawa, obiecuję – powiedziała.

Uniosłam głowę i popatrzyłam na imponujący gmach w gotyckim stylu. Zabawa. Och, jasne.

Jude chuchnął w dłonie i włożył rękawiczki. Spięłam się w oczekiwaniu na tę noc przygód. Dam radę. Przecież sama chciałam. Claire szydziła ze mnie, że dostałam świra po ostatnich urodzinach Rachel. Miałam już dosyć docinków na temat incydentu z tabliczką ouija. Dzisiaj jej pokażę!

Wpatrywałam się w budynek i czułam, jak lodowate palce strachu ściskają mi wnętrzności. Rachel wyjęła z kieszeni aparat, włączyła go, a potem wzięła mnie za rękę. Jude wziął mnie za drugą. Ich bliskość nie zmniejszyła mojego lęku przed tym, co zamierzaliśmy zrobić. Postanowiłam jednak twardo, że nie stchórzę w obecności Claire.

Claire wyciągnęła z plecaka kamerę i zaczęła iść w stronę budynku. Rachel podążyła za nią, nie puszcżając mojej ręki. Doszliśmy do zrujnowanego ogrodzenia z napisami WSTĘP WZBRONIONY, przyczepionymi do zmurszałych słupków. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zerkać co chwila na posępne mury majzące przed nami jak w wizji Poe'go. Architektura gmachu, w którym mieścił się kiedyś Oddział Psychiatryczny Zamknięty Szpitala Tamerlane, była wspaniała i zarazem przerażająca. Wrażenie gotyckiego horroru pogłębiał pnący się bluszcz, oblepiając frontowe schody i potężne ceglane ściany. Kamienne obramowania okien były pokruszone i wyszczerbione.

Plan był taki, że mieliśmy spędzić noc w opuszczonym budynku i wrócić do domów o świcie. Rachel i Claire zamierzały go dokładnie przeszukać i znaleźć oddział dziecięcy, a w nim sale, gdzie stosowano elektrowstrząsy. Rachel, która zaczytywała się w horrorach, twierdziła, że w takich miejscach zwykle występują zjawiska nadprzyrodzone, i razem z Claire zamierzała uwiecznić nasze przygody dla potomności. Fajnie.

Jude przysunął się bliżej mnie i byłam mu za to wdzięczna, bo Rachel i Claire szły teraz przodem, badając ogrodzenie. Wkrótce znalazły miejsce, które nadawało się do sforsowania.

Kiedy przyszła moja kolej, Jude podsadził mnie, ale zawahałam się, kiedy chwyciłam zmurszałe sztachety. Po paru słowach zachęty wspiełam się i przelożyłam nogę przez szczytową belkę. Ciężko wylądowałam na stercie zgniłych liści po drugiej stronie.

Okazało się, że najłatwiej jest się dostać do budynku przez piwnice.

Pamiętałam, że Rachel chciała wyprawić się do tego szpitala. Ale do czasu historii z Mabel nie mogłam sobie przypomnieć, dlaczego ja się na to zgodziłam.

W sobotę postanowiłam śnić świadomie i wyśnić dalszy ciąg, aby przypomnieć sobie więcej – i zobaczyć, jak Rachel umiera. Trzęsąc się, wpełzłam pod okrycia, chcąc i zarazem nie chcąc tej wizji. Zasnęłam, ale powtórzył się ten sam sen co poprzednio. W niedzielę również nie pojawiło się nic nowego.

A jednak był to dobry znak, bo wracała mi pamięć. Powoli, ale jednak. Bez pomocy psychologa czy psychotropów. Mój umysł najwidoczniej sobie radził.

Byłam niemalże zadowolona, że przez cały weekend muszę się martwić o Mabel i myśleć o niej, ale nie mogłam się zdobyć na to, żeby znaleźć numer Noaha. Postanowiłam, że zapytam go o nią w poniedziałek na angielskim. Niestety, nie zjawił się w szkole.

Nie uważałam na lekcji, kiedy pani Leib zbierała prace domowe, a potem tłumaczyła różnice pomiędzy bohaterami tragicznymi i antybohaterami. Moje myśli podążały za ołówkiem przesuwającym się leniwie po kartce szkicownika. Raz po raz spoglądałam na drzwi w nadziei, że pokaże się w nich Noah. Tak doczekałam dzwonka. Noah się nie pojawił.

Zanim spakowałam się i wyszłam na przerwę, przyjrzałam się jeszcze raz swojemu szkicowi.

Grafitowe oczy Noaha zerkały na mnie z kartki; w kącikach oczu miał mimiczne zmarszczki. Muskał kciukiem dolną wargę, a reszta dłoni, nie dbale zwinięta w pięść, częściowo przestaniała cudownie uśmiechające się usta. Kiedy się śmiał, sprawiał wrażenie niemal nieśmiałego. Jasna plama czoła była gładka i bez-troska.

Poczułam ucisk w żołądku. Cofnęłam się na poprzednią stronę i ze zgrozą zobaczyłam, że idealnie uchwyciłam niesamowity profil Noaha, od wysokich kości policzkowych do lekkiego garbka na wydatnym nosie. A na jeszcze wcześniejszej stronie patrzył mi w oczy, nieobecny i nieujarzmiony.

Bałam się patrzeć dalej. Naprawdę potrzebowałam pomocy.

Wcisnęłam notes do torby i chyłkiem zerknęłam przez ramię, mając nadzieję, że nikt mnie nie widział. Byłam w pół drogi na lekcję algebry, kiedy poczułam, że ktoś lekko trąca mnie w plecy. Kiedy się odwróciłam, nikogo za mną nie było. Pokręciłam głową. Nagle poczułam się dziwnie, jakbym dostała się do cudzego snu.

Kiedy weszłam do klasy pana Walsha, powitały mnie śmiechy. Paru chłopaków gwizdnęło, kiedy szłam na swoje miejsce. Czy dlatego, że wreszcie musiałam włożyć szkolny mundur? Dziwne. Coś się działo i nie miałam pojęcia, o co chodzi. Ręce zaczęły mi tak drżeć, że zacisnęłam je w pięści, kiedy siadałam przy stoliku, obok Jamiego. Gdy odchyliłam się na oparcie krzesła, usłyszałam z tyłu odgłos zgniatanego papieru. Miałam coś przyczepione do pleców.

A więc ktoś mnie dotknął. Przynajmniej wyjaśniło się, że nie miałam halucynacji. Sięgnęłam i oderwałam kartkę, na której wielkimi literami nagryzmołono słowo „dziwka”. Ciche śmiechki zmieniły się w jeden głośny ryk. Jamie popatrzył na mnie zmieszany. Wściekła zmięłam kartkę w garści. Anna odrzuciła głowę do tyłu i śmiała się triumfalnie.

Nie myśląc, co robię, wyprostowałam pięść, ukazując wszystkim papierową kulkę leżącą na dłoni.

A potem cisnęłam Annie papier w twarz.

– Tylko na taką inwencję cię stać? – wycedziłam zjadliwie.

Opalone policzki Anny najpierw oblały krwisty rumieniec, a potem na jej czole zaczęła pulsować żyła. Otworzyła usta, żeby obrzucić mnie obelgami, lecz przerwało jej wejście pana Walsha. Punkt dla mnie.

Kiedy zabrzmiał dzwonek, Jamie wyszczerzył zęby w uśmiechu i poklepał mnie po ramieniu.

– Dobra robota, Maro.

– Dzięki.

Wychodzący Aiden tak popchnął Jamiego, że ten boleśnie uderzył barkiem we framugę.

– Szkoda, że już idziesz, bo tak fajnie śmierdziało! – warknął.

Jamie popatrzył za nim, rozcierając bark.

– Gdybym mógł, zabiłbym go wzrokiem – mruknął, kiedy mięśniak się oddalił. – Dobra, mniejsza o tego gnoja. Powiedz lepiej, jak ci minął pierwszy tydzień?

Och, nie było nic specjalnego. Widziałam trupa. Zwariowałam. Same drobiazgi.

– Nie najgorzej – odpowiedziałam.

- Zupełnie inaczej niż w starej budzie, co?

Wyobraźnia podsunęła mi obraz sztywnego ciała Rachel.

- Aż tak to widać?

- Masz szkołę publiczną wypisaną na czole.

- Ups. Dzięki.

- Ależ to jest komplement. Odkąd pamiętam, siedzę z klasie z takimi snobami. Żaden powód do dumy, wierz mi.

- Mówisz o prywatnych szkołach czy tylko o Croyden? - spytałam, kiedy szliśmy w stronę szafek.

- Sądząc po tym, co słyszałem od znajomych z innych szkół, w Croyden jest najwięcej nadętych wypierdków. Weź taką Annę. Ma IQ niewiele wyższe od debila i hańbi naszą Algebrę II swoją głupotą.

Wolałam nie dodawać, że zapewne mam takie same problemy z pracami domowymi jak ona.

- Sumy, jakie rodzice ofiarują na szkołę, są wprost proporcjonalne do zbrodniczo niskiego poziomu ich pupilków - stwierdził Jamie, kiedy zmienialiśmy podręczniki. Jakiś cień zasłonił mi popołudniowe słońce. Uniostałam głowę.

To był Noah. Miał jak zwykle rozchełstaną koszulę i niedbale podwinięte rękawy. Dzisiaj włożył cienki jak sznurek krawat z dzianiny, który zwisał mu z karku jak pętla. Zauważyłam, że nosi na szyi czarny rzemień. Do licha, mógłby choć raz wyglądać mniej atrakcyjnie! Pod oczami miał cienie, ale to tylko dodawało mu uroku. Włosy Noaha były w permanentnym nieładzie; dłonią pocierał niedogolony podbródek. Kiedy pochwycił moje spojrzenie, zaczerwieniłam się. Odpowiedział mi uśmiechem i oddalił się bez słowa.

- Tak to się zaczyna - skomentował z westchnieniem Jamie.

- Zamknij się. - Odwróciłam się do niego plecami, aby nie widział, że zaczerwieniłam się jeszcze bardziej.

- Gdyby nie był takim kogutem, nawet bym przyklasnął - powiedział Jamie. - Tak między wami iskrzy, że stwarzacie zagrożenie pożarowe.

- Mylisz ostrą animozję z ostrym afektem - odpaliłam.

Jednak wydarzenia ostatniego tygodnia, a zwłaszcza podejście Noaha do Mabel, sprawiły, że nie byłam już tak pewna swoich ostrych sądów.

Jamie smutno pokręcił głową.

- To tylko kwestia czasu.

Rzuciłam mu mordercze spojrzenie.

- Żeby co?

– Żebyś stała się jego kolejną zdobyczą.

– Dzięki, że tak wysoko mnie oceniasz.

– To nie twoja wina, Maro. Dziewczyny nie są w stanie oprzeć się Shawowi. A twój przypadek jest zupełnie beznadziejny.

– Mój przypadek?

– Noah wyraźnie na ciebie leci – odpowiedział głosem ociekającym sarkazmem. Zamknął szafkę, a ja odwróciłam się i ruszyłam przed siebie. Jamie deptał mi po piętach. – I nie odpuści – dodał.

Zerknęłam na niego z ukosa.

– Co ty do niego masz?

– Czy poza wszystkim innym nie zwrócił twojej uwagi fakt, że odkąd on za tobą chodzi, dostałaś się na celownik Anny Greenly?

– I co jeszcze?

Zamilkł na moment, jakby rozważał, jakich słów użyć. Żwir chrzęścił pod naszymi nogami, kiedy szliśmy w stronę piknikowych stołów.

– Noah nie ma zwyczaju chodzić z dziewczyną. On ciebie użyje, dosłownie i w przenośni. Każda to wie, a zwłaszcza jego zdobycze, ale udają one, że nic się nie stało, dopóki Noah nie napali się na następną. Kiedy zostają porzucone, nie mogą znieść tej hańby. Anna jest tego najlepszym przykładem, ale nie ona jedna. Słyszałem o dziewczynie z Walden, która próbowała po-pełnić samobójstwo po tym, jak... no wiesz. Kiedy Noah dostanie, czego chce, jest po zabawie i więcej nie dzwoni.

– Jeśli to prawda, Anna zareagowała całkiem spokojnie – zauważyłam.

– Możliwe. W każdym razie nie chciałbym, żeby coś takiego zdarzyło się tobie – powiedział Jamie.

Uniosłam brwi.

– Masz wystarczająco wiele innych problemów – dodał i uśmiechnął się szeroko.

Odwzajemniłam uśmiech.

– Nie przypuszczałam, że tak się o mnie troszczysz.

– W każdym razie pamiętaj, że cię ostrzegałem. Może ci się to przyda. Zarzuciłam torbę na ramię.

– Dzięki, Jamie. Nie jestem zainteresowana, ale dobrze wiedzieć.

Pokręcił głową.

– Oj, oj. Kiedy będziesz cierpieć ze złamanym sercem i zabijać się muzyką, wspomnij moje słowa – powiedział i odszedł, zostawiając mnie przed salą historyczną. Jego słowa brzmiały rozsądnie, ale teraz

ważniejsza była dla mnie następna lekcja.

Na przerwie obiadowej znów postanowiłam zmierzyć się z automatem. Kiedy szukałam w torbie drobnych, usłyszałam zbliżające się kroki. Dziwne, ale nie potrzebowałam się odwracać, żeby zobaczyć, kto to.

Noah sięgnął ponad moim ramieniem i wrzucił dolara do szczeliny. Odsunęłam się.

– Co mam ci kupić? – zapytał.

– A co chcesz?

Popatrzył na mnie, przechyliwszy głowę, i w kąciku jego ust pojawił się uśmiech.

– To skomplikowana kwestia.

– W takim razie może herbatniki zwierzątko?

Zdziwił się z lekka, ale wcisnął E4 i automat postuchał. Noah wręczył mi paczuszkę. Chciałam mu ją oddać, ale schował ręce za plecy.

– Zatrzymaj to dla siebie – powiedział.

– Dzięki, sama sobie kupię.

– Jak chcesz.

– Zaskakujesz mnie – stwierdziłam. – A przy okazji, jak się miewa Mabel? Miałam zapytać o nią dziś rano, ale nie było cię na lekcji.

Jego wzrok nic nie wyrażał.

– Miałam coś do załatwienia. Mabel walczy. Na razie bez wielkich zmian. Ten, kto ją tak traktował, zasłużył na powolną, bolesną śmierć.

Na moment zrobiło mi się niedobrze. Przełknęłam z wysiłkiem, żeby móc odpowiedzieć.

– Jeszcze raz podziękuj ode mnie mamie, że tak troskliwie się nią zajęła – powiedziałam, usiłując odsunąć od siebie myśli o tym, co powiedział mi Jamie. Usiadłam przy piknikowym stole i otworzyłam herbatniki. Może po prostu miałam mdłości z głodu. – Mabel jest wspaniała – dodałam, odgryzając głowę słoniowi. – Daj mi znać, kiedy będę mogła ją odwiedzić.

– Dobrze.

Noah przysiadł się do mnie. Odchylił się na oparcie ławki i wpatrzył się w dal. W milczeniu chrupałam kolejne zwierzątko.

– Zjedz ze mną kolację w weekend – powiedział nagle, bardziej tonem stwierdzenia niż pytania.

Omam się nie zadławiłam.

– Randka?

Noah już miał odpowiedzieć, kiedy grupa dziewcząt ze starszych klas

wysypała się z budynku. Gdy go dostrzegły, natychmiast zwolniły kroku i sugestywnie kołysząc biodrami, minęły nas z chóralnym „Cześć, Noah!”. Zdawał się ich nie dostrzegać, ale mojej czujnej uwadze nie uszedł cień uśmiešku, który zaigrał na jego wargach.

Tego mi było trzeba, żebym wreszcie otrzeźwiała.

– Dzięki za zaproszenie, ale niestety, muszę odmówić.

– Masz inne plany? – Jego ton sugerował, że czekał na taką wymówkę.

– Owszem, mam randkę z zaległościami – wyjaśniłam. – Tak to jest, kiedy człowiek zmienia szkoły. – Nie chciałam ciągnąć tego tematu. Zwłaszcza przy nim. – Zbliżają się egzaminy i nie mogę sobie pozwolić, żeby je oblać.

– Mogę ci pomóc w nauce – zaproponował.

Popatrzyłam na niego. Firanka ciemnych rzęs ocieniających szaroniebieskie oczy jeszcze pogarszała sytuację. Nie mówiąc już o zbójckim uśmiešku. Odwróciłam wzrok.

– Wolę uczyć się sama.

– Nie sądzę, aby to była prawda.

– Za słabo mnie znasz, żeby wygłaszać takie sądy.

– Więc trzeba to zmienić – rzucił obojętnym tonem.

Ciągle patrzył w przestrzeń. Parę niesfornych kosmyków opadło mu na oczy. Był po prostu niesamowity.

– Shaw, posłuchaj...

– Znów ten nazwiskowy nonsens?

– To z nerwów. Zaproś kogoś innego.

– Nie chcę zapraszać kogoś innego. I ty też tego nie chcesz.

– Mylisz się. – Zerwałam się od stołu i szybko ruszyłam przed siebie.

Jeśli nie będę na niego patrzyła, jakoś sobie poradzę.

Noah zrównał się ze mną w dwóch długich krokach.

– Nie proszę cię o rękę. Zapraszam tylko na kolację. A może nie chcesz skalać swojego wizerunku, o który tak starannie dbasz w nowym miejscu?

– Jakiego wizerunku? – spytałam chłodno.

– Gniewna, wycofana, introwertyczna emoindywidualistka, która przygląda się wszystkiemu z boku, rysując liście zwiewane z nagich gałęzi i... – Głos Noaha zamarł, ale uśmiech pełen cynicznego rozbawienia dalej trwał na jego ustach.

– Och, jakie to miłe. Mów dalej!

Rwałałam przed siebie, aż pojawiła się toaleta dla dziewczyn. Pchnęłam

drzwi, licząc, że w ten sposób odetnę się od Noaha i zdołam się jakoś pozbiierać.

Ale on wszedł za mną.

Dwie młodsze dziewczyny stały przed lustrem, malując wargi błyszcznikiem.

– Spadajcie – powiedział Noah znudzonym głosem, jakby były intruzami w babskiej łazience. Dziewczyny spojrzały na niego i zmyły się w jednym momencie. Gdybym nie była w szoku, ubawiłaby mnie ta scena.

Noah przeniósł spojrzenie na mnie i w jego oczach mignął ukryty błysk.

– Jaki masz problem? – zapytał niskim głosem.

Odważyłam się na niego spojrzeć. Znikła znudzona obojętność, ale nie dostrzegłam, żeby był na mnie zły. Ani nawet poirytowany. Może raczej... zaintrygowany. Ta spokojna mina była jeszcze trudniejsza do zniesienia.

– Nie mam żadnego problemu – powiedziałam z przekonaniem. Zbliżyłam się o krok i popatrzyłam na niego zmrużonymi oczami. – Jestem totalnie bezproblemowa.

Jego wysoka postać, której smukłość podkreślały wąskie dżinsy i wyrzucona na nie koszula, ostro kontrastowała z brzydotą żółtych kafelków. Mój oddech przyspieszył.

– Nie jestem w twoim typie – wydusiłam z siebie.

Noah przysunął się bliżej. Uśmiech dewianta zaigrał na jego ustach. Drań.

– Nie mam swojego typu – poinformował.

– Tym gorzej dla ciebie! – warknęłam i słowo daję, próbowałam być wredna. – Ludzie mają rację, jesteś totalnie bezkrytyczny.

– To oszczerstwo. – Mówił prawie szeptem.

Przysunął się jeszcze bliżej – tak blisko, że czułam ciepło jego piersi. Popatrzył na mnie miękko, niemal czule spod zmierzwionej czupryny. Nagle stał się taki szczery i otwarty, aż sama nie wiedziałam, czy chcę, czy nie chcę; w każdym razie musiałam coś odpowiedzieć.

– Wątpię. – Tyle tylko mi się udało.

Twarz Noaha znajdowała się o centymetry od mojej. Zapragnęłam pocałować go, choćbym potem miała tego żałować.

W tym momencie się o to nie martwiłam.

– Słyszałam, że przysłała mi w mejlu swoje zdjęcie... Och... Cześć, Noah.

Ktoś przerwał w pół zdania i słysząc w nim było zaskoczone rozbawienie.

Noah przymknął oczy. Odsunął się ode mnie i odwrócił do intruzek. Zamrugałam, usiłując wrócić do rzeczywistości.

– Przepraszam szanowne panie – powiedział do oniemiałych dziewczyn.

Z godnością skinął im głową i wyszedł.

Dziewczyny z chichotem zaczęły poprawiać makijaż, rzucając mi ukradkowe spojrzenia. Stałam jak wryta, gapiąc się na drzwi. Kiedy rozległ się dzwonek, przypominałam sobie o umiejętności chodzenia.

Następny raz rozmawiałam z Noahem dopiero w środę wieczorem.

Resztę dnia spędziłam w stanie łagodnego odlotu spowodowanego niedostatkiem snu, generalnym poczuciem niemocy i wkurzeniem na to, co zaszło pomiędzy mną a Noahem. W poniedziałek przeszedł koło mnie obojętnie, jakby nic się nie wydarzyło. Jamie ostrzegał mnie przed tym. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że mnie to nie zabolowało.

Nie miałam pojęcia, co mu powiem, kiedy się spotkamy – o ile jeszcze będzie chciał ze mną rozmawiać. Nie pokazał się na angielskim. Pilnie notowałam, co mówi pani Leib, a po lekcji wyszłam na kampus, mimo woli rozglądając się za Noahem.

Na algebrze usiłowałam się skupić na wielomianach i krzywych, lecz stało się dla mnie boleśnie jasne, że o ile daję sobie radę z biologią, historią czy angielskim, matma to dla mnie czarna magia. Pan Walsh dwa razy wywoływał mnie do tablicy i dwa razy odpowiadałam kompromitująco źle. Każda moja praca domowa wracała gniewnie upstrzona czerwonymi poprawkami, z fatalną oceną u dołu. Za parę tygodni miały być egzaminy, a ja niczego nie kumałam.

Na przerwie moje ponure myśli rozproszyła dziwna, przypadkiem podstuchana rozmowa.

– Słyszałam, że zabił ją, a potem zjadł. Prawdziwy kanibalizm – powiedziała dziewczyna, która stała za mną, akcentując ostatnie słowo pyknięciem balonowej gumy.

Odwróciłam się.

– Idiotka z ciebie, Jennifer – odpowiedział jej chłopak o imieniu Kent.

– Pożarły ją aligatory, a nie pedofil.

Zanim zdążyłam podstuchać więcej, Jamie położył notatnik na biurku.

– Cześć, Mara.

– Słyszałeś? – spytałam, kiedy Jennifer i Kent wyszli z klasy.

Jamie nie od razu skojarzył, ale za moment jego mina spo-ważniała.

– Och, Jordana.

– Co? – Imię nie było mi obce, ale nie mogłam sobie przypomnieć dlaczego.

– O niej rozmawiali, o Jordanie Palmer. Drugoklasistce z Dade. Znam kogoś, kto zna kogoś, kto ją znał. Smutna historia.

Elementy łamigłówki wskoczyły na miejsce.

– Zdaje się, że mówiono o tym w wiadomościach – powiedziałam spokojnie. – Co się z nią stało?

– Nie znam całej historii. Chyba miała przyjść do koleżanki, ale się nie pojawiła. Po paru dniach znaleźli jej ciało i na pewno została zamordowana, tylko nie wiem, w jaki sposób. Jej stary jest gliną i pewnie dlatego starają się wyciszyć sprawę. Hej, dobrze się czujesz?

Poczułam smak krwi. Pewnie z wrażenia przygryzłam sobie wargę. Oblizalam ją szybko językiem.

– Nie – przyznałam i ruszyłam do wyjścia.

Jamie wyszedł za mną.

– Nie przeszkadzam ci?

Nie przeszkadzał. Ale kiedy napotkałam jego wzrok, pojęłam, że nie mam wyboru. Ciężar tych wszystkich dziwnych wydarzeń – sny o szpitalu, Rachel, Noah – przytłaczał mnie i domagał się ujścia, próbując na siłę wydostać mi się z gardła.

– Zanim się tu przeprowadziliśmy, miałam wypadek. Moja najlepsza przyjaciółka zginęła. – Praktycznie wyrzygałam z siebie te słowa.

Przymknęłam oczy i zaczęłam oddychać głęboko, przerażona własnym przewrażliwieniem. Co się ze mną działo?

– Tak mi przykro – powiedział Jamie, spuszczać wzrok.

Niepotrzebnie to zrobiłam.

– Wszystko w porządku. Nic mi nie jest. Sama nie wiem, dlaczego to powiedziałam.

Jamie z zakłopotaniem przestąpił z nogi na nogę.

– Kiedy chcesz się pouczyć algebry?

Co za niespodziewany przeskok. W sumie zabawny. Kompletnie nie nadawałam się na partnerkę Jamiego do nauki; potrafił bezbłędnie odpowiedzieć na każde pytanie, którym usiłował go przygwoździć pan Walsh.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że moje zdolności matematyczne są jeszcze bardziej ułomne niż towarzyskie?

– Nie wierzę. – Pokręcił głową.

– Dzięki. Mówiąc serio, masz chyba ciekawsze rzeczy do roboty w życiu niż tracenie czasu na beznadziejny przypadek?

– Nauczyłem się mowy węży. Czy może być większe wyzwanie?

– Owszem, język elfów.

– Masz łeb, kobieto. Podoba mi się to. Spotkajmy się na obiadowej przy stołach. Przynieś z sobą swój mózg i coś do roboty dla niego – powiedział, odchodząc. – A przy okazji, masz otwartą klapę – dodał.

– Słucham?

Jamie z uśmiechem pokazał na moją torbę i zniknął w drzwiach pracowni. Rzeczywiście. Zamknęłam torbę.

Kiedy przybyłam na umówione miejsce, z ćwiczeniami z matmy pod pachą, Jamie już czekał, cały w uśmiechach, gotów na spotkanie z moim debilizmem. Zwawo wziął się do wyjaśniania. Na początku mój umysł dryfował, kiedy zobaczyłam liczby na papierze. Musiałam użyć całej siły woli, żeby skupić się na tym, co mówi Jamie, kiedy spokojnie tłumaczył mi równania. Po paru minutach, zupełnie jakby ktoś przestawił mi przełącznik w mózgu, liczby zaczęły mieć sens. Rozpracowywaliśmy jeden problem po drugim, aż przerobiliśmy całą moją tygodniową pracę domową. Głupie trzydzieści minut zajęło nam to, nad czym biedziłabym się sama przez co najmniej dwie godziny, a jeszcze dostałabym za to nędzne F. Teraz moja praca domowa była idealna.

Gwizdnęłam cicho.

– Cholera, dobry jesteś.

– Sama to zrobiłaś, Maro.

Pokręciłam głową, ale Jamie przytaknął z uporem.

– Dobra – uległam wreszcie. – Tak czy owak, wielkie dzięki.

Skłonił się teatralnie i przeszliśmy do hiszpańskiego. Pogadaliśmy sobie na proste tematy, starannie omijając słownictwo związane z trupami i zabójstwami. Kiedy przyszliśmy na lekcję, pani Morales podeszła do tablicy i wypisała całą serię bezokoliczników do odmiany. Jak można było się spodziewać, wywołała mnie pierwszą.

Odpowiedziałam błędnie. Cisnęła we mnie kredą i mój dobry nastrój trwający od obiadowej przerwy rozprysnął się na tysiące kawałków.

Kiedy Jamie zaproponował mi pomoc w hiszpańskim, zgodziłam się bez wahania.

Po lekcjach z ulgą odłożyłam podręczniki do szafki. Postanowiłam miło spędzić czas nad szkicownikiem, nie rysując Noaha ani w ogóle nikogo. Ale notesu nie było. Przesunęłam książki na bok i przeszukałam stertę papierów, która nagromadziła się tam przez tydzień. Potem przeszukałam torbę, z tym samym rezultatem. Rzuciłam ją na ziemię, żeby zastanowić się spokojnie, gdzie mogłam zostawić szkicownik. Torba osunęła się wzdłuż szafek, zdzierając po drodze parę przyklejonych do nich różowych ulotek. Zagłębiłam ręce w szafce i coraz gwałtowniejszymi ruchami zaczęłam wyrzucać na podłogę całą jej zawartość, aż ukazało się kompletnie puste wnętrze.

Mój szkicownik zniknął.

Łzy napłynęły mi do oczu, ale przy szafkach zaczęli kręcić się ludzie i nie chciałam publicznie się rozplakać. Niezgrabnie upchnęłam książki w szafce i odkleiłam ulotkę, która przyłgnęła do podręcznika algebry. Zapowiadała imprezę kostiumową w klubie w South Beach, która miała się odbyć nazajutrz z okazji Dnia Nauczyciela, pod patronatem jakiejś szczyty z zarządu Croyden. To mi wystarczyło. Nie przeczytawszy reszty tekstu, cisnęłam ulotkę na ziemię. Nie moje klimaty.

W ogóle tu nie były moje klimaty. Ani Floryda, ani moskity, ani hordy opalonych blondynek, ani Croyden z jego sklonowanymi uczniami. Jamie stał się moim przyjacielem, ale brakowało mi Rachel. Ona odeszła.

Pieprzyć to. Zerwałam ulotkę z innej szafki i wcisnęłam ją do torby. Chciałam jednak pójść na imprezę. Pospieszyłam do bramy na spotkanie z Danielem. Wyglądał dziwnie szykownie w szkolnym mundurku i rozpromienił się, kiedy mnie zobaczył – ale w następnej sekundzie jego twarz przybrała wyraz braterskiej troski.

– Wyglądasz dzisiaj wyjątkowo ponuro – powiedział.

Wsiadłam do samochodu. Ruszyliśmy.

– Zgubiłam swój szkicownik.

– Och – zmartwił się. – Było tam coś ważnego?

Nic, nie licząc kilkunastu starannych portretów najbardziej wkurzająco atrakcyjnego faceta w szkole. Doprawdy, drobiazg.

Zmieniłam temat.

– Wyjaśnij mi, dlaczego miałeś taką zadowoloną minę, zanim

popsułam ci nastrój?

– Wyglądałem na szczęśliwego? Nie odniosłem takiego wrażenia – odpowiedział.

Grał na zwłokę. I przyspieszał. Zerknęłam na licznik. Przekroczył osiemdziesiątkę, a nie wjechaliśmy jeszcze na autostradę. Daniel żyjący na krawędzi to bardzo podejrzane.

– Wyglądałeś na szczęśliwego – potwierdziłam. – Mów!

– Idę dzisiaj na imprezę.

Zbaraniałam. To już na pewno nie były klimaty Daniela.

– Z kim?

Zaczerwienił się i wzruszył ramionami. Rany! Czyżby mój brat... się zakochał?

– Mów, kto to! – zażądałam.

– Skrzypaczka. Sophie.

Gapiałam się na niego z otwartymi ustami.

– To nie randka – zapewnił skwapliwie. – Po prostu spotkamy się tam.

Skręciliśmy na autostradę, a w mojej głowie zaczęła wykluwać się myśl, która po chwili przybrała konkretną postać.

– Weźmiesz mnie z sobą? – zapytałam. Teraz on zbaraniał. – Obiecuję, że nie będę ci przeszkadzała w miłosnych podchodach.

– Przecież wiesz, że nie powiem „nie”, ale...

– Och, daj spokój. Po prostu muszę się rozerwać.

– W porządku. Ale powiedz, kogo chcesz tam spotkać?

Hm. Tego nie planowałam. Chciałam po prostu potańczyć, poszaleć, zapomnieć i...

– A to co, do licha? – szepnął Daniel, kiedy skręciliśmy w naszą ulicę.

Gromada reporterów i wozów telewizyjnych tłoczyła się na naszym podejździe. Popatrzyliśmy na siebie z Danielem i zrozumiałam, że brat myśli to samo.

Coś było nie tak.

Tłum reporterów rozstąpił się przed samochodem Daniela. Zerkali nam w okna, kiedy przejeżdżaliśmy obok nich. Kamerzyści pakowali swój sprzęt; anteny satelitarne na dachach wozów transmisyjnych były już złożone. Cokolwiek tu się działo, zrobili już swoje.

Gdy Daniel zaparkował, wysiadłam i pobiegłam do drzwi, mijając po drodze auta mamy i taty. Samochód mojego taty? Rzadko zjawiał się tu tak wcześnie.

Wpadłam do domu z Danielem deptającym mi po piętach, spodziewając się najgorszego. W moje uszy uderzyła typowa dla gry wideo muzyka i odgłos serii z pistoletu maszynowego. Zobaczyłam w salonie naszego młodszego brata siedzącego po turecku na dywanie. Przymknęłam oczy i przez chwilę oddychałam przez nos, usiłując spowolnić dzikie bicie serca.

Daniel ochłonął pierwszy.

– Co tu się, do cholery, dzieje?

Joseph zerknął na niego przez ramię, zły, że mu się przerywa.

– Tata dostał jakąś wielką sprawę.

– Możesz to wyłączyć?

– Chwila, nie chcę zginąć. – Awatar Josepha zmienił wąsatego draba w kałużę gęstej mazi.

Nasi rodzice wychynęli bezgłośnie z kuchni.

– Wyłącz to, Joseph – nakazała mama zmęczonym głosem.

Brat z westchnieniem spauzował grę.

– Co się stało? – zapytał Daniel.

– Sprawa, w której bronie, niedługo wejdzie na wokandę – odpowiedział tata – i zostałem dzisiaj wyznaczony na głównego obrońcę oskarżonego.

Cień zrozumienia przemknął przez twarz Daniela, ale ja nadal nie wiedziałam, o co chodzi.

– Jesteśmy tu dopiero od niedawna – powiedziałam. – Jakoś dziwnie szybko ci poszło, nie?

Rodzice wymienili spojrzenia. Wyraźnie coś się za tym kryło.

– Co jest? Powiedźcie wreszcie, o co chodzi!

– Przejąłem tę sprawę od mojego przyjaciela – powiedział ojciec.

- Dlaczego?

- On zrezygnował.

- Aha.

- Zanim jeszcze się tu przenieśliśmy.

Milczałam chwilę, przetrawiając to, co przed chwilą usłyszałam.

- Więc miałeś tę sprawę jeszcze przed Florydą.

- Tak.

Nie powinno mnie to interesować, a jednak...

Przełknęłam ślinę i zadałam pytanie, na które odpowiedź już znałam.

- Co to za sprawa?

- Morderstwo Palmer.

Potałam dłonią czoło. Normalka. Ojciec już wcześniej bronił w sprawach zabójstw. Walczyłam z mdłościami. Mama podeszła do kredensu i zaczęła wyjmować zastawę do kolacji, a ja nagle, zupełnie bez powodu, nie wiadomo dlaczego, wyobraziłam sobie ludzkie szczątki na talerzach.

Potrząsnęłam głową, odganiając koszmarną wizję.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś? – spytałam ojca.

Zerknęłam na Daniela, zastanawiając się, czemu jest taki spokojny.

Tata umknął spojrzeniem w bok. Aha. Więc tylko mnie nie raczyli powiedzieć.

- Nie chcieliśmy cię martwić. Po tym, co... – przerwał. – Ale sprawa się rozkręca, więc i tak prędzej czy później byś się dowiedziała. Pamiętasz mojego przyjaciela Nathana Golda?

Skinęłam głową.

- Kiedy powiedziałem mu o naszym wyjeździe, zapytał, czy zechciałbym przejąć jego sprawę. Zgodziłem się i wygląda na to, że w najbliższym czasie będę musiał zaliczyć jeszcze wiele takich prasówek jak ta. Nie mam pojęcia, skąd zdobyli nasz adres. Teraz żałuję, że nie kazałem Glorii wydać oficjalnego komunikatu, zanim dojdzie do przecieku.

Miło, że raczył mnie wreszcie poinformować, ale wkurzyłam się, że obchodzą się ze mną jak z jajkiem. A właściwie nie „oni”, tylko matka, która samozwańczo ogłosiła się moją dyżurną terapeutką i blokowała niewygodne informacje.

Odwróciłam się do niej.

- Mogłaś mi powiedzieć – rzuciłam z pretensją. Schowała się za otwartymi drzwiami lodówki, ale mówiłam dalej: – Owszem, straciłam

przyjaciół, a sprawa zamordowanej dziewczynki jest straszna, ale to nie ma nic wspólnego z Rachel i jej śmiercią. Nie musisz za wszelką cenę chronić mnie przed wszystkim, co złe. Nie rozumiem, dlaczego traktujesz mnie jak dwulatkę.

– Joseph, idź odrobić lekcje – powiedziała mama.

Joseph właśnie wymknął się do salonu i sięgał po konsolę, kiedy usłyszał swoje imię.

– Ale jutro nie ma szkoły.

– Więc idź do pokoju.

– Co takiego zrobiłem? – jęknął.

– Nic, ale chcę przez chwilę porozmawiać z twoją siostrą.

– Mamo – wtrącił Daniel.

– Nie teraz, synu.

– Wiesz co, mamo? Pogadaj sobie z Danielem – zaproponowałam. – Ja nie mam nic więcej do powiedzenia.

Mama zamilkła. Była piękna jak zwykle, ale wyglądała na zmęczoną. Promienie zachodzącego słońca otaczały aurą jej ciemne włosy.

Daniel spróbował jeszcze raz.

– Jutro jest impreza i...

– Możesz iść – odpowiedziała automatycznie.

– Dzięki. Pomyślałem, że Mara mogłaby pójść ze mną.

Mama odwróciła się ode mnie, skupiając uwagę na Danielu. Zerknął na mnie zza jej pleców i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Tyle mogę dla ciebie zrobić”.

Zawahała się, po czym powiedziała:

– To wieczorna impreza. – Oczywiście martwiła się o późny powrót tylko wtedy, kiedy chodziło o mnie.

– Jutro nie ma szkoły – przypomniał Daniel.

– Gdzie to się odbędzie?

– W klubie w South Beach.

– Będziesz tam przez cały czas?

– Tak. Nie zostawię jej samej.

Zerknęła na ojca.

– Marcus?

– Ja się zgadzam.

Matka popatrzyła na mnie uważnie. Nie ufała mi za grosz, ale miała absolutne zaufanie do swojego najstarszego dziecka.

– Dobrze – powiedziała wreszcie. – Ale o jedenastej macie być

w domu. Ani minuty później.

Musiłam przyznać, że był to efektowny pokaz wpływów Daniela. Byłam zła na mamę, ale perspektywa wyjścia z domu i znalezienia się w innym miejscu niż szkoła poprawiła mi nastrój. Może będę się dzisiaj dobrze bawiła.

Poszłam wziąć prysznic. Gorąca woda sływała po moich chudych łopatkach. Opartam się plecami o ścianę, pozwalając, żeby woda opływała moje ciało. Musiałam pomyśleć o stroju; nie chciałam być znów jedyną osobą ubraną nie tak jak trzeba.

Wytarłam się, włożyłam T-shirt i dresowe spodnie, po czym rozczesałam splątane, mokre włosy. Nie było szansy, żebym znalazła coś fajnego w swojej garderobie. Ale w garderobie mamy...

Przeważnie nosiła garniturki albo spódnice i do tego koszulowe bluzki. Profesjonalna do szpiku kości, absolutnie amerykańska. Ale wiedziałam, że ma kilka sari, upchniętych gdzieś na dnie szaf w jej monstrualnej garderobie, pełnej grzecznych, stonowanych strojów.

Podreptałam na paluszkach do sypialni rodziców i cicho otworzyłam drzwi. Nadal byli w kuchni. Weszłam do garderoby i zaczęłam szperać w ciuchach matki, szukając czegoś odpowiedniego.

– Mara?

Ups. Odwróciłam się gwałtownie. Stres odbijał się wyraźnie na twarzy mamy; skóra na wydatnych kościach policzkowych była napięta.

– Szukałam czegoś na imprezę – wyjaśniłam. – Przepraszam.

– W porządku, Maro. Żałuję, że nie mogliśmy...

Wolno wciągnęłam powietrze.

– Czy możemy porozmawiać później? Daniel mówi, że będą korki, a ja muszę wymyślić jakieś przebranie.

Zmarszczyła czoło. Wiedziała, że chce coś powiedzieć, ale miałam nadzieję, że sobie odpuści, choć ten jeden raz. Byłam zaskoczona, kiedy zobaczyłam, jak konspiracyjny uśmiezek powoli odmienia jej twarz.

– To bal przebierańców? – upewniła się.

Kiwnęłam głową.

– W takim razie chyba mam coś dla ciebie – oznajmiła. Wyminęła mnie i znikła w czeluściach garderoby. Po paru minutach wyłoniła się stamtąd z pokrowcem na ubranie, który trzymała w objęciach jak małe dziecko, z parą dyndających na palcach pantofli na niebezpiecznie wysokich obcasach. – To powinno pasować.

Podejrzliwie zerknęłam na pokrowiec.

– To chyba nie suknia ślubna, co?

– Nie. – Z uśmiechem mi go wręczyła. – Sukienka. Należała kiedyś do mojej mamy. Wystarczy, że umalujesz usta czerwoną szminką i upniesz wysoko włosy, a będziesz wyglądała jak modelka z pokazu vintage.

Uśmiechnęłam się szeroko tak jak mama.

– Dzięki – powiedziałam.

I naprawdę byłam wdzięczna.

– Mogę mieć do ciebie jedną prośbę?

Uniosłam brwi w oczekiwaniu na rodzicielskie upomnienie.

– Trzymaj się Daniela, dobrze?

W głosie mamy zabrzmiało napięcie i nagle poczułam się winna. Znowu. Kiwnęłam głową, jeszcze raz jej podziękowałam i wróciłam do swojego pokoju, żeby przymierzyć sukienkę. Kiedy rozsuwałam pokrowiec, sztywny plastik torby zaszeleścił. W środku zamigotał szmaragdowozielony jedwab. Wyjęłam sukienkę i zaparło mi dech. Miałam nadzieję, że będzie pasować.

Poszłam do łazienki, żeby się umalować, licząc na to, że nie wykluję sobie oka maskarą, ale kiedy spojrzałam w lustro, zobaczyłam za sobą Claire.

Mrugnęła do mnie.

– Dobrze wam, idziecie się bawić.

Wybiegłam z łazienki i usiadłam na łóżku. Czułam suchość w ustach i trzęsy mi się ręce. Chciałam krzyknąć, ale zacisnęłam powieki i zmusiłam się do powolnego oddychania.

Claire nie żyła. Nie było jej w mojej łazience i nie miałam się czego bać. Umysł płatał mi figle. Zaraz jadę na imprezę i powinnam się przebrać. Kropka.

Więc po kolei. Najpierw makijaż. Wstałam, żeby podejść do lustra, ale zatrzymałam się w pół drogi. Nie, nikogo nie było. To tylko moje PTSD. Ale po co ryzykować?

Poszłam do sypialni rodziców.

– Mamo? – zapytałam, zaglądając przez drzwi.

Siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i pisała na laptopie. Uniosta głowę.

– Umalujesz mnie? – poprosiłam.

Uśmiech mamy nie mógł być bardziej entuzjastyczny. Zaprowadziła mnie do swojej łazienki i posadziła przed toaletką. Na wszelki wypadek nie patrzyłam w lustro.

Czułam, jak mama maluje mi powieki, ale kiedy sięgnęła po szminkę, powstrzymałam ją.

– Zostaw. Nie chcę wyglądać jak klaun.

Skinęła głową z udawaną powagą i zabrała się do mojej fryzury. Upięta mi z tyłu głowy kok tak ciasno, że bolała mnie skóra na skroniach. Kiedy skończyła, kazała mi się przejrzeć.

Uśmiechnęłam się do niej, co było zupełnym przeciwieństwem moich wewnętrznych odczuć.

– Ufam ci – powiedziałam.

Wstałam, cmoknęłam ją w policzek i ruszyłam do wyjścia.

– Zaczekaj! – zawołała za mną.

Zatrzymałam się, a mama otworzyła szkatułkę z biżuterią. Wyjęła z niej kolczyki z szafirów otoczonych wianuszkami drobnych diamentów.

– O Boże – powiedziałam z zachwytem. Były niesamowite. – Mamo, ja nie mogę...

– Tylko ci je pożyczam – przerwała mi z uśmiechem. – Stój spokojnie. Założyła mi kolczyki i odsunęła mnie na odległość ramion.

– Proszę. Pięknie wyglądasz.

– Dzięki, mamo.

– Nie ma za co. Tylko ich nie zgub, dobrze? To pamiątka po babci.

Kiwnęłam głową i wróciłam do pokoju. Przyszła pora na sukienkę. Wyjęłam ją z torby i zaczęłam ostrożnie wciągać na siebie, bojąc się, że rozedrę materiał. O dziwo, pasowała jak ulał. Odstaniała jednak niebezpiecznie dużo z przodu i z tyłu. Nie byłam przyzwyczajona do takiego eksponowania swojego ciała.

Ale było już za późno na zmianę stroju. Zerknęłam na zegarek i zobaczyłam, że mam tylko pięć minut do wyjazdu. Daniel, spragniony widoku swojej skrzypaczki, pewnie już się niecierpliwił. Włożyłam pantofle od mamy. Były odrobinę za ciasne, lecz zagryzłam zęby i stąpając głównie na palcach, ostrożnie ruszyłam na dół.

– O rany, DANIEL! Musisz zobaczyć Marę! – wydarł się Joseph.

Czerwona ze złości odepchnęłam go na bok i stanęłam przy drzwiach frontowych. Kusilo mnie, żeby od razu iść do samochodu i poczekać tam na Daniela, ale on jak zwykle miał kluczyki przy sobie.

Mój starszy brat wychynął z holu, w garniturze, z gładko przylizanymi włosami. Za nim pojawiła się mama. Zatrzymali się i zaczęli mnie podziwiać. Stanowczo zbyt długo. Stałam, udając znudzoną, żeby ukryć zakłopotanie.

Wreszcie odezwał się Daniel.

– Wow, Mara. Wyglądasz jak... jak... – Zmarszczył czoło, szukając odpowiednich słów.

Dziwny wyraz przemknął po twarzy mamy, ale znikł, zanim zdążyłam go rozszyfrować.

– Jak modelka – dopowiedziała gładko.

– Hm, rzekłbym raczej, że jak dama lekkich obyczajów. – Rzuciłam mu jadowite spojrzenie. – Naprawdę – dodał.

– Nie masz racji, Danielu. Przestań.

Złoty chłopiec został skarcony. Uśmiechnęłam się skrycie.

– Wyglądasz prześlicznie, Maro. Dużo poważniej. – Mama zwróciła do Daniela. – Pilnuj jej. Miej ją cały czas na oku.

Uniósł dłoń jak do salut.

– Tak jest, psze pani!

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, puścił hinduską muzykę. Wiedział, że nie jestem jej fanką.

– Możesz to zmienić?

– Nie.

Sporunowałam go spojrzeniem, ale zignorował mnie i ruszył. Milczeliśmy, dopóki nie wjechał na autostradę.

– Kim ty właściwie masz być? – zapytałam, kiedy stanęliśmy w korku w tłumie innych aut.

– Bruce'em Wayne'em.

– Ha.

– Przy okazji, przepraszam – dodał, ale nie spojrzał na mnie. – Za to, że nie powiedziałem ci o sprawie taty.

Milczałam.

– Mama mnie o to prosiła.

Wyprostowałam się na siedzeniu.

– A ty oczywiście jej postuchałeś.

– Myślała, że tak będzie lepiej.

– Mogłaby wreszcie przestać tak myśleć.

Wzruszył ramionami i przez resztę drogi nie rozmawialiśmy. Petzliśmy w korku, aż wreszcie zjechaliśmy na Lincoln Road. Trzeba przyznać, że ta ulica robiła wrażenie. Neony rozświetlały budynki, choć jedne eleganckie, a inne kiczowate. Drag queens niczym barwne ptaki wyróżniały się na tle i tak już dziwacznie ubranego tłumu. Wszystkie miejsca parkingowe były zajęte i cudem znaleźliśmy jedno obok klubu, płacąc zawrotną sumę za ten przywilej. Kiedy wyszłam z auta, moje podeszwy zazgrzytały na warstwie potłuczonego szkła, zalegającej chodnik.

Powoli, ostrożnie stapałam za Danielem, świadoma, że jeden nieostrożny krok i runę na szkło pomieszczone z niedopałkami.

Stanęliśmy w kolejce do wejścia. Bramkarz, stereotypowy mięśniak, pobrał od nas opłatę i przybił na dłoniach pieczętki. Tłum poniósł nas do wnętrza pulsującego muzyką. Zerknęłam na Daniela. Jego pewność siebie błyskawicznie malała. Żadne z nas nie miało imprezowego doświadczenia i przynajmniej w tym byliśmy równi.

W sali podrygiwała zwarta ludzka magma. Tańczący wili się wokół nas tymi samymi synchronicznymi ruchami, kiedy przepychaliśmy się przez parkiet. Stopień roznegliżowania dziewczyn był imponujący; mijaliśmy dziwkarskie anielice, diabllice i wróżki, które ciągnęły do baru na niebotycznych obcasach, wypinając biusty i demonstrując dekolty posypane magicznym pyłkiem.

Spłoszyłam się, kiedy zobaczyłam wśród nich Annę. Porzuciła swój

perfekcyjny styl, przybierając postać skąpo ubranego anioła, z obowiązkową aureolą i skrzydłami. Wzmocniła efekt wyzywającym makijażem, stanikiem push-up i szpilkami, przez co wyglądała jak rycząca czterdziestka, która wyrwała się zza biurka, żeby poszaleć. Chwyciłam brata za ramię i pozwoliłam zaholować się na koniec baru, gdzie spodziewałam się znaleźć swoją słodycz.

Kiedy tam czekaliśmy, w remiksie, który dudnił z głośników, rozpoznałam znajomą piosenkę i uśmiechnęłam się do siebie. Za moment Daniel trącił mnie w ramię i podążyłam za jego spojrzeniem, aż uśmiechnął się do drobnej blondynki ubranej w roboczy kombinezon, ze smugami brudu na buzi. Wykrzyknęła albo wymówiła bezgłośnie jego imię, bo łomot był ogłuszający. Muzyka pochłaniała wszystkie dźwięki w tym pomieszczeniu.

Włosy zafalowały przy jej policzku, kiedy energicznie przepchnęła się ku niemu. Gdy stanęła przy nas, Daniel pochylił się do jej ucha, żeby nas sobie przedstawić.

– To jest Sophie! – wrzasnęła do mnie.

Skinęłam głową i się uśmiechnęłam. Była ładna. Daniel miał dobre oko.

– Miło cię poznać! – wydarłam się.

– Co?! – odkrzyknęła.

– Miło cię poznać!

Jej mina świadczyła, że nie rozumiała, co mówię. Pal sześć.

Muzyka zwolniła rytm i Sophie pociągnęła Daniela w gęsty tłum na parkiecie. Odwrócił się do mnie, zapewne prosząc o zgodę, więc pomachałam mu przyzwalająco. Kiedy odszedł, od razu poczułam się niezręcznie i nie na miejscu. Oparłam się o bar, choć nie zapewniał mi oparcia. Czego w końcu się spodziewałam? Przyszłam na imprezę z bratem, który kogoś tu spotkał. Och, powinnam zapytać Jamiego, czy będzie. Idiotka. Jedyne, co mogłabym teraz zrobić, to zanurkować w tłum i podrygiwać jak oni. Przynajmniej bym się nie wyróżniała.

Pokręciłam głową w poczuciu kompletnej beznadziei i mocniej oparłam się o metalową poręcz baru. Kiedy ogarnęłam się trochę, zobaczyłam, że dwóch chłopaków – jeden w koszykarskiej bluzie Miami Heat, a drugi w czymś, co w jego mniemaniu musiało być parodią debilnego stylu gości z telewizyjnych reality show – usiłuje nawiązać ze mną kontakt wzrokowy. Absolutnie nie byłam zainteresowana. Zerknęłam na nich ukradkiem i dostrzegłam, że przepychają się ku mnie. Oderwałam

się od baru i chwiejnie ruszyłam w kłbowisko na parkiecie, w ostatniej chwili unikając zderzenia z łokciem, który celował mi w twarz. Łokieć należał do dziewczyny przebranej za coś, co momentalnie nasuwało skojarzenie ze szlamą z Gryffindoru. Groza.

Kiedy dotarłam do przeciwległej ściany, zaczęłam spojrzeniem skanować tłum, usiłując w powodzi roznegliżowanych ciał i kostiumów namierzyć choć jedną jakąś fajną osobę z mojej szkoły.

Udało się.

Noah był normalnie ubrany i moim zdaniem nie był to kostium. Miał ciemne dżinsy i bluzę z kapturem, mimo gorąca naciągniętym na głowę. I rozmawiał z jakąś dziewczyną.

Żeby było jasne, z oszałamiająco piękną dziewczyną, smukłą, z nogami do szyi, w obcistej, połyskliwej kiecce ze skrzydłami wróżki. Wydawała mi się dziwnie znajoma, ale nie mogłam jej skojarzyć. Pewnie musiałam ją widywać w szkole. Noah słuchał uważnie, co krzyczy mu do ucha. Parę dziewczyn otaczało ją półkolem – diablica, kot, anioł i... marchewka? Hm... Podobał mi się ten warzywny kostium, ale reszta była koszmarna.

Dokładnie w tym momencie Noah uniósł głowę i zobaczył, że się na nich gapię. Nie potrafiłam rozszyfrować jego miny, kiedy pochylił się do wróżki i powiedział jej coś do ucha. Odwróciła się, żeby na mnie popatrzeć. Noah chciał ją powstrzymać, ale nasze spojrzenia zdążyły się zetknąć. Pięknotka zachichotała, zasłaniając usta, a potem zobaczyłam jej plecy.

Noah nabijał się ze mnie. Upokorzenie zaciążyło mi w żołądku i podeszło do gardła. Odwróciłam się i zaczęłam gwałtownie rozpychać ciała, które chciały zgnieść jakiś niewidzialny kokon otaczający moją przestrzeń. Tak jak wcześniej pragnęłam się tu znaleźć, tak teraz marzyłam, żeby natychmiast stąd zniknąć.

Odnalazłam Daniela i krzyknęłam do niego, że nie czuję się dobrze i muszę jechać, po czym zapytałam Sophie, czy zechce po imprezie odwieźć go do domu. Daniel bardzo się zmartwił i nalegał, że mnie odwiezie, ale odwiodłam go od tego. W końcu wręczył mi kluczyki i pozwolił odejść.

Zwalczyłam wstyd i pospieszyłam do wyjścia. Przy drzwiach usłyszałam, że ktoś mnie woła. Przystanęłam i po chwili wahania odwróciłam się, żeby sprawdzić.

Nikogo nie zobaczyłam.

Musiałam jakoś pozbierać się przed wejściem do domu. Nie chciałam pojawić się z zapłakaną twarzą, zwłaszcza że nie mogłam liczyć na wsparcie Daniela w rozmowie z mamą. Co prawda przed wyjazdem na imprezę zachowała się wspaniale, ale nie wiadomo, jak by teraz zareagowała.

Na podjeździe nie było jej samochodu. Ani samochodu taty. I nie widziałam świateł w oknach. Gdzie oni się podziali? Podeszłam do drzwi i sięgnęłam po klucz.

Drzwi się uchyliły. Zanim ich dotknęłam.

Zatrzymałam się z ręką nad klamką. Wpatrywałam się w drzwi, a serce podchodziło mi do gardła. Nic się nie działo. Może po prostu zapomnieli je zamknąć.

Niepewnie pchnęłam drzwi i przez chwilę wpatrywałam się w mrok. Światła w holu, salonie i jadalni były zgaszone, ale w oddali, od strony bawialni, sączyła się srebrna smużka blasku. Musieli zostawić jedno światło zapalone.

Na wszelki wypadek rozejrzałam się. Obrazy wisiały na swoim miejscu. Zabytkowy parawan z hebanu i macicy perłowej stał tam, gdzie go ostatnio widziałam. Wszystko wyglądało tak jak powinno. Odetchnęłam, zamknęłam za sobą drzwi i ruszyłam przed siebie, po kolei zapalając światła.

Od razu było lepiej.

Kiedy weszłam do kuchni, żeby coś przegryźć, zobaczyłam karteczkę na drzwiach lodówki.

Pojechałam z Josephem do kina. Będziemy ok. 22.30.

Zerknęłam na zegar, była dopiero dziewiąta. Musieli niedawno wyjechać. Mama pewnie wyszła pierwsza, a Joseph zapomniał zamknąć za sobą drzwi. Zdarza się.

Zajrzałam do lodówki. Jogurt. Mleko czekoladowe. Ogórki. Resztki lasagne. Bolała mnie głowa, przypominając o dziesiątkach spinek, którymi mama upięła mi włosy. Wzięłam pojemniczek z jogurtem, łyżeczkę i poszłam na górę, żeby się przebrać. Kiedy znalazłam się w korytarzu, zamarłam.

Gdy wychodziłam z Danielem z domu, rodzinne fotografie wisiały na

lewej ścianie, naprzeciwko trzech par rozsuwanych drzwi, znajdujących się na prawej ścianie.

Teraz fotografie były po prawej, a drzwi po lewej.

Jogurt wypadł mi ręki, ochlapując ścianę. Łyżeczka szczęknęła o podłogę. Ten dźwięk przywrócił mnie do rzeczywistości. Kiepsko spałam w nocy i mam zwidy, powiedziałam sobie. Zawróciłam i pobiegłam do kuchni po ścierkę. Kiedy wróciłam, wszystko w korytarzu było na swoim miejscu.

Wpadłam do sypialni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, i rzuciłam się na łóżko. Nie powinnam w ogóle ruszać się z domu; niepotrzebna była mi ta impreza. Zapewne nerwowe napięcie i stres wzmogły objawy syndromu pourazowego. Dlatego musiałam odpocząć. I przede wszystkim się przebrać.

Na pierwszy ogień poszły pantofle. Moje stopy nie były przyzwyczajone do takich tortur, więc kiedy zrzuciłam obuwie, całe ciało odetchnęło z ulgą. Wszystko mnie bolało – pięty, łydki, nawet uda. W sukience przeszłam do łazienki i odkręciłam kran w wannie. Gorąca kąpiel ukoji ból mięśni. Odprężę mnie. Włączyłam lampę grzewczą; jej czerwone światło rozlało się po białych kafelkach i wannie, upodabiając całe pomieszczenie do kojącego matczyne łono. Odgłos leżącej wody tłumił moje myśli, kiedy inhalowałam płuca gorącą parą. Zaczęłam wyjmować spinki z włosów, odkładając je na krawędź umywalki. Wyglądały tam jak cienkie czarne gąsienice. Kiedy skończyłam, wyszłam do garderoby, żeby zdjąć sukienkę – i zamartam.

Na podłodze szafy zobaczyłam otwarte pudełko. Nie pamiętałam, żebym zdejmowała je z półki. Od czasu naszego przyjazdu stało tu, zaklejone taśmą. Teraz była rozerwana. Więc jednak je otwierałam? Widocznie tak. Przyklęłam i zajrzałam do środka. Było to pudełko, które mama przyniosła mi do szpitala, wypełnione pamiątkami z mojego dzieciństwa. Skrywało notesy, rysunki i ukochaną szmacianą lalkę. Wyjęłam stosik fotografii ściągniętych gumką. Parę wysunęło się i upadło na podłogę. Podniosłam jedną.

Zdjęcie pochodziło z zeszłego lata. Nagle zobaczyłam całą scenę, jakbym znowu tam była. Rachel i ja, przytulone policzkami, patrzyłyśmy w obiektyw aparatu, który ona trzymała w wyciągniętej ręce. Obie byłyśmy roześmiane, nasze zęby lśniły bielą na tle opalonych twarzy, a wiatr rozwiewał włosy. Usłyszałam szcęk migawki i wiedziałam, że włączyła specjalne ustawienie, które chciała wypróbować latem. Zdjęcie

wyszło jak negatyw; na ciemnym tle nasze jasne postacie odcinały się z wyrazistością szkieletów.

Odłożyłam fotografię na puste biurko, a resztę zdjęć włożyłam z powrotem do pudełka i zamknęłam je w szafie. Nagle uświadomiłam sobie, że w pokoju panuje martwa cisza, i całe powietrze uszło mi z płuc. Zajrzałam przez uchylone drzwi łazienki. Kran był zakręcony. Skapnęła z niego pojedyncza kropla i ten plusk eksplodował w ciszy jak bomba.

Woda w wannie się przelała i warstwa wody na terakocie lśniła jak szkło.

Nie pamiętałam, żebym zakręcała kran.

Ale musiałam to zrobić.

Tylko jak? Przecież oglądałam zdjęcia, więc nie wchodziłam do łazienki.

Z trudem łapiąc powietrze, ściągnęłam z wieszaka dwa ręczniki i rozpostarłam je na zalanej podłodze. Momentalnie nasiąkły. Woda zmoczyła mi stopy. Musiałam wyjąć korek z wanny. Zbliżyłam się do niej ostrożnie, choć wszystko we mnie krzyczało, że to zły pomysł. Pochyliłam się nad krawędzią.

Szmaragdy i diamenty kolczyków połyskiwały na dnie. Musnęłam palcami płatki uszu.

Faktycznie mi spadły.

W myślach usłyszałam słowa mamy: „Tylko ich nie zgub, dobrze? To pamiątka po babci”.

Kurczowo zacisnęłam powieki i usiłowałam powoli oddychać. Kiedy je otworzyłam, poczułam przyptyw odwagi.

Zanurzyłam palce w wodzie. Nic się nie stało.

Jasne, a co miałyby się stać? Przecież to tylko woda. Zajęłam się fotografiami, woda się przelała i odruchowo zakręciłam kran. Wszystko w porządku. Zanurzyłam rękę w wodzie.

Przez sekundę nie byłam w stanie myśleć. Moja ręka od łokcia w dół całkowicie straciła czucie. Jakby ta część ramienia nigdy nie istniała.

A potem palący ból zaczął wgrzyzać się w moją skórę, w kości, od wewnątrz i od zewnątrz. Niemy krzyk wyrwał mi się z ust. Usiłowałam wyszarpnąć rękę z wanny. Na próżno. Ani drgnęła. Nie mogłam się ruszyć. Osunęłam się przy ścianie. Mama znalazła mnie tam godzinę później.

– Jak to się mogło stać? – Lekarz z ostrego dyżuru wydawał się niewiele starszy ode mnie. Kiedy przyłożył gazę do czerwonej, oparzonej skóry mojego przedramienia, musiałam zacisnąć zęby, żeby nie krzyczeć.

- Wanna. - Mój głos przypominał skrzek.

Lekarz i mama wymienili spojrzenia.

- Musiałaś przez dłuższy czas trzymać w niej rękę - powiedział, patrząc mi w oczy. - Oparzenia są poważne.

Co miałam mu odpowiedzieć? Że oceniałam temperaturę wody palcem, zanim włożyłam do niej rękę, i wcale nie wydawała się gorąca? Że miałam wrażenie, jakby coś chwyciło mnie i przytrzymało? Z wyrazu twarzy doktora odgadłam, że uznał mnie za wariatkę, która zrobiła to specjalnie. Cokolwiek bym powiedziała, tylko pogorszyłoby sytuację.

Odwróciłam wzrok.

Niewiele pamiętałam z jazdy do szpitala; tyle tylko, że Joseph i rodzice byli ze mną. Na szczęście nie pamiętałam, jak mama podniosła mnie z podłogi łazienki i jak trafiłam do samochodu. Nie śmiałam na nią spojrzeć. Kiedy lekarz skończył opatrunek, poprosił ją na chwilę na korytarz.

Skupiłam się na bólu, żeby nie myśleć o tym, gdzie jestem. Woń środków antyseptycznych wwiercała mi się w nozdrza, a szpitalne powietrze drażniło skórę. Zacisnęłam usta, powstrzymując odruch wymiotny. Przysunęłam się do okna i przylgnęłam policzkiem do szyby, chłonąc zimny dotyk szkła.

Tata poszedł pewnie podpisać papiery, bo Joseph samotnie czekał na korytarzu. Wydawał się taki mały. Wzrok miał spuszczone, a jego twarz... Boże, jaki był przerażony! Gardło ścisnęło mi się boleśnie. Mogłam sobie tylko wyobrazić, co musiał czuć poprzednim razem, kiedy był u mnie w szpitalu i patrzył na swoją siostrę leżącą bez przytomności na łóżku. Po trzech miesiącach znów widział mnie w takim miejscu. Doznałam ogromnej ulgi, kiedy pojawiła się mama i wyprowadziła mnie z gabinetu zabiegowego. Milczeliśmy przez całą drogę do domu.

Daniel już tam był. Jednym skokiem znalazł się przy mnie, kiedy stanęłam w drzwiach.

- Maro, wszystko w porządku?

Kiwnęłam głową.

- Tylko oparzenie.

- Danielu, chciałabym porozmawiać przez chwilę z Marą - powiedziała mama. - Potem przyjdę do ciebie.

W jej głosie zabrzmiała stanowcza nuta, ale nawet tego nie zauważyłam, tak bardzo był przejęty moim stanem.

Mama zaprowadziła mnie do sypialni i usiadła na moim łóżku. Ja

usiadłam na krześle.

– Jutro umówiłam cię na wizytę – powiedziała.

Skinęłam głową, mając przed oczami przerażoną minę Josepha. Był jeszcze dzieckiem. Niepotrzebnie narażałam go na takie przeżycia. Gdzieś tam, pomiędzy moim bólem, lustrami, śmiechem i koszmarami, powinno być miejsce na postępowanie według rad matki. Może rozmowa z kimś pomoże mi choć trochę.

– Lekarz powiedział, że musiałaś trzymać rękę w wodzie przez dłuższy czas, bo masz oparzenia drugiego stopnia. Trzymałaś ją, dopóki się nie zjawiłam? – zapytała surowym głosem. – Co sobie myślałaś, Maro?

Przybrałam obronny ton.

– Chciałam się wykąpać, ale kolczyki... – Z wysiłkiem nabrałam powietrza. – Kolczyki, które mi pożyczyłaś, wpadły mi do wanny. Musiałam je wyciągnąć przed wypuszczeniem wody.

– I wyciągnęłaś je?

Pokręciłam głową.

– Nie. – Głos mi się łamał.

Mama zmarszczyła brwi. Podeszła do mnie i sięgnęła do ucha. Czułam, jak odpina kolczyk. Podsunęła mi dłoń, na której błyszczał szmaragd i diamenty. Pomacałam drugie ucho. Kolczyk był na swoim miejscu. Zdjęłam go i dołożyłam do tamtego, a łzy falą napłynęły mi do oczu.

To był kolejny wytwór mojej chorej wyobraźni.

– Mara Dyer? – wywołała mnie recepcjonistka.

Zerwałam się. Magazyn, który przeglądałam, upadł na podłogę i otworzył się na zdjęciu nieprzeznaczonym dla młodzieży, przedstawiającym dwie nagie modelki tulące się do przystojnego aktora. Trochę zbyt pikantne, jak na poczekalnię u psychiatry. Podniosłam pismo, odłożyłam na niski stolik i ruszyłam do drzwi, które wskazywała mi uśmiechnięta recepcjonistka. Weszłam do gabinetu.

Pani psychiatra zdjęła okulary i wstając, odłożyła je na biurko.

– Miło mi cię poznać, Maro. Jestem Rebecca Maillard.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie. Rozejrzałam się za miejscem do siedzenia. Fotel. Obligatoryjna kozetka. Stolik z krzesłem. Pewnie do testów. Wybrałam fotel.

Doktor Maillard uśmiechnęła się i założyła nogę na nogę. Była szczupła, w wieku mojej mamy. Może nawet się znały.

– Co cię do mnie dzisiaj sprowadza, Maro? – zaczęła.

Pokazałam jej zabandażowaną rękę. Doktor Maillard uniosła brwi i czekała na dalszy ciąg. Postusznie mówiłam dalej.

– Oparzyłam się.

– Oparzyłaś się czy oparzyłaś siebie?

Bystra była, trzeba przyznać.

– Oparzyłam się, ale mama myśli, że sama to sobie zrobiłam.

– Jak do tego doszło?

Wzięłam głęboki wdech i opowiedziałam jej o kolczykach w wannie. Ale nie o drzwiach wejściowych. Ani o pudełku, którego moim zdaniem nie otwierałam. Nie za dużo naraz.

– Czy coś podobnego zdarzyło się wcześniej?

– Czyli co?

Patrzyłam na książki na półkach: podręcznik diagnostyczny zaburzeń psychicznych, farmakopea, pisma fachowe. Nic ciekawego ani niezwykłego. To mogło być w każdym gabinecie. Ten nie miał własnego charakteru.

Doktor Maillard nie odpowiedziała od razu.

– Czy wczorajsza wizyta w szpitalu była pierwszą w twoim życiu?

Spojrzałam na nią spod zmrużonych powiek. Pytała bardziej jak

prokurator niż psychiatra.

– Czemu pani pyta, skoro zna odpowiedź?

– Nie znam odpowiedzi – odparła spokojnie.

– Mama pani nie mówiła?

– Powiedziała mi, że niedawno się tu przeprowadziliście, bo przeżyłaś traumę w poprzednim miejscu zamieszkania, ale nie miałyśmy czasu dłużej porozmawiać. Musiałam przełożyć wizytę innego pacjenta, żeby przyjąć cię w tak krótkim czasie.

– Przepraszam.

Doktor Maillard zmarszczyła czoło.

– Nie masz za co przepraszać, Maro. Mam nadzieję, że będę mogła ci pomóc.

Ja też miałam nadzieję, ale zaczęłam w to wątpić.

– Jak pani chce to zrobić?

– Cóż, może najpierw opowiedz mi o swoim pierwszym pobycie w szpitalu – powiedziała, splatając ręce na podołku.

Kiwnęłam głową.

– Dlaczego tam trafiłaś? – Przyglądała mi się z miernym zainteresowaniem. Nie robiła notatek.

– Moi przyjaciele zginęli w wypadku. W tym najlepsza przyjaciółka. Ja też tam byłam, ale mnie nic się nie stało.

To ją ruszyło.

– Czemu w takim razie trafiłaś do szpitala?

– Byłam nieprzytomna przez trzy dni. – Moje usta najwidoczniej nie chciały wypowiedzieć słowa „śpiączka”.

– Przyjaciele – powtórzyła z wolna. – Jak zginęli?

Próbowałam jej opowiedzieć, powtórzyć to, co usłyszałam od mamy, ale miałam problem z wypowiedaniem słów. Tkwiły głęboko w gardle, poza moim zasięgiem. Milczenie narastało, a ja walczyłam, żeby je wydobyć.

Doktor Maillard pochyliła się ku mnie.

– W porządku, Maro – powiedziała. – Nie musisz o tym mówić.

Nabrałam powietrza.

– Nie pamiętam jak zginęli, naprawdę.

Kiwnęła głową. Pasma ciemnoblonde włosów opadło jej na czoło.

– Okej.

Uśmiechnęła się ciepło, a jej brązowe oczy złagodniały.

– Dobrze. Jeśli nie masz ochoty o czymś rozmawiać, nie musisz.

Najeżyłam się lekko.

– Mogę o tym rozmawiać. Tylko nic nie pamiętam.

– Może tak być. Czasami umysł chroni nas w ten sposób przed różnymi rzeczami, jeśli nie jesteśmy jeszcze gotowi, żeby się z nimi zmierzyć.

Jej stwierdzenie zaniepokoiło mnie bardziej, niż powinno.

– Myślę, że jestem gotowa się z nimi zmierzyć.

Założyła pasmo włosów za ucho.

– Tak też jest dobrze. Kiedy to się stało?

Zastanawiałam się przez dobrą minutę; bardzo trudno było mi ocenić upływ czasu.

– Parę miesięcy temu... Chyba w grudniu.

Po raz pierwszy zawodowy spokój pani doktor zachwiał się, ustępując miejsca zaskoczeniu.

– To całkiem niedawno.

Wzruszyłam ramionami i powiodłam wzrokiem po pokoju. Moje spojrzenie padło na roślinę w rogu gabinetu. Zastanawiałam się, czy nie jest sztuczna.

– Jak się czujesz po przeprowadzce?

Leciutki uśmieszek pojawił się w kącikach moich ust.

– Nie licząc oparzenia, jak rozumiem?

Pani doktor odpowiedziała uśmiechem.

– Nie licząc oparzenia.

Rozmowa mogła potoczyć się w różnych kierunkach. Doktor Maillard płacono za to, żeby mnie wystuchała; taki był jej zawód. Kiedy po pracy wróci do domu, do rodziny, stanie się kimś innym. Będzie mamą. Albo po prostu Beccą. Albo kimś jeszcze, może podobnym do mojej mamy. I nie będzie myślała o mnie aż do następnej wizyty.

Ale zjawiałam się tu z konkretnego powodu. Miałam przebłyski pamięci i sny, z którymi nie potrafiłam sobie poradzić. Dotąd jakoś radziłam sobie z omamami. Oparzenie to zmieniło. Pomyślałam o Josephie, przerażonym, skulonym na krześle w szpitalu. Nie chciałam, żeby znów musiał to przeżywać.

Przełknęłam z wysiłkiem i wreszcie się odważyłam.

– Myślę, że coś się ze mną dzieje. – To moje wielkie wyznanie.

Wyraz twarzy pani doktor nie zmienił się.

– Na czym to konkretnie polega?

– Nie wiem.

Miałam ochotę westchnąć i przeczesać palcami włosy, ale

powstrzymałam się. Nie wiedziałam, jak może być odczytany ten sygnał, a nie chciałam wypaść niekorzystnie.

– Dobrze, odłóżmy na moment ten temat. Dlaczego uważasz, że coś się z tobą dzieje? Czemu tak myślisz?

Zmuszałam się, żeby patrzeć jej w oczy.

– Czasami widzę rzeczy, których nie ma.

– Jakiego rodzaju rzeczy?

Od czego zacząć? Postanowiłam odwrócić porządek chrono-logiczny.

– Na przykład to, o czym już pani mówiłam. Myślałam, że kolczyki mamy wpadły do wanny, a miałam je w uszach.

Doktor Maillard kiwnęła głową

– Mów dalej.

– Wczoraj, przed wyjściem na imprezę, widziałam w lustrze jedną z moich zmarłych przyjaciółek. – Bang!

– Co to była za impreza?

Jeśli moja rewelacja zaszokowała panią doktor, nie pokazała tego po sobie.

– Ee... kostiumowa? – Nie chciałam, żeby to zabrzmiało jak pytanie.

– Byłaś tam z kimś?

– Tak, z bratem, ale on bawił się z kimś innym. – Gabinet wydał mi się teraz bardziej przyjazny.

– Zatem byłaś sama?

Widok Noaha szepczącego do dziewczyny elfa mignął mi przed oczami.

Zaiste, sama. Samotna.

– Tak.

– Czy bawiłaś się gdzieś WCZEŚNIEJ od czasu przeprowadzki?

Pokręciłam głową.

– Nie, to było moje pierwsze wyjście.

Pani psychiatra uśmiechnęła się lekko.

– Wygląda na stresujące doświadczenie.

Żachnęłam się. Doprawdy, zabawne.

– Stresujące? W porównaniu z czym?

Uniosła brwi.

– Ty mi odpowiedz.

– W porównaniu ze śmiercią najlepszej przyjaciółki? Czy przeprowadzką do miejsca, gdzie nikt mnie nie zna? Albo przejściem do nowej szkoły w środku roku?

Albo dowiedzeniem się, że ojciec będzie bronił w sprawie okrutnego zabójstwa nastolatki. Nagle, bez ostrzeżenia, w mojej głowie pojawiła się myśl. Zupełnie nowa. Usiłowałam ją wyprzeć. To nie sprawa taty była dla mnie problemem. Po prostu nie mogłam sobie pozwolić na zbytne przewrażliwienie. Gdyby mama się dowiedziała, że mam z tego powodu stresy, kazałaby ojcu natychmiast zrezygnować z obrony. A przecież była to pierwsza znacząca szansa zawodowa, jaka trafiła mu się po przeprowadzce. Nauka całej naszej trójki w prywatnych szkołach będzie rodziców wiele kosztować, a ja i tak już narobiłam im kłopotów.

Dlatego postanowiłam nie wspominać o tym doktor Maillard. Teoretycznie wszystko powinno pozostać w czterech ścianach gabinetu, lecz wolałam być ostrożna.

Kiedy znów się odezwała, miała poważną minę.

– Masz rację – przyznała, poprawiając się na krześle. – Pozwól, że zapytam cię o następującą rzecz: czy wczoraj po raz pierwszy widziałas kogoś, kogo nie powinno tam być?

Zaprzeczyłam ruchem głowy; w pewien sposób ulżyło mi, że rozmowa została pokierowana w tę stronę.

– Czy masz opory wobec opowiedzenia mi o innych rzeczach, które widziałas?

Niekoniecznie. Z roztargnieniem skubałam nitkę w swoich wytartych džinsach, świadoma, jak dziwnie to wszystko brzmi. I tak już sprawiam wrażenie nienormalnej. Trudno, powiem.

– Widziałam kiedyś w szkole mojego dawnego chłopaka, Jude’a.

– Kiedy?

– Pierwszego dnia.

Po tym, jak na moich oczach sala algebry się waliła. Po tym, jak Claire po raz pierwszy pojawiła mi się w lustrze.

Przygryzłam wargę.

– Rzeczywiście, już wcześniej miałaś silny stres.

Przytaknęłam ruchem głowy.

– Brakuje ci go?

Pytanie zbiło mnie z tropu. Jak mam na nie odpowiedzieć? Kiedy wybudziłam się ze śpiączki, nie myślałam o Jude’em. Sny z jego udziałem też nie były przyjemne. Opuściłam wzrok, mając nadzieję, że doktor Maillard nie zauważy rumieńca, jedyne dowodu mojego zawstydzenia. Byłam złym człowiekiem.

– Takie sprawy bywają skomplikowane, Maro – powiedziała. Czyli

jednak zauważyła. – Kiedy tracimy kogoś, kto był dla nas ważny, możemy doświadczyć całej gamy różnych emocji.

Poruszyłam się nerwowo na krześle.

– Czy możemy porozmawiać o czymś innym?

– Możemy, ale chciałabym jeszcze przez chwilę pozostać przy tym temacie. Czy możesz powiedzieć mi coś więcej o waszych relacjach?

Przymknęłam oczy.

– Niewiele. Chodziliśmy z sobą dopiero od paru miesięcy.

– To były dobre miesiące?

Zastanawiałam się przez chwilę.

– Rozumiem – stwierdziła. Odpowiedź musiała być wypisana na mojej twarzy. – A jak wyglądały twoje relacje z przyjaciółką? Ją też widziałas po śmierci, tak?

Pokręciłam głową.

– Nie, widziałam tylko Claire. Przyszła do Laurelton w zeszłym roku. Jude, ten mój chłopak, był jej bratem. A ona była blisko z Rachel.

Teraz pani Maillard zmrużyła oczy.

– Rachel. Twoja przyjaciółka od serca?

Przytaknęłam.

– Ale nie zaprzyjaźniłaś się z Claire?

– Nie aż tak.

– Zatem nie pokazuje ci się Rachel?

Pokręciłam głową.

– To wszystko? Czy widziałas jeszcze coś, czego nie powinnaś widzieć? Albo słyszeć?

Usztywniłam się.

– Ma pani na myśli głosy? – Wyraźnie sądziła, że zwariowałam.

Wzruszyła ramionami.

– Cokolwiek.

Popatrzyłam na swoje dłonie, zaciśnięte na podołku, usiłując stłumić ziewnięcie. Nie udało mi się.

– Czasami. Czasami słyszę, jak ktoś mnie woła.

Doktor Maillard skinęła głową.

– Jak sypiasz?

– Kiepsko – przyznałam.

– Miewasz koszmary?

Można to tak nazwać.

– Tak.

– Pamiętasz te sny?

Potarłam kark.

– Niektóre. Czasami śni mi się tamta noc.

– Jesteś bardzo dzielna, że mówisz mi o tym. – Nie usłyszałam protekcyjnego tonu w jej głosie.

– Nie chcę oszaleć – powiedziałam szczerze.

– Nie uważam, że oszalałaś.

– Czyli rzeczą normalną jest widzieć to, czego nie ma?

– Tak, jeżeli ktoś miał bardzo traumatyczne przeżycia.

– Nawet jeśli ich nie pamiętam?

Doktor Maillard uniosła brew.

– Niczego nie pamiętasz?

Potarłam czoło, a potem zgarnęłam włosy z karku i związałam je w luźny węzeł. Milczałam.

– Sądzę, że zaczynasz sobie przypominać – stwierdziła. – Powoli, aby nie obciążało to zbyt twojego umysłu. Jeśli zdecydujesz się ponownie przyjść do mnie, będę chciała dokładniej zbadać tę sprawę, ale już mogę stwierdzić, że pojawiające się obrazy Jude’a i Claire są projekcją nieuświadomionych uczuć, jakie wobec nich żywisz. W ten sposób twój umysł usiłuje sobie z nimi poradzić.

– Co więc mam robić? Jak się ich pozbyć? – zapytałam.

– Cóż, jeśli zechcesz znów się ze mną spotkać, możemy zastanowić się nad terapią.

– Bez prochów?

Domyślałam się, że mama nie bez powodu zabrała mnie do psychiatry. Pewnie stwierdziła, że trzeba podjąć poważniejsze kroki. Po wczorajszym wieczorze nie miałam ochoty z nią polemizować.

– Zwykle przepisuję środki farmakologiczne, które mają wspierać terapię. Ale wybór należy do ciebie. Jeśli na razie nie życzysz sobie leków, mogę polecić ci psychologa. Bądź też spróbujemy zapisać je od razu i zobaczyć, czy pomogą.

Tyle zdarzyło się od czasu naszej przeprowadzki – sny, halucynacje, wypadki – że nie byłam pewna, czy pigułki naprawdę mogą pomóc.

– Myśli pani, że będą skuteczne?

– Same w sobie, bez terapii? Możliwe. Jednak w połączeniu z behawioralną terapią poznawczą efekt będzie silniejszy, choć ostrzegam, że jest to długotrwały proces.

– Behawioralna terapia poznawcza?

Doktor Maillard skinęła głową.

– Ona może zmienić twój sposób myślenia o tych sprawach. Pomoże ci radzić sobie z wizjami. Z odczuciami. I z nocnymi koszmarami.

– Ze wspomnieniami – poprawiłam ją. Nagle pojawiła mi się myśl. – A jeśli... a jeśli po prostu muszę sobie wszystko przypomnieć, żeby sobie z tym poradzić?

Pani doktor lekko wychyliła się w krześle.

– Tak, to może być częścią procesu zdrowienia, Maro. Ale nie możesz niczego przyspieszać. Twoja psychika i tak już nad tym pracuje, na swój sposób.

Kąciki moich ust drgnęły w uśmiechu.

– Więc nie będziemy robić hipnoterapii ani niczego w tym stylu?

Roześmiała się.

– Raczej nie.

Kiwnęłam głową.

– Mama też nie wierzy w te rzeczy.

Pani doktor sięgnęła po bloczek z receptami, napisała coś, a potem wydarła kartkę i mi ją wręczyła.

– Niech twoja mama wykupi lek. Jeśli zechcesz go brać, to świetnie. Jeśli nie, nic nie szkodzi. Może zadziałać dopiero za parę tygodni albo już po paru dniach zażywania. Każdy reaguje inaczej.

Trudno mi było odczytać jej pismo.

– Zoloft?

Pokręciła głową.

– Nie zapisuję młodzieży tego typu antydepresantów.

– Dlaczego?

Przeniósła wzrok na kalendarz nad biurkiem.

– Według niektórych badań może istnieć związek pomiędzy zażywaniem leków SSRI a samobójstwami wśród dorosłych. Czy możemy spotkać się w następny czwartek?

Daty przepłynęły mi przez głowę.

– Zbliżają się egzaminy, więc będę miała dużo roboty.

– I pewnie dużo stresu.

Zaśmiałam się ponuro.

– Tak myślę.

Sięgnęła po okulary i je założyła.

– Maro, czy nie pomyślałaś o rezygnacji na pewien czas z nauki?

Wstałam.

– Mam siedzieć w domu i zadręczać się całymi dniami tęsknotą za Rachel? A potem powtarzać rok? Zepsuć sobie świadectwo?

– Rozumiem. – Pani Maillard też wstała i uśmiechnęła się do mnie. Wyciągnęła rękę i wymieniliśmy uścisk, ale nie potrafiłam spojrzeć jej w oczy. Zbyt wstydziłam się wszystkiego, co zostało tu powiedziane.

– W każdym razie próbuj zapanować nad stresem – poradziła. – Jak tylko potrafisz – dodała. – Stres może wzmacniać epizody PTSD. I zadzwoń do mnie po egzaminach, zwłaszcza jeśli zdecydujesz się brać lek. – Wręczyła mi wizytówkę. – Miło było cię poznać, Maro. Cieszę się, że do mnie przyszedłaś.

– Dziękuję – odpowiedziałam szczerze.

Mama czekała na mnie w samochodzie. O dziwo, nie wypytywała o nic. Dałam jej receptę i jej twarz stężała.

– Coś nie tak?

– Nie, nic – odpowiedziała i wyjechała z parkingu.

Po drodze wstąpiłyśmy do apteki. Położyła torebkę z lekarstwem na desce rozdzielczej.

Sięgnęłam i wyjęłam buteleczkę z pigułkami.

– Zyprex – przeczytałam nazwę. – Co to jest?

– Pomoże ci lepiej radzić sobie z różnymi rzeczami – odpowiedziała oględnie, nie spuszczając wzroku z drogi.

Nic mi to nie mówiło. Przez całą drogę nie odezwała się więcej.

Wysiadając, schowała lek do torebki. Poszłam do siebie. Otworzyłam komputer i wgooglowałam: Zyprex. Kliknęłam na pierwszy wynik wyszukiwania, jaki się pojawił.

Psychotrop. Podawany schizofrenikom.

Nie miałam pojęcia, jak mam się zachować na widok Noaha na pierwszej poniedziałkowej lekcji. Zdawało mi się, że bal przebierańców odbył się wieki temu, lecz poczucie upokorzenia było boleśnie świeże. Błogosławiłam mundurek z długim rękawem. Przynajmniej nikt nie będzie mnie pytał o zabandażowaną lewą rękę. Mama ustanowiła się Panią Prochów i rano przed wyjściem dała mi tylenol z kodeiną, na wypadek gdyby mnie bolało. Bolało mnie wszystko, ale nie wzięłam proszków. Nie zamierzałam też na razie zażywać zyprexu. Chciałam mieć jasną głowę.

Kiedy weszłam na angielski, Noah już był w klasie. Nasze spojrzenia spotkały się na moment, ale szybko opuściłam wzrok i minęłam go bez słowa. Bardzo chciałam wiedzieć, jak się czuje Mabel. Uświadomiłam sobie, że minął dopiero tydzień od tamtych wydarzeń. Zastanawiałam się, jak mam porozmawiać o suce z rodzicami, zwłaszcza po tym, co się zdarzyło. To samo z Noahem – też nie wiedziałam, jak rozmawiać z nim po imprezie. Wybrałam stolik w drugim końcu klasy, a on wstał, poszedł za mną i usiadł za moimi plecami. Pani Leib zaczęła lekcję, a ja dopiero po chwili się zorientowałam, że będę długopisem po blacie. Z tyłu Noah z trzaskiem wyłamywał palce i miałam tego dosyć. Poderwałam się równo z dzwonkiem, po raz pierwszy w życiu spragniona lekcji algebry. Noah doprowadzał dziewczyny do szału, a ja już byłam szalona. Musiałam odparować. Opuścić go sobie. Jak trzeźwo stwierdził Jamie, i tak miałam dość problemów.

Tak się ucieszyłam na widok Jamiego, że uśmiechnęłam się, szczerząc wszystkie zęby. Ale dobry nastrój nie przetrwał długo. Noah dopadł mnie zaraz po lekcji.

– Cześć – powiedział, z gracją wyłaniając się zza moich pleców.

– Hej – powitałam go z nieobecnyim spojrzeniem.

Zapytaj o psa. Zapytaj o psa. Ale zamiast szukać słów, zacisnęłam zęby.

– Z Mabel nie jest za dobrze – poinformował Noah obojętnym tonem.

Poczułam ucisk w żołądku i odrobinę zwolniłam krok.

– Ale dojdzie do siebie?

– Tak myślę, będzie jednak lepiej, gdy zostanie u nas jeszcze przez jakiś czas. Mama się nią zajmie – powiedział, przesuwając ręką po karku.

– Zgadzasz się?

– Jasne – odparłam, przerzucając ciężką torbę na drugie ramię. – Tak będzie najlepiej.

– Chciałem zapytać... – zaczął i przerwał, nerwowo skręcając w palcach kosmyk włosów. – Moja mama chciałaby wiedzieć, czy Mabel mogłaby u nas zostać. Przyzwyczaiła się do nas.

Przechyliłam głowę i rzuciłam mu spojrzenie z ukosa. Wydawał się obojętny na wszystko. Jakby błędził gdzieś daleko myślami. Ale słowa przeczyły tonowi, jakim je wypowiadał.

– Rozumiesz, przecież to twój pies – dodał. – Więc jeśli...

– W porządku – ucięłam.

Pamiętałam, jak niósł Mabel i jak tuliła się do niego. Lepiej jej będzie z nim. Z całą pewnością.

– Powiedz mamie, że nie mam zastrzeżeń.

– Chciałem zapytać cię o to na imprezie, ale szybko wyszłaś.

– Spieszyłam się w inne miejsce – wyjaśniłam, unikając jego wzroku.

– Jasne. Co się stało? – zapytał bez oznak jakiegokolwiek zainteresowania.

– Nic.

– Nie wierzę ci.

– Twoja sprawa. – Kłamałam.

– Dobra. W takim razie zjedz dzisiaj ze mną lunch – rzucił niedbale.

Milczałam, rozerwana pomiędzy „tak” a „nie”.

– Nie – powiedziałam w końcu.

– Czemu nie?

– Mam się z kimś uczyć. – Dzięki Jamiemu nie musiałam tym razem kłamać.

– Z kim?

– A co cię to obchodzi? – mruknęłam z irytacją.

Przy jego demonstracyjnym braku zainteresowania moglibyśmy równie dobrze dyskutować o fizyce kwantowej.

– Obchodzi, i sam się temu dziwię – przyznał i oddalił się bez jednego spojrzenia.

No i fajnie.

Na zajęciach plastycznych rysowaliśmy portrety. Jakoś dałam radę, choć bolała mnie ręka. Na przerwie obiadowej nie szukałam Jamiego; wybrałam samotność. Wyjęłam banana, którego zabrałam z domu, obrałam go i zaczęłam jeść w drodze do swojej szafki. Byłam zadowolona,

że uwolniłam się od Noaha.

Kiedy zmieniałam książki, zobaczyłam kartkę. Ciasno złożoną, żeby można ją wsunąć przez szczeliny drzwiczek, leżała na stercie podręczników. Na wierzchu ktoś napisał moje imię.

Biały, gładki papier. Był jak z mojego szkicownika.

Rozwinęłam kartkę i od razu rozpoznałam jeden ze swoich szkiców, przedstawiający Noaha. Na drugiej stronie była krótka wiadomość:

MAM COŚ, CO NALEŻY DO CIEBIE. JEŚLI CHCESZ TO ODZYSKAĆ, SPOTKAJMY SIĘ NA OBIADOWEJ PRZY AUTOMATACH.

Fala gorąca oblała mi skórę. Czy Noah ukradł mój szkicownik? Zdziwiła mnie własna furia. Nigdy nie miałam ochoty nikogo uderzyć, ale ostatnio zdarzały mi się same pierwsze razy. Uporządkowałam myśli, zatrzaskując drzwiczki szafki z metalicznym hukiem.

Nie wiem, jak znalazłam się na schodach. Jeszcze przed chwilą byłam przy szafkach, a już wypadłam z za rogu i pędziłam do automatów. Wtem naszała mnie straszna myśl – a jeśli to nie Noah? Tylko ktoś inny? Na przykład... o, nie. Na przykład Anna. Wyobraziłam sobie, jak kona ze śmiechu, pokazując moje rysunki Noahowi i swoim kumpelkom.

Oczywiście zobaczyłam Annę czekającą na mnie z wrednym, triumfującym uśmiechem. Obok niej stał nieodłączny Aiden. Nie spodziewałam się jednak, że wokół nich zgromadzi się taki tłum ludzi żadnych mojej klęski. Czekali na przedstawienie.

Byłam pewna, że stawię im czoła. Wręcz czekałam na pierwsze obelgi.

Na widok Noaha, otoczonego kręgiem fanów obojga płci, wydarł się ze mnie wewnętrzny krzyk rozpaczny.

Teraz dopiero dotarło do mnie, jak Anna mistrzowsko uknuła tę intrygę. Mój żołądek fiknął kozła, kiedy nagle zdałam sobie sprawę, dlaczego zjawili się tu wszyscy, a zwłaszcza Noah. Anna organizowała ten cyrk od chwili, kiedy Noah pierwszy raz odezwał się do mnie. To jej czarnego mercedesa omal nie potrąciłam w zeszłym tygodniu na parkingu. Musiała widzieć, jak wysiadam z samochodu Noaha. I teraz przyszedł moment, żeby wyciągnęła królika z kapelusza.

Och, Anno. Nie doceniłam cię.

Wszystkie spojrzenia były wlepione we mnie, więc czas na mój ruch. Jeśli oczywiście podejmę grę.

Zastanawiałam się gorączkowo, spoglądając na krąg otaczających mnie uczniów. A potem po prostu popatrzyłam na Annę, prowokując ją do mówienia. Niech zacznie, a dalej się zobaczy. Nie zawiodła mnie.

– Tego szukasz? – zagadnęła niewinnie, unosząc w górę mój szkicownik.

Wyciągnęłam po niego rękę, ale cofnęła się.

– Ty gnido! – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

Przekonująco udała szok.

– Oj, oj, Maro, co za plugawy język! Przecież pragnę tylko zwrócić zgubiony przedmiot jego właścicielce. Bo to ty jesteś właścicielką tego szkicownika, prawda? – zapytała, otwierając zeszyt na pierwszej stronie.

– Mara Dyer – przeczytała głośno. – Zgadza się, należy do ciebie – dodała z szyderczą powagą. Milczałam. – Aiden znalazł go na algebrze i uprzejmie zachował, żeby ci zwrócić.

Aiden uśmiechnął się skromnie. Musiał wyciągnąć go z mojej torby.

– Prościej mówiąc, ukradł.

– Jak możesz tak mówić, Maro? – zapytała Anna z miną pełną nagany.

– Zapomniałaś go spakować.

Anna, wcielając się w rolę mistrza ceremonii, zaczęła kartkować mój szkicownik. Gdybym teraz dała jej w twarz, Aiden przejąłby zeszyt i pokazał co trzeba Noahowi. Szczerze mówiąc, nigdy w życiu nikogo nie uderzyłam. Co powinnam zrobić? Żadne wyjaśnienia nie miały sensu. Sprawa była aż nadto oczywista. Portrety były wyjątkowo trafione i tak dopieszczane, że każdy, kto na nie spojrzał, musiał się domyślić obsesyjnego zafascynowania modelem. Po prostu przygotowała mi perfekcyjne upokorzenie.

Świadomość klęski rozpałała moje policzki, ścisnęła gardło i usztywniła kark. Mogłam tylko cierpieć, obnażona do kości, upokorzona przed całą szkołą, w obliczu Anny upojonej triumfem. I zabrać szkicownik, kiedy tortura się skończy. Bo przecież był mój i powinnam go odzyskać.

Nie chciałam widzieć twarzy Noaha, kiedy Anna pokazała pierwszą stronę. Nie chciałam widzieć jego znaczących uśmiezków czy tych wszystkich min, które tak mnie kręciły. I nie mogłam dać jej w gębę ani rozplakać się publicznie. Więc tylko przyłgnęłam spojrzeniem do jej twarzy i patrzyłam, jak z jadowitą satysfakcją przystępuje do prezentacji tej osobistej galerii sztuki, podsuwając Noahowi pod oczy mój szkicownik. Ludzie skupili się wokół niego, żeby lepiej widzieć.

– Noah? – zagruchotała słodko.

– Tak, Anno? – odpowiedział obojętnie.

Przewracała stronę za stroną i słyszałam narastające szepty,

przerywane głośniejszymi śmieszkami. Anna ze scenicznym wyczuciem chwili dawkowała widzom obrazy, nie spiesząc się z przeglądem, niczym jakaś demoniczna belferka, która patrzy w dziennik, żeby przeczytać oceny struchlałej klasie. Każdy miał przy tym możliwość dokładnego przyjrzenia się mojej hańbie.

– Są bardzo udane – powiedziała Anna do Noaha, przylegając do niego całym ciałem.

– Moja dziewczyna ma talent – odpowiedział.

Moje serce zamarło.

Serce Anny zamarło.

Wszystkie serca zamarły. Zapadła taka cisza, że brzęczenie komara zabrzmiało w niej po prostu ordynarnie.

– Pieprzyć to – wyszeptała Anna na tyle głośno, aby każdy ją usłyszał. Dziwne, bo nawet nie drgnęła.

Noah wzruszył ramionami.

– Jestem próżnym draniem, a Mara mi schlebia. – Po chwili dodał: – Cieszę się, że nie sięgnęłaś chciwymi pazurami po inne szkicowniki. To już by było dla mnie kłopotliwe. – Pokrętny uśmiezek wykrzywił jego usta, kiedy zsunął się z piknikowego stołu, na którym przysiadł. – A teraz odpieprz się ode mnie – powiedział do ośłupiałej i oniemiałej Anny, podchodząc do niej i wyszarpując z jej rąk szkicownik.

Zbliżył się z nim do mnie.

– Chodźmy – powiedział łagodnie, stając u mojego boku.

Poczułam opiekuńcze dotknięcie jego ciała. A potem wysunął ku mnie rękę.

Chciałam ją chwycić i splunąć Annie w twarz, i pocałować Noaha, i kopnąć Aidenę Davisa w jaja – wszystko naraz. Jednak mój mózg zwyciężył i nakazał wszystkim swoim zakończeniom nerwowym odpowiedzieć na bodziec. Wsunęłam swoją dłoń w dłoń Noaha. Prąd przebiegł od naszych splecionych palców ku pustej dziurze, w której powinien być mój żołądek.

Miałam poczucie, że całkowicie, absolutnie i bezwzględnie należę do Noaha Shawa.

Nie zamieniliśmy słowa, dopóki nie oddaliliśmy się od pogrążonej w szoku i bezruchu gromady. Kiedy mijaliśmy boisko do koszykówki, Noah zatrzymał się i puścił moją rękę. Zabrakło mi jego dotyku, ale nie miałam czasu żałować straty.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Skinęłam głową, patrząc w przestrzeń ponad jego ramieniem. Język miałam jak z drewna.

– Na pewno?

Znów skinęłam.

– Nie kłamiesz?

Spiorunowałam go spojrzeniem.

– Nic mi nie jest – oświadczyłam.

– Brawo, moja dziewczynko.

– Nie jestem twoją dziewczynką – zaprotestowałam z większym jadem, niż zamierzałam.

– Dobra – powiedział i popatrzył na mnie z dziwnym zainteresowaniem. – To się jeszcze okaże.

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć, więc milczałam.

– Lubisz mnie – stwierdził w końcu. – Lubisz mnie z wzajem-nością. – Usiłował się nie uśmiechać.

– Nie. Nienawidzę cię – odparłam w nadziei, że to go przekona.

– A jednak mnie rysujesz – drążył, absolutnie niezrażony moją deklaracją. To była tortura, gorsza nawet od tego, co się przed chwilą wydarzyło, choć teraz byliśmy tylko we dwoje. A może właśnie dlatego, że byliśmy we dwoje. – Dlaczego? – zapytał.

– Dlaczego co? – Jak miałam mu odpowiedzieć? Noah, mimo że jesteś draniem i dupkiem, a może właśnie dlatego, mam ochotę zedrzyć z ciebie ubranie i mieć z tobą dzieci.

– Powiedz mi, skąd się to wszystko bierze – kontynuował. – Zaczynając od tego, dlaczego mnie nienawidzisz. Mów, aż dojdiesz do moich portretów.

– Nie jest prawdą, że cię nienawidzę – powiedziałam obronnym tonem.

– Wiem.

– Więc czemu pytasz?

– Bo chcę, żebyś sama to powiedziała – odparł z pokrętnym uśmiechem.

– Dobra – westchnęłam w poczuciu beznadziei. – Skończyliśmy?

– Jesteś chodzącą niewdzięcznością – stwierdził.

– Masz rację – przyznałam obojętnym tonem. – Dzięki za ratunek. Powinam już iść. – Ruszyłam przed siebie.

– Zaraz. – Noah chwycił mnie za prawy nadgarstek i łagodnie obrócił ku sobie. Serce mi zatrzępotowało. – Nadal mamy problem. – Popatrzyłam na

niego, nic nie rozumiejąc. Cały czas trzymał moją rękę, a ten fizyczny kontakt zaburzał mi funkcjonowanie mózgu. – Wszyscy myślą, że jesteśmy ze sobą – powiedziała.

Och. Tu go boli. Nie byliśmy ze sobą, a jednak... sama nie wiedziałam, kim dla niego jestem. Opuściłam wzrok i jak małe dziecko, które nie wie, co powiedzieć, zaczęłam wiercić w ziemi czubkiem buta.

– Powiedz wszystkim, że mnie rzuciłeś – zaproponowałam.

Puścił mnie i spojrzał szczerze zaskoczony.

– Co takiego?

– Jeśli powiesz im, że zerwałeś ze mną w weekend, szybko o nas zapomną. Wy tłumacz im, że za dużo od ciebie chciałam albo coś w tym stylu.

Noah nieznacznie uniósł brwi.

– Niezupełnie to miałem na myśli.

– Dobra – powiedziała, dziwiąc się własnym słowom. – Zgodzę się na wszystko, co zechcesz.

– Niedziela.

– Słucham?

– Chcę niedzieli. W sobotę wychodzę gdzieś z rodzicami, ale niedzielę mam wolną.

Nadal nie rozumiałam.

– I...?

– I spędzisz ze mną cały dzień.

Tego się nie spodziewałam.

– Naprawdę?

– Tak. Jesteś mi to winna. – Racja, miałam wobec niego dług wdzięczności.

Mógł spokojnie przyglądać się, jak Anna pastwi się nade mną, i pozwolić, żebym przeżyła koszmar. Mógł tam sobie stać i obojętnie obserwować, jak dopełnia się moje upokorzenie przed całą szkołą. A potem odejść, wzruszając ramionami.

A jednak tego nie zrobił. Ocalił mnie i nie miałam pojęcia, co nim powodowało.

– Czy jest szansa, żebyś zdradził mi, co będziemy robić w niedzielę?

– Raczej nie.

Okej.

– I pewnie nie dowiem się, co zamierzasz zrobić ze mną?

Uśmiechnął się podstępnie.

– Raczej nie.

Pięknie!

– Czy będzie konieczne hasło bezpieczeństwa?

– To będzie zależało wyłącznie od ciebie. – Noah przysunął się niebezpiecznie blisko. Tak blisko, że zobaczyłam parę piegów, schowanych pod niedogolonym zarostem. – Będę traktował cię delikatnie – obiecał.

Oddech uwiązał mi w gardle, kiedy tak patrzył na mnie spod zastłony swoich rzęs, doprowadzając mnie niemal do dygotu.

Popatrzyłam na niego spod zmrużonych powiek.

– Jesteś straszny.

Uśmiechnął się i delikatnie musnął mnie palcem po nosie.

– A ty jesteś moja – powiedział i odszedł.

Po lekcjach Daniel jak zwykle czekał przy bramie. Na mój widok przerzucił na drugie ramię swój wypchany plecak.

– Proszę, proszę, idzie gwiazda – powiedział z uśmiechem.

– Widzę, że ploty szybko się rozchodzą – mruknięłam. Zobaczyłam, że uczniowie na parkingu przyglądają się mi z większą uwagą niż zwykle.

– Niekoniecznie, droga siostrzyczko. O starciu w Tiki Corral usłyszałam dopiero pół godziny po całym wydarzeniu – powiedział, kiedy doszliśmy do samochodu. – Pogadamy o tym?

Zaśmiałam się ponuro i zanurkowałam do wnętrza wozu.

– Nie.

Daniel szybko usadowił się za kierownicą.

– Noah Shaw, tak?

– Powiedziałam, że nie.

– Jak do tego doszło?

– Jak nie, to nie.

– Czy myślisz, że staruszkowie pozwolą ci wychodzić z tym chłopakiem, jeśli ja się za tobą nie wstawię?

– Dalej nie.

Daniel wyjechał z parkingu.

– Coś mi mówi, że wkrótce zmienisz zdanie – stwierdził wpatrzony w szosę.

Wyraz rozbawienia nie schodził z jego twarzy przez całą drogę do domu. Wkurzające. Kiedy zajechał na podjazd, tak szybko wyskoczyłam z auta, że w ostatniej chwili dostrzegłam młodszego brata przykucniętego w krzakach, które oddzielały nasz dom od sąsiednich posesji. Daniel już zniknął w drzwiach.

– Hej – powiedziałam, podchodząc do Josepha. – Co to...

Czarny kot, którego głaskał, zmrużył żółte ślepia i fuknął na mnie.

Joseph cofnął rękę i odwrócił się, nie wstając.

– Przestraszyłaś go.

– Przepraszam. Idziesz do domu?

Kot miauknął cicho i prysnął w krzaki. Joseph wstał i otarł dłonie o koszulkę.

– Dobra.

Cisnęłam torbę na stolik w holu, nie zważając, że coś pod nią chrupnęło, i przeszłam do kuchni. Zadzwonił telefon. Joseph rzucił się, żeby odebrać.

– Rezydencja państwa Dyerów – zgłosił się oficjalnym tonem.

– Proszę zaczekać – powiedział, zastaniając słuchawkę dłonią. Naprawdę był pocieszny. – Do ciebie, Maro. Chłooopak – zanucił.

Przewróciłam oczami, ale zachodziłam w głowę, kto to może być.

– Odbiorę u siebie – powiedziałam.

Joseph zaniósł się śmiechem. Koszmar.

Kiedy zniknął mi z oczu, resztę drogi przebyłam biegiem.

– Halo?

– Helou – odpowiedział Noah, parodiując mój amerykański akcent. Z jakimkolwiek akcentem by mówił, i tak bym go poznała.

– Skąd masz mój numer? – fuknęłam, zanim zdążyłam po-myśleć.

– Powiedzmy, że go wyszukałam. – Słyszałam, jak drań się uśmiecha.

– To stalking.

Noah zachichotał.

– Jesteś urocza, kiedy się wkurzasz.

– A ty nie – odparowałam, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

– O której mam przyjechać po ciebie w niedzielę? I podaj mi adres.

Nie wyobrażałam sobie, żeby przedstawić go rodzicom.

– Nie musisz po mnie przyjeżdżać – odpowiedziałam pośpiesznie.

– Raczej muszę, bo nie masz pojęcia, dokąd pojedziemy, a ja nie zamierzam ci tego zdradzić.

– Możemy spotkać się w połowie drogi.

Teraz już był wyraźnie rozbawiony.

– Obiecuję, że zapraszam kanty spodni, zanim pokażę się twojej rodzinie. Mogę nawet przynieść kwiaty.

– O Boże. Błagam, nie rób tego. – Uznałam, że szczerowość będzie w tym momencie najlepszym wyjściem. – Mogą mi zabronić wyjścia, jeśli się pojawisz. – Wcale nie musiałam kłamać.

– Świetnie, to czyni całe przedsięwzięcie jeszcze bardziej podniecającym. Podaj mi adres.

– Nienawidzę cię bardziej, niż myślisz.

– Daj spokój, Maro. Wiesz, że i tak go znajdę. – Westchnęłam z rezygnacją i uległam. – Będę o dziesiątej.

– Och – jęknęłam zaskoczona. – Myślałam, że spotkamy się w dzień.

– O dziesiątej rano, trąbo.

– Czy nie mam prawa wyspać się w weekend?

– I tak nie możesz spać. Widzimy się w niedzielę. I nie wkładaj jakichś głupich szpilek – dodał i wyłączył się, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

Stałam, gapiąc się na słuchawkę trzymaną w ręku. Robił się coraz bardziej nieznośny. A jednak przebiegł mnie nerwowy dreszcz. Ja i Noah. Niedziela. We dwoje.

Mama zajrzała do pokoju. Drgnęłam na dźwięk jej głosu.

– Tata będzie dzisiaj na kolacji. Pomożesz mi nakryć do stołu? Chyba że boli cię ręka.

Moja ręka. Czy mama pozwoli mi wyjść?

– Zaraz schodzę – odpowiedziałam, odkładając słuchawkę.

Wyglądało na to, że bez Daniela się nie obejdzie.

Wyszłam na korytarz i zajrzałam do pokoju brata. Leżał na łóżku, czytając książkę.

– Cześć – powiedziałam.

– Cześć – odpowiedział, nie podnosząc głowy.

– Jednak potrzebuję twojej pomocy.

– Czyżby?

Nie zamierzał ułatwiać mi zadania.

– Umówiłam się z Noahem na niedzielę.

Roześmiał się.

– Fajnie, że się dobrze bawisz – prychnęłam.

– Wybacz, ale po prostu jestem pod wrażeniem.

– Rany, Daniel, musisz mnie dręczyć?

– Oj, nie przesadzaj. Nie miałem takiego zamiaru. Naprawdę jestem pod wrażeniem, że zgodziłaś się gdzieś wyjść. I tyle.

Bezradnie rozłożyłam ręce.

– Obawiam się, że po tym wszystkim mama nie zechce spuścić mnie z oka.

Dopiero teraz na mnie spojrział.

– Owszem, wtedy w środę była totalnie przerażona, ale teraz, kiedy... no wiesz, masz z kim pogadać, mogę użyć swojej magii. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Ale najpierw musisz puścić tak zwaną farbę, zgoda?

Tylko Daniel mógł przekonać mamę.

– Zgoda – westchnęłam. – Wal.

– Czy spodziewałaś się, że tak się stanie?

– Mój szkicownik zaginął w środę.

– Pięknie. A jak skomentujesz to, że Shaw oświadczył, praktycznie

przed całą szkołą, że jesteś jego dziewczyną i że mu schlebiasz tymi portretami?

Znów westchnęłam.

– Byłam kompletnie zaskoczona.

– Tak też myślałam. Wierzę ci, naprawdę. Tak rzadko wychodzisz z domu, że... – Nie dokończył, ale domyśliłam się, co miał na końcu języka. Rzadko wychodzisz z domu, nie licząc imprezy, z której uciekłaś, wizyty na ostrym dyżurze i u psychiatry.

Przerwałam niezręczne milczenie.

– Pomożesz mi czy nie?

Daniel przechylił głowę i uśmiechnął się chytrze.

– Lubisz go?

To już było nieznośne.

– Dobra, dajmy temu spokój – mruknęłam i odwróciłam się na pięcie.

Daniel usiadł na łóżku.

– Okej, okej, pomogę ci, ale tylko dlatego, że mam poczucie winy. – Wstał i podszedł do mnie. – Powinienem powiedzieć ci o sprawie taty.

– Dobrze, więc będziemy kwita – odparłam i uśmiechnęłam się podstępnie. – Jeśli pomożesz mi nakryć stół.

– Cóż to za święto? – zapytałam tatę przy kolacji. Zerknął na mnie pytająco. – Trzeci raz od naszej przeprowadzki wracasz tak wcześnie do domu.

– Ach. – Uśmiechnął się. – Po prostu miałem dobry dzień w kancelarii.

– Przełknął kęs kurczaka w curry. – Szanse mojego klienta rosną. Naocznym świadkiem jest stuletnia babcia. Oskarżenie zostanie ośmieszona.

Mama wstała, żeby donieść jedzenie z kuchni.

– To świetnie, Marcusie – powiedziała, zerkając na mnie.

Zadbałam o nieprzenikniony wyraz twarzy.

– I bez tego dałbym sobie radę. Sama postawa Lassitera świadczy na jego korzyść. Jest mocno związany z lokalną społecznością. To jeden z najbardziej szanowanych deweloperów w południowej Florydzie. Łoży tysiące dolarów na ochronę przyrody...

– Deweloper i ekologia? Czy to nie sprzeczność? – wtrącił Joseph.

Daniel z aprobatą uśmiechnął się do młodszego brata i dorzucił swoje trzy grosze:

– Myślę, że Joseph ma rację. Może to tylko zastona dymna. Facet jest deweloperem i łoży na organizacje, które go nienawidzą. Sprawa jest

ewidentnie na pokaz i pewnie ułatwi mu wyjście za kaucją.

Ja też solidarnie postanowiłam się wtrącić.

– Racja. To brzmi, jakby miał coś do ukrycia – orzekłam błyskotliwie.

Mama w kuchni poparła mnie, pokazując uniesiony kciuk. Misja spełniona.

– Też o tym pomyślałem – odpowiedział ojciec. – Ale potrafię wyczuć, kiedy ktoś chce mnie wpuścić w kanał. Zresztą gdyby nawet tak było, dowody przeciwko temu człowiekowi są za słabe.

– Czyli jako adwokat jesteś w porządku – podsumował Joseph.

– Joseph, daj już spokój. Nie słuchaj go, tato – powiedział Daniel i za plecami ojca puścił oko do brata.

– A ja chciałabym wiedzieć – zaczęła mama, zanim ojciec zdążył zareagować – na jakie studia wybiera się w przyszłym roku mój najstarszy syn?

Cała uwaga przeniosła się na Daniela. Jak tego oczekiwano, zdał dokładny raport ze swoich studenckich planów. Słuchałam jednym uchem, nabierając widelcem ryż basmati, który przed chwilą sobie nałożyłam. Miałam właśnie unieść kolejną porcję do ust, kiedy zobaczyłam coś pomiędzy zębami widelca. Coś małego. Coś białego.

Coś, co się poruszało.

Zamartłam z ręką w powietrzu i spojrzałam na talerz. Białe robaki roily się na porcelanie, na wpół zatopione w sosie curry. Gwałtownie zakryłam usta.

– Coś się stało? – zapytał Daniel, połykając porcję ryżu.

Popatrzyłam na niego wybałuszonymi oczami, a potem znów przeniosłam spojrzenie na talerz. Żadnych robaków. Tylko ryż. Ale nie byłam w stanie jeść dalej.

Wstałam od stołu i powoli wyszłam do holu. Dopiero za rogiem przyspieszyłam i pędem wpadłam do łazienki dla gości. Tam wyplułam do umywalki wszystko, co miałam w ustach. Kolana mi się trzęsły i było mi niedobrze. Spryskałam chłodną wodą spoconą, poblądłą twarz i wbrew swojemu zwyczajowi zerknęłam w lustro.

Jude stał za mną, w tym samym ubraniu, w jakim widziałam go w snach. Uśmiechał się, ale w tym uśmiechu nie było odrobiny ciepła. Nie mogłam oddychać.

– Za bardzo się przejmujesz tym miejscem – powiedział.

Rzuciłam się do toalety i wszystko zwymiotowałam.

W niedzielę rano dźwięk budzika gwałtownie wyrwał mnie ze snu. Nie pamiętałam, kiedy zasnęłam. Miałam na sobie wczorajsze ubranie.

Czułam się zmęczona. I pewnie trochę spięta z powodu dzisiejszego spotkania z Noahem. Może trochę. Podeszłam do szafy i zaczęłam się zastanawiać, co włożyć.

Spódnica – nie. Sukienka – wykluczone. W takim razie dzinsy. Wybrałam najbardziej wytartą parę i wyciągnęłam z szuflady swój ulubiony T-shirt.

Dziki łomot serca kontrastował z moimi opieszalymi ruchami. Niespiesznie zeszałam do kuchni, jakby wszystko było tak jak zwykle. Bo było.

Mama wkładała kromki chleba do tosterka.

– Dzień dobry, mamo. – Miałam taki spokojny głos, że aż przyklasnęłam sobie w duchu.

– Dzień dobry, koteńku. – Uśmiechnęła się do mnie i wyjęła z szafki filtr do kawy. – Wcześniej dzisiaj wstałaś. – Odgarnęła za ucho kosmyk włosów.

– Tak. – Rzeczywiście wstałam wcześniej i wiedziałam dlaczego.

Od środy kombinowałam, jak powiedzieć jej o moich dzisiejszych, hipotetycznych planach, ale w głowie miałam pustkę. A termin zbliżał się nieuchronnie.

– Masz jakieś plany na dzisiaj?

Dawaj, tylko powoli, upomniałam się. Odegraj luz.

– Może i tak – powiedziałam.

– A co planujesz? – Myszkowała po szafkach i nie widziałam jej twarzy.

– Sama nie wiem. – Nie kłamałam, choć w takim przypadku lepiej jest powiedzieć rodzicom coś bardziej konkretnego. Zwłaszcza moim rodzicom. A już zwłaszcza mamie.

– Dobrze, a z kim wychodzisz? – zapytała.

Jeśli jeszcze nie nabrała podejrzeń, zaraz ich nabierze.

– Z chłopakiem ze szkoły... – odpowiedziałam zamierzającym głosem, zbierając się do kolejnej rundy.

– Chcesz wziąć mój samochód?

Coo?

– Maro?

Zamrugalam.

– Przepraszam, zamyśliłam się. O co pytałaś?

– Pytałam, czy chcesz wziąć acurę. Nie jest mi dzisiaj potrzebna, a ty nie bierzesz już kodeiny.

Najwidoczniej Daniel dotrzymał słowa. Zanotowałam sobie w myśli, żeby zapytać go, jak to zrobić.

Nie uznałam za stosowne wyjaśnić mamie, że kodeinę praktycznie wzięłam tylko raz. Oparzenia nadal bolały, ale od piątku ból znacznie złagodniał. Skóra pod bandażem nie wyglądała tak źle, jak się obawiałam. Lekarz ze szpitala ostrzegał, że mogą zostać blizny, ale na razie wszystko goiło się bardzo ładnie.

– Dzięki, mamó, ale on przyjedzie po mnie. Będzie za... – Zerknęłam na zegar. Cholera! – Za pięć minut.

Mama odwróciła się, zaskoczona.

– Czemu nie powiedziałaś mi wcześniej? – Szybko zerknęła na swoje odbicie w szklanych drzwiczkach kuchenki mikrofalowej i poprawiła włosy.

– Wyglądasz świetnie, mamó. Nie przejmuj się. – Sama miałam ochotę się przejrzeć w tych drzwiczkach, ale wolałam nie kusić losu. Zamiast tego nalałam sobie szklanekę soku pomarańczowego i usiadłam z nią przy kuchennym stole.

– Jest tata?

– Nie, pojechał do biura. Czemu pytasz?

Pytałam, bo chciałam, żeby choć jedna osoba mniej była świadkiem mojego zbliżającego się upokorzenia. Zanim jednak zdążyłam wymyślić wiarygodną odpowiedź, zjawił się Daniel. Przeciągnął się, wyciągając ręce do sufitu.

– Cześć, mamó – powiedział. Cmoknął ją w policzek i podszedł do lodówki. – Jakie plany na dzisiaj, Maro? – zapytał, sprawdzając, co mógłby zjeść.

– Zamknij się – burknęłam.

– Nie drażnij się z nią, Danielu – powiedziała mama.

Trzy puknięcia w drzwi zaanonsowały przybycie Noaha.

Spojrzenia Daniela i moje zetknęły się na ułamek sekundy. Zerwałam się od stołu, a Daniel z rozmachem zatrzaskał drzwi lodówki. Omal nie zderzyliśmy się w holu. Daniel pierwszy dopadł drzwi. Drań. Mama

deptała mi po piętach.

Daniel gościnnie, szerokim gestem otworzył drzwi przed gościem. Noah przyszedł w czarnych dżinsach i nieskazitelnie białym T-shircie. Bez swojego luzackiego stylu nie stracił ani odrobiny wdzięku.

– Dzień dobry – powiedział, obdarzając całą naszą trójkę olśniewającym uśmiechem. – Jestem Noah Shaw – przedstawił się, spoglądając ponad moim ramieniem. Z galanterią wręczył bukiet lilii mojej mamie, która przepchnęła się przede mnie, żeby go odebrać.

Kwiaty były piękne. Noah miał dobry gust.

– Miło panią poznać, pani Dyer.

– Proszę, Noahu, wejdź – zagruchotała. – Możesz mówić do mnie Indi.

Czułam, że zaraz umrę. Ramionami Daniela wstrząsnął tłumiony śmiech.

Noah wszedł i teraz z kolei wyszczerzył się do mojego brata.

– Ty jesteś Daniel, prawda?

– Zgadza się. Fajnie cię poznać – odpowiedział Daniel.

Moja agonia była długa i powolna.

– Usiądź, proszę. – Mama wskazała Noahowi kanapę w salonie. – Zaraz wrócę, tylko włożę kwiaty do wody.

Nadarzyła się sposobność i nie zamierzałam jej zmarnować.

– Chyba jednak musimy...

– Chętnie skorzystam – uciął Noah.

Nie udało mu się ukryć uśmiechu. Daniel miał minę kota pożerającego kanarka. Ramię w ramię panowie pomaszrowali do salonu. Daniel rozsiadł się w wyściełanym fotelu, a Noah przycupnął na skraju kanapy. Stałam przy nich.

– I co będziesz dzisiaj robił z moją siostrzyczką? – zagadnął Daniel.

Zacisnęłam powieki w oczekiwaniu najgorszego.

– Wolałbym nie zepsuć niespodzianki – odparł Noah. – Ale obiecuję, że odstawię ją z powrotem nietkniętą.

Dalej było jeszcze gorzej. Daniel zachichotał, a potem niepostrzeżenie wdali się w salonową konwersację. Zdaje się, że rozmawiali o muzyce. Zbyt byłam zajęta zmaganiem się z własnym zakłopotaniem, żeby słuchać, co mówią. Mama wróciła z kuchni i przemknęła obok mnie, żeby usiąść obok Noaha.

– Z której dzielnicy Londynu pochodzisz, Noahu? – zagadnęła.

Ten poranek był pełen niespodzianek. Skąd wiedziała, że jest z Londynu? Ze zdumieniem wpatrywałam się w matkę.

– Z Soho – odpowiedział. – Zna ją pani?

Mama skinęła głową. W salonie pojawił się Joseph. Był jeszcze w piżamie.

– Moja mama mieszkała w Londynie, zanim przeniosła się do Stanów – wyjaśniła. – Jeździliśmy tam co roku, kiedy byłam mała. – Gestem zaprosiła Josepha, żeby usiadł przy niej. – A to jeszcze jedno moje dziecko – dodała ze śmiechem.

Noah uśmiechnął się do mojego młodszego brata.

– Noah – przedstawił się.

– Joseph – odpowiedział brat, podając mu rękę.

Po tej prezentacji mama i Noah zaczęli gawędzić jak starzy kumple, wspominając starą, dobrą Anglię, a ja stałam, przestępując z nogi na nogę i czekając, aż skończą.

Mama podniosła się pierwsza.

– Miło było mi cię poznać, Noahu. Naprawdę. Musisz kiedyś wpaść do nas na kolację – powiedziała, zanim zdążyłam ją powstrzymać.

– Z przyjemnością, jeśli Mara nie będzie miała nic przeciwko temu.

Cztery pary oczu wyczekująco wpatrzyły się we mnie, czekając na odpowiedź.

– Tak, jasne. Może kiedyś – powiedziałam, ruszając do drzwi.

Noah uśmiechnął się krzywo.

– Nie mogę się doczekać – dodał. – Absolutną przyjemnością było cię poznać, Indi. Daniel, musimy jeszcze pogadać. Joseph, strasznie się cieszę, że cię poznałem.

– Zaczekaj! – Joseph zerwał się z kanapy i pobiegł do swojego pokoju. Za chwilę wrócił z komórką. – Podaj mi swój numer – poprosił.

Noah zdziwił się nieco, ale podał.

– Co ty robisz, Joseph? – zapytałam.

– Tworzę bazę kontaktów – odpowiedział z roztargnieniem, zajęty komórką. Skończył i uśmiechnął się szeroko. – Okej, mam.

Moja promieniejąca mama odprowadziła nas do drzwi.

– Bawcie się dobrze! – zawołała za nami.

– Pa, mam. Będziemy... później! – odkrzyknęłam.

– Maro, zaczekaj – powiedziała, wychodząc na podjazd.

Noah spojrzał na nas, ale kiedy odciągnęła mnie na bok, odszedł do samochodu, zostawiając nas same.

Mama wyciągnęła do mnie rękę. Na dłoni miała małą, białą pigułkę.

– Mamo – wyszeptalam przez zaciśnięte zęby.

- Będę się lepiej czuła, jeśli to zażyjesz.

- Doktor Maillard powiedziała, że nie muszę ich brać – powiedziałam, zerkając przez ramię na Noaha.

Stał przy samochodzie i czekał.

- Wiem, kochanie, ale...

- Dobrze, już dobrze – szepnęłam i wzięłam od niej pigułkę. Nie chciałam, żeby Noah to widział.

Mama posunęła się do szantażu i byłam na nią wściekła.

- Możesz zażyć ją teraz?

Wsunęłam pigułkę do ust i przytrzymałam pod językiem, udając, że przetykam. Rozdziawiłam usta, pokazując, że nic w nich nie mam.

- Dzięki – powiedziała ze smutnym uśmiechem.

Nie odpowiedziałam. Odwróciłam się na pięcie i odeszłam. Kiedy usłyszałam trzaśnięcie frontowych drzwi, wyplułam pigułkę na dłoń i rzuciłam ją na ziemię. Nie mówiłam, że nie będę zażywała lekarstw, ale nie lubiłam być zmuszana.

- Uświadamiająca gadka przedrandkowa? – zapytał Noah, otwierając przede mną drzwi auta.

Zastanawiałam się, czy widział akcję z lekarstwem. Jeśli tak, nie dał nic po sobie poznać.

- To nie jest randka – odparłam. – Ale dałeś niezły popis. Nawet nie zapytała, kiedy wrócimy.

Noah wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cieszę się, że ci się podobało. – Otaksował spojrzeniem mój ubiór. – Ujdzie.

- Jesteś upierdliwie protekcyjny.

- Nie bluźnij.

- Przeszkadza ci to? – Uśmiechnęłam się z satysfakcją.

- Ani trochę – zachichotał, zatrząskując za mną drzwi.

Ruszyliśmy i czekałam, aż Noah zapali papierosa. Zamiast tego podał mi plastikowy kubek z mrożoną kawą.

– Dzięki. – Byłam lekko zaskoczona. Upiłam łyk. Mleka i cukru było tyle, ile trzeba. – Długa będzie jazda do tego tajemniczego celu?

Noah wyjął swoją kawę i wyciągnął wargami słomkę. Mięśnie jego policzków pracowały, kiedy wciągał nią napój.

– Najpierw wpadniemy odwiedzić przyjaciółkę – powiedział.

Przyjaciółkę? Zabrzmiało to bardzo zwyczajnie i usiłowałam nie popaść w paranoję. Ale widać było, że Noah coś knuje. Czyżby coś w stylu Anny? Przełknęłam nerwowo ślinę.

Prowadząc jedną ręką, drugą włączył swojego iPoda.

– Hallelujah – powiedziałam i uśmiechnęłam się.

– Co?

– Piosenka. Lubię ten cover.

– Serio? – zdziwił się bezczelnie. – Nie sądziłem, że to w twoim stylu.

– Tak? A jaki jest mój styl?

– Miałem cię za skrytą fankę popu.

– Dogryzasz mi.

– Jeśli muszę.

Utwór się skończył i zabrzmiało coś klasycznego. Sięgnęłam po iPoda.

– Mogę? – Noah potrząsnął głową z udawanym niezadowoleniem, ale zezwolił mi gestem. – Spokojnie, nie wyłączę tego. Chciałam tylko zobaczyć. – Przeleciałam przez jego listę.

Noah miał świetny, ale bardzo specyficzny gust. Ja miałam dużo większy rozrzut. Uśmiechnęłam się z satysfakcją.

Uniósł brew.

– Z czego się podśmiewasz, co?

– Mam szersze zainteresowania niż ty.

– Niemożliwe. Przecież jesteś Amerykanką. I słuchasz chłamu.

– Jakim cudem ty w ogóle masz przyjaciół, Noah?

– Sam się nad tym zastanawiam. – Zagryzł w zębach plastikową słomkę.

– Pytam serio. Mój dociekliwy umysł lubi wiedzieć.

Zmarszczył czoło, ale dalej patrzył przed siebie.

- Jednak ich nie mam.
- Prawie mnie nabrałeś.
- Łatwo cię nabrać.

To mnie zabolalo.

- Niech cię diabli wezmą – powiedziałam spokojnie.

- Dawno to zrobili. – Wypluł słomkę na podłogę.

- Dlaczego w takim razie mnie zaprosiłeś? – zapytałam, dbając, żeby mój głos zachował obojętny ton, choć w głowie kołatała mi się niemiła myśl, że Noah zabierze mnie na kolejną niestrawną imprezę, z której będę musiała uciekać.

- Chcę ci coś pokazać.

Odwróciłam się do okna. Nie mogłam być pewna, czego się spodziewać po tym facecie. Każdego dnia miał inną twarz. Co ja mówię, w każdej minucie.

Skomplikowane sploty autostradowego węzła wiły się nad naszymi głowami, tworząc monstrualną, betonową scenerię tej części trasy I-95. Kierowaliśmy się na południe i ta część drogi upłynęła nam w milczeniu.

Wreszcie miejski krajobraz został zastąpiony przez ocean majaczący przed nami po obu stronach autostrady. Teraz zwęziła się z czterech pasów do dwóch i wjechaliśmy na wąski, wysoki most.

Bardzo wąski. I bardzo wysoki.

Zwolniliśmy i pełzliśmy za czerwonymi tylnymi światłami, które tłoczyły się na moście. Poczulałam ucisk w gardle. Zabandażowaną ręką przytrzymałam się deski rozdzielczej; ból palił mi skórę, kiedy usiłowałam nie patrzeć przed siebie ani na boki, gdzie na horyzoncie turkusowych wód majaczyły w dali wieżowce Miami.

Noah lekko dotknął mojej ręki. Leciutko. Zaledwie ją musnął.

Ale czułam jego dotyk.

Zerknęłam na niego, a on odpowiedział półuśmieszkiem, nie odwracając głowy. To było zaraźliwe. Też się uśmiechnęłam. Splótł swoje palce z moimi, wystającymi spod bandażu, wczepionymi w deskę rozdzielczą. Fascynująca świadomość, że trzyma dłoń na mojej dłoni, sprawiła, iż zapomniałam o bólu.

- Jest coś, czego się obawiasz? – zapytałam.

Uśmiech wyparował z jego warg. Skinął głową. Jeden raz.

- A czego? – drążyłam. – Jak widzisz, ja...

- Boję się fałszu. – Odwróciłam głowę. Zbywał mnie. Milczeliśmy przez dobrą minutę. Ale znów przemówił. – Boję się, że mógłbym być

nieprawdziwy. Pusty. – Rozplótł palce i jego ręka jeszcze przez chwilę spoczywała na mojej.

Cała moja dłoń mogłaby się zmieścić w jego dłoni. Zanim zastanowiłam się, co robię, na powrót splotłam nasze palce.

Po chwili uświadomiłam sobie, co zrobiłam. Moje serce na chwilę zgubiło rytm. Szukałam czegoś w twarzy Noaha. Może znaku. Sama nie wiedziałam czego.

Nic nie znalazłam. Miał minę niezmaczoną żadną myślą i gładkie czoło. Pustą twarz. Nasze palce nadal były splecione. Nie wiedziałam, czy nie cofnął swoich tylko dlatego, że go trzymałam, czy...

– Nie mam żadnych pragnień. Mogę zrobić wszystko. Wszystko jest mi obojętne. Jakkolwiek na to patrzeć, jestem hochsztaplerem. Aktorem odgrywającym własne życie.

To nagłe wyznanie oszołomiło mnie. Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć, więc milczałam.

Cofnął rękę i wskazał nią na ogromną złotą kopułę za wodą.

– To jest oceanarium w Miami.

Milczałam.

Ręka Noaha sięgnęła do kieszeni. Wytrząsnął papierosa z paczki, zapalił go i wydmuchał dym nosem.

– Szkoda – dodał.

Czyżby chciał mnie odwiedzić do domu? Ku swojemu zaskoczeniu bardzo tego nie chciałam.

– Noah, jeśli...

– Szkoda, że nie starczy nam czasu, żeby je odwiedzić. Może innym razem. Mają tam orkę.

– Okej...

– Nazwali ją Lolita.

– To...

– Pokrętny pomysł, co?

– Właśnie.

– Wiem.

I znów ta męcząca cisza. Zjechaliśmy z autostrady, w przeciwnym kierunku niż oceanarium, i znaleźliśmy się na zatłoczonej ulicy zabudowanej brzoskwiniowymi, pomarańczowymi i różowymi pudełkami domów z kratami w oknach. Wszystkie napisy były hiszpańskie – na znakach, szyldach, tablicach. Wpatrywałam się w nie, lecz ani na chwilę nie opuszczała mnie świadomość, że Noah siedzi obok, tak blisko i czeka,

aż coś powiem. Więc powiedziałam.

– A... czy widziałeś tę Lolitę? – zapytałam jak idiotka. Miałam ochotę palnąć się w łeb.

– Uchowaj Boże.

– Więc skąd o niej wiesz?

Przeczesał palcami włosy i parę kosmyków opadło mu na oczy, złocąc się w promieniach przedpołudniowego słońca.

– Moja mama walczy o prawa zwierząt.

– To pasuje do weterynarza.

– Nie, odwrotnie. Już wcześniej była zaangażowana i dlatego została weterynarzem. Poza tym jest coś więcej.

Zmarszczyła czoło.

– Co można zrobić więcej w tych sprawach?

– Sam nie wiem, jak ci to opisać, szczerze.

– Walczy o zwierzęta? – Zastanawiałam się, czy mama Noaha wyrwała jakiegoś psa z rąk oprawcy jak ja Mabel.

– Coś w tym stylu, choć niezupełnie tak, jak myślisz.

Ha.

– Więc co?

– Słyszałaś kiedyś o Froncie Wyzwolenia Zwierząt?

– Chodzi ci o tych działaczy, którzy uwalniają z klatek zwierzęta laboratoryjne i rozsiewają wirusy zmieniające ludzi w zombi?

– To tylko film.

– No właśnie.

– Ale generalnie taka jest idea.

Wyobraziłam sobie doktor Shaw w masce narciarskiej, szalejącą wśród klatek w laboratorium.

– Lubię twoją mamę.

Noah uśmiechnął się lekko.

– Bojowy rozdział jej życia zamknął się, kiedy wyszła za mojego ojca. Rodzina tego nie aprobowała – wyznał z ironiczną powagą. – Ale nadal wspiera finansowo te organizacje. Kiedy tu przyjechaliliśmy, od razu zaangażowała się w opiekę nad Lolitą i zorganizowała już parę zbiórek pieniędzy, bo chce, żeby zbudowano jej większy zbiornik.

– I co? – zapytałam niecierpliwie, kiedy Noah długo zaciągał się papierosem.

– Dranie podbijają cenę, nie gwarantując, że dokonają przebudowy – odparł, wypuszczając dym z nozdrzy. – W każdym razie z powodu taty

mama angażuje się teraz wyłącznie finansowo. Często widzę w naszej poczcie koperty z przekazami.

Noah skręcił ostro w prawo. Zerknęłam za okno. Nie zwracałam specjalnej uwagi na okolicę – bo Noah siedział zbyt blisko – niemniej jednak odnotowałam, że gdzieś po drodze zanikły kubańskie klimaty, ustępując białej, bogatej Ameryce. Słońce przeświecało przez liście wielkich drzew rosnących po obu stronach ulicy, znacząc ruchomymi plamami migającymi na szybie nasze twarze i ręce. Każdy dom był szalonym snem innego architekta; prześcigały się w absurdzie ostentacyjnych form i nie sposób było znaleźć dwóch podobnych. Tylko nowoczesny, przeszklony budynek po jednej stronie ulicy miał wspólny pierwiastek z sąsiadem z naprzeciwka, domostwem w wiktoriańskim stylu – łączyła je skala wielkości. Oba były istnymi pałacami.

– Noah? – zapytałam z wahaniem.

– Tak?

– Dokąd jedziemy?

– Nie powiem ci.

– A kim jest ta przyjaciółka?

– Nie powiem ci. – I po chwili: – Nie martw się, na pewno ją polubisz. Spojrzałam na swoje wytarte dżinsy i znoszone trampki.

– W tym stroju będę wyglądała idiotycznie na śniadaniu w takiej scenerii. Mogłeś mnie uprzedzić.

– Nikt nie zwróci na to uwagi – zapewnił, przeczesując palcami czuprynę. – Poza tym wyglądasz świetnie.

Wąską uliczkę zdobiły rzędy palm, a zza domów przezierał ocean. Kiedy dojechaliśmy do jej ślepego końca, otworzyła się przed nami automatyczna brama z kutego żelaza. Kamera śledziła nasz wjazd. Dziwny to był dzień.

– Kim... jest ta twoja przyjaciółka?

– Można ją nazwać mistrzynią wygodnego życia.

– Fakt, jeśli kogoś stać, żeby tu mieszkać, pewnie nie musi pracować.

– Raczej musi.

Minęliśmy wielką, ozdobną fontannę na środku podjazdu. Muskularny, skapo ubrany antyczny Grek obejmował dłońmi talię dziewczyny wyrrywającej się do nieba. Jej ręce, przekształcone w gałęzie, rozpryskiwały wodę złocącą się w słońcu. Noah zatrzymał wóz przed wejściem, gdzie czekał już na nas mężczyzna w liberii.

– Dzień dobry, panie Shaw – powiedziało, witając go skinieniem głowy.

Podszedł do drzwi od strony pasażera, żeby otworzyć je dla mnie.

– Dzień dobry, Albercie. Nie trudź się, proszę.

Noah wyszedł z auta i mnie wypuścił. Skarciłam go spojrzeniem, ale unikał mojego wzroku.

– Musisz tu często bywać – powiedziałam podejrzliwie.

– Tak.

Albert wpuścił nas do domu i Noah śmiało wszedł do środka.

Już sam teren posesji, brama, fontanna i podjazd były oszałamiające, ale okazały się tylko przygrywką. Wnętrze domu zaparło mi dech. Po obu stronach holu wznosiły się łuki i kolumny dźwigające podwójną galerię. Guma moich trampek popiskiwała na idealnie wypolerowanej podłodze idealnie dobranego, kolorowego marmuru. Na wewnętrznym patio znajdowała się druga antyczna fontanna. Przedstawiała ona scenę trzech kobiet wylewających wodę z dzbanów. Rozmach był oszałamiający.

– Tu nie można mieszkać – powiedziałam do siebie cicho.

Noah to usłyszał.

– Dlaczego?

– Bo to nie jest dom, tylko... pałac miliardera. Jak rezydencja z filmu o mafii. Albo z Annie. Albo luksusowy dom weselny.

Noah przechylił głowę i popatrzył na mnie z ukosa.

– Krótka, ale całkiem trafna analiza. Niestety, ktoś tu jednak mieszka. Beztróskim krokiem przeszedł przez wewnętrzny podwórzec i skręcił w lewo. Szłam za nim szerokim korytarzem, chłonąc wszystko w oszołomieniu. Nie zauważyłam małej, czarnej kulki sierści, pędzącej w moim kierunku, dopóki nie znalazła się przede mną. Noah złapał psa w powietrzu, zanim ten zdążył na mnie skoczyć.

– Ty mała złościco – powiedział do warczącego zwierzaka. – Zachowuj się!

Pytając uniosłam brwi.

– Maro, poznaj Ruby. – Wiercąca się w jego ramionach masa tłustych wateczków i czarnego futerka wyrwała się do mnie, ale trzymał ją mocno. Twarzyczka mopsa marszczyła się gniewnie. Było to pocieszne i zarazem irytujące.

– Ona jest... urocza – powiedziałam.

– Noah? – Odwróciłam się i zobaczyłam jego mamę, stojącą parę metrów od nas, bosą i ubraną w elegancką białą, lnianą tunikę. – Myślałam, że wyjechałeś na cały dzień.

Na cały dzień?

– Gapa jestem, zostawiłem klucze.

Klucze? Tutaj?

Dopiero teraz zauważyłam drugiego, płowego psa, płochliwie kryjącego się pod nogami pani Shaw.

– Czy to...?

Spoglądałam to na psa, to na Noaha. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Mabel! – zawołał głośno.

Suka zaskomlała i cofnęła się, aż niemal znikła pod lnianą suknią.

– No chodź, moja piękna.

Znów zaskomlała.

Noah przykucnął i klepnął się po kolanie, przywołując Mabel.

– Mamo, chyba pamiętasz Marę? – zapytał, wskazując na mnie ruchem głowy.

– Naturalnie. Jak się masz, Maro?

– Dziękuję, dobrze – bąknęłam, zaabsorbowana sceną, która rozgrywała się przed moimi oczami.

Złośliwy mops. Strach Mabel. I to, że Noah tu mieszka. Tu.

Noah podszedł do matki i nie puszczając Ruby, wiercącej mu się na rękę, pochylił się, żeby pogłaskać Mabel. Suka uderzała sztywnym ogonem

o nogi pani Shaw. Niesamowicie, jak bardzo zmienił się jej wygląd zaledwie po tygodniu. Kręgi i kości miednicy nadal wystawały spod skóry, ale całkiem się już zaokrągliła. Jej sierść wyglądała znacznie lepiej. Zdumiewające.

– Weźmiesz ją? – Włożył mopsa w wyciągnięte ręce mamy. – Zaraz musimy jechać, ale pomyślałem, że przy okazji Mara i Mabel mogłyby odnowić znajomość.

Mabel wyraźnie nie aprobowała jego planu i doktor Shaw musiała to widzieć.

– Może jednak zabiorę psy na górę, a wy...

– To Ruby stwarza nerwową atmosferę – przerwał jej Noah. – Po prostu zabierz ją stąd. – Noah przykląkł, żeby pogłaskać Mabel.

Pani Shaw wzruszyła ramionami.

– Miło było cię znów widzieć, Maro – powiedziała.

– Mnie też – odpowiedziałam spokojnie, patrząc, jak odchodzi.

Noah unieruchomił Mabel chwytem zawodnika na boisku, żeby nie pobiegła za panią Shaw. Biedny pies przebierał nogami, jakby biegł po niewidzialnej treningowej bieżni. W mojej pamięci pojawił się obraz syczącego czarnego kota.

„Przestraszyłaś go” – powiedział wtedy Joseph.

Mabel też się bała. Bała się mnie.

Czułam, że tracę oddech. Kolejne szaleństwo. Dlaczego miałyby się mnie bać? Nie, to paranoja. Coś innego musiało ją zdenerwować. Postarałam się nadać swojemu głosowi spokojny ton.

– Może jednak twoja mama powinna ją zabrać – powiedziałam.

– Nie, wszystko w porządku. To wina Ruby. Mabel zaraz się uspokoi.

Suka dziko błysnęła białkami oczu, kiedy Noah przyniósł ją do mnie. Spojrzał na mnie strapiony.

– Nie rozumiem. – Pokręcił głową. – Może wykapałaś się w moczu tygrysa, zanim wyszłaś z domu?

– Jasne, tygrysi mocz. Co rano się w nim kąpię.

Mabel zaskowyczała i zaczęła się gwałtownie wyrwać z rąk Noaha.

– Dobra – powiedział w końcu. – Misja odwołana. – Postawił Mabel na podłodze i patrzył, jak wyrwa do korytarza, ślizgając się pazurami po marmurach. – Pewnie cię nie pamięta – dodał, ciągle patrząc za suką.

Opuściłam wzrok.

– Pewnie tak. – Nie chciałam, żeby dostrzegł, jaka jestem zdenerwowana.

– Cóż... – Noah zakołysał się na piętach, wpatrując się we mnie uważnie.

Usiłowałam nie zaczerwienić się pod tym spojrzeniem.

– Cóż... – powtórzyłam. Pora zmienić temat. – Jesteś skończonym kłamcą.

– U-u.

Ogarnęłam spojrzeniem podniebne sklepienie i rozległą galerię.

– Trzymałeś to wszystko w sekrecie.

– Bynajmniej. Po prostu nie pytałaś.

– Jak miałam się domyślić? Chodzisz ubrany jak lump.

Ironiczny uśmiezek pojawił się na ustach Noaha.

– Nigdy nie oceniał książki po okładce, chyba znasz to przysłowie?

– Gdybym wiedziała, że będziesz przepytywał mnie z przysłów, zostałbym w domu. – Potarłam czoło i pokręciłam głową. – Nie do wiary, że nie puścisz pary z ust.

– A co według ciebie miałem powiedzieć?

– Och, nie wiem. Na przykład: „Maro, czy zechciałabyś się umalować i włożyć eleganckie szpilki, bo zabieram cię w niedzielę do swojego rodzinnego pałacu w Miami Beach?”. Coś w tym stylu.

Noah przeciągnął się, prostując ręce nad głową i rozciągając swoje szczupłe, ale umięśnione ciało. Biały T-shirt podjechał do góry, odsłaniając kawałek brzucha i gumkę bokserów nad krawędzią biodrowych dżinsów. Miały rozporek na guziki, a nie na suwak.

Nieźle zagranie.

– Po pierwsze, nie potrzebujesz makijażu – powiedział, a ja wzniostałam oczy do nieba. – Po drugie, nie wytrzymałabyś nawet godziny na obcasach tam, dokąd się wybieramy. À propos, muszę wziąć te klucze.

– Ach, tak, tajemnicze klucze.

– Będziesz truła mi przez cały dzień? Myślałem, że robimy postępy.

– Przepraszam. Chyba wytrąciły mnie z równowagi atak mopsa i strach Mabel. I fakt, że mieszkasz w pałacu Tadź Mahal.

– Bzdura. Tadź Mahal ma tylko siedemnaście tysięcy metrów kwadratowych. Ten dom ma dwadzieścia cztery tysiące.

Popatrzyłam na niego w osłupieniu.

– Dobra, żartowałem. Możemy iść dalej?

– Prowadź, wodzu.

Noah teatralnie westchnął i poprowadził mnie na ogromne schody z bogato rzeźbionymi poręczami. Szłam za nim, jawnie podziwiając

kolejne widoki. Luźne dzinsy wisały mu na biodrach.

Kiedy dotarliśmy do szczytu schodów, Noah skręcił w lewo, w długi korytarz. Miękki orientalny chodnik tłumiał nasze kroki. Po drodze chłonełam obrazy, wiszące na ścianach. W końcu zatrzymaliśmy się przed lśniącymi drzwiami z jakiegoś szlachetnego drewna. Kiedy sięgnął ręką do klamki, za nami trzasnęły inne drzwi. Odwróciliśmy się.

– Noah? – zapytał zaspany kobiecy głos.

– Cześć, Katie.

Odcisnięte na twarzy ślady poduszki w niczym nie umniejszały urody tej dziewczyny, którą już kiedyś widziałam. Wyglądała zjawiskowo, stojąc w krótkiej, letniej piżamie na tle bajkowej scenerii. Teraz, bez kostiumu, makijażu i pulsujących świateł dyskoteki, widać było, że jest tak samo nieziemsko piękna jak Noah. Tylko jej włosy w odcieniu ciemnego miodu były dłuższe. Niebieskie oczy rozwarły się szerzej, kiedy napotkały moje spojrzenie.

– Nie wiedziałam, że masz towarzystwo – powiedziała do Noaha, tłumiąc uśmiech.

Rzucił jej krótkie spojrzenie, po czym odwrócił się do mnie.

– Maro, poznaj moją siostrę Katie.

– Kate – poprawiła go i przyjrzała mi się uważniej. – Witaj.

W odpowiedzi zdołałam tylko kiwnąć głową. Jakaś oszalała cheerleaderka robiła gwiazdy w mojej głowie. Jego siostra. Siostra!

– Już południe – zauważył Noah.

Kate wzruszyła ramionami i ziewnęła.

– Miło było cię poznać, Maro – powiedziała i ruszyła na dół, po drodze puszczając do mnie oko.

– Mnie również – wykrztusiłam.

Serce rozrabiło mi w piersi.

Noah zapraszająco otworzył drzwi do swojego pokoju. Usiłowałam pozbierać się do kupy. Fakt, że ta dziewczyna okazała się jego siostrą, niczego nie zmieniał. Absolutnie. Noah Shaw jest draniem, dupkiem i niestety należy do zupełnie innej ligi. Powtarzałam to w kółko jak mantrę, dopóki nie przerwał mi jego głos.

– Wchodzisz czy nie?

Tak. Jasne. Wchodzę w to.

Pokój Noaha był kolejnym objawieniem. Niskie, nowoczesne łóżko królowało pośrodku, a poza nim nie było tam prawie mebli, nie licząc długiego biurka, dyskretnie schowanego we wnęce. I żadnych plakatów na ścianach ani porzrzucanych ubrań. Tylko gitara oparta o łóżko. I książki.

Niezliczone rzędy książek na regałach, ciągnących się od podłogi do sufitu. Blask słońca wlewał się przez wielkie okna, z których rozciągał się widok na zatokę Biscayne.

Wcześniej nie byłam w stanie wyobrazić sobie, jak wygląda pokój Noaha, ale nawet gdybym mogła, byłaby to o wiele skromniejsza wizja. Był po prostu fantastyczny. Tylko taki... pusty. Jak niezamieszkały. Ruszyłam wzdłuż regałów, sunąc palcami po grzbietach książek.

– Witaj w prywatnej bibliotece Noaha Shawa – powiedział Noah.

Patrzyłam w podziwie na morze tytułów.

– Chyba nie przeczytałeś tego wszystkiego?

– Jeszcze nie.

– Bo nie o to chodzi, żeby złapać króliczka. – Uśmiechnęłam się ironicznie.

– Słucham? – Wyczułam rozbawienie w jego głosie.

– Są tylko dekoracją – wyjaśniłam, nie patrząc na niego. – Nie czytasz ich; trzymasz je po to, żeby robiły wrażenie na twoich... gościach.

– Jesteś prawdziwą Zmorą Dyer – powiedział, stając przede mną.

Pożerał mnie oczami i to było miłe.

– Czyżbym się myliła?

– Tak, całkowicie się mylisz.

– Dobra, sprawdzimy. – Na chybił trafił zdjęłam książkę z półki. – Maurycy E.M. Fostera. O czym to jest? Mów!

Noah streścił mi historię bohatera – geja, który studiował w Cambridge na przełomie XIX i XX wieku. Nie wierzyłam mu, ale nie czytałam tej książki, więc sięgnęłam po inną.

– Portret artysty z czasów młodości?

Noah padł brzuchem na łóżko i znudzonym tonem wyburczał kolejne streszczenie. Łakomie wpatrywałam się w jego plecy; kusił mnie, żeby położyć się obok niego. Szybko wyjęłam kolejny tom, nie patrząc na tytuł.

– Ulisses – odczytałam.

Noah pokręcił głową i ukrył twarz w poduszce.

Uśmiechnęłam się do siebie z satysfakcją i kontynuowałam odpytywanie. Następna książka nie miała obwoluty i przeczytałam tytuł z okładki grubego, szarego tomu. Radość... srania – drugie słowo wypowiedziałam po cichu i poczułam, że się czerwienię.

Noah przewrócił się na bok i powiedział z kpiącą powagą:

– Nie czytałem Radości srania. Brzmi raczej niegustownie. – Zaczerwieniłam się jeszcze bardziej. – Za to czytałem Radość seksu – ciągnął, uśmiechając się wrednie. – To klasyk, do którego ma się ochotę wracać znów i znów... i znów.

– Znudziła już mi się ta zabawa – oświadczyłam, odkładając książkę na półkę.

Noah przechylił się przez krawędź łóżka i sięgnął po pudełko oblepione naklejkami, stojące na podłodze obok gitary akustycznej. Zadzwonily wyjmowane klucze.

– Dobra, chodźmy. Później możemy tu wrócić, żebyś mogła znów podręczyć mnie przeglądem mojej biblioteki – powiedział. Uśmiech nie schodził z jego warg. – Głodna?

Jeszcze jak. Przytaknęłam. Noah podszedł do dyskretnie umocowanego interkomu i nacisnął guzik.

– Jeśli wzywasz służbę, żeby przyniosła jedzenie, to wybywam.

– Chcę tylko sprawdzić, czy Albert nie odprowadził samochodu do garażu.

– A, tak. Ten odźwierny.

– Nie, lokaj.

– Tym gorzej.

Zignorował mnie i zerknął na budzik przy łóżku.

– Już powinniśmy tam być. Musisz mieć dużo czasu, żeby w pełni przeżyć to doświadczenie. Ale możemy po drodze wpaść do Mireyi.

– Kolejna przyjaciółka?

– Restauracja. Kubańska. Najlepsza.

Albert z uśmiechem przyglądał się, jak Noah otwiera przede mną drzwi auta. Kiedy pałac zniknął nam z oczu, odważyłam się zasypać Noaha gradem pytań, które męczyły mnie, odkąd zobaczyłam jego miejscówkę. Dotyczyły głównie pieniędzy.

– Kim są twoi starzy? – zaczęłam.

– Starzy? – Wyjął ze schowka przeciwsłoneczne okulary.

– Tak się mówi. Twoja rodzina. W takim miejscu mogą mieszkać

gwiazdy koszykówki albo dawne gwiazdy pop.

– Mój ojciec ma dużą firmę.

– Aaaha. Jaką?

– Biotechnologiczną.

– A dokąd wybył tak rano tata Warbucks?

Twarz Noaha nagle straciła wyraz.

– Nie wiem i nie interesuje mnie to – wyjaśnił gładko. Uparcie spoglądał przed siebie. – Nie... nie jesteśmy zbyt blisko – dodał.

– Rozumiem. – Czekałam, że jeszcze coś powie, ale założył ciemne okulary i nie widziałam jego oczu. Pora zmienić temat. – A dlaczego twoja mama nie ma brytyjskiego akcentu?

– Bo jest Amerykanką.

– Och, naprawdę? – udałam zdziwienie.

Z profilu Noaha odgadłam, że się uśmiechnął. Milczał przez chwilę, zanim zaczął mówić.

– Pochodzi z Massachusetts. I nie jest moją biologiczną matką. – Zerknął na mnie, sprawdzając reakcję.

Nie dałam nic po sobie poznać. W sumie mało wiedziałam o Noahu Shawie, nie licząc plotek o jego życiu pozalekcyjnym. Ale teraz chciałam wiedzieć więcej. Nie miałam pojęcia, co mi szykuje, kiedy zabierał mnie z domu, i prawdę mówiąc, nadal nie wiedziałam. Mimo to przestałam już myśleć, że knuje coś wrednego, i byłam szczerze ciekawa dalszego ciągu.

– Moja mama umarła, kiedy miałem pięć lat, a Kate prawie cztery.

Ta rewelacja przywróciła mnie do rzeczywistości. Poczułam się podle, że skierowałam rozmowę na tak osobiste tematy.

– Przepraszam – bąknęłam.

– Dzięki – powiedział, gapiąc się na drogę przed nami. – To było dawno i prawie już jej nie pamiętam – dodał, ale wyraźnie się usztywnił.

Zamilkł na chwilę i zastanawiałam się, czy powinnam coś powiedzieć. Ale szybko przypomniałam sobie, jak użalano się nade mną z powodu śmierci Rachel i jak nie znosiłam tego słuchać. W takich sytuacjach niewiele jest do powiedzenia.

Noah zaskoczył mnie, kiedy zaczął mówić dalej.

– Przed śmiercią mamy ona, mój ojciec i Ruth – ruchem głowy pokazał za siebie, na dom – byli bardzo zaprzyjaźnieni. Ruth uczęszczała do liceum w Anglii i tam się poznali. Potem razem studiowali w Cambridge, buntując się i organizując protesty.

Pytając uniostałam brwi.

– Ruth mówiła mi, że moja matka była najbardziej... zaangażowana. Przykuwała się do drzew, włamywała do uniwersyteckich laboratoriów, żeby uwalniać zwierzęta, i inne rzeczy w tym stylu – wyjaśnił Noah, wtykając sobie papierosa do ust. – Cała trójka działała wspólnie, co jest dziwne, jeśli się zna mojego ojca, i w trakcie tych batalii jakoś udało mu się namówić moją matkę, żeby za niego wyszła. – Papieros zwisał mu z warg, poruszając się, kiedy mówił, i przyciągając moje spojrzenie jak magnes. – Byli jeszcze na studiach. Ze strony ojca to był jakiś totalny bunt, jak rozumiem. – Zapalił papierosa, opuścił szybę i się zaciągnął.

Kiedy mówił, jego twarz, ukryta pod ciemnymi okularami, miała wyraz starannie wypracowanej obojętności.

– Dziadkowie nie byli zachwyceni tym mariażem. Należeli do starego, bogatego rodu i na początku nie akceptowali mojej matki, uważając, że ojciec zmarnuje sobie przy niej karierę. I tak dalej, i tak dalej. Ale ślub się odbył. Moja obecna macocha wyjechała do Stanów i tam skończyła weterynarię, a rodzice żyli sobie jak bohema. Kiedy urodziły się dzieci, dziadkowie zmiękli. Katie i ja byliśmy z sobą bardzo związani. Dziadkowie liczyli, iż moja matka przestanie wojować z rządem i zajmie się rodziną. – Noah strząsnął popiół za okno, zaśmiecając autostradę. – Ale matka nie odpuściła ani na moment. Zabierała nas na wszystkie akcje i zebrania. Aż zginęła. Zadźgano ją. – Rany boskie! – W czasie jakiegoś protestu. – O Jezu. – Tego dnia ojciec został w domu z Katie, a mama zabrała mnie ze sobą. Parę dni wcześniej obchodziłem piąte urodziny, ale zupełnie tego nie pamiętam. Tak jak mało pamiętam mamę. Ojciec nawet nie wymawia jej imienia i udaje, że nie wie, o kogo chodzi, kiedy ktoś o niej wspomni – zakończył obojętnym głosem.

Odjęło mi mowę. Matka Noaha nie żyła – została zamordowana – a on był tego świadkiem.

Noah wydmuchnął przez nos kłęb dymu, który unosił się przez chwilę w kabinie, zanim wyparował przez okno. Dzień był piękny, słoneczny i bezchmurny. Ale gdyby nawet za oknem szalał huragan, i tak byłoby mi to obojętne. W tym momencie Noah objawił mi się jako zupełnie nowa osoba. Przykuł mnie do fotela.

– Gdy Ruth dowiedziała się o mojej matce, wróciła do Anglii – podjął. – Kiedyś powiedziała mi, że po śmierci mamy ojciec był kompletnie nie do życia. Nie był w stanie zająć się nami ani sobą. To była totalna katastrofa, do czasu, aż całkowicie pochłonęła go giełda i udziałowcy. Ruth została z nim i po jakimś czasie się pobrali, choć tak naprawdę nie

zasługiwał na nią. Bo już wtedy bardzo się zmienił. No i teraz jesteśmy szczęśliwą rodziną.

Żałowałam, że nie widzę jego oczu za tymi ciemnymi okularami. Czy ktoś w szkole wiedział o jego matce, o nim? Nagle dotarło do mnie, że Noah tak naprawdę nic nie wie o mnie. Opuściłam wzrok i wpatrzyłam się w wytarte kolana swoich dżinsów. Gdybym teraz wyznała mu prawdę, mógłby odnieść wrażenie, że licytujemy się na osobiste tragedie – tylko czy utrata najbliższej przyjaciółki mogła być porównywalna z utratą matki? Co sobie pomyśli, jeśli przemilczę jego dramatyczne wyznanie?

– Noah – zaczęłam. – Nie wiem...

– Dzięki – uciął. – Nie przejmuj się.

– Nie, nie masz racji.

– Nie musisz się przejmować – powiedział chłodno. – Było, minęło.

– Nieprawda.

– Ale tak jest. – Przesunął okulary na włosy, lecz nadal kontrolował swoją minę. – Tak czy owak, są korzyści z posiadania ojca, który jest korporacyjnym rekinem.

Sam narzucił ten lekceważący ton, więc go podjęłam.

– Mówisz o lansiarskiej bryce otrzymanej na szesnaste urodziny?

Noah uśmiechnął się paskudnie.

– Kate ma maserati, jeśli o to ci chodzi.

Zamrugłam zaskoczona.

– Niemożliwe.

– Owszem, możliwe. Choć nie jest jeszcze w wieku, w którym można mieć prawo jazdy.

Pokręciłam głową.

– A twoja ekobryka? To ma być bunt pokoleniowy czy jak?

Kącik ust Noaha zadrgał w uśmiechu.

– Żałosne, co? – Rzucił to lekkim tonem, ale zaniepokoiło mnie coś w wyrazie jego twarzy.

Brwi zbiegły mu się na czole i z trudem powstrzymałam odruch, żeby je wygładzić.

– Nie uważam tak – powiedziałam. – Zawsze to jakaś deklaracja. W końcu mógłbyś mieć wszystko, nawet rolls-royce'a. Chwała ci, że nie posunąłeś się aż tak daleko.

Noah udał przerażenie.

– Chcesz powiedzieć, że nie jestem amoralny?

– Wierzę, że tak jest.

- Jak ona mało o mnie wie - zacytował piosenkę, podkreślając głośność w iPodzie.

- Death Cab? - ożywiłam się. - Serio?

- Wydajesz się zdziwiona.

- Nie przypuszczałam, że ich lubisz.

- To jedna z niewielu współczesnych kapel, które lubię.

- Stanowczo muszę popracować nad twoimi muzycznymi upodobaniami - powiedziałam.

- Grozisz mi od rana? - mruknął, skręcając w wąską ulicę. - Na chodnikach stali ludzie cieszący się piękną pogodą. Zaparkował i piosenka się skończyła. Pozwoliłam, żeby otworzył przede mną drzwi. Po drodze minęliśmy niewielki park, gdzie grupki starszych panów grały w domino przy stołach pod pasiastymi namiotami. Ogrodzenie zdobił kolorowy mural. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. - One nic nie znaczą, zrozum - powiedział nagle Noah.

- Co takiego?

- Pieniądze.

Popatrzyłam wokół i zobaczyłam, że fasady domów są zaniedbane, a samochód Noaha wyróżnia się spośród innych aut.

- Mówisz tak, bo twoja perspektywa jest trochę wypaczona. Ty masz tę forszę.

Noah zatrzymał się i patrzył przed siebie.

- To nie jest moja forsa - powiedział, a w jego głosie wyczułam napięcie. - Zarabianie jest dla ojca wymówką, żeby nie spędzać czasu z nami. Choć z drugiej strony, nawet jeśli nic mi nie zapisze, jest fundusz, którym będę mógł zarządzać, kiedy skończę osiemnaście lat - dodał już łagodniej.

- No widzisz. A kiedy obchodzisz urodziny?

Znów zaczął iść.

- Dwudziestego pierwszego grudnia.

- Czyli je przegapiłam. - Z jakiegoś powodu zasmuciła mnie ta wiadomość.

- Tak.

- Już wiesz, co zrobisz z tą fortuną?

Uśmiechnął się.

- Zamienię na złote monety i będę się w nich tarzał. Ale najpierw - ujął mnie za rękę - zjemy lunch.

Zrobiło mi się gorąco, kiedy czując dotyk Noaha, weszłam z nim do zatłoczonej restauracji. Obserwowałam jego profil, kiedy rozmawiał z kierownikiem sali. Sprawiał wrażenie kogoś innego niż ten, którego poznałam dwa tygodnie temu. Czy nawet tego, który przyjechał po mnie rano. Sarkastyczny, zdystansowany, wycofany Noah stał się troskliwy i bezpośredni. Poczułam, że mocniej ściska mi dłoń. Twarz mu nagle pobraźniała.

– Noah? – Miał zaciśnięte powieki i bez żadnego wyraźnego powodu zaczęłam się bać. – Nic ci nie jest?

– Daj mi chwilę – poprosił, otwierając oczy. Puścił moją rękę. – Zaraz wrócę.

Zawrócił do wejścia i wyszedł na ulicę. Zdezorientowana usiadłam przy stoliku, który wskazał mi kierownik sali, i sięgnęłam po kartę. Chciałam zamówić coś do picia, więc uniosłam głowę i zaczęłam się rozglądać za kelnerem. Wtedy go zobaczyłam.

Jude.

Obserwował mnie spod daszka bejsbolówki, stojąc w kolejce ludzi oczekujących na miejsce.

Zaczął ku mnie iść.

Zacisnęłam powieki. On już nie istniał!

– Co robi taka piękna dziewczyna samotnie przy stoliku? – Podskoczyłam na dźwięk tego głosu. Nie należał do Noaha. Ani do Jude'a. Otworzyłam oczy i zobaczyłam chłopaka o jasnej cerze, blond włosach i orzechowych oczach, stojącego przy sąsiednim stoliku i intensywnie się we mnie wpatrującego. Był przystojny. – Czy mogę się przysiąść? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, zajął miejsce koło mnie.

Spojrzałam na niego nieprzyjaźnie.

– Jestem tu z kimś – powiedziałam.

Gdzie ten Noah?

– Och? Z chłopakiem?

Milczałam przez chwilę, zanim odpowiedziałam.

– Z przyjacielem.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– To głupek.

– Słucham?

– Głupek, jeśli jest tylko przyjacielem. Ja bym nie wyrobił, gdybym miał być tylko twoim przyjacielem. Notabene mam na imię Alain.

Skrzywiłam się. Co to za gość?

– Na szczęście, Alan – powiedziałam, celowo przekręcając jego imię – nie uważam tego za problem.

– Nie? A czemu?

– Bo zaraz stąd znikniesz – powiedział Noah zza moich pleców.

Odwróciłam się i spojrzałam przez ramię. Stał, lekko pochylony nade mną. Widać było w nim napięcie.

Alain wstał, poszperał chwilę w kieszeni dzinsów i wyciągnął długopis.

– Na wypadek gdyby jednak znudził ci się twój przyjaciel – powiedział, pisząc coś na serwetce – zostawię ci swój numer. Przesunął serwetkę w moją stronę.

Noah sięgnął ponad moim ramieniem i ją przechwycił.

Alain spiorunował go spojrzeniem.

– Ona ma prawo sama decydować.

Noah przez sekundę stał nieruchomo, patrząc mu w oczy, aż wreszcie w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

– Oczywiście, że ma prawo – przytaknęła i zerknęła na mnie, unosząc brew. – Więc jak?

Popatrzyłam na Alaina.

– To miejsce jest zajęte.

Alain zachichotał.

– Jak widać.

Noah podsunął się do niego z podejrzaną swobodą i powiedział mu coś do ucha po francusku. Widziałam, jak w twarzy Alaina pojawia się napięcie.

– Nadal chcesz się do nas przyłączyć? – zagadnął Noah, ale Francuz już się zmył.

Noah przysunął sobie odzyskane krzesło i uśmiechnął się.

– Ach, ci turyści – rzucił z leniwym wzruszeniem ramion.

Skarciłam go spojrzeniem, choć wcale nie czułam złości. Przeciwnie, byłam anielsko spokojna, co dotychczas nie zdarzało mi się po halucynacjach. Cieszyłam się, że Noah wrócił. Nie zamierzałam jednak tak łatwo odpuścić.

– Co mu powiedziałaś?

Sięgnął po kartę i zaczął ją przeglądać.

- To co trzeba.

Ale mnie trzeba było więcej.

- Jeśli nie chcesz mi powiedzieć, oddaj ten numer.

- Powiedziałem mu, że jesteś niepełnoletnia – rzucił, nie odrywając oczu od karty.

-Tylko tyle? – Nadal byłam sceptyczna.

Cień uśmiechu zaigrał na jego wargach.

- Głównie. Problem w tym, że nie wyglądasz na małolatę.

Uniosłam brwi.

- To ty tak sądzisz.

Noah odłożył menu na stół i z roztargnieniem zapatrzył się w okno.

- Coś się stało?

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się z przymusem.

- Nic.

Nie wierzyłam mu.

Pojawił się kelner. Noah wyjął mi kartę z rąk i oddał mu, po czym złożył zamówienie po hiszpańsku. Kelner wrócił do kuchni.

Rzuciłam mu niezadowolone spojrzenie.

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

- Zaufaj mi.

- A mam inny wybór?

Noah uśmiechnął się przebiegle. Nabrałam powietrza i wypuściłam je powoli.

- A więc francuski i hiszpański?

Odpowiedział mi leniwym, aroganckim uśmiechem. Bałam się, że zaraz wtopię się w plastikowe krzesło.

- Znasz jeszcze inne języki? – spytałam.

- Zależy, o jaki poziom znajomości pytasz?

- O normalny.

Wrócił kelner, przynosząc dwie puste, zmrożone szklanki i dwie ciemne butelki jakiegoś napoju. Napełnił szklanki płynem w kolorze karmelu i oddalił się.

Noah pociągnął łyk, zanim odpowiedział.

- Niemiecki, niderlandzki, hiszpański, mandaryński i oczywiście francuski.

Imponujące.

- Powiedz coś po niemiecku – poprosiłam i spróbowałam napoju. Był słodki, ale z ostrą, korzenną nutą. Bardzo dobry.

- Scheide – powiedział Noah.

Wypiłam jeszcze trochę.

- Co to znaczy?

- Wagina.

O mało się nie zakrztusiłam i zakryłam usta ręką. Kiedy ochłonęłam, skomentowałam:

- Urocze. Tylko to słowo znasz?

- Po niemiecku, mandaryńsku i niderlandzku – tak.

Pokręciłam głową.

- Jak to się stało, Noah, że znasz słowo wagina w tylu językach?

- Bo jestem Europejczykiem, czyli większym erudytą od ciebie – wyjaśnił, usiłując się nie uśmiechać.

Zanim zdążyłam go skarcić, kelner postawił przed nami półmisek z czymś, co wyglądało jak smażone krążki bananów w gęstym, bladożółtym sosie.

- Mariquitas – wyjaśnił Noah. – Spróbuj, a nie pożałujesz.

Spróbowałam. I nie pożałowałam. Były pyszne, tylko lekko słodkie, a sos miał interesującą czosnkową nutę.

- Boże, jakie dobre – rozanielił się Noah. – Przepadam za nimi.

Kelner nadciągnął z tacą i zastawił cały stół jedzeniem. Nie umiałam rozpoznać niczego poza ryżem i fasolą. Najdziwniej wyglądał półmisek z czymś, co przypominało okrągłe kluski, i danie z plastrami jakiegoś mięsistego warzywa w sosie z cebulką. Pokazałam na pierwsze z nich.

- Yuca – wyjaśnił Noah.

Pokazałam na drugie.

- Smażone plantany, czyli zielone banany.

Zainteresowała mnie jeszcze płaska salaterka z czymś, co przypominało gulasz, ale Noah odmówił wyjaśnień.

- Może przestanieś wreszcie pokazywać palcem i zaczniesz jeść?

- Po prostu lubię wiedzieć, co wkładam do ust, zanim to przełknę.

Spojrzał na mnie jak na dziwaczkę, a ja miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

Jednak, o dziwo, uległ mojej prośbie i cierpliwie omówił resztę dań, nakładając mi po kolei porcje na talerz. Kiedy najadłam się tak, że ledwie mogłam oddychać, zjawił się kelner i położył rachunek przed Noahem. Pamiętając, jak wcześniej zgarnął mi sprzed nosa telefon Alaina, chwyciłam rachunek i sięgnęłam do torby po pieniądze.

Na twarzy Noaha pojawiła się groza.

*- Co robisz?
- Chcę za siebie zapłacić.
- Nie rozumiem.
- Jedzenie kosztuje.
- Epokowe odkrycie. Nadal jednak nie rozumiem, czemu uważasz, że musisz za nie płacić?*

*- Bo mnie stać.
- To całe dziesięć dolarów.
- Wyobraź sobie, że mam dziesięć dolarów.
- A ja mam czarną kartę American Express.
- Noah...
- Coś tu masz... wytrzyj sobie – powiedział, wskazując palcem punkt na swojej nieogolonej szczęce.*

O rany.

- Gdzie? Tu? – Chwyciłam serwetkę ze stołu i wytarłam twarz w miejscu, gdzie powinny być resztki jedzenia.

Noah pokręcił głową, więc wytarłam jeszcze raz.

- Ciągle to masz – stwierdził. – Mogę? – zapytał, wskazując na stojak z serwetkami. Z serwetką w ręku pochylił się nad stołem, gotów wytrzeć mi buzię jak umorusanemu kaszką maluchowi. Ze wstydem przymknęłam oczy, czekając, aż miękki papier dotknie mojej skóry.

Zamiast tego poczułam dotyk palców na policzku. Wstrzymałam oddech, a potem otworzyłam oczy i z zakłopotaniem pokręciłam głową.

- Dzięki – powiedziałam cicho. – Straszna ze mnie prostaczka.

- W takim razie muszę cię ucywilizować – stwierdził Noah.

W tym momencie zauważyłam, że rachunek zniknął.

Rzut oka na Noaha upewnił mnie, że to jego sprawa. Cwaniak!

Spojrzałam na niego ze złością.

- Ostrzegano mnie przed tobą, wiesz?

Noah, z tym swoim półśmieszkiem, od którego dostawałam palpacji, odpowiedział:

- A jednak tu jesteś.

Po półgodzinie jazdy Noah zaparkował przed jednym z wejść do wielkiej hali Miami Beach Convention Center. A dokładniej na kopercie z napisem NIE PARKOWAĆ. Zerknęłam na niego sceptycznie.

– Czasem dobrze jest być synalkiem Warbucksa – wyjaśnił.

Wyjął klucze z kieszeni i ruszył z nimi do wejścia, jakby był właścicielem budynku. Cholera wie, może i był. W środku było pusto i ciemno, ale Noah włączył światła.

Kiedy zabłyśły, oniemiałam.

Otaczała mnie sztuka. Była wszędzie. Pokrywała każdą powierzchnię; nawet podłogi były dziełem sztuki. Ich geograficzne motywy prezentowały się pod naszymi stopami. Przestrzeń wypełniały instalacje. Było tam dosłownie wszystko – rzeźby, fotografie, ryciny, cokolwiek można sobie wyobrazić.

– O Boże!

– No?

Ścisnęłam go za ramię.

– Noah, co to jest?

– Wystawa ufundowana przez jedną z organizacji, w której zarządzie jest moja matka – powiedział. – Są tu dzieła chyba ze dwóch tysięcy artystów.

– A gdzie zwiedzający?

– Otwarcie nastąpi za pięć dni. Na razie jesteśmy tylko my.

Nie byłam zdolna wypowiedzieć słowa. Gapiłam się na Noaha z otwartymi ustami. Był wprost ekstatycznie zadowolony z siebie.

– Kolejna korzyść z takiego tatusia – zachichotał.

Krążyliśmy po tym labiryncie sztuki wypełniającym ogromną, industrialną przestrzeń. Czegoś takiego nie widziałam w życiu. Niektóre pomieszczenia same w sobie były dziełami, ze ścianami zdeformowanymi rozszalałą metaloplastyką albo oplecionymi festonami trójwymiarowych gobelinów.

Podeszłam do instalacji rzeźbiarskiej i otoczył mnie las wysokich, abstrakcyjnych form. Przypominały drzewa lub postacie ludzkie, w zależności od kąta, pod jakim się na nie patrzyło. Miedź i nikiel, spojone z sobą, piętrzyły się nad moją głową. Zdumiewała mnie ogromna

skala tego dzieła i wysiłek artysty włożony w jego stworzenie. Noah przywiózł mnie tutaj, wiedząc, że będę zachwycona. Wymyślił cały ten dzień na moją cześć. Miałam ochotę rzucić się na niego i potężnie go wyciskać.

– Noah? – Mój głos zadudnił w przestrzeni pustym echem.

Nie odpowiadał.

Rozejrzałam się szybko. Nigdzie go nie było. W mój ekstatyczny nastrój wdarł się niski, buczący sygnał strachu. Ruszyłam ku odległej ścianie w nadziei, że trafię na wyjście, aż w pewnym momencie uświadomiłam sobie, że bolą mnie nogi. Musiałam już długo tak iść. Kiedy mijalam drzewa – a może to byli ludzie? – miałam wrażenie, że pozbawione twarzy poskręcane kadłuby obracają się ku mnie, jakby chciały mnie śledzić. Uparcie patrzyłam przed siebie, choć kątem oka widziałam, że sięgają, aby mnie pochwycić. A przecież nie sięgały. Były nieruchome. To tylko moja wyobraźnia. Po prostu przestraszyłam się, ale tak naprawdę nic się nie działo.

Może powinnam zacząć brać te pigułki, kiedy wrócę do domu?

Jeśli wrócę do domu.

Wyrwałam się z metalowego lasu, co było do przewidzenia, ale teraz osaczyły mnie olbrzymie fotografie domów i gmachów w różnych stadiach ruiny. Zdjęcia sięgały od podłogi do sufitu i miałam wrażenie, jakbym naprawdę mijala te domy, idąc ulicą. Bluszcz piał się po ceglanych ścianach, a drzewa wrastały w mury i fundamenty, czasami doszczętnie je pochłaniając. Możliwe nawet, że betonową podłogę Convention Center porastała trawa. Na zdjęciach byli też ludzie. Trójka z nich, z plecakami, forsowała właśnie ogrodzenie jednej z posesji. Rachel. Claire. Jude.

Zamrugłam rozpaczliwie. Nie, to nie oni. W ogóle nikt. Nie było ludzi na tych fotografiach.

Powietrze wokół mnie gęstniało. Przyspieszyłam kroku; nie zważając na obolałe stopy i dziko walące serce, zaczęłam biec przez szpaler zdjęć, do zakrętu, za którym powinno być zbawcze wyjście. Ale kiedy skręciłam za róg, zobaczyłam kolejną fotografię.

Tony cegieł i odłamków betonu zaściętały zalesiony teren. To był obraz kompletnej destrukcji, jakby tornado uderzyło w budynek, pozostawiając rumowisko tak totalne, że trudno było się domyślać, iż kiedyś żyli tam ludzie. Było niemal wzorcowe – promienie słońca, przefiltrowane przez gałęzie drzew tworzyły perfekcyjną, rozproszoną mozaikę cieni na przyprószonej śniegiem powierzchni.

Wtem ziemia, cegły i belki zaczęły się ruszać. Ciemność wlewała się na peryferie mojej wizji, pochłaniając blask słońca i biel śniegu, którą zastąpiły martwe liście. Cegły i belki uniosły się, strząsając z siebie kurz, i jęły z powrotem organizować się w kształt nadany im przez budowniczych. Nie mogłam oddychać, bałam się patrzeć. Straciłam równowagę i upadłam, a kiedy uderzyłam o podłogę, w szoku otworzyłam oczy. I zobaczyłam, że nie jestem już w Convention Center.

Nie byłam nawet w Miami. Stałam przed opuszczonym szpitalem psychiatrycznym, obok Rachel, Claire i Jude'a.

Rachel wyjęła plan, który przedrukowała sobie z internetu, zawierający dokładny schemat pomieszczeń budynku. Gmach był rozległy, ale można było się w nim zorientować, choć wymagało to czasu. Ustaliliśmy, że wejdziemy przez drzwi piwnicy i przez podziemne magazyny przedostaniemy się na parter, gdzie znajdowała się wielka, przemysłowa kuchnia. Stamtąd kolejne schody powinny doprowadzić nas do sal i gabinetów w skrzydle dziecięcym.

Rachel i Claire zadrżały z podniecenia, kiedy drzwi do piwnic rozwarły się z jęklwym skrzypnięciem. Policja z Laurelton nie zadbała o zabezpieczenie terenu, ograniczając się jedynie do paru tablic ostrzegających przed wchodzeniem do budynku przeznaczonego do rozbiórki. Łamanie zakazów tak kręciło Rachel, że postanowiła wypisać nasze imiona na tablicy w jednej z sal terapeutycznych. Były tam już podpisy innych poszukiwaczy sensacji – albo idiotów, jak wolicie – którzy ośmielili się spędzić tam noc.

Claire pierwsza zeszła po schodach. Światło jej kamery wideo wydobywało z mroku fragmenty podziemi. Musiałam wyglądać na mocno wystraszoną, bo Rachel uśmiechnęła się do mnie i po raz kolejny zapewniła, że wszystko będzie dobrze. A potem ruszyła w dół, za Claire.

Zeszłam za nimi na najniższy poziom szpitala, asekurowana przez Jude'a, który trzymał mnie z tyłu za szlufkę dzinsów. Wzdrygnęłam się. Piwnica była zavalona rupieciami; z popękanych ścian odpadały cegły i kawały tynku. Nagie, pocięte rury zwisały spod sufitu i wszędzie było widać szczurze odchody. Gdy przechodziliśmy obok szkieletowej konstrukcji, która kiedyś musiała być rzędem metalowych półek, światła naszych latarek co chwila wyławiały z mroku widmowe obłoki pary albo mgły, które na próżno starałam się omijać.

Z przodu ukazały się schody z przegniłą drewnianą poręczą, wznoszące się stromo w kierunku parteru. Na pierwszym podejściu, który pojawił się już po pięciu stopniach, zobaczyliśmy samotny drewniany fotel bujany z wysokim oparciem. Niczym upiorny strażnik strzegł następnego odcinka schodów. Zip! Błysk flesza aparatu Rachel na ułamek sekundy wyostrzył

kontury obrazu. Drżałam, a zęby musiały mi szczękać, bo usłyszałam niezadowolony pomruk Claire.

– Boże, ona już ma cykora, a jeszcze nie doszliśmy do pokoiw zabiegowych.

Jude natychmiast stanął w mojej obronie.

– Daj jej spokój, Claire. Tu jest po prostu zimno.

To ją uciszyło. Rachel odsunęła fotel. Płozy zaskrzypiały ohydnie na betonowej podłodze. Pięliśmy się dalej po stromych stopniach, które niepokojąco trzeszczały nam pod nogami. Przez cały czas wstrzymywałam oddech. Kiedy wreszcie dotarliśmy na parter, omal nie zemdlałam, czując wielką ulgę. Znajdowaliśmy się w olbrzymiej spiżarni. Claire torowała sobie drogę wśród śmieci zalegających podłogę, starannie omijając przegniłe fragmenty desek. Prowadziła nas przez kuchnię i dalej, przez barek, urządzony w kącie sali jadalnej. Zip! Kolejne zdjęcie. Robiło mi się niedobrze, kiedy tak kroczyłam za Rachel, wyobrażając sobie pielęgniarki o twarzach więziennych strażniczek i personel przy długim bufecie, serwujący papkę podobną do pomyj śliniącym się i podrygującym pacjentom.

W wejściu do korytarza, w którym znajdowały się pokoje pacjentów, królował rozbudowany system wielokrążków, lin, cięgien i przekładni. Sterownia znajdowała się z prawej strony, a za zrujnowaną dyżurką pielęgniarek majaczyły w mroku potężne przeciwwagi. Wychodzące ze sterowni pęki grubych kabli pełzły po suficie i odgałęziały się do poszczególnych sal, wnikając do wejść zamykanych tysiącfuntowymi stalowymi drzwiami. „Trzymajcie się z dala od systemu bloków” – ostrzegano w internecie. Jakiś dzieciak, który zapuścił się tam samotnie, znalazł się po niewłaściwej stronie drzwi. Jego ciało odnaleziono po pół roku.

Oczywiście nie potrzebowałam ostrzeżenia. Tata nieraz mówił mi i braciom, jak niebezpieczne są stare budynki. Zanim przerwcił się na sprawy kryminalne, występował w imieniu rodziny tego chłopca, zarzucając niedopatrzona właścicielowi nieruchomości i władzom miasta. Powinien wygrać, bo zgromadził aż nadto dowodów. A jednak ława przysięgłych nie stanęła po stronie rodziny. Może sądzili, że chłopak powinien wiedzieć, w co się pakuje. I uznali, że wyrok ma być ostrzeżeniem dla innych śmiazków łamiących zakazy.

W głowie rozbrzmiał mi huk zamykających się potężnych drzwi, od którego zadrżały posady zrujnowanego budynku, i wydawało mi się, że

tony stali za moment odetną mnie od świata na resztę życia. Wyobrażałam sobie, jak można się czuć, kiedy się wie, że nikt już po ciebie nie przyjdzie. I kiedy umiera się głodową śmiercią.

Podeksytowanie Rachel i Claire sięgnęło zenitu, kiedy zobaczyły kable i dźwignie. Zip! Flesz rozświetlił szeroki korytarz widmowym blaskiem. Ja i Jude szliśmy za nimi, trzymając się środka. Sale pacjentów osaczały mnie i nie chciałam się do nich zbliżać.

Powoli posuwaliśmy się dalej. Światło latarki Jude'a tańczyło po ścianach, kiedy zbliżaliśmy się do czarnej dziury ziejącej przed nami. Gdy Rachel i Claire znikły za rogiem, przyspieszyłam, przerażona, że zgubię je w płataninie przejść. Ale Jude zatrzymał się i lekko mnie szarpnął. Stałam i odwróciłam się do niego.

Jego zęby błysnęły w mroku.

– Nie musimy iść za nimi – powiedział.

– Dzięki, ale naoglądałam się za dużo horrorów i wiem, że zostanie z tyłu nie jest najlepszym pomysłem. – Zrobiłam ruch, żeby iść dalej, lecz mnie przytrzymał.

– Tu się nie ma czego bać, naprawdę. To tylko stary budynek.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Jude chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Krąg światła latarki wyłuskał z mroku numer pokoju przed nami – 213.

– Hej – szepnął i ruszył do drzwi.

– Hej – wymamrotałam.

Z rozbawieniem uniósł brew.

– Za bardzo się przejmujesz tym miejscem – powiedział.

Wzruszyłam ramionami i cofnęłam się o krok. Nagle zaczepiłam o coś stopą i upadłam.

Próbowałam otworzyć oczy. Były zażawione i opuchnięte, a mroczny świat wirował wokół mnie. Widziałam tylko jego odłamki. Moje ciało było dziwnie ciepłe, ale leżałam skulona jak embriion.

– Mara? – zapytał Noah z twarzą tuż przy mojej twarzy.

Głowę miałam wtuloną w zagłębienie jego szyi. Niósł mnie. Ale nie byliśmy w starym psychiatryku. Ani w Convention Center.

– Noah – szepnęłam.

– Jestem przy tobie.

Posadził mnie delikatnie na fotelu pasażera i odgarnął mi z twarzy zmierzwiłone pasma włosów. Nie od razu cofnął rękę.

– Co się stało? – zapytałam, choć znałam odpowiedź.

Straciłam przytomność. Znowu miałam przebłysk pamięci. A teraz mną telepało.

– Zemdlałaś w trakcie mojej wielkiej prezentacji – powiedział lekkim tonem, choć był ewidentnie roztrzęsiony.

– Nagły spadek poziomu cukru we krwi – skłamałam.

– Krzyczałaś.

Wpadka. Usadowiłam się wygodniej w fotelu.

– Przepraszam – szepnęłam.

Naprawdę czułam się winna. Czy musiałam się sypać nawet na randce? Nie panowałam nad swoim życiem.

– Nie masz mnie za co przepraszać. Naprawdę.

Uśmiechnęłam się, ale mój uśmiech był bez wyrazu.

– To jednak było dziwne, przyznasz.

Milczał.

– Mogę ci wytłumaczyć – powiedziałam.

Mgła w moim mózgu zaczęła się rozrzedzać. Mogłam mu wytłumaczyć. Należało mu się to.

– Nie ma potrzeby – odpowiedział spokojnie.

Parsknęłam gorzkim śmiechem.

– Dzięki, lecz wolalabym, abyś nie myślał, że to moja typowa reakcja na wystawę sztuki.

– Nie myślę tak.

Westchnęłam.

– Co w takim razie myślisz? – zapytałam, przymykając oczy.

– Nic – odparł bezbarwnym głosem.

Dziwiła mnie obojętność, z jaką Noah odniósł się do tego epizodu. Uniostałam powieki i na niego popatrzyłam.

– Naprawdę nie jesteś ciekaw? – Zaczęłam być trochę po-dejrzliwa.

– Nie. – Ciągle stał przy samochodzie, patrząc gdzieś w dal.

Nie byłam trochę podejrzliwa. Byłam bardzo podejrzliwa.

– A dlaczego nie?

Mój puls przyspieszył w oczekiwaniu na odpowiedź. Nie miałam pojęcia, co usłyszę.

– Bo myślę, że wiem – odparł i spojrzał na mnie. – Daniel – dodał krótko.

Potarłam czoło, nie będąc pewna, czy dobrze słyszę.

– Jak to? Co on ma wspólnego z...

– Daniel mi powiedział.

– Co ci powiedział? Przecież widziałeś go tylko...

Och. Cholerny zdrajca!

To dlatego Noah ani razu nie zapytał mnie o moją dawną szkołę. Ani o przyjaciół. Słowem nie nawiązał do przeprowadzki, choć sam nie tak dawno przeniósł się do Miami. Teraz zrozumiiałam dlaczego. Daniel mu wszystko powiedział. Brat nigdy nie szkodził mi świadomie, ale często działał jak mały pomocnik mamusi. Może uznał, że potrzebuję teraz nowych przyjaciół i że sama sobie ich nie załatwię. Protekcyjny dupek.

Noah zatrzasnął drzwi od mojej strony i usiadł za kierownicą, lecz nie uruchomił silnika. Przez parę chwil żadne z nas się nie odezwało.

Kiedy wreszcie zdołałam odzyskać głos, spytałam:

– Jak dużo wiesz?

– Wystarczająco.

– To ma być odpowiedź?

Przymknął oczy i przez ułamek sekundy miałam wyrzuty sumienia. Nie patrzyłam na niego. Noah mnie okłamywał. Powinien czuć się winny.

– Wiem o... o twoich przyjaciołach. Przepraszam.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? – zapytałam spokojnie. – Czemu kłamałaś?

– Chyba liczyłem, że sama o nich wspomnisz, kiedy do tego dojrzejesz.

Wbrew sobie spojrzałam na niego. Siedział leniwie wyciągnięty w fotelu i z trzaskiem wyłamywał sobie palce, obojętny na otoczenie.

Nieporuszony. Zastanawiałam się, czy w ogóle go to obchodzi.

– Daniel namówił cię, żebyś zabrał mnie tu dzisiaj?

Noah drgnął i obrócił się ku mnie.

– Zwariowałaś? – Nie miałam dobrej odpowiedzi na to pytanie. – Maro, to ja prosiłem Daniela – powiedział.

Zamrugalam.

– Co takiego?

– Zapytałem go o ciebie. Wtedy, kiedy odstawiłaś mnie po angielskim. Wiedziałem, że masz brata, więc znalazłem go, zaczęliśmy rozmawiać i...

Przerwałam mu.

– Doceniam twoje zainteresowanie moją osobą, ale nie musisz kryć Daniela.

Rysy Noaha stężały. Zapaliły się latarnie. Cień rzęs na jego policzku zadrgał w ich świetle.

– Nie kryję go. Nie miałaś ochoty o tym mówić, a ja nie wiedziałem...

– przerwał i wreszcie skupił na mnie spojrzenie. – Nie wiedziałem, co robić, rozumiesz? Więc musiałem cię jakoś poznać.

Zanim moje wargi ułożyły się w słowo „dlaczego”, szybko zaczął mówić dalej.

– Pamiętasz tamten dzień, kiedy byliśmy w łazience? – Nie zczekał na odpowiedź. – Już myślałem, że cię mam. – Chytry uśmieszek na moment zaigrał w kącikach jego ust. – Ale potem powiedziałaś, że słyszałaś... różne rzeczy o mnie, i weszły te dziewczyny. Nie chciałem, żeby obgadywały cię za plecami. Chryste, przecież to był twój pierwszy tydzień w szkole. Nie do pomyślenia, żeby dorobili ci gębę, jeszcze cię nie znając. – Odebrało mi mowę. – Potem zobaczyłem cię w klubie w South Beach. W tej sukience. I pojąłem, że... ach, pieprzyć to. Ja, ten cholerny, egoistyczny drań, po prostu wpadłem. Katie już wcześniej domyślała się, że coś jest na rzeczy, i w końcu powiedziałem jej o tobie. A ty... a ty uciekłaś. Więc absolutnie nie chodzi o to, że kryję Daniela. Po prostu sam nie wiem, co robię – zakończył bezradnie i wpatrzył się w mrok.

Łazienka dla dziewczyn. Klub. Myliłam się na wszystkich frontach.

Albo i nie... To mogła być tylko kolejna jego zagrywka. Och, skąd mam wiedzieć, co było prawdą?

Noah odchylił głowę na oparcie. Ciemne, zmierzwione kędziory opadły mu na twarz.

– I wyszło na to, że jestem skończonym idiotą.

- Możliwe.

Uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

- No dobra, mogło być gorzej - dodałam litościwie. - Mogłeś się posypać jak ja. - Nie zamierzałam powiedzieć tego głośno.

- Nie posypałaś się - zapewnił.

Coś zaczęło we mnie pękać.

- Skąd wiesz? - zaatakowałam, choć całą siłą woli nakazywałam sobie, żeby się zamknąć. To nie miało sensu. - Nie znasz mnie. Wiesz tylko tyle, ile powiedział ci Daniel, ale on nie wie wszystkiego. Ze mną jest bardzo niedobrze. - Głos utknął mi w gardle, zdławiony łkaniem, które domagało się ujścia. Niech to szlag!

- Wiele przeszłaś i...

Tama puściła.

- Nie masz pojęcia, przez co przeszłam i co się ze mną dzieje - powiedziałam i dwie palące łzy potoczyły się po moich policzkach. - Daniel też nie. Gdyby wiedział, doniosłby o wszystkim mojej matce i skończyłabym w wariatkowie. Dlatego błagam, nie próbuj przeczyć, kiedy mówię, że jest ze mną bardzo nie tak. - Nie zdołałam powstrzymać tych słów, ale wypowiadając je, czułam prawdę. Mogłam brać prochy, chodzić na terapię, cokolwiek. Ale zdążyłam już zrozumieć, że psychotyka nie da się wyleczyć, można tylko przytłumić objawy. Beznadzieja tej sytuacji stała się nagle ciężarem nie do zniesienia. - Nikt już na to nic nie poradzi - powiedziałam spokojnie.

Nareszcie.

W tym momencie Noah odwrócił się do mnie. Jego twarz była niezwykle szczerą i otwartą, ale w oczach, które wpatrywały się w moje, dostrzegłam sprzeciw. Puls samowolnie mi przyspieszył.

- Pozwól mi spróbować.

Spodziewałam się różnych reakcji po swoim wyznaniu. Na przykład tego, że Noah popatrzy na mnie jak na wariatkę i wybuch-nie śmiechem. Albo rzuci któryś ze swoich pokrętnych komentarzy, odwiezie mnie do domu, wysadzi przed drzwiami i pędem odjedzie.

Ale takiej reakcji nie przewidziałam.

Jego propozycja zawisła w powietrzu. Czego ma spróbować? Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, bo nie miałam pojęcia, co miał na myśli. Noah spoglądał na mnie wyczekująco, z uśmiechem czającym się na ustach, i musiałam zareagować.

Kiwnęłam głową. To powinno wystarczyć.

Kiedy zajechaliśmy przed mój dom, Noah wysiadł i szybko obszedł samochód, żeby pomóc mi wyjść. Otworzyłam usta, gotowa zaprotestować, ale nie dał mi szansy.

– Lubię robić to dla ciebie. Więc nie każ mi za każdym razem przybiegać sprintem.

Za każdym razem. Dziwnie się czułam, kiedy prowadził mnie alejką do drzwi mojego domu. Coś zaczęło się między nami zmieniać.

– Przyjadę po ciebie jutro rano – powiedział, odgarniając mi kosmyk włosów z twarzy i zakładając go za ucho.

Teraz jego dotyk był czymś naturalnym.

Zamrugałam, jakbym budziła się ze snu, i pokręciłam głową.

– Będziesz musiał nadłożyć drogi.

– I co z tego?

– Daniel i tak jedzie do szkoły.

– I?

– Więc dla...

Noah położył mi palec na ustach.

– Nie. Nie pytaj mnie dlaczego. Daj spokój. Po prostu chcę. I to wszystko. Zgódź się.

Jego twarz była blisko mojej. Bardzo blisko.

Skup się, Maro.

– Wszyscy będą myśleli, że z sobą chodzimy.

– Niech sobie myślą – powiedział, a jego wzrok błędził po mojej twarzy.

– Ale...

– Żadne ale. Chcę, żeby tak myśleli.

Od razu wyobraziłam sobie możliwe implikacje. Ludzie nie uwierzą, że jesteśmy ze sobą, i będą czekali, kiedy mnie rzuci.

– Kiepska ze mnie aktorka – powiedziałam tonem wyjaśnienia.

Noah sięgnął po moją rękę i przyłożył palce do swoich ust. Poczułam niewiarygodnie łagodne muśnięcie jego warg. Patrzył mi prostu w oczy, a ja umierałam.

– Więc niczego nie graj. Widzimy się jutro o ósmej. – Puścił mnie i odszedł do samochodu.

Stałam w drzwiach, patrząc, jak odjeżdża, i walcząc o równy oddech. Obracałam w myślach jego słowa. „Pozwól mi spróbować. Chcę, żeby tak myśleli. Nie graj”.

Coś się pomiędzy nami zaczęło. Jeśli się skończy, będzie po mnie. A to może nastąpić wkrótce, jeśli wierzyć Jamiemu. Chwiejnie weszłam do domu, zamykając za sobą drzwi, i oparłam się o nie, przymykając oczy.

– Witaj w domu. – W głosie Daniela był słyszalny uśmiech, choć nie widziałam, jak się uśmiecha.

Usiłowałam szybko odzyskać równowagę, bo miałam teraz z bratem porachunki i wiedziałam, że muszę się zmobilizować, żeby rozegrać tę sprawę.

– Jesteś mi winien wyjaśnienia – udało mi się wykrztusić.

– Poczuję się – przytaknął bez przekonania. – Dobrze się bawiłaś?

Pokręciłam głową.

– Nie do wiary, że mogłeś mi to zrobić.

– Czy-dobrze-się-bawiłaś? – powtórzył jak automat.

– Nie-o-to-chodzi! – warknęłam.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Lubię tego gościa.

– To nie ma nic do rzeczy. Jak mogłeś mu powiedzieć?

– Okej, zaczekaj chwilę. Po pierwsze, wyjaśniłem mu tylko, dlaczego wyprowadziliśmy się z Laurelton. Że był wypadek, zginęli twoi przyjaciele i postanowiliśmy zacząć nowe życie. Nie masz monopolu na wyjaśnienia, więc odpuść sobie. – Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale Daniel mówił dalej: – Po drugie, to dobry chłopak.

W tym się z nim zgadzałam, ale nie zamierzałam potwierdzać.

– Inni tak nie uważają – powiedziałam.

– Inni zwykle się mylą.

Zgromiłam go spojrzeniem.

– Gadaj. Powiedz mi, jak było. Szczerze.

– Po naszym pierwszym dniu w nowej szkole rozmawiałem z nauczycielem muzyki o moim niezależnym studiu nagraniowym i Noah był świadkiem tej rozmowy. Nawiasem mówiąc, on też komponuje i wydaje się, że jest w tym niezły. Sophie powiedziała mi, że w tym roku miała z nim parę sesji muzycznych.

Pomyślałam o drobnej, jasnowłosej, milutkiej Sophie i nagle nabrałam ochoty, aby skopać jej tyłek i uciec.

– W każdym razie, kiedy skojarzył, kim jestem, zaczął o ciebie wypytywać.

Musiałam to przez chwilę przemyśleć.

– Ale ja poznałam go dopiero drugiego dnia szkoły.

Daniel wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Musiał znać cię wcześniej.

Cmoknęłam i pokręciłam głową.

– Danielu, czemu kłamiesz? Dlaczego, kiedy Noah do nas przyszedł, udawałeś, że się nie znacie?

– Bo obawiałem się, jak sędzę, słusznie, że od razu się zjeżysz. Naprawdę, Maro, reagujesz przesadnie. W sumie niewiele o tobie rozmawialiśmy. Przez większość czasu byliśmy pochłonięci dyskusją o zawitych relacjach Kafki i Nietzschego oraz o elementach parodii w Don Kichocie.

– Tylko nie próbuj zwodzić mnie swoją erudycją – ostrzegłam. – Z jakiej racji nagrywasz dla mnie nowych przyjaciół? Czy jestem aż tak żałosna?

– Nie o to mi chodziło. A jeśli nawet, czy masz ich nadmiar, tu w Miami? Chyba że kogoś przeoczyłem?

Momentalnie usztywniłam plecy.

– Jesteś świnią – warknęłam.

– Być może. Ale fakt pozostaje faktem. Ponieważ nalegasz, żeby traktowano cię normalnie, odpowiedz mi szczerze na pytanie: czy nawiązałaś jakieś przyjaźnie od czasu naszej przeprowadzki?

Moje spojrzenie mogło zabić.

– Owszem, tak.

– Z kim konkretnie?

– Z Jamiem Rothem.

– To ten niziołek od eboli? Słyszałem, że jest lekko zaburzony.

– Miał tylko jeden incydent.

– Niezupenie.

Zacisnęłam zęby.

– Rzygam tobą, braciszku. Naprawdę.

– Kocham cię, siostrzyczko. Dobrej nocy.

Wpadłam do swojego pokoju, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

Nazajutrz rano obudziłam się otumaniona, jakbym spała za długo, ale głowa bolała mnie jak z niewyspania. Zegarek wskazywał 7:48.

Zakłęłam i wygramoliłam się z łóżka, w pośpiechu wkładając ubranie. Kiedy przechodziłam koło biurka, zatrzymałam się. Na serwetce ktoś położył białą pigułkę. Zacisnęłam powieki, starając się głęboko oddychać. Myśl, że mam ją zażyć, była nieznośna. Znienawidzona. Jednak incydent w Convention Center był bardzo niepokojący, nie mówiąc już o wcześniejszej sytuacji z wanną. Poza tym nie chciałam znów zrobić numeru przy Noahu. Chciałam, żeby uważał mnie za normalną. I moja rodzina. I w ogóle wszyscy.

Zanim zdążyłam to wszystko przemyśleć, wrzuciłam pigułkę do ust i wybiegłam z pokoju. Wypadłam z za rogu korytarza i zderzyłam się z ojcem, wytrącając mu z ręki teczkę z papierami. Kartki rozsypały się po podłodze.

– Hola, pali się?! – zawołał.

– Przepraszam, zaraz spóźnię się do szkoły.

Zdziwił się.

– Daniel już wyjechał. Nie wiedziałem, że ktoś jest jeszcze w domu.

– Kolega mnie zawiezie – powiedziała, przyklękając. W pośpiechu zebrałam papiery i podałam je ojcu.

– Dzięki, kochanie. A jak się czujesz? Rzadko cię ostatnio widuję. Wszystko przez ten głupi proces.

Przestąpiłam z nogi na nogę. Spieszno mi było do Noaha.

– A kiedy się odbędzie?

– Rozprawa za dwa tygodnie, potem tydzień na apelacje – powiedział, całując mnie w czoło. – Pogadamy jeszcze, zanim zjadę do bazy.

Uniosłam brwi.

– Przeniosę się do hotelu na czas przygotowań i procesu.

– Aha.

– Ale nie martw się, zobaczymy się jeszcze przed moim wyjazdem. A teraz leć. Kocham cię.

– Ja też cię kocham. – Cmoknęłam go w policzek i ruszyłam biegiem,

zarzuciwszy torbę na ramię.

Kiedy wypadłam na werandę, Noah już czekał.

Tego ranka Noah Shaw wymagał dodatkowego opisu. Miał na sobie, zaczynając od dołu:

Buty: szare chucksy.

Spodnie: grafitowe sztruksy.

Koszula: wąska, cienka, w drobne prążki, sportowy fason, wyrzucona na spodnie. Supercienki krawat, zawiązany na rozpiętym kołnierzyku, odstaniającym fragment T-shirta z filmowym nadrukiem.

Stopień niedogolenia: pomiędzy trzecim a piątym dniem.

Półśmieszek: pokrętny.

Oczy: niebieskie i bezkresne.

Włosy: w pięknym, bardzo pięknym nieładzie.

– Cześć – powiedział ciepłym, głębokim głosem.

Boże, ratuj.

– Cześć – wykrztusiłam z trudem, mrugając w słońcu.

A może po prostu za długo patrzyłam na tego faceta? Jak kto woli.

– Przydałyby ci się okulary przeciwsłoneczne.

Otarłam oczy dłonią.

– Wiem.

Nagle Noah przede mną przykucnął.

– Co ty ro...

W pośpiechu nie zawiązałam sznurowadeł!

I teraz on mi je wiązał. Zerknął spod ciemnej zastony rzęs i się uśmiechnął.

– No – powiedział – teraz się nie potkniesz.

Za późno.

Kiedy zajechaliśmy na szkolny parking, spociłam się pomimo klimatyzacji. Ludzie wysiadali z samochodów i szybko przebiegali przez kampus. Byłam spięta i zdenerwowana, bo po raz pierwszy miałam wejść do szkoły z Noahem. Przerazał mnie ten publiczny akt.

– Gotowa? – zapytał z kpiącą powagą.

– Nie bardzo – przyznałam.

Noah stropił się.

– Co się dzieje?

– Popatrz na nich. – Wskazałam na hordy uczniów. – Zaraz... wszyscy będą mówili tylko o nas.

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Maro, oni już o nas mówią.

Nie poprawiło mi to humoru. Nerwowo gryzłam dolną wargę.

- To co innego – powiedziałam. – Teraz wystawiamy się świadomie. Celowo. Z własnego wyboru.

Wówczas Noah powiedział tę jedną, jedyną rzecz, która była w stanie poprawić mi humor:

- Nie zostawię cię ani na chwilę. Będę przy tobie. Cały dzień.

W jego głosie nie było rozbawienia. Wierzyłam mu. Noah w Croyden robił, co chciał, więc równie dobrze mógł być na moich lekcjach. Jak ja to przeżyję?

Noah chwycił blezer z tylnego siedzenia, włożył go niedbale, po czym otworzył przede mną drzwi. I oto stanęliśmy obok siebie przy aucie, ściągając na siebie wszystkie spojrzenia. Panika sparaliżowała mi gardło. Zerknęłam na Noaha, sprawdzając jego reakcję. Miał zadowoloną minę. Podobał mu się ten cyrk.

- Kręci cię to – powiedziałam z niedowierzaniem.

Uniósł brwi ze zdumieniem.

- Po prostu lubię być z tobą. I cieszy mnie, kiedy ludzie widzą nas razem. Objął mnie, przyciągnął do siebie i cały mój niepokój się ulotnił. Przynajmniej na razie.

Gdy zbliżaliśmy się do wejścia, zauważyłam paru chłopaków kręcących się koło zaparkowanych samochodów. Na nasz widok zrobili wielkie oczy, a ich szczęki, żujące gumę, prawie że zamarły.

- Ziom! – zawołał gość o imieniu Parker i przytruchtał do Noaha.

Noah pytająco uniósł brew.

Parker zauważył mnie po raz pierwszy, odkąd przybyłam do Croyden.

- Cześć, jak tam? – zagadnął.

- Cześć – bąknęłam.

Byłam w szoku.

- Czy wy, ludki...?

Noah spiorunował go wzrokiem.

- Odwal się, Parker.

- Dobra, dobra. Aha... eem, Kent chciałby wiedzieć, czy dalej jesteśmy umówieni na jutro na wieczór?

Noah spojrzał na mnie i powiedział:

- Nie i już nie będziemy się umawiać.

Parker zerknął na mnie znacząco.

- To kicha.

Noah potarł palcem kącik oka.

– Skończyłeś?

Parker uśmiechnął się niezręcznie.

– Taa, jasne. No to nara – powiedział i oddalił się, puściwszy do mnie oko.

– On jest... ekstra – powiedziałam, patrząc, jak dołącza do swojej paczki.

– Nie powiedziałbym tego – mruknął Noah.

Roześmiałam się, lecz przerwałam, kiedy odezwał się jakiś głos.

– Niezła jest. Puknąłbym ją sobie.

Szłam dalej.

– Ja tam bym ją puknął nieraz – dodał ktoś inny.

Krew zaszumiała mi w uszach, ale się nie obejrzałam.

– A ja to bym się tak wbił, że ten, kto by mnie wyciągnął, zostałby królem Anglii.

Zorientowałam się, że Noaha nie ma przy mnie. Przygwoździł Kenta z mojej klasy do samochodu i trzymał go za klapy.

– Mogę ci zrobić poważną krzywdę – powiedział niskim, groźnym głosem.

– Ziom, wyluzuj. – Kent był zdumiewająco spokojny.

– Noah. – Usłyszałam własny głos. – Zostaw, nie warto.

Noah zmrużył powieki, ale go puścił. Kent wygładził sobie koszulę.

– Pieprz się, Kent.

Kretyn roześmiał się.

– Och, z chęcią.

Noah obrócił się błyskawicznie i usłyszałam odgłos pięści walącej w twarz. Kent padł na asfalt, trzymając się za nos.

Kiedy zbieraliśmy się do odejścia, Noah powiedział:

– Nie chciałem, wierz mi. Ale nie mogłem się powstrzymać, żeby nie sprzątnąć tego gówna z twojej drogi.

– Złamałeś mi nos!

Krew splamiła przód koszuli Kenta. Wokół nas zaczął się gromadzić tłumek gapiów. Nagle przepchał się przez nich jeden z nauczycieli.

– Shaw, do dyrektora. Natychmiast!

Noah zignorował go i odwrócił się do mnie. Był wprost niezmiernie spokojny. Kłykcie jednej ręki miał opuchnięte, ale drugą objął mnie za szyję i przyciągnął do siebie. Bałam się, że nogi za chwilę odmówią mi posłuszeństwa. Zadzwieczał dzwonek. Po-patrzyłam na Noaha, a on

musnął wargami moje ucho.

– Było warto – szepnął mi we włosy.

Nauczyciel stał parę metrów od nas i czekał.

– Nie żartuję, Shaw. Wszystko jedno, kim są twoi rodzice; masz natychmiast zgłosić się do gabinetu pana Kahna.

Noah cofnął się o krok i uważnie zbadał wzrokiem moją twarz.

– Poradzisz sobie?

Kiwnęłam głową. Wpatrywał się we mnie jeszcze przez chwilę, aż wreszcie cmoknął mnie w czoło i odszedł z ociąganiem.

Kiedy ochłonęłam z szoku, zebrałam się w sobie i pod ostrzałem spojrzeń ruszyłam do klasy. Na angielski weszłam w chwili, kiedy pani Leib zaczęła lekcję. Mówiła o zbliżających się egzaminach, ale to moja osoba skupiła całą uwagę. Zerkano na mnie ukradkiem, pod stolikami krążyły karteczki, a ja siedziałam skulona na krześle, marząc, żeby wtopić się w jego twardej plastik. Myślałam o Noahu tłumaczącym się ze swojej rycerskości na dywaniku u dyrektora. Albo raczej z głupiego starcia kogutów. Jakkowiek by to nazwać, podobało mi się. Bardziej niż skłonna byłam przyznać.

Noah pojawił się w połowie lekcji. Na jego widok idiotyczny uśmiech opromienił mi twarz. Kiedy wychodziliśmy z klasy po dzwonek, wziął moją torbę i zarzucił ją sobie na ramię.

– Jak było u dyrektora? – zapytałam.

– Po prostu siedziałem i przez pięć minut patrzyłem na niego, a on siedział i patrzył na mnie. Następnie zasugerował, żebym w czasie dwudniowego zawieszenia przemyślał sobie sprawę uprzejmego odnoszenia się do innych, po czym pozwolił mi kontynuować mój szczęśliwy żywot.

Zrzedła mi mina.

– Zawiesił cię?

– Po egzaminach – wyjaśnił, wcale niezmartwiony. Uśmiechnął się szeroko. – Tyle kosztowała mnie obrona twojej czci.

Roześmiałam się.

– Tu nie chodziło o moją cześć. Po prostu musiałeś oznaczyć swoje terytorium. – Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale nie dałam mu dojść do głosu. – Jak to samiec – dodałam bezlitośnie.

Noah zachichotał.

– Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam.

– Nie musiałeś tego robić.

Leniwie wzruszył ramionami i wpatrzył się w jakiś punkt przed sobą.

– Chciałem.

– Czy to zaszkodzi twojemu świadectwu albo w ogóle ocenom?

– Z moją fenomenalną średnią? Wątpię.

Przystanąłem przed drzwiami do klasy algebry.

– Fenomenalną?

Uśmiechnął się z satysfakcją.

– Myślałaś, że mam tylko piękną buźkę?

– Nie do wiary. Przecież nie używasz podręczników i nie robisz notatek. Jak ci się to udaje?

Noah wzruszył ramionami.

– Mam dobrą pamięć – wyjaśnił.

Na korytarzu pojawił się Jamie.

– Hej – powitał go Noah.

– Hej – odpowiedział Jamie i rzuciwszy mi krótkie spojrzenie, wyminął nas i wszedł do klasy.

Jeśli Noah zauważył jego reakcję, nie dał nic po sobie poznać.

– Zobaczymy się później? – zapytał.

To od razu poprawiło mi humor.

– Jasne – odparłam z uśmiechem i wmaszerowałam do sali.

Jamie siedział przy stoliku. Dołączyłam do niego, głośno cisnąwszy torbę na podłogę.

– Wiele się zmieniło od czasu, kiedy ostatni raz cię widziałem – stwierdził, nie patrząc na mnie.

Postanowiłam nie ułatwiać mu zadania.

– Wiem – powiedziałam z dramatycznym westchnieniem. – Nie masz pojęcia, jak strasznie boję się egzaminów.

– Co innego miałem na myśli.

– Musisz być od rana nieprzenikniony jak Yoda?

– Dlaczego unikasz tematu dnia? – zapytał Jamie, szkicując w swoim notesie dziwny obraz ziejącego ogniem smoka z ludzką ręką.

– Nie unikam, tylko uważam, że nie ma o czym mówić.

– Dobrze sobie, nie ma o czym. Nowa w szkole, samotnica, nagle pokazuje się w parze z najgorętszym ciachem w całej budzie, a w tle galeria jej fanatycznych szkiców ilustrujących ich zaskakujący związek. To jeszcze mało? – Jamie nadal unikał kontaktu wzrokowego.

Pochyliłam się ku niemu.

– To nie notatnik fanki, tylko taka zasłona dymna.

Wreszcie spojrział na mnie i uniósł brwi.

– Czyli to wszystko bujda?

Cmoknęłam, a potem zagryzłam usta.

– Niezupełnie. – Nie miałam pojęcia, jak mu wyjaśnić, co zaszło pomiędzy mną a Noahem, i w sumie nie byłam pewna, czy tego chcę.

Jamie znów skupił się na smoku.

– W takim razie powinnaś opowiedzieć mi wszystko od początku i dokładnie.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć Jamiemu, tok moich myśli przerwała Anna.

– Ile im dajesz, Aiden?

Aiden udał, że przygląda mi się z namysłem.

– Do końca tygodnia, jeśli sama odpuści. Jak będzie uparta, załapie się jeszcze na parę dni.

– Zazdrosna? – spytałam spokojnie, choć w środku kipiła we mnie furia.

– Zazdrosna o to, jak się poczujesz, kiedy Noah cię sptawi? – odparowała pytaniem. Jej nadęte usteczka wykrzywił zjadliwy grymas. – Żałosne. Ale ciesz się, bo z niego jest niezły ogier – dodała scenicznym szeptem. – Korzystaj, póki czas.

Wycofała się, bo pan Walsh wszedł do klasy. Siedziałam spokojnie i notowałam, bardzo, bardzo mocno przyciskając długopis do papieru. Żołądek przewracał mi się na myśl, że Anna ma tę szczególną wiedzę o Noahu. Jamie mówił, że kiedyś chodzili ze sobą. Co niekoniecznie znaczyło, że...

Nie wiedziałam tego i nie chciałam wiedzieć.

Podniosłam się równo z dzwonkiem, a jedna z dziewczyn, Jessica, przechodząc, trąciła mnie łokciem. A tej o co chodzi? Zgarnęłam książki ze stolika i kiedy szłam z nimi do drzwi, ktoś wytrącił mi je z ręki. Obejrzałam się, ale ludzie wokół mieli niewinne miny.

– Co jest, do licha? – mruknęłam do siebie, schylając się, żeby je podnieść.

Jamie przykucnął obok mnie.

– Wsadziłaś kij w croydeńskie gniazdo os.

– O czym ty mówisz? – Z furią wepchnęłam książki do torby.

– Noah przywiózł cię do szkoły.

- No i co z tego?

- Żadnej dotąd nie przywoził.

- No i co z tego? – powtórzyłam coraz bardziej sfrustrowana.

- Zachowuje się, jakby był twoim chłopakiem. A to sprawia, że dziewczyny, które traktował jak... kondomy, są nieco zazdrosne.

- Jak kondomy? – zdziwiłam się.

- Użyć i wyrzucić – wyjaśnił.

- Ohyda.

- Ale tak jest.

Zignorowałam jego uwagę. W tej materii miałam zerową wiedzę o Noahu.

- O co tu chodzi? Byłam niewidzialna, a teraz stałam się tarczą strzelniczą?

Jamie przekrzywił głowę i zaczął się śmiać.

- Och, nigdy nie byłaś niewidzialna.

Noah czekał na mnie przed klasą. Jamie bez słowa wyminął nas i ruszył do następnej pracowni. Noah nawet go nie zauważył.

Deszcz dudnił na daszku osłaniającym przejście, ale nie skorzystał z tej ochrony. Szedł po trawie. Nie potrafiłam powstrzymać się od zadania pytania, które dręczyło mnie od lekcji al-gebry.

- W zeszłym roku chodziłeś z Anną, tak?

Zadowolony wyraz jego twarzy przeszedł w niesmak.

- Nie określiłbym tego jako „chodzenie”.

A więc Jamie miał rację.

- Dno – mruknęłam.

- Nie było aż tak źle.

Miałam ochotę walnąć głową w ceglany łuk przejścia.

- Nie mam ochoty tego słuchać, Noah.

- A co byś chciała usłyszeć?

- Że ma łuski pod tym mundurkiem.

- Tak daleko moja wiedza nie sięga.

Serce zabiło mi mocniej, ale udało mi się odegrać zdawkowe zainteresowanie.

- Naprawdę?

- Naprawdę – odparł z rozbawieniem.

- Więc... em, jak to było? – zapytałam ostrożnie.

Niedbale wzruszył ramionami.

- Można powiedzieć, że przywiązała się do mnie, a ja znosiłem to

cierpliwie, dopóki jej paskudny charakterek i moja totalna niezdolność odczytania prymitywnych komunikatów, które mi wysyłała, zakończyły sprawę.

To jednak nie wystarczyło, żeby otrąbić zwycięstwo.

– Powiedziała, że niezły z ciebie ogier – zdradziłam, udając, że nastuchuję, jak woda bulgocze w rynnie przy szafkach. Moja mina zdradziłaby mu wszystko, gdyby teraz na mnie spojrzął.

– Może nie uwierzysz, ale to prawda – zapewnił.

Jak miło.

– Chyba nie mówiłaby tego, gdyby sama nie sprawdziła.

Poczułam, że Noah unosi mi palcami podbródek, zmuszając, żebym spojrzęła mu w oczy.

– Jak to możliwe, Maro Dyer?

Przygryzłam wargę i opuściłam wzrok.

– Co?

– Nie wierzę – powiedział ze zdumieniem.

– W co nie wierzysz?

– Jesteś zazdrosna. – Wyczułam rozbawienie w jego głosie.

– Skądże – skłamałam.

– Ależ jesteś. Zapewniam cię, że nie masz powodu, choć przyznam, że na swój sposób mi to pochlebia.

– Nie jestem zazdrosna – zaprzeczyłam uparcie, a twarz płonęła mi pod dotknięciem jego palców.

Odwróciłam się do szafki. Noah pytająco uniósł brwi.

– Więc dlaczego tak to cię interesuje?

– Wcale mnie nie interesuje. Ona jest taka... taka podła – powiedziałam wpatrzona w ziemię pod swoimi nogami. Dopiero po chwili zdobyłam się na odwagę, żeby popatrzeć na Noaha. – Dlaczego pozwalasz, by chełpiła się, że z tobą spała?

– Bo nie mam zwyczaju obnosić się z moim intymnym życiem – odpowiedział, nieznacznie odwracając wzrok.

Otworzyłam drzwi szafki.

– Pozwalasz każdemu, żeby opowiadał dowolne, zmyślane rzeczy na twój temat – powiedziałam do ciemnego wnętrza szafki.

– Czy to rani twoje uczucia? – zapytał niskim głosem zza moich pleców.

– Ja nie mam uczuć – odparłam, zagłębiając głowę w szafce.

Zobaczyłam, jak dłoń Noaha opiera się o sąsiednie drzwiczki,

i poczułam, że pochyła się od tyłu nade mną. Powietrze zgęstniało od elektrycznych ładunków jak przed burzą.

– Pocałuj mnie – powiedział po prostu.

– Słucham? – Odwróciłam się i znalazłam się z nim twarzą w twarz.

Krew pulsowała mi pod skórą.

– Chyba mówię wyraźnie.

Czułam spojrzenia innych uczniów. Kątem oka zarejestrowałam, że cała ich gromada tłoczy się pod daszkiem, czekając, aż deszcz przestanie padać. Wgapiali się w wysoką, szczupłą sylwetkę Noaha, górującą nade mną. Przysunął się jeszcze bliżej, czekając na mój ruch. Twarz paliła mnie od ich spojrzeń, od jego spojrzenia, lecz o dziwo, gapie zaczęły nagle znikać. Nie dlatego, że się rozeszli. Po prostu znikli.

– Nie mam ochoty na pocałunki – wymamrotałam, zawieszając spojrzenie na twarzy Noaha.

Cień uśmiechu pojawił się na jego ustach.

– Tak?

Przełknęłam z wysiłkiem i poważnie skinęłam głową.

– To jest głupie – powiedziałam głośno na użytek rzadniejącego tłumu. Ale przecież go nie było. Znikł. – Pakowanie języka do czyichś ust jest głupie. I niesmaczne – oświadczyłam.

Doprawdy, takiej definicji pocałunku nie zna Wielki słownik języka angielskiego. Brawo, Maro.

W kącikach oczu Noaha pojawiły się zmarszczki od śmiechu, ale pozostał poważny. Wolną ręką przeczesał czuprynę, ale i tak parę niesfornych kosmyków opadło mu na czoło. Jego bliskość była wprost nieznośna. Chłonęłam ją razem z wonią deszczu.

– Z iloma chłopakami się całowałaś? – zapytał spokojnie.

Pytanie przywróciło mnie do rzeczywistości. Wymownie uniosłam brwi.

– Z chłopakami? Czemu akurat z chłopakami?

Zaśmiał się cicho.

– Dobra, w takim razie z dziewczynami. No więc z iloma?

– Jak mam odpowiedzieć?

– Z niewieloma? Z dziewczynami czy chłopakami? Sprecyzuj to.

– Ani to, ani to. – Niech się domyśla.

– Ile?

– O co ci...

– Nie chcę więcej używać tego słowa. I ty też nie powinnaś. Po prostu

powiedz, ile razy.

Policzki mnie piekły, ale głos miałam nad wyraz spokojny.

– Raz.

Nie do wiary, że zdołał przysunąć się jeszcze bliżej. Poczułam, jak mięśnie jego ciała napinają się, aby utrzymać stan bliskości bez dalszego zbliżania się. Czułam go przy sobie tak intensywnie, że obawiałam się, jak zareaguje moje serce, bliskie eksplozji. Może Noah niczego ode mnie nie chciał. A może było mi wszystko jedno. Przymknęłam oczy i poczułam, jak jego wczorajszy zarost łaskocze mnie po twarzy, a wargi niesłyszalnie szepczą mi coś do ucha.

– Kiepsko to robił.

Wargi Noaha dotknęły mojego policzka i zostały tam. Płonęłam. Kiedy otworzyłam oczy, a mój oddech zwolnił, Noaha już przy mnie nie było. Stał przy szafkach, nonszalancko oparty o ścianę, i czekał, aż wyjmę swoje rzeczy na zajęcia ze sztuki.

Rozległ się dzwonek.

A ja dalej stałam bez ruchu, czując na policzku usta Noaha jak jakiś stempel, wgapiona w niego jak idiotka. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Na moment przymknęłam oczy, nabrałam powietrza i z resztkami godności minęłam go i odeszłam, unikając deszczu. Nie obejrzałam się, czy Noah idzie za mną. Dobrze, że następną lekcją była sztuka. Potrzebowałam dekompresji, spokoju, żeby skontrolować swój poziom stresu, jak mówiła doktor Maillard. Przy Noahu nie mogłabym tego zrobić. Kiedy stanęliśmy przed klasą, powiedziałam, że spotkamy się później.

Pionowa zmarszczka przecięła mu czoło, kiedy patrzył, jak inni wchodzi do klasy.

– Ale mam teraz wolną godzinę.

– Więc idź do biblioteki.

– Chciałem zobaczyć, jak rysujesz. – Przymknęłam oczy i zmęczonym gestem potarłam czoło. Był po prostu niemożliwy! – Nie chcesz, żebym tu z tobą był?

Otworzyłam oczy. Noah był szczerze i uroczo zmartwiony.

– Będiesz mnie rozpraszał – odpowiedziałam szczerze.

– Nie będę, obiecuję. Wezmę ołówek i będę coś sobie rysował w kąci. Samotnie.

Nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu i Noah uznał, że zmiękłam. Szybko wszedł do klasy, na wypadek gdybym się rozmyśliła. Niespiesznie zajęłam miejsce w najdalszym końcu sali. Przyglądał się z daleka, jak wyjmuję ołówek i węgiel do rysowania.

Zignorowałam go, ciesząc się, że mam swój azyl. Otworzyłam szkicownik i szybko przeczuciłam strony z Noahem. Nauczycielka odchrząknęła i zaczęła lekcję.

– Witam was! Nazywam się Adams i dzisiaj poprowadzę zajęcia, gdyż pani Gallo wypadły ważne sprawy do załatwienia. – W okularach

i krótkich włosach wyglądała bardzo młodo. Głos też miała młody.

Kiedy pani Adams sprawdzała listę i wywołała nazwisko nieobecnego ucznia, Noah podniósł rękę. Spojrzałam na niego podejrzliwie. Gdy skończyła, wstał i ruszył do tablicy, nie zważając na zdumione spojrzenia klasy.

– Um... – Nauczycielka zerknęła do dziennika. – Ibrahim Hassin?

Noah kiwnął głową. Myślałam, że zaraz zejde.

– Coś się stało? – zapytała zdziwiona nauczycielka.

Noah udał zdziwienie.

– Jak to, pani Gallo nic pani nie mówiła? Dzisiaj mieliśmy rysować modela.

Nie umarłam. To były tylko tortury.

– Och... nie wiedziałam.

– To prawda – pisnęła dziewczyna w stroju cheerleaderki. Zdaje się, że miała na imię Brittany. – N... Ibrahim miał pozować jako pierwszy. Tak ustaliliśmy z panią Gallo. – Chór głosów skwapliwie potwierdził tę informację.

Pani Adams była zmieszana i wyraźnie nie wiedziała, jak zareagować.

– Hm... Dobrze, skoro tak zostało ustalone. Czy wiecie, co macie robić?

Noah poczęstował ją olśniewającym uśmiechem i sięgnął po krzesło.

– Oczywiście – zapewnił.

Rozsiadł się na środku, przed tablicą, a ja wbiłam wzrok w szkicownik, czując presję jego spojrzenia.

– Zaraz... nie, czekaj... – Usłyszałam nutę desperacji w głosie nauczycielki.

Uniosłam wzrok. Noah właśnie rozpinął koszulę. Jezu Chryste!

– Model nie powinien mieć ubrania, prawda?

Rozwiązał krawat. W żeńskiej części klasy zaczęły się ochy, achy i chichoty.

– O Boże!

– Ja pierniczę!

– Ciacho. Totalne ciacho.

Koszula sfrunęła na podłogę. Noah niespiesznym ruchem podciągnął T-shirt pod szyję. Miałam ochotę zapaść się pod ziemię. Musiał słyszeć piski dziewczyn, ale kompletnie je ignorował. Wyłapał moje spojrzenie i postawił mi triumfalny uśmiech.

– P-panie Hassin, proszę się ubrać – wykrztusiła pani Adams.

Noah, który już miał ściągnąć koszulkę przez głowę, znieruchomiał na moment, przedłużając efekt, a potem opuścił T-shirt i włożył koszulę, krzywo zapinając guziki. Mankiety zostawił niezapięte.

Pani Adams odetchnęła z widoczną ulgą.

– Dobrze, bierzcie się do pracy.

Noah nie spuszczał ze mnie wzroku. Przełknęłam z wysiłkiem. Pozował w sali pełnej ludzi, ale nie widział nikogo poza mną. Miałam wrażenie, że jesteśmy tam tylko we dwoje. Czułam, jak rodzi się pomiędzy nami nowa, intymna więź, kiedy tak trwaliśmy, złączeni spojrzeniem, wśród skrzywienia dwudziestu grafitów sunących po papierze.

Pochyliłam się nad kartką i twarz Noaha przyptynęła ku mnie z nicości. Naszkicowałam linię szyi, wycieniowałam zbójecko uśmiechające się usta i jaśniejszym tłem podkreśliłam linię szczęki, rysującą się na tle pochmurnego nieba. Tak się zapamiętałam, że nie słyszałam dzwonka i nie zauważyłam, że ludzie wstają i wychodzą. Nie zauważyłam nawet, że Noah już nie pozuje.

Poczułam muśnięcie palców na karku.

– Hej – powiedział.

Głos miał miękki i łagodny.

– Hej – odpowiedziałam skulona nad kartką i nieśmiało zerknęłam w górę.

– Mogę?

Nie potrafiłam mu odmówić, więc milczałam. Odsunęłam się nieznacznie, żeby mógł zobaczyć portret.

Usłyszałam, jak gwałtownie wciąga powietrze. Przez chwilę trwaliśmy w ciszy.

– A więc tak wyglądam? – zapytał wreszcie.

Jego spojrzenie było nieprzeniknione.

– Tak ja cię widzę. – Nie odpowiedział. – Takim zobaczyłam cię w danym momencie – dodałam. Nadal milczał. Z zakłopotaniem poprawiłam się na krześle. – Inni z pewnością narysowali cię zupełnie inaczej. – Trwał, wpatrzony w swój portret. – Nie jest najgorszy – powiedziała, robiąc ruch, żeby zamknąć szkicownik.

Noah przytrzymał mi rękę.

– Nie – powiedział ledwie słyszalnym głosem.

– Nie?

– Jest fantastyczny.

Nie spuszczał wzroku z rysunku, ale wydawał się nieobecny. Zamknęłam szkicownik i schowałam go do torby. Kiedy wychodziliśmy z klasy, Noah zacisnął palce na moim przegubie.

– Dasz mi go? – zapytał.

W zdumieniu uniosłam brwi.

– Ten szkic – dodał, jakbym nie wiedziała, o co chodzi.

– Ach, tak. Jasne.

– Dzięki – powiedział z tym swoim flirciarskim uśmiechem. – A czy byłoby nadużyciem, gdybym poprosił o twój?

– Autoportret? – upewniłam się. Noah potwierdził uśmiechem. – Dawno ich nie rysowałam.

– Więc najwyższy czas, żebyś zaczęła.

Rozważałam przez chwilę tę myśl. Musiałabym to robić bez spoglądania w lustro, żeby przypadkiem nie uwiecznić na portrecie nieżyjących ludzi. Niezobowiązująco wzruszyłam ramionami i skupiłam się na obserwacji kropeł deszczu skapujących z dachu nad naszymi głowami.

Z kieszeni Noaha dobiegł niski, wibrujący dźwięk. Wyjął komórkę i zmarszczył czoło.

– Coś nie tak?

– Mmm... – mruknął, wpatrując się w ekran. – To twój brat.

– Daniel? Czego chce?

– Nie, Joseph – powiedział, szybko odpisując na esemesa. – Przysłał mi namiar na korzystne akcje.

Dziwna ta moja rodzinka.

Noah wsunął komórkę do kieszeni.

– Chodźmy coś przekąsić w naszej sali jadalnej – powiedział nagle.

– Och...

– A może nie masz ochoty?

– Jeśli chcesz, możemy iść – odparłam z rezygnacją.

Z rozbawieniem uniosłam brwi.

– Poszło łatwiej, niż się spodziewałem. Mój striptiz musiał zaburzyć twój spokój.

Westchnęłam.

– Chcesz, żebym cię znienawidziła?

– Nie chcę, żebyś mnie znienawidziła. Chcę, żebyś mnie pokochała. – Wiedział, drań, że nie zaprzeczę. – I co, zrobisz mi na przekór i poddasz się? – prowokował.

Ruszyłam przed siebie.

– Po tym, co było w klasie, już gorzej być nie może.

Noah zatrzymał się.

– Gorzej?

– Świadomość, że wszyscy gapią się na mnie, zastanawiając się, czy już „odwaliła mi wagina”, nie jest tak ekscytująca, jak mogłoby ci się wydawać.

– Wiem – odpowiedział, poważniejąc. Ciągłe trzymał mnie za rękę. Moja dłoń wydawała się bardzo mała w jego dłoni. – Wiedziałem, że tak będzie – dodał.

Odrzuciłam włosy z czoła.

– Jakoś to zniosę.

– Miało być inaczej – powiedział i nozdrza mu zadrgały. – Chciałem im pokazać, że jesteś inna. I dlatego... o Chryste... – dodał zduszonym głosem. – Dlatego to wszystko. Bo jesteś inna – dokończył cicho, jakby mówił do siebie.

Jego mina stała się dziwna. Wpatrywał się we mnie w milczeniu. Badawczo. Byłam kompletnie dezorientowana, ale zanim zdążyłam zapytać, o co chodzi, wyraz jego twarzy znów się zmienił. Puścił moją rękę. – Jeśli masz cierpieć przeze mnie, to...

Zanim zdążyłam pomyśleć, chwycił go za rękę.

– ...to będę dużą, dzielną dziewczynką i stanę do boju. – Pokazałam gestem widoczne w oddali wejście do stołówki. – Idziemy?

Resztę drogi przeszliśmy w milczeniu. Zastanawiałam się nad tym, co powiedziała i co to właściwie oznacza. Ludzie pomyślą, że jestem łatwą dziewczyną. Już tak myślą. I choć Noah był inny – wydawał się inny – niż osobnik, przed którym przestrzegał mnie Jamie, nie miałam gwarancji, że nasza znajomość nie skończy się choćby jutro. Czy było o co walczyć? Reputacja Noaha najwyraźniej nie przeszkadzała Danielowi. A Jamiemu? Miałam nadzieję, że cała sprawa nie wpłynie na naszą przyjaźń. Tak czy owak, wszystko zależało od Noaha.

Trudno, co ma być, to będzie.

Weszliśmy do stołówki, trzymając się za ręce. Kiedy Noah otworzył przede mną drzwi, zrozumiałam, dlaczego nazwał ją salą jadalną. Sklepienie było wysokie jak w kaplicy, a dźwigające je potężne łuki opadały aż do podłogi, tworząc ramy dla wysokich, również łukowych okien. Nieskazitelna biel ścian kontrastowała z lśniącoimi podłogami z ciemnej orzechowej klepki. Nic w tym imponującym pomieszczeniu nie

kojarzyło się z potocznym wyobrażeniem szkolnej stołówki.

– Masz jakieś preferencje co do stolika? – zapytał Noah.

Ogarnęłam spojrzeniem gwarne wnętrze, pełne uczniów w croydeńskich mundurkach.

– Chyba żartujesz?

Wzięliśmy dania na tace i poprowadził mnie pomiędzy rzędami stolików. Ludzie gapili się na nas i odprowadzali spojrzeniami. Nagle Noah zobaczył kogoś znajomego w samym końcu sali i do niego pomachał. Tamten ktoś wezwał go do siebie gestem.

To był Daniel. Na mój widok zrobił wielkie oczy, a ludzie przy jego stoliku zamilkli, patrząc, jak przepychamy się ku nim przez tłum.

– Kogo ja widzę? Moja mała siostrzyczka zawitała do stołówki!

– Zamknij się! – warknęłam, siadając pomiędzy nim a Noahem, zbyt zmieszana, żeby spojrzeć w oczy towarzystwu ze starszych klas, stłoczonemu przy stoliku.

– Widzę, że wciągnęłaś Marę w nasze szkolne życie – powiedział Daniel. – Dzięki, Noah.

Noah zbyt pochwałę machnięciem ręki.

Daniel ceremonialnie odchrząknął.

– Maro, pozwól. – Spojrzałam na niego znad kanapki. – Poznaj moich znajomych. Kochani, oto moja młodsza siostra, Mara.

Zdobyłam się na odwagę i powiodłam spojrzeniem wokół stołu. Rozpoznałam jedynie Sophie siedzącą naprzeciwko.

– Hej – powitałam ją nieśmiało.

– Hej – odpowiedziała z pełnymi ustami.

Przełknęła i szybko przedstawiła mi resztę ludzi. Noah od razu wdał się w ożywioną rozmowę z Danielem. Znajomi mojego brata okazali się nadspodziewanie mili. Po paru minutach Sophie tak mnie rozbawiła, że zaśmiewałam się do łez. Kiedy złapałam oddech, zobaczyłam, że Noah na mnie patrzy. Ścisnął moją rękę pod stołem i uśmiechnął się. Odpowiedziałam mu uśmiechem.

Byłam szczęśliwa jak nigdy. I chciałam, żeby ten stan trwał wiecznie.

Egzaminy były trudne, tak jak się spodziewałam. Ładnie wyrobiłam się z historią i angielskim, przeleciałam gładko przez algebrę i teraz trzęsłam się przed hiszpańskim, moim przedostatnim wyzwaniem.

Noah próbował uczyć się ze mną pierwszego wieczoru sesji, ale okazał się tak fatalnym nauczycielem, że po dziesięciu minutach walnęłam go w łeb zbiorem zadań. Dzięki Bogu, że zesał mi Jamiego! Uczyliśmy się codziennie, godzinami i pod koniec tygodnia doszliśmy do takiej perfekcji, że tłumaczył mi algebrę po hiszpańsku. Był niesamowity i ja czułam się niesamowicie, mimo dużego napięcia. Przeleciałam ten tydzień na zypreksie, więc nie miałam halucynacji i poszłam zdawać hiszpana z poczuciem, że jestem nieźle obkuta, choć zjadały mnie nerwy.

Ustny nie powinien być trudny. Dostaliśmy wcześniej listę tematów i trzeba było tylko wyklepać swoje, dbając o poprawność gramatyczną i wymowę. Jak było do przewidzenia, kiedy zjawiłam się w klasie, Morales od razu rzuciła się na mnie.

– Proszę, panno Dii-er! – warknęła. Zawsze niepoprawnie wymawiała moje nazwisko. To było wkurzające. – Pani pierwsza. – Wymownie pokazała na tablicę.

Jamie rzucił mi współczujące spojrzenie, kiedy mijałam jego stolik. Powlokłam się na miejsce kaźni, na próżno usiłując uspokoić oddech. Morales przedłużała moje męki, bez końca przekładając papiery, notując coś w arkuszach ocen i wykonując setki innych czynności. Czekałam, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

– Kto to był Pedro Arias Dávila?

Zamartłam. Tego nie było w spisie tematów; nigdy też nie wspominaliśmy o Dávili na lekcjach. Babsztyl wyraźnie chciał mnie umoczyć. Uniostałam głowę i popatrzyłam na panią Morales, która rozsiadła się w pierwszym rzędzie, na uczniowskim krześle. W oczach miała żądzę krwi.

– Nie mamy całego dnia, panno Dii-er. – Zastukała długimi pazurami w metalowy blat stolika.

Przeniknął mnie dreszcz triumfu. W zeszłym roku, w dawnej szkole, mieliśmy historię świata i szczęśliwym trafem pisałam pracę semestralną o dziewiętnastowiecznej Panamie. Uznałam ten zbieg okoliczności za

dobry znak.

– Pedro Arias Dávila był konkwistadorem, który poprowadził jedną z najważniejszych wypraw do Nowego Świata – zaczęłam płynnie po hiszpańsku. Sama byłam tym zdumiona i czułam się jak na haju. Patrzyła na mnie cała klasa.

Przerwałam, napawając się przez moment własnym geniuszem, po czym podjęłam:

– Walczył w Granadzie, w Hiszpanii i w Afryce Północnej. W 1514 roku król Ferdynand II uczynił go dowódcą wyprawy.

Mara Dyer parła do zwycięstwa!

Morales przerwała mi spokojnym, chłodnym głosem.

– Dziękuję, może pani usiąść, panno Dii-er.

– Jeszcze nie skończyłam. – Nie mogłam uwierzyć, że to powiedziałam. Moje nogi rwały się do ucieczki, ale kiedy zobaczyłam, że nauczycielka wyraźnie traci równowagę, rozkoszny dreszcz przebiegł mi ciało. – W 1519 założył miasto Panama. Pakt, który zawarł z Francisco Pizarro i Diego de Almagro, umożliwił podbój Peru.

Udław się, Morales!

– Siadaj, panno Dii-er. – Morales zaczęła sapać, jakby zaraz miała puścić dym uszami niczym postać z kreskówki.

– Jeszcze nie skończyłam – powtórzyłam, zachwycona swoim tupetem.

– W tym samym roku Pedro de los Ríos został gubernatorem Panamy. Dávila zmarł w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat, w roku 1531.

– Siadaj! – wrzasnęła.

Ale byłam niepokonana jak hiszpańska Armada.

– Dávila był uważany za okrutnika i oszusta. – Z naciskiem wypowiedziałam te dwa przymiotniki, twardo patrząc nauczycielce w oczy i z satysfakcją obserwując, jak żyły na jej czole nabrzmiewają, grożąc eksplozją, a twarz robi się fioletowa.

– Natychmiast wyjdź z klasy – powiedziała spokojnie, głosem podszytym furją. – Sénior Coardes, pan będzie następny. – Odwróciła się na krześle i skinęła na piegowatego, przerażonego chłopaka.

– Nie skończyłam – powiedziały moje usta.

Rozpierała mnie energia, jakbym zaraz miała pofrunąć do sufitu. Zmysły wyostrzyły mi się tak, że słyszałam poruszenia mrówek rojących się na kawałku gumy przyklepionym do półki po mojej lewej stronie. Moje nozdrza chłonęły woń potu spływającego strużką po twarzy nauczycielki. Zobaczyłam dredy, opadające w zwolnionym tempie na twarz Jamiego,

kiedy opuszczał głowę na biurko, obejmując ją rękami.

– NATYCHMIAST WYJDŹ Z KLASY! – wrzasnęła Morales, zrywając się z miejsca z takim impetem, że wywróciła stolik.

Pojęłam, że nie mogę przegiąć. Z triumfującym uśmiechem wymaszerowałam z klasy.

Żegnały mnie oklaski.

Zaczekałam na korytarzu, aż egzamin się skończył. Kiedy Jamie wyszedł z klasy, złapałam go za pasek plecaka i odciągnęłam na bok.

– Ma się te cojones, co?! – zawołałam z uśmiechem, który omal nie rozerwał mi twarzy, gotowa do przybicia piątki.

Przybił mi.

– To było... to było... – Gapił się na mnie oszołomiony.

– Wiem, wiem – przytaknęłam z satysfakcją.

– Głupie – dokończył.

– Co?

Jamie pokręcił głową i zaczął iść w stronę bramy, wcisnąwszy ręce w kieszenie swoich workowatych spodni.

– Teraz ci nie daruje i zrobi wszystko, żeby cię umoczyć.

– Co ty gadasz? Przecież odpowiedziałam śpiewająco.

Popatrzył na mnie jak na idiotkę.

– To był egzamin ustny, Maro. Czyli oceniany subiektywnie. – Przerwał i czekał, aż zrzednie mi mina. – Z całej klasy tylko stary, dobry Jamie potrafił docenić twoją odpowiedź. Ale moje zdanie się dla nich nie liczy.

No tak. Pograłam jak idiotka.

– Teraz już rozumiesz.

Jamie miał rację. Zgarbiłam się, jakby ktoś nagle wypuścił powietrze z balonika z uśmiechniętą buźką, którym było moje serce. Na nic cały triumf.

– Na szczęście cię nagrałem.

Obróciłam się ku niemu jak fryga.

– Nie! – zawołałam.

– Tak!

Uśmiech Jamiego był jeszcze szerszy niż mój niedawny.

– Pomyślałem, że pewnie ci się uda, ale nie będziesz chciała w to uwierzyć, i postanowiłem uwiecznić twój występ dla potomności. Miałem ci to puścić po egzaminie. – Uniósł w górę swojego iPhone'a i znów błysnął garniturem zębów. – Ta-dam!

Po raz pierwszy w życiu kwiknęłam z radości jak świnka Piggy i zarzuciłam mu ramiona na szyję.

– Jamie, jesteś ge-nial-ny!

– Przez skromność nie zaprzeczam.

Śmialiśmy się i ściskaliśmy, aż sytuacja stała się lekko kłopot-liwa. Jamie odkaszlnął, a ja cofnęłam się, chowając ręce do kieszeni.

– Eem... zdaje się, że brat do ciebie macha – powiedział Jamie, przestępując z nogi na nogę. – Chyba że naprowadza samolot do lądowania.

Odwrociłam się. Rzeczywiście, Daniel gestykulował przy bramie jak szalony.

– No tak, muszę...

– Musisz już iść. Hm, a może umówilibyśmy się w tym tygodniu po szkole?

– Jasne – powiedziałam. – Zadzwonisz do mnie? – Zanim zdążył przytaknąć, odwróciłam się i odeszłam, pomachawszy na pożegnanie.

Kiedy stanęłam przed Danielem, nie wyglądał na zachwyconego.

– Masz wielki kłopot, młoda damo – powiedział, kiedy szliśmy do samochodu.

– Co znowu?

– Słyszałem o twoim popisie na hiszpańskim.

Cholera, jakim cudem?

– Cholera.

– Dokładnie. Nie masz pojęcia, w co wdepnęłaś – westchnął, sadowiac się za kierownicą. – Morales słynie ze złej woli. Kiedy Sophie usłyszała o tobie, opowiedziała mi straszne rzeczy.

Zanotowałam sobie w myśli, żeby opieprzyć Sophie za głupie ploty. Poczułam niemiły ucisk w dołku, ale udało mi się zachować spokojny głos.

– Nie wiem, czy może być gorzej. Ta wiedźma od początku się nade mną znęcała.

– Co robiła?

– Postawiła mnie przed całą klasą i odpytywała z rzeczy, których jeszcze nie przerabialiśmy. I śmiała się, kiedy źle odpowiadałam... – Przerwałam, gdyż zdałam sobie sprawę, że moje argumenty brzmią mało przekonująco. Daniel spoglądał na mnie z ukosa. – Śmiała się jak hiena – dodałam.

– Aha.

– I cisnęła we mnie kredą.

– Coś jeszcze?

Łypnęłam na niego z irytacją.

– To mówi kujon, który nigdy nie podpadł nauczycielom.

Daniel przemilczał moją uwagę i tępo wpatrywał się w drogę.

– Zachowywała się obrzydliwie. Wyobraź sobie, co byś czuł, gdybyś był na moim miejscu – powiedziałam zgnębiona.

Nie miałam ochoty myśleć o tej wiedzy.

– Mogę sobie wyobrazić. – Spojrzał na mnie dziwnie. – Co z tobą jest, Maro?

– Nic – wymamrotałam.

– Pomyśl tylko, co ty pleciesz! To zwyczajne kłamstwo przecież!

– Nie cytuj mi tu wierszyków dla dzieci! – warknęłam. – To nie jest śmieszne.

– Dobra, nie przejmuj się tak Morales. W końcu nie musisz składać siedmiu podań na studia do lata tak jak ja.

– Przecież na wszystkie cię przyjmą – powiedziałam spokojnie.

– To nie jest powiedziane. Mój indywidualny program stoi pod znakiem zapytania, pani Dopiko nadal nie wystawiła mi rekomendacji, nie wiem, czy uda mi się zbierać wystarczającą liczbę punktów ani jak wypadnę na egzaminach. Słowem, mogę się nie dostać na swoje wymarzone uczelnie.

– W takim razie mogę się tylko za ciebie modlić.

– Lepiej pomódl się za siebie – mruknął, nie spuszczając oczu z szosy.

– Nie musiałabym, gdybym była tak genialna jak mój starszy brat – westchnęłam.

– Jesteś równie zdolna jak ja. Tylko za mało pracujesz. – Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale nie dał mi dojść do głosu. – Tu nie chodzi nawet o stopnie. Sama nie wiesz, jaki wybrać kierunek. Muzyka – nie. Teatr – nie. Dziennikarstwo – też nie. Co jeszcze?

– Dobrze rysuję.

– Zgoda, ale musisz coś z tym robić. Zgłosić się do jakichś konkursów. Zdobyć nagrody. Albo działać w odpowiednich organizacjach, żeby było wiadomo, że...

– Boże, Daniel, sama o tym wiem, okej? Nie musisz mi mówić.

Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu, ale dręczyło mnie poczucie winy, więc przerwałam ciszę, kiedy zaparkowaliśmy przed domem.

– Co Sophie robi w weekend? – zagadnęłam.

– Nie mam pojęcia – mruknął, trzaskając drzwiami.

Pięknie, teraz i on był zdołowany.

W domu od razu ruszyłam do kuchni, aby poszukać czegoś do jedzenia. Daniel zaszył się w swoim pokoju – ani chybi po to, żeby wyplódnąć jakiś kolejny filozoficzny nonsens mający zwiększyć siłę perswazji jego podania na studia. Bądź też obsesyjnie napawać się własnym geniuszem w nadziei, że jednak zostanie doceniony. Ja tymczasem, stojąc przed lodówką, rozważałam własne niewesołe perspektywy, wyobrażając sobie, jak rysuję ludziom portrety na nowojorskich ulicach, usiłując zarobić na zakupie w torebce i przetrwanie w squacie, bo tylko to może mnie czekać, jeśli nie będę miała sprecyzowanych zainteresowań.

Moje rozmyślenia przerwał dzwonek telefonu. Podniosłam słuchawkę.

– Halo?

– Powiedz mężowi, żeby zrezygnował z tej sprawy – powiedział ktoś szeptem na drugim końcu linii.

Głos był tak stłumiony, że nie byłam pewna, czy dobrze słyszę.

Ale serce i tak zaczęło mi walić w piersi.

– Kto mówi?

– Zrób to, bo pożałujesz. – Rozmówca się rozłączył.

Oblał mnie zimny pot i poczułam nagłą pustkę w głowie. Kiedy do kuchni wszedł Daniel, ciągle stałam przy telefonie z milczącą słuchawką w ręku.

– Co jest? – zapytał, zaglądając do lodówki.

Nie odpowiedziałam. Sprawdziłam spis kontaktów. Biuro mamy, dwie godziny temu. Potem nic. Która jest godzina? Zerknęłam na zegar w kuchence mikrofalowej. Boże, stałam tak przez dwadzieścia minut. Czy skasowałam połączenie? A może nikt nie dzwonił?

– Mara? – Odwróciłam się do Daniela. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha – powiedział.

Albo usłyszała.

Zignorowałam go i poszłam do swojego pokoju. Po drodze wyjęłam komórkę. Tego dnia po raz pierwszy od tygodnia nie zażyłam leku. Ale jeśli ten ktoś zadzwonił naprawdę, to czemu połączenie nie zostało zarejestrowane?

Na wszelki wypadek wybrałam numer taty. Zgłosił się po drugim dzwonku.

– Słuchaj, mam pytanie – wypaliłam bez przywitania.

– No, dawaj.

– Czy mógłbyś teraz zrezygnować z tej sprawy, gdybyś zechciał?

Na moment zapadła cisza.

- Maro, dobrze się czujesz?

- Tak, świetnie. To tylko takie akademickie pytanie – wyjaśniłam pospiesznie.

I nawet nie kłamałam. Przynajmniej na razie.

- No, cóż. Rzadko się zdarza, żeby sędzia na tym etapie procesu dopuścić zastępstwo. Sądzę raczej, że to niemożliwe.

Niedobrze.

- Ale twój przyjaciel wyłączył się ze sprawy.

- Bo klient się zgodził, żebym go zastąpił. Tylko dlatego Nathanowi się udało.

- A gdyby ten klient zgodził się jeszcze raz?

- Wątpię. Za bardzo zaangażowałam się w jego obronę. Poza tym moja sędzia nie dopuściłaby do czegoś takiego. Gdybym wystąpił o rezygnację, nałożyłaby na mnie karę. Maro – powtórzył z niepokojem – na pewno dobrze się czujesz? Miałem cię spytać, jak przebiega terapia, ale byłem ostatnio tak zajęty, że...

Myślał, że to jego wina. Że za mało bywa w domu.

- Wszystko w porządku, nie musisz się o mnie martwić – zapewniłam.

- Kiedy masz następną wizytę?

- W czwartek.

- Okej, postaram się wrócić wcześniej, ale jeśli nie, na pewno zobaczymy się w twoje urodziny, dobrze?

Milczałam przez chwilę.

- Będiesz w domu w sobotę?

- Postaram się. Kocham cię, malutka. Do usłyszenia.

Rozłączyłam się i jak szalona popędziłam do swojego pokoju, przetrawiając w myślach wszystko, co usłyszałam. Psychotropy ciągle działały, więc powinny mnie chronić przed halucynacjami i urojeniami. Przez ostatni tydzień funkcjonowałam normalnie, ale stres egzaminacyjny mógł zrobić swoje. Gdybym powiedziała rodzicom o tym telefonie, nie mając żadnego dowodu, że było takie połączenie, to co by sobie pomyśleli? Co by zrobili? Już wiedziałam, że ojciec nie może tak po prostu zrezygnować ze sprawy. A mama? Mama nalegałaby pewnie, żebym zrobiła sobie przerwę w szkole i postarała się odpocząć, poradzić sobie ze stresem. W rezultacie zarwałabym rok – a to z pewnością pogłębiłoby mój stres.

Nie, nie mogłam im nic powiedzieć.

I nie powinnam.

Noah przyjechał po mnie nazajutrz rano, ale przez całą drogę byłam podenerwowana i milcząca. Nie naciskał. Choć stało się to już rutyną, nadal dziesiątki oczu na parkingu śledziły nasz przyjazd. Noah, idąc, trzymał mnie za rękę, ale kiedy stanęliśmy pod pracownią matematyczną, niechętnie zwolnił chwyt. Anna i Aiden minęli nas, a ich miny świadczyły o tym, że znowu coś knują.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z ukrytą troską.

– Co? – Byłam rozkojarzona, bo ciągle myślałam o wczorajszym telefonie. I o metalowym lesie w Convention Center. I o lustrach, w których odbijali się Jude i Claire. – Po prostu myślę o egzaminie z biologii, który mam dzisiaj – wyjaśniłam.

Noah skinął głową.

– Zobaczymy się później, tak?

– Uhm... – mruknęłam i weszłam do klasy.

Kiedy doszłam do stolika, pojawił się Jamie i szybko zajął miejsce koło mnie.

– Dalej jesteś z tym nadętym dupkiem?

Podparłam głowę rękami, zanurzając palce we włosy.

– O Chryste, Jamie, odpuść sobie.

Zanim zdążył odpowiedzieć, pan Walsh rozpoczął lekcję. Miałam kompletnie dosyć uwag Jamiego na temat Noaha i postanowiłam, że wreszcie trzeba to uciąć. Odwróciłam się do niego i bezgłośnie wyszeptałam „obiad”. Kiwnął głową.

Poranne lekcje minęły szybko i na przerwie obiadowej Jamie już czekał na mnie przy pawilonach piknikowych. Po raz pierwszy, odkąd pamiętałam, jego oczy znalazły się na poziomie moich.

– Czyżbyś urósł? – zapytałam.

Uniósł brwi.

– Serio? To te szalejące hormony. Lepiej późno niż wcale – dodał, wzruszając ramionami. A potem spoważniał. – Nie zmieniaj tematu. Powinniśmy przedyskutować twój nieszczęsny gust co do mężczyzn.

– Jaki jest twój problem? – zapytałam, kiedy usiedliśmy pod wiatą.

– To nie mój problem, tylko twój.

– Tak? A na czym polega?

*- Shaw pogrywa z tobą – powiedział spokojnie.
Zaczynał mnie wkurzać.
- Nie sądzę.
- Jak dobrze go znasz, Maro?
Zastanowiłam się chwilę.
- Wystarczająco dobrze.
Jamie przeniósł spojrzenie ponad moją głowę.
- Znam go dłużej niż ty. – Odrzucił dredy z twarzy i przygryzł wargę.
Przyglądałam mu się uważnie i po minucie mnie oświeciło.
- O Boże – szepnęłam. – Ty jesteś zazdrosny!
Popatrzył na mnie jak na wariatkę.
- Zwariowałaś? – zapytał.
- Możliwe...
- Nie obraż się, kotku, ale nie jesteś w moim typie.
Zachichotałam.
- Nie jesteś zazdrosny o mnie, tylko o niego.
Spojrzenie Jamiego spochmurniało.
- Nie będę ukrywał, gość jest atrakcyjny, ale nie rozumiem, co w nim widzisz, naprawdę.
- Co on ci zrobił, Jamie?
Milczał.
- Przespał się z twoją mamusią czy coś w tym stylu?
Jamie spoważniał.
- Z moją siostrą.
Rozdziawiłam usta, ale początkowo nie wyszedł z nich żaden dźwięk.
- Nie wiedziałam, że masz siostrę – powiedziałam wreszcie.
- Już skończyła szkołę. Była w trzeciej klasie, kiedy Noah tu się pojawił.
- Może... po prostu ją polubił – powiedziałam.
Coś drgnęło mi w piersi.
Jamie głucho się zaśmiał.
- Nie. Posłużyła mu jako narzędzie.
- Narzędzie czego?
Jamie odchylił głowę i skupił spojrzenie na trzciniowym poszyciu dachu.
- Chyba ci mówiłem, że zawałem jeden rok, tak?
Skinęłam głową.
- Przez to trafiłem do jednej klasy z jego młodszą siostrą, Katie. Kiedy*

zjawili się w Croyden, Katie miała kłopoty z nadrobieniem zaległości. Więc jej pomagałem.

– Tak jak mnie.

– Owszem, ale w naszym przypadku nie było pocałunków z jęczyciem. A przynajmniej ja tego nie pamiętam – powiedział, nie patrząc na mnie.

Uniosłam brwi.

– W każdym razie – podjął – Noah nakrył mnie z ręką pod spódnicą Katie – notabene nosiła stringi. Seksowna rzecz. I kiedy następnego dnia wróciłem ze szkoły, moja wybitnie inteligentna, rozsądna siostra Stephanie była w stanie rozmawiać tylko o Noahu.

Coś przeszło mi pierś.

– Może po prostu go polubiła – powiedziałam idiotycznie.

– Och, jasne. Nawet bardziej niż polubiła. Dopóki w pewien sobotni wieczór nie wróciła do domu z płaczem po tym, jak ją rzucił. – Jamie zmrużył oczy, obserwując, jak Noah idzie ku nam z daleka. – Shaw ją upokorzył. Błagała, żeby wypisać ją z Croyden, i rodzice się zgodzili.

– Teraz już wszystko z nią w porządku?

Jamie roześmiał się.

– No pewnie. Jest na studiach, a poza tym to było parę lat temu. Sama powiedz, jak można użyć kogoś jako narzędzia zemsty? Przecież to chore.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Chciałam bronić Noaha, ale czy powinnam? Zamiast tego zapytałam:

– Co było dalej z tobą i Katie?

– Nic. Bałem się, że mógłby dalej szkodzić Stephanie, więc uciąłem sprawę. – Przez chwilę ssał dolną wargę. – Bardzo lubiłem Katie. – Przechylił głowę, aż dredy opadły mu na bok, i popatrzył mi w oczy. – Ale nie warto o tym mówić. Przecież nie będziesz marnować czasu, wysłuchując wynurzeń jakiegoś żydowskiego biseksa, który mieni się twoim przyjacielem, prawda?

Spojrzenia moje i nadchodzącego Noaha się zetknęły.

– Nie wiem – powiedziałam do Jamiego, nie spuszczając oczu z Noaha.

– Kopiesz sobie grób – zdążył jeszcze powiedzieć, zanim Noah zatrzymał się przy nas.

– Roth. – Noah lekko skinął głową.

– Shaw. – Jamie odpowiedział tym samym gestem.

Noah cmoknął mnie w szyję. W tym momencie zza rogu wyłonili się Anna i Aiden.

– Boże, Mara, ty ciągle z nim? – zapytała Anna, pozdrawiając Noaha królewskim skinieniem głowy. – Czyżbym coś przeoczyła, Shaw?

– Lista rzeczy, które przeoczyłaś, jest dłuższa niż lista zapisów do bezpłatnej przychodni w South Beach. – Ze zdumieniem usłyszałam głos Jamiego. – Rozumiem, że nazwiska z listy twoich podbojów w znacznym stopniu pokrywają się z tamtymi.

Noah zaśmiał się bezgłośnie, a ja posłałam Jamiemu konspiracyjny uśmieszek. Bronił mnie, choć nie akceptował moich wyborów. Jak prawdziwy przyjaciel.

Anna stała jak słup soli, aż wreszcie Aiden odciągnął ją na bok i zaczął coś szeptać. W miarę jak mówił, złowroźbny uśmiech odmieniał jej twarz. Kiedy rozległ się dzwonek, oboje szybko ruszyli do klasy.

Kiedy wyszłam z egzaminu z biologii i zobaczyłam minę Noaha, zrozumiałam, że coś się wydarzyło. Coś straszego.

– Co się stało? – zapytałam, kiedy pociągnął mnie w stronę szafek.

– Jamie sam ci o tym powie. Prosił, żebyś cię przyprowadził – wyjaśnił. – A ponieważ od lat nie odezwał się do mnie słowem, lepiej się pospiesz.

Byłam w szoku. Co takiego mogło się zdarzyć w ciągu zaledwie dwóch godzin? Kiedy wyszliśmy za róg, Jamie stał przy swojej szafce i wyjmował z niej rzeczy. Nie tylko podręczniki potrzebne na lekcje, ale notatki, papiery, rysunki, wszystko. Jakby ją zwalniał.

Kiedy mnie zobaczył, z westchnieniem wyprostował się nad plecakiem.

– Aiden powiedział, że mu groziłem – wyrzucił z siebie na jednym wydechu.

– Co?

– Nożem. Anna potwierdziła jego zeznania. – Jamie z pasją chwycił garść papierów. – Któreś z nich musiało podrzucić mi nóż do plecaka. Wydalono mnie ze szkoły.

– Co?! – Mój okrzyk odbił się od szafek metalicznym echem. – To jakaś bzdura! Jak mogli cię wydalić?

Jamie stanął przede mną. Zacisnął ręce w pięści i wepchnął je do kieszeni.

– Co prawda Croyden nie stosuje polityki zerowej tolerancji, ale już miałem kiepskie papiery. Choćby z powodu zeszłorocznej historii z ebolą.

Zaraz przyjadą po mnie rodzice.

– Tak po prostu znikasz? – Głos mi drżał.

– Tak po prostu – powiedział, z hukiem zatrzaskując szafkę. – Co prawda formalnie jestem tylko zawieszony w prawach ucznia i mogę się jeszcze odwoływać, ale w praktyce i tak skończy się wywaleniem, bo już byłem tu warunkowo. Na razie będę się uczył korespondencyjnie. – Ostatnie słowo wypowiedział surowym tonem dyrektora Kahna. – Kiedy wyszedłem z gabinetu dyra i zobaczyłem, że Noah przechodzi w pobliżu, poprosiłem, żeby cię przyprowadził. Założą mi areszt domowy i będę kiblował w chałupie, zaliczając wszystko zdalnie, aż do matury. Nie muszę chyba mówić, jak to uświetni moje podanie na studia.

Czułam, jakbym miała kamień w żołądku. Nie mogłam uwierzyć w te koszmarnie wieści. Co za niewyobrażalna niegodziwość!

– Proszę, proszę, nasz szkolny nożownik! – Na dźwięk głosu Aideny odwróciłam się z furją.

Anna stała obok niego z triumfującą miną.

A więc to prawda. Jednym podłym posunięciem zniszczyli Jamiemu życie tylko dlatego, że śmiał stanąć w mojej obronie. Bo byliśmy przyjaciółmi. Patrząc na ich obrzydliwe gęby, wiedziałam, że zrobili coś takiego nie po raz pierwszy.

Nienawiść wrzała we mnie, domagając się ujścia. Zabiłabym ich za to. Czułam żądzę krwi.

Jamie spojrzał wściekle na Aidenę.

– Nie prowokuj mnie, Davis, bo cię chlasnę.

Aiden zarechotał.

– Czym, wykałaczką?

Podskoczyłam do niego, zanim się zorientowałam, co robię.

– Spieprzaj. Ale już, zanim coś ci zrobię.

Aiden jednym krokiem znalazł się przy mnie. Teraz wydawał się jeszcze potężniejszy. Napiął muskuły.

– Więc na co czekasz? – zapytał wyzywająco.

Noah w ułamku sekundy chwycił go za gardło i przyparł do szafek.

– Ty głupi skurwysynu – wycedził. – Jamie, zabierz stąd Marę.

– Noah – zaprotestowałam.

– Idź! – warknął.

Jamie chwycił mnie za rękę i pociągnął przed samym nosem Anny. Za plecami słyszałam odgłosy ciał uderzających o metal. Chciałam się odwrócić, lecz Jamie mocno mnie trzymał.

– Noah da sobie radę, Maro.

Usiłowałam mu się wyrwać.

– Aiden to góra mięśni.

Jamie uśmiechnął się gorzko, odciągając mnie coraz dalej.

– Ale Noah walczy nieczysto. Będzie dobrze. Wierz mi.

Nie puścił mnie, dopóki nie doszliśmy do bramy, gdzie czekali już jego rodzice.

– Areszt domowy oznacza, że nie będę miał dostępu do telefonu ani do kompa – powiedział Jamie. – Ale jeśli spotkam sowę, spróbuję przestać ci wiadomość, dobra?

Kiwnęłam głową. Tata Jamiego opuścił szybę i pomachał do syna.

– Trzymaj się, kotku – powiedział Jamie i pocałował mnie w policzek.

– I nie pozwól, żeby ten Wielki Samiec tobą kręcił.

Z tymi słowami odjechał.

Długo jeszcze stałam nieruchomo, gapiąc się na pusty kampus. Jedyne przyjaciel, którego zdążyłam tutaj zyskać, nie licząc Noaha, zniknął. Poczułam muśnięcie dłoni na ramieniu i odwróciłam się.

Twarz Noaha wyglądała masakrycznie. Krwawa rana biegła przez lewy policzek, a resztę znaczyły siniaki i rozcięcia.

– O mój Boże – szepnęłam.

Noah uśmiechnął się diabolicznie i puścił do mnie oko.

– Chodź, musimy stąd sptywać. – Szybko poprowadził mnie przez parking w kierunku samochodu, co chwila oglądając się przez ramię.

Kiedy wsiedliśmy i położył ręce na kierownicy, zobaczyłam, że na poranionych kostkach ma krople krwi.

– Czy nie powinniśmy pojechać na pogotowie?

Znów się uśmiechnął. Wyglądało to nieciekawie.

– Szkoda, że nie widziałaś Aiden.

– Co mu zrobisz?

– Och, nic takiego. Kiedy wydobrzeje, będzie mógł wrócić do normalnego życia.

Uniosłam brwi.

– Zartowałam. – Noah odgarnął mi kosmyk z policzka i zatknął go za ucho, jak to miał ostatnio w zwyczaju. Znów mrugnął do mnie. – Z przykrością muszę powiedzieć, że dojdzie do siebie za parę dni. – Mięsień zadrgał mu w szczęce. – Miał szczęście, że darowałam mu życie. Ale jeśli jeszcze raz ci zagrozi, nie będę już tak miłosierny. – Przeniósł spojrzenie na drogę. – Od jutra zaczynam karę zawieszenia za tę sprawę z Kentem. Poza tym nie wiem, czy Anna i Aiden nie poskarżą się na mnie. Tym lepiej więc, jeśli usunę się na pewien czas.

Kiedy zajechaliśmy przed mój dom, Noah zaparkował, ale nie wyszedł z auta.

– Widzimy się w piątek – powiedział, przesuwając na włosy ciemne okulary. – Lepiej, żeby twoi rodzice nie zobaczyli mnie w takim stanie. To mogłoby zaszkodzić naszej sprawie.

– Naszej sprawie?

Noah położył mi rękę na karku i musnął kciukiem płatek ucha, na moment wstrzymując oddech.

– Chciałbym pobyć z tobą przez chwilę.

Jego dotyk sprawił, że serce załomotało mi w piersi. Byłam niekonsekwentna. Wszystko, co powiedział mi Jamie, wygląd Noaha, jego bliskość... – myśli wirowały mi w głowie, nie chcąc ułożyć się w logiczny ciąg.

– Dlaczego przespałeś się z siostrą Jamiego? – zaatakowałam. Miałam ochotę dać sobie po gębie.

Noah nie cofnął ręki, ale na jego opuchniętej twarzy pojawił się wyraz czujnego rozbawienia.

– Co on ci nagadał?

Trudno, skoro powiedziałam A, trzeba było powiedzieć B. Przełknęłam z wysiłkiem ślinę.

– Ponoć nie spodobało ci się, że przystawia się do Katie, i zrobiłeś to z zemsty.

Noah patrzył na mnie badawczo.

– I uwierzyłaś mu?

Nagle zrobiło mi się sucho w gardle.

– A powinnam?

Wytrzymał moje spojrzenie i nadal nie cofnął ręki.

– Tak. Myślę, że powinnas – powiedział bezbarwnym tonem. Oczy miał groźne, a minę nieodgadnioną.

Powinnam się przejąć jego odpowiedzią. Wiedziałam, co Jamie chciał mi powiedzieć – że byłam... jestem szaloną dziewczyną, która dała się opętać Noahowi jak WCZEŚNIEJ inne, i tak jak one wkrótce będę musiała za to zapłacić. Powinnam się odwinąć i oddać mu; sprać go po gębie w imię feminizmu lub czegoś w tym stylu albo przynajmniej wyskoczyć bez słowa z jego samochodu.

Ale kciuk Noaha sunął po mojej twarzy i nagle, nie całkiem zdając sobie sprawę z tego, co robię, wtuliłam twarz w zagłębienie jego szyi. Usta Noaha niedostrzegalnie drgnęły.

– Naprawdę powinieneś iść do lekarza. – Tylko na tyle się zdobyłam.

I nienawidziłam siebie za to.

Uśmiechnął się leciutko samymi kącikami ust. Dolną wargę miał rozciętą. Popatrzył na mnie i mocniej przytulił. Skupił spojrzenie na moich wargach.

– Nie mam czasu – powiedział niskim, przerywanym głosem tuż przy mojej twarzy, aż przysunęłam się bliżej, jakbym chciała spijać słowa z jego ust.

– Nie chcę sprawiać ci bólu – szepnęłam, choć to raczej ja powinnam czuć się zraniona.

Nasze nosy zetknęły się nagle i boleśnie, uniemożliwiając pocałunek.

– Nie sprawisz mi bólu – powiedział Noah.

Ktoś zapukał w okno od strony kierowcy i odsunęłam się w popłochu. Noah na sekundę przymknął oczy, a potem opuścił szybę.

Przy aucie stali Daniel i Joseph. Mina Daniela wyrażała ironiczną dezaprobatę, a Joseph szczyrzył się od ucha do ucha.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział Daniel, patrząc na mnie.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że mama będzie tu za pięć minut.

– Co się stało z twoją twarzą? – zapytał Joseph, wpatrując się w Noaha. Był wyraźnie pod wrażeniem.

Noah wzruszył ramionami.

– Drobną sprzeczka.

– Fajnie.

– Wejdiesz na moment? – zapytał Daniel, przenosząc spojrzenie na Noaha. – Przyłożyć ci lód?

Noah zerknął na zegar.

– Pięć minut?

– Pewnie wstąpi do pralni. Damy radę.

Wysiedliśmy i we czwórkę weszliśmy do domu. Joseph od razu pobiegł do kuchni, pewnie po lód dla Noaha. Daniel zaczął przeglądać pocztę leżącą na stoliku w holu.

– Ciekawe, która szacowna uczelnia zaprasza mnie na swoje łono? – zapytał, przerzucając koperty. – Ach, Harvard. Jak miło. I Stanford! – Chwycił mnie za rękę i okręcił wokół siebie.

Noah podszedł i zerknął na listy.

– I jeszcze Northwestern. I NYU. Powinieneś iść na Uniwersytet Nowojorski. Tam jest prawdziwa różnorodność. To przecież nienormalne, żeby pakować na jeden kampus tylu geniuszy.

Daniel zachichotał.

– Faktycznie coś w tym jest. Ale dobrze mieć wybór – powiedział, odkładając koperty. Uważnie przyjrzał się twarzy Noaha. – Aiden kazał wezwać karetkę i uparł się, żeby położyli go na nosze – dodał.

– Wolałbym, żeby położyli go w trumnie – stwierdził Noah.

– Podobno jego matka już wystąpiła o usunięcie cię ze szkoły.

Noah popatrzył na Daniela.

– Zarząd w życiu tego nie przegłosuje.

- Istotnie – przyznał Daniel.

Spoglądałam to na jednego, to na drugiego.

- O czym tak rozmawiacie za moimi plecami?

- Nic ciekawego. – Daniel wcisnął kluczyki do kieszeni, zabrał swoją pocztę i poszedł do siebie. Na jego miejscu pojawił się Joseph z torebką lodu.

- Dzięki – powiedział Noah i uśmiechnął się. Joseph wyglądał, jakby wygrał los na loterii. – Muszę już lecieć – dodał Noah, patrząc na mnie. – Zobaczmy się niedługo?

Skinęłam głową.

- Tylko nie zapomnij wpaść do lekarza.

Po raz ostatni obrzucił mnie spojrzeniem.

- Pa, Maro – powiedział i ruszył do samochodu.

Zmrużyłam oczy w słońcu, patrząc, jak odchodzi, i zatrzęsnęłam drzwiami, gdy znikł mi z oczu.

Kiedy znów znalazłam się w holu, Daniel stał z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Co jest? – zapytałam.

- Musisz iść do lekarza – powiedział, spoglądając znacząco na moją rękę. – Kiedy ostatni raz zmieniałaś opatrunek?

- Parę dni temu – skłamałam.

- Mama mówiła, że masz dzisiaj wizytę kontrolną. Więc albo ja cię zawiozę, albo poczekasz na nią.

- Dobra – burknęłam, zawracając do wyjścia.

Daniel poszedł za mną.

- Przy okazji, słyszałem o Jamiem.

- Wiesz, co się naprawdę stało? – zapytałam. Kiwnął głową. – Nie mogę uwierzyć, że Anna i Aiden mogli mu to zrobić. I wszystko ujdzie im na sucho. – Nagle zabołały mnie dłonie. Spojrzałam na nie i zobaczyłam, że tak zacisnęłam pięści, aż paznokcie wbiły mi się w ciało. Usiłowałam wyluzować. – Szkoła nie będzie już taka sama bez niego – westchnęłam.

- Przynajmniej masz Noaha.

Patrzyłam przed siebie, w dal.

- Nie narzekałam na nadmiar przyjaciół – powiedziałam spokojnie.

Wsiadliśmy do auta. Daniel przekręcił kluczyk i ruszyliśmy.

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

- Nic się nie stało – odparłam, odwracając głowę do okna.

- A w ogóle jak się czujesz?

- Dobrze.

- Kiedy masz następną wizytę u terapeutki?

Zerknęłam na niego z irytacją.

- W przyszły czwartek. Wspominałeś Noahowi, że tam chodzę?

- Skądże. Nie sądzę, żeby go to obchodziło.

Odchyliłam głowę na zagłówek i wpatrzyłam się w krajobraz za oknem.

- Wolalabym, żeby nie poznał rozmiarów mojego zaburzenia.

- Och, przestań. Ten facet zaliczył ostatnio dwie bójkę i ma swoje kłopoty, wierz mi.

- A jednak naplotkowałeś mu o mnie.

- Nikt nie jest doskonały. Zresztą nie nazwałbym tego plotkami. Myślę, że Noah jest dla ciebie dobry. Poza tym nie wiem, czy wiesz, ale sam też wiele przeszedł.

- Wiem.

- I myślę, że nie ma kogoś, z kim mógłby szczerze o tym pogadać.

- Rozumiem, że teraz już ma - ciebie.

- Nie do końca. Faceci nie są tak skłonni do zwierzeń jak dziewczyny. Ale sporo już wiem. Dlatego sądzę, że przyjąłby to ze zrozumieniem.

- Jasne. Nie ma nic fajniejszego, niż usłyszeć, że dziewczyna, z którą zacząłeś chodzić, jedzie na psychotropach.

Daniel skorzystał z okazji, żeby zmienić temat.

- A właśnie, czy ci pomogły? Nie ma efektów ubocznych?

- Na razie nie zauważyłam.

- Więc myślisz, że podziałały?

Możliwe, jeśli nie liczyć tego dziwnego telefonu.

- Tak myślę.

- To dobrze. Może w takim razie dasz się zaprosić na niespodziankową imprezę dla Sophie, w piątek wieczorem? Zaplanowałam sprawę z wielkim rozmachem. No, może nie aż tak wielkim, ale będzie się działo.

- Zobaczymy - mruknęłam.

- A co z twoimi urodzinami? - zapytał. - Macie z Noahem jakieś plany?

- Nie wie o nich - powiedziałam cicho, spoglądając przez okno na mijane samochody.

Dojeżdżaliśmy na miejsce. Żołądek ścisnął mi się na myśl o wizycie u lekarza.

- Nic mu nie mówiłaś? Dlaczego?

Westchnęłam.

– Nie chcę robić z tego wydarzenia.

Daniel pokręcił głową i skręcił na parking.

– Nie powinnaś go tak traktować, Maro.

– Wezmę to pod uwagę. – Wysiadłam i ruszyłam do kliniki.

Daniel podązał za mną. Zgłosiłam się w rejestracji i czekałam, aż mnie wywołają. Było tu lepiej niż w szpitalu, ale ten sam wszechobecny, medyczny zapach wwiercał mi się w nozdrza, przyspieszając oddech i drapiąc w gardle. Kiedy pielęgniarka mierzyła mi ciśnienie, puls tętnił pod nadmuchiwanym mankietem, jakby miał rozwalić mi żyły. Rozpaczliwie łapałam powietrze i kobieta patrzyła na mnie jak na wariatkę. Nie wiedziała, jak bliska jest prawdy.

Zaprowadziła mnie do pokoju i wskazała na winylową leżankę przykrytą jednorazowym podkładem. Usiadłam na niej, ale szelest podkładu mnie irytował. Po chwili weszła lekarka.

– Mara Dyer? – upewniła się, zerkając na listę. Uścisnęła mi dłoń na powitanie. – Jestem doktor Everett. Jak tam twoja ręka?

– Chyba dobrze – odpowiedziałam, wyciągając ku niej ramię.

– Czy zmieniałaś opatrunek co dwa dni?

Jasne, że nie.

– Ehem.

– Boli cię jeszcze?

– Raczej nie – odpowiedziałam. Uniósła brwi. – Byłam bardzo zajęta egzaminami i w ogóle szkołą – dodałam tonem wyjaśnienia.

– Skupienie się na innych sprawach to najlepsze lekarstwo. Dobrze, Maro, zobaczymy, jak to wygląda. – Zaczęła delikatnie odwijać bandaż i na jej czole pojawiła się pionowa zmarszczka. Po chwili wydeła wargi, kiedy jej oczom zaczęły się ukazywać coraz to większe obszary bladej, gładkiej skóry. Spojrzała w kartę.

– Kiedy to się stało?

– Dwa tygodnie temu.

– Hm. Lekarz z pogotowia musiał się pomylić. Pewnie był z interny – mruknęła do siebie.

– Słucham? – zapytałam, robiąc się coraz bardziej nerwowa.

– Czasami oparzenia pierwszego stopnia można mylnie wziąć za drugi stopień, zwłaszcza kiedy są na rękach czy nogach – powiedziała, obracając moją rękę i oglądając ją dokładnie ze wszystkich stron. – Ale nawet w takim przypadku zaczerwienienie utrzymuje się jeszcze przez

jakiś czas. Boli cię teraz? – zapytała, prostując i zginając mi palce.

Pokręciłam głową.

– Nie rozumiem. Co jest nie tak?

– Wszystko w porządku, Maro – zapewniła pani doktor, jeszcze raz spojrzawszy na moją rękę. – Jest całkowicie wygojona.

W ciągu następnych dwóch dni jedyną pociechą dla mnie było to, że nie musiałam już nosić bandaża, pod którym swędziała mnie spocona skóra. Bez Noaha, a zwłaszcza bez Jamiego, szkoła stała się jeszcze trudniejsza do zniesienia, i to było widać. Napyskowałam pani od historii, którą bardzo lubiłam, i o mało nie dałam Annie w twarz, kiedy przechodząc, trąciła mnie mocno torbą. Przez nią wyleciał mój najlepszy przyjaciel. Bardzo żałowałam, że nie mogę jej się za to odpłacić.

Walczyłam ze sobą, ale podły nastrój nie opuszczał mnie także w domu. Po prostu chciałam być sama.

Wyjęłam notes i poszłam do salonu, żeby sobie porysować. Najlepiej mi się pracowało, kiedy leżałam na podłodze, a miękka wykładzina w mojej sypialni nie bardzo się do tego nadawała.

Po godzinie zjawił się Daniel i wetknął głowę w drzwi.

– Hej.

Zerknęłam w górę i blado się uśmiechnęłam.

– I jak, masz ochotę na piątkową imprezę u Sophie? – zagadnął.

Powróciłam do rysowania. Autoportret nie jest łatwy, kiedy nie pomaga się sobie lustrem.

– To jakaś tematyczna sprawa?

– Nie.

– Aha.

– Mam rozumieć, że nie przyjdiesz?

– Nie wiem. Zastanawiam się.

– Wiesz, że rodzice dzisiaj wychodzą?

– Aha.

– A ja z Josephem jadę do Sophie, żeby przygotować wszystko na jutro.

– Aha – przytaknęłam, nie podnosząc głowy.

– Co będziesz tu robić sama? – ciągnął Daniel.

– Będę rysowała.

– Naprawdę tak wolisz? – zapytał z troską.

Westchnęłam.

– Tak, marzę, żeby siedzieć tu i uzalać się nad sobą. Dam sobie radę, braciszku.

– Jeśli to z powodu stopni, to mogę pogadać z mamą. Złagodzę jej pierwszy impet.

– Co? – Wcześniej słuchałam z roztargnieniem, ale teraz dotarło do mnie każde słowo brata.

– Jeszcze nie sprawdziłaś swoich stopni?

Serce zaczęło mi łomotać.

– A już są?

Daniel skinął głową.

– Myślałem, że wiesz.

Zerwałam się z podłogi, zostawiając szkicownik, i popędziłam do swojego pokoju. Usiadłam przy biurku i włączyłam komputer. Niepokój wsączył mi się w żyły. Jeszcze parę dni temu ufałam, że wszystko będzie dobrze, ale teraz...

Kiedy oceny wyświetliły się na ekranie, zaczęłam się uspokajać.

Angielski: A

Biologia: B+

Historia: B

Sztuka: A

Hiszpański: F

Algebra: B

Zesztywniałam. Jeszcze raz spojrzałam na ekran. F jak byk! Na klawiaturze pomiędzy D i G. F jak fatalny. F jak fakt. Fatalny fakt. Moja pierwsza wpadka w nauce.

Spuściłam głowę, oddychając z trudem. Przecież to było do przewidzenia. Boże, jaka byłam głupia! Na swoją obronę mogłam powiedzieć tylko tyle, że nigdy WCZEŚNIEJ nie zawałam klasy i do tej chwili nie wyobrażałam sobie, że coś takiego mogłoby mi się przytrafić. Jak powiem o tym rodzicom?

Udręczona wstydem pobiegłam do kuchni, mając nadzieję, że Daniel jeszcze nie wyszedł z domu. Twarz mi płonęła. Zobaczyłam, że zostawił mi wiadomość na lodówce.

Pojechałem przygotowywać imprezę.

W razie czego zadzwoń, przyjadę po ciebie.

Zakłęta pod nosem i bezsilnie przyłgnęłam twarzą do chłodnych, stalowych drzwi lodówki, zostawiając na nich ślady palców. Wtem mi się przypomniało.

Jamie.

Nagrywał mój egzamin. Miał dowód, że zdałam śpiewająco.

Wyszarpnęłam komórkę z kieszeni i wcisnęłam ikonkę kontaktu, którą sam mi zainstalował. Głowę barana. Dziwne. Przechyliłam głowę z aparatem przy uchu, spoglądając na sufit i modląc się, żeby szybko odebrał.

Włączyła się poczta głosowa.

„Areszt domowy oznacza, że nie będę miał dostępu do telefonu i do kompa – powiedział, kiedy się żegnaliśmy. – Ale jeśli spotkam sowę, spróbuję przestać ci wiadomość”.

Łzy zakręciły mi się w oczach i z całej siły cisnęłam komórką o ścianę, aż odprysnęła farba, a telefon się rozpadł. Było mi wszystko jedno. Miałam F na świadectwie. F!

Ukryłam twarz w dłoniach i bezsilnie załkałam. Czarne myśli wirowały mi w głowie. Musiałam z kimś pogadać, poradzić się, co robić. Tak bardzo potrzebowałam teraz swojej najlepszej przyjaciółki – ale Rachel odeszła. I straciłam Jamiego. Został mi Noah. Schyliłam się po komórkę i próbowałam złożyć ją z powrotem. Nie udało się. Sięgnęłam po słuchawkę stacjonarnego i wcisnęłam klawisz, lecz uświadomiłam sobie, że nie pamiętam jego numeru. W końcu znałam Noaha dopiero od paru tygodni.

Łzy zaczęły wysychać; a ich szczypiący ślad drażnił mi skórę twarzy. Nie skończyłam autoportretu. W ogóle nic nie zrobiłam. Byłam zdenerwowana i wściekła na siebie za własną głupotę, a jeszcze bardziej na tę cholerną Morales. Na myśl o niej ogarnęła mnie furia.

To wszystko jej wina. W niczym jej nie zawiniłam, a od mojego pierwszego dnia w Croyden uwzięła się, żeby mnie zniszczyć. Pewnie zdołam jakoś zdobyć adres Jamiego i dostać od niego nagranie, ale czy to pomoże? Czy pan Kahn zna hiszpański? Zresztą, jak powiedział Jamie, oceny na egzaminie ustnym są subiektywne. I choć byłam pewna, że wypadłam świetnie, wiedziałam, że Morales i tak skłamię.

Spojrzałam przez kuchenne okno na ciemne nocne niebo.

Pomyślę o tym wszystkim jutro.

Następny dzień nie zaczął się normalnie. Obudziłam się o czwartej rano tak głodna, że poszłam do kuchni, żeby zrobić sobie tosty. Wyjęłam karton mleka z lodówki i wypitałam całą szklanekę, czekając, aż toster wyrzuci kromki. Kiedy były gotowe, usiadłam przy stole i jadłam powoli, rozmyślając o wczorajszych wydarzeniach. Nie zauważyłam Josepha, dopóki nie pomachał mi ręką przed oczami.

– Ziemia do Mary!

Biała kropelka skapnęła z dzióbka kartonu z mlekiem. Głos brata docierał do mnie stłumiony, jak przez mgłę. Miałam ochotę wyłączyć dźwięk.

– Obudź się.

Odtrąciłam jego rękę.

– Zostaw mnie.

Usłyszałam, że druga osoba weszła do kuchni, i odwróciłam się. Zobaczyłam Daniela wyjmującego zbożowy batonik z szafki.

– Kto nasiusiał ci w cheeriosy? – zapytał z pełnymi ustami.

Opartam na rękach głowę pulsującą bólem. Takiej migreny nie miałam od dawna.

– Noah przyjedzie po ciebie? Bo dzisiaj już chyba wraca do szkoły?

– Nie wiem. Chyba tak.

Daniel zerknął na zegarek.

– Późno już, co oznacza, że muszę cię zabrać. Ubieraj się, migiem!

Otworzyłam usta, aby poinformować Daniela, że mamy jeszcze mnóstwo czasu, i zapytać, czemu tak wcześnie się zerwał, ale mój wzrok padł na zegar kuchenki mikrofalowej. Siódma trzydzieści. Siedziałam tu przez kilka godzin... jedząc te tosty. W panice przetłknęłam zimny kęs.

Daniel przyglądał mi się spod oka.

– Chodź – powiedział łagodnie. – Nie mogę się spóźnić.

Nie było widać samochodu Noaha na szkolnym parkingu. Może postanowił zrobić sobie jeszcze jeden dzień wolny. Nie pojawił się na angielskim i na próżno rozglądałam się za nim na przerwach. A przecież powinien tu być. Chciałam zapytać go, czy wie, gdzie mieszka Jamie. Nie lubili się, ale nie było nikogo, kogo mogłabym o to poprosić.

Na przerwie poszłam do sekretariatu, żeby umówić się na rozmowę

z dyrektorem. Kiedy ta straszna godzina nadeszła, wkroczyłam do gabinetu, uzbrojona w racjonalne argumenty. Gotowa byłam wyklócać się o stopień, na który zasłużyłam. Zamierzałam powiedzieć mu o nagraniu. Postanowiłam, że będę spokojna. Żadnych płaczów.

Pokój, w którym urzędował dyrektor, przypominał gabinet szacownego dziewiętnastowiecznego dżentelmena. Na ścianach była boazeria z ciemnego, lśniącego drewna, na regałach stały oprawne w skórę tomy, a przy drzwiach królowało popiersie Pallas Ateny. Ciekawe, czy przeczytał wszystkie te książki.

Dyrektor Kahn siedział za wielkim mahoniowym biurkiem, a światło spod zielonego klosza stylowej lampy uwydatniało rysy nienaturalnie gładkiej twarzy. Jego wygląd całkowicie przeczył tytułowi; dyrektor miał spodnie khaki i białą koszulkę polo z emblematem Croyden.

– Witam, panno Dyer – powiedział, wskazując mi krzesło stojące przed biurkiem. – Co panią do mnie sprowadza?

Popatrzyłam mu śmiało w oczy.

– Uważam, że moja ocena z hiszpańskiego powinna zostać zweryfikowana – powiedziałam gładko, pewnym siebie tonem.

– Rozumiem.

– Mogę udowodnić, że zasłużyłam na ocenę A – stwierdziłam i była to prawda.

Nagranie mogło ją poświadczyć. Gdybym tylko je miała.

– To nie będzie konieczne – powiedział dyrektor, sadowiac się wygodniej w wyściełanym skórzanym fotelu.

Zamrugłam.

– Och. – Tym mnie trochę zaskoczył. – Świetnie. Kiedy ocena zostanie zmieniona?

– Obawiam się, Maro, że nic ci nie pomogę w tej sprawie.

Znów zamrugłam, a kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam tylko ciemność.

– Maro? – Głos dyrektora Kahna był dziwnie daleki.

Zamrugłam kolejny raz. Dyrektor odsunął się do tyłu z fotelem i położył nogi na biurku. Wyglądał niesłychanie luzacko. Miałam ochotę zwalić mu te nogi z blatu i wyszarpnąć spod niego fotel.

– Dlaczego? – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

Musiałam zachować spokój. Jeśli zacznę wrzeszczeć, F z hiszpańskiego pozostanie.

Ale kusilo mnie.

Pan Kahn sięgnął po arkusz ocen i wnikliwie go przejrzał.

– Nauczyciele muszą przedstawić dyrekcji pisemne uzasadnienie, jeśli wystawiają najniższą ocenę – powiedział. – Pani Morales napisała, że oszukiwałaś na egzaminie.

Nozdrza wściekle mi zafalowały, a w oczach pojawiły się czerwone plamy.

– Skłamała – powiedziałam spokojnie. – Jak można oszukiwać na egzaminie ustnym? To śmieszne.

– Widzę, że twoje początkowe oceny były raczej słabe.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Słowem, zostałam ukarana za postępy?

– Niezupełnie, Maro. Nagły przyrost twojej wiedzy był dosyć niezwykły, nie uważasz?

Te słowa tylko rozpały moją wściekłość.

– Ktoś mi pomagał przed egzaminem – wyjaśniłam, cedząc słowa i mrugając gwałtownie, aby przegnać czerwone plamy.

– Pani Morales mówiła, że widziała, jak w czasie egzaminu zerkałaś na swoją dłoń. Napisałaś sobie na niej ściągawkę.

– To kłamstwo! – krzyknęłam i momentalnie pojęłam swój błąd. – Pani Morales nie mówiła prawdy – powiedziałam niskim, drżącym głosem. – Miałam wtedy na ręce bandaż, bo się opa-rzyłam.

– Mówiła również, że widziała, jak szukałaś wzrokiem pod-powiedzi.

– Słowem, posądza mnie o ściąganie, nie mając konkretnych dowodów?

– Nie podoba mi się twój ton, panno Dyer.

– Nawzajem, proszę pana – wypaliłam bez namysłu.

Dyrektor z wolna uniósł brwi. Kiedy się odezwał, głos miał wkurzająco spokojny.

– Christina Morales jest pedagogiem z dwudziestoletnim stażem. To nauczycielka surowa, lecz sprawiedliwa. Na palcach jednej ręki mogę policzyć zastrzeżenia, jakie zgłaszali wobec niej uczniowie.

Przerwałam mu.

– Bo po prostu boją się coś powiedzieć...

– Ty zaś, panno Dyer – ciągnął dyrektor – od samego początku spóźniałaś się na lekcje, a nie dalej jak dzisiaj rano zachowałaś się arogancko wobec nauczycielki historii (tak, tak, doniesiono mi o tym) i zostałaś wyproszona z klasy przez panią Morales za swoje skandaliczne zachowanie. To chyba wystarczy?

Teraz już wszystko przed moimi oczami było czerwone. Tak bardzo usiłowałam nie wrzeszczeć, że mój głos stał się szeptem.

– Proszę... proszę mnie tylko wysłuchać. Istnieje nagranie z mojego egzaminu. Znajdę kogoś, kto by je przetłumaczył. Odsłuchamy je. Pani Morales będzie mogła...

Dyrektor przerwał mi, nie racząc zdjąć tych cholernych nóg z biurka.

– Dobrze. Skontaktuję się z panią Morales i jeszcze raz omówimy tę sprawę. Potem powiadomię cię o swojej decyzji.

Mroczne myśli wirowały mi w głowie, a czas zwolnił nagle i włókł się nieznośnie. W zwolnionym tempie podniosłam się z krzesła, wywracając je, ale ręce tak mi drżały, że nie byłam w stanie go podnieść. To wszystko – ta cała sprawa – była krzyczącą niesprawiedliwością. Już nie panowałam nad sobą. Jak bomba wypadłam z dyrektorskiego gabinetu, z hukiem zatrzaskując drzwi. Było mi wszystko jedno. Miałam wrażenie, że moje stopy są ze stali, kiedy gnałam do pracowni hiszpańskiego. Po drodze gniotły trawę na miazgę. Morales odpowie za wszystko! Miałam nadzieję, że udławi się swoim kłamliwym jęzorem.

Widziałam wszystko z przeraźliwą jasnością. Oczy wyszły jej z orbit i zaczęła się słaniać w pustej sali lekcyjnej, drąc kościstymi palcami gardło w daremnym wysiłku zapanowania nad tym, co się z nią działo. Twarz jej posiniała, a z gardła wydobywały się śmieszne czkające dźwięki. Zaiste, trudno jest kłamać, kiedy nie można wykrztusić słowa.

Chciałam stanąć z nią twarzą w twarz. Chciałam wręcz plunąć jej w twarz. Ale kiedy gnałam po schodach do sali hiszpańskiego, pojęłam, że nie zdążę być świadkiem tego, co się stanie. Przeklinałam ją z całej duszy. Skręciłam za rogiem i pędziłam do drzwi, dobierając w myśli obelgi, którymi chciałam obrzucić nauczycielkę.

W klasie był tylko Jude. Leżał na podłodze, zakurzony i przygnieciony ciężką drewnianą belką, której odłamki wbiły mu się w ciało. Był zalany krwią i krwawa strużka sączyła mu się z kącika ust. Wyglądał trochę jak Joker z Batmana.

Zamrugałam.

To już nie było ciało Jude'a. Na podłodze leżał trup drania, który skatował Mabel. Bok jego głowy był jedną krwawą miazgą; nogi miał rozrzucone pod dziwnym kątem, jak zepsuty pajac. Na wykładzinie wokół jego głowy rozlewała się krwawa kałuża, a na ranie ucztowały muchy.

Zamrugałam, nie wiadomo który już raz.

Jude znikł. Zastąpiła go pani Morales. Leżała na podłodze, a jej twarz

była bardziej fioletowa niż bladosina. To się trzymało kupy, jeśli wziąć pod uwagę wykłady o kolorach, które mieliśmy w drugiej klasie. Czerwony plus niebieski dawał fioletowy, a Morales zawsze była lekko czerwona na twarzy. Jak Boga kocham, wyglądała teraz jak jeżynowa postać z filmu Willy Wonka i fabryka czekolady. Przekrzywiłam głowę, wpatrując się w trupa z koszmarnym wytrzeszczem, rozciągniętego na wykładzinie, pewna, że zniknie jak inne, jeśli odwrócę wzrok. I tak też zrobiłam.

Kiedy spojrzałam ponownie, trup nie zniknął.

Następne kilka sekund zdawało się trwać godzinami. Kiedy zadzwonił drugi dzwonek, odsunęła mnie na bok jasnowłosa dziewczyna, Vera. Tuż za nią szła szkolna pani pedagog. Vera płakała. Hm.

– Dusila się, kiedy tu przyszłam, i nie wiedziałam, co mam robić! –
tkała Vera.

Usmarkała się od płaczu i glut spłynął jej na usta. Niesmaczne.

– Niech wszyscy się cofną! – krzyknęła pani Barkan do przerażonych uczniów tłoczących się w drzwiach.

Usłyszałam wycie syreny i po chwili roztręcili nas biegnący policjanci i ratownicy medyczni. Ludzie płakali, a ich histeria tylko zwiększała moją irytację, więc wycofałam się przed klasy i pospieszyłam do schodów. Zbiegałam po dwa stopnie, aż znalazłam się na dole. Nie jadłam nic na przerwie obiadowej. Byłam strasznie głodna i kręciło mi się w głowie, także z niewyspania. Jak to się mogło stać?

Nie pamiętałam, czy brałam rano proszek.

Wyszłam z budynku na zielony trawnik. Słońce oślepiło mnie i miałam ochotę dać mu po gębie. Myśl była tak absurdalna, że zachciało mi się śmiać. Zaczęłam chichotać i za moment zarykiwałam się tak, że łzy ciekły mi po twarzy, spływając na szyję. Z trudem chwytalam powietrze. Rzuciłam się na trawę pod drzewem w dalekim końcu kampusu i tarzałam się ze śmiechu, trzymając się za obolałe zębra.

Nagle jakaś ręka chwyciła mnie za ramię, zmuszając, żebym usiadła. Uniosłam głowę.

– Mara Dyer, prawda? – zapytał detektyw Gadson. W jego głosie brzmiało zdziwienie, ale w spojrzeniu nie było życzliwości.

Zatławione oczy nie pozwalały mi widzieć wyraźnie, ale dostrzegłam jakiś ruch za jego plecami. W polu widzenia pojawił się Noah. Kiedy zobaczył, z kim rozmawiam, zatrzymał się. Wpatrzyłam się w swoje stopy.

– Jak tam pies? – zapytał policjant.

Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by nie pokazać, że jestem w szoku. Przechyliłam głowę i włosy opadły mi na twarz jak zasłona. Tak było lepiej.

– Jaki pies?

– Zabawne – powiedział. – To ty parę tygodni temu dzwoniłaś w jego

sprawie do straży dla zwierząt, prawda? Kiedy z tobą rozmawiałem, był tam jeszcze, a potem zniknął.

– Rzeczywiście zabawne – przyznałam, choć nie było mi do śmiechu. Wcale.

– Czy pani Morales była twoją nauczycielką? – zapytał nagle.

Czas przeszły? A zatem nie żyła. To przynajmniej nie było halucynacją. Nieprawdopodobne, a jednak realne. Skinęłam głową.

– To muszą być dla ciebie trudne chwile.

Omam się nie roześmiałam. Och, gdyby wiedział! A może wiedział?

Trzeba przyznać, że paranoja potrafi być zabawna. Co mógł wiedzieć jakiś detektyw? Że życzyłam komuś śmierci i ten ktoś umarł? Szaleństwo. Że chciałam, aby okrutny właściciel psa został ukarany, i tak się stało? Śmieszne. Nie wystarczy samo życzenie, żeby się spełniło. Myśli nie muszą się realizować w rzeczywistości.

– Tak, bardzo trudne – powiedziałam i znów kiwnęłam głową, zakrywając włosami swój uśmiech szaleńca.

– Przykro mi z powodu tej straty – powiedział Gadsen. Plecy drgały mi od hamowanego śmiechu. – Nie wiesz, czy pani Morales była na coś uczulona?

Pokręciłam głową.

– Czy kiedykolwiek widziałaś ją z inhalatorem?

Kręcąc głową, podniosłam się chwiejnie z ziemi. Mimo słabego kontaktu z rzeczywistością wyczułam, że przesłuchanie jest skończone.

– Przepraszam, muszę już iść – powiedziałam.

– Rozumiem. Jeszcze raz przyjmij moje wyrazy współczucia z powodu tej tragedii.

Odeszłam. Od detektywa i od Noaha.

Ale Noah mnie dogonił.

– Co się stało? – Sprawiał wrażenie niesamowicie zaniepokojonego.

– Nie było cię rano – powiedziałam, nie patrząc na niego.

– Maro...

– Nie. Proszę, nie. – Patrzyłam przed siebie, skupiona na drodze do klasy. – Wszystko w porządku, Noah. Nie jestem szalona. Po prostu... muszę iść. Spóźnię się na biolę.

– Już po lekcjach – powiedział powoli.

Stałam jak wryta.

– Co takiego?

– Już prawie czwarta. – Głos Noaha był przeraźliwie spokojny. –

Odwołano ostatnią lekcję. Wszędzie cię szukałem.

Dwie godziny. Straciłam dwie godziny. Miałam wrażenie, jakby ktoś usunął mi ziemię spod nóg.

– Hej, co jest? – Noah podparł mi plecy ręką, ale ją strząsnęłam.

– Pójdę już – szepnęłam.

Czułam się okropnie. Wtem jakaś inna ręka opadła mi na ramię i o mało nie zemdlałam.

– Cześć wam – powiedział Daniel. Głos miał poważny. – Co za wariacki dzień. – Przełknęłam gulę rosnącą mi w gardle. – Kiepsko wyglądasz, Maro – dodał już pogodniejszym tonem, ale słysząc w nim było nutę niepokoju.

Odgarnęłam pasmo włosów spadające mi na czoło.

– Wszystko w porządku. Tylko trochę słabo się czuję.

– Musiało się to zdarzyć akurat przed twoimi urodzinami – stwierdził Daniel z nikłym uśmiechem. – Nie dziwię się, że kiepsko się czujesz.

– Twoje urodziny? – podchwycił Noah, spoglądając to na mnie, to na Daniela.

Rzuciłam bratu jadowite spojrzenie. Zignorował mnie.

– Ta mała z mora kończy jutro siedemnaście lat. Piętnastego marca. I jak zwykle jej to nie cieszy. – Daniel zdjął okulary i zaczął je starannie przecierać. – Co roku smęci, więc moim braterskim obowiązkiem jest zapewnienie jej urodzinowych rozrywek.

– W tym roku ja się tym zajmę – oświadczył Noah. – Będziesz miał wolne.

Daniel uśmiechnął się do niego szeroko.

– Dzięki, brachu, jesteś wielki. – Przybili sobie piątkę.

Nie mogłam uwierzyć, że rodzony brat mógł mi zrobić coś takiego. Teraz Noah będzie się czuł zobligowany, żeby uczcić moją rocznicę. Miałam ochotę palnąć ich w te uśmiechnięte gęby. Zbierało mi się na wymioty.

– Dobra – powiedział Daniel, obejmując mnie i prowadząc do samochodu. – Pozwolisz, że zawiozę Marę do domu. Chyba że wolisz jechać z Noahem? – zwrócił się do mnie.

Pokręciłam głową.

– Wpadnę po ciebie jutro o jedenastej – powiedział Noah, odprowadzając mnie spojrzeniem. – Mam ci parę rzeczy do powiedzenia.

Kiedy przyjechaliśmy z Danielem do domu, zobaczyliśmy zawartość teczki ojca rozrzuconą na stole w jadalni, co było widokiem raczej niezwykłym. Już w wejściu słyszeliśmy, że rodzice się kłócą. Dałam bratu znak, żeby cicho zamknął drzwi.

– Powinieneś pójść na rozmowę.

– Proces zaczyna się w poniedziałek, Indi. W poniedziałek. A do tego wcześniej, w trybie pilnym, zwołano sesję w związku z nowymi dowodami. Sędzia nie będzie chciała słyszeć o mojej rezygnacji. Nie ma mowy.

Co się stało?

– W takim razie zadzwoń do Leona Lassitera i poproś, żeby zrezygnował z twoich usług. Powiedz, że znajdziesz kogoś na swoje miejsce. Sędzia powinna na to przystać, prawda?

– Wątpię. Chce jak najszybciej ruszyć ze sprawą, a to spowodowałoby opóźnienie. – Usłyszałam, jak ojciec wzdycha. – Naprawdę uważasz, że z Marą jest aż tak źle?

Wymieniłam spojrzenia z Danielem.

– Tak – odpowiedziała bez wahania mama.

– Przecież nic się nie działo od czasu tamtego oparzenia.

– Teoretycznie nie. – Myślisz, że coś się może stać?

– Widziałeś ją ostatnio, Marcusie? Nie może spać. Myślę, że jest jej bardzo ciężko, choć o tym nie mówi. Fakt, że zaangażowałaś się w proces o zabójstwo dziewczynki, z pewnością tu nie pomaga.

– A pomoże, jak przetrączę sobie karierę?

Mama chwilę milczała.

– Zawsze możemy wrócić do Rhode Island – odpowiedziała spokojnie.

Spodziewałam się, że tata zacznie się śmiać. Albo wzdychać z desperacją. Albo powie cokolwiek, tylko nie to, co usłyszałam.

– Dobrze – powiedział szybko, bez namysłu. – Zadzwonię do Leona i zawiadomię go, że chcę się wycofać.

Mój żołądek ścisnął się z poczucia winy. Zrobiłam ruch w stronę kuchni, ale Daniel chwycił mnie za ramię i milcząco pokręcił głową. Spojrzałam na niego spod zmrużonych powiek.

– Zaufaj mi – wymówiły bezgłośnie jego usta.

Staliśmy bez ruchu, słuchając, jak ojciec mówi:

– Halo, Leon? Tu Marcus, jak się masz? Ja nie za bardzo. – Szybko zaczął wyjaśniać, o co chodzi.

Wychwyciłam słowa „niestabilny”, „traumatyczne” i „opieka psychiatryczna”. Wwierciłam się spojrzeniem w tył głowy Daniela.

Po paru minutach tata odłożył słuchawkę.

– I co? – zapytała niecierpliwie mama.

– Pomyśli o tym. To porządny gość – odpowiedział tata niskim głosem.

W tle mama z łomotem otwierała jakieś szafki.

Daniel przyciągnął mnie bliżej do siebie.

– Posłuchaj – szepnął. – Wejdziemy tam i masz się zachowywać tak, jakby to był najwspanialszy dzień w twoim życiu. I nic nie mów o Morales, okej? Ja się zajmę rozmową.

Nie dał mi szansy na odpowiedź, bo z hukiem zatrzęsnął za nami drzwi wejściowe. Cała okolica musiała to słyszeć.

Mama wyjrzała z kuchni.

– O, cześć! – zawołała nienaturalnie radośnie.

– Cześć, mamó – powitałam ją ze sztucznym uśmiechem.

Byłam spięta, wykończona, udręczona poczuciem winy i z trudem radziłam sobie ze świadomością, że moje życie staje się jednym pasmem szaleństwa. Weszliśmy do kuchni i zobaczyliśmy tatę siedzącego przy stole. Miał cienie pod oczami i wyglądał na jeszcze bardziej szczupłego niż zwykle.

– O, proszę, moje dawno niewidziane dzieci – powiedział, uśmiechając się blado. – Otarłam lepkie od potu czoło i podeszłam, żeby pocałować go w policzek. – Jak tam w szkole? – zagadnął.

Daniel rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Fantastycznie! – wykrzyknęłam z teatralnym entuzjazmem.

– Mara pomaga mi zorganizować niespodziankowe przyjęcie dla Sophie – oznajmił brat, otwierając lodówkę.

Och?

– Och? – powiedziała mama. – Kiedy to będzie?

Daniel wyjął sobie jabłko.

– Dzisiaj. – Ze smakiem wbił zęby w owoc. – Wychodzimy za parę godzin. A wy macie jakieś plany?

Mama pokręciła głową.

– Gdzie jest Joseph? – spytałam.

– U przyjaciela.

Już otwierałam usta, żeby namówić rodziców na wyjście, lecz Daniel mnie uprzedził.

Mama zerknęła na ojca.

– Tata jest bardzo zajęty i chyba nie będzie miał czasu.

Ojciec uniósł głowę. Wymienili spojrzenia, które musiały zastąpić wiele słów.

– Chyba zrobię sobie dzisiaj wolne – powiedział.

– I bardzo dobrze – stwierdził Daniel. – Zastużyłeś sobie. My z Marą zajmiemy się teraz sprawami imprezy, a potem zdrzemnę się chwilę przed wyjściem.

Miałam ochotę rzucić mu się na szyję.

– Ja też – dodałam.

Zanim wyszłam z kuchni, cmoknęłam mamę w policzek i odwróciłam się szybko, żeby nie zobaczyła potu perlącego się na mojej twarzy.

– Więc wychodzicie wieczorem? – zawołała za nami.

– Tak! – odkrzyknął Daniel.

Pomachałam rodzicom na pożegnanie, zanim znikłam za rogiem w holu. Tam dopadłam Daniela.

– Daniel...

Uspokajająco machnął ręką.

– Nie ma sprawy. Po prostu... wyluzuj, okej? Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zwymiotować.

– Myślisz, że się udało?

– Tak. Byłaś świetna.

– Ale co ze sprawą taty? Przecież nie powinien rezygnować ze względu na mnie.... – Przerwałam, bo napięcie ścisnęło mi gardło.

– Jutro przy śniadaniu opowiem im, jak fantastycznie mi pomogłaś i w ogóle jak się bawiłaś.

– Jesteś cudowny, naprawdę.

– Ja też cię kocham, siostrzyczko. A teraz połóż się i odpocznij.

Rozeszliśmy się do swoich pokojów.

Na dworze gęstniał mrok i włoski zjeżyły mi się na karku, kiedy mijiałam rząd rodzinnych fotografii. Odsunęłam się od nich i szłam przy drugiej ścianie korytarza, w której znajdowały się wielkie, przeszklone drzwi, wychodzące na ogród. Przy świetle ciemność na zewnątrz wydawała się jeszcze bardziej nieprzenikniona i złowroga. Patrząc przez szybę, miałam wrażenie, że ktoś lub coś czai się za nimi, gotowe do skoku, coś... nie. Niczego tam nie ma. I nikogo. Wpadłam do pokoju

i w paru krokach byłam przy biurku. Stał na nim pojemnik z zypreksem. Po tygodniu mama zaufała mi na tyle, by zostawić go u mnie, zamiast wydzielać pigułki. Nie pamiętałam, czy rano zażyłam lekarstwo. Raczej nie. Stąd pewnie ta historia z Morales. Wydawało mi się, że ją zabiłam, ale to musiał być zbieg okoliczności. Zakrztusiła się i umarła, po prostu nieszczęśliwy wypadek. Drżącą ręką wytrząsnęłam sobie pigułkę na dłoń i połknęłam ją bez popijania. Powoli, boleśnie przechodziła mi przez gardło, zostawiając gorzki posmak na języku.

Zrzuciłam buty i padłam na łóżko, wtuliwszy twarz w chłodną poduszkę. Było po północy, kiedy obudził mnie – po raz drugi w ostatnim czasie – odgłos stukania w okno.

Uczucie déjà vu spadło na mnie jak mokry wełniany koc, niemile i dławiące. Ile razy jeszcze miałam to przeżywać? Z drżeniem, na wpół rozbudzona, wstałam z łóżka i podeszłam do okna. Serce pulsowało mi w gardle, kiedy podniosłam rolety, przygotowując się na widok Jude'a za szybą.

Ale to był Noah.

Na głowie miał bejsbolówkę głęboko nasuniętą na oczy i jego twarz była prawie niewidoczna spod daszka. Dostrzegłam tylko, że wygląda na zmęczonego. I wściekłego. Otworzyłam okno i do środka wtargnęło ciepłe nocne powietrze.

– Gdzie jest Joseph? – zapytał bez wstępów, z nutą paniki w głosie.

Potałam bolące czoło.

– U przyjaciela i...

– Nie ma go tam – przerwał mi Noah. – Ubieraj się. Musimy jechać. Szybko!

Usiłowałam uporządkować nieprzytomne myśli. Panika jeszcze mnie nie dopadła.

– Trzeba powiedzieć moim rodzicom, skoro...

– Maro, posłuchaj mnie uważnie, bo nie będę się powtarzał! – Poczulałam suchość w ustach i nerwowo oblizywałam wargi. – Musimy znaleźć Josepha. Mamy mało czasu. I musisz mi zaufać. – W głowie miałam wate, byłam oszołomiona i zdezorientowana. Nie potrafiłam sformułować pytania, które chciałam mu zadać. Pewnie dlatego, że to wszystko mi się tylko śniło. – Pospiesz się – ponaglił Noah.

Postuchałam go.

Włożyłam dżinsy i T-shirt, po czym spojrzałam na Noaha. Stał odwrócony, wpatrzony w światło ulicznej latarni. W napiętej szczęce drgał mu mięsień. Było coś niebezpiecznego w jego postaci. Groźącego wybuchem.

Kiedy byłam gotowa, weszłam na parapet i zeskoczyłam na trawę pod oknem sypialni. Lądując, lekko się zachwiałam. Noah podtrzymał mnie, a potem szybko pociągnął za sobą. Przebierałam nogami, usiłując za nim nadążyć, ale było mi ciężko, jakby odpychało mnie duszne i wilgotne powietrze.

Noah zaparkował na ulicy. Na naszym podjeździe nie było samochodu Daniela ani ojca, ani mamy. Widocznie rodzice odjechali osobno.

Noah w pośpiechu otworzył mi drzwi. Ruszył z piskiem opon, zanim na dobre zdążyłam usadowić się w fotelu.

– Zapnij pas – rzucił.

Kiedy wjechaliśmy na I-75, nie zapalił jeszcze papierosa i ciągle

milczał. Poczulałam skurcz w żołądku. Z trudem zmusiłam się do mówienia.

– Co się stało?

Wciągnął powietrze i potarł nieogoloną szczękę. Zauważyłam, że jego warga już się prawie wygoiła. Nie mogłam zobaczyć jego oczu.

Kiedy odpowiedział, głos miał spokojny. Kontrolowany.

– Joseph przysłał mi wiadomość, że kolega odwołał wizytę, i prosił, żebym przywiózł go do domu. Ale kiedy tam przyjechałam, nikogo nie było.

– Więc gdzie jest?

– Myślę, że został porwany.

Nie!

Ostatni raz widziałam brata rano przy śniadaniu. Pomachał mi, a ja powiedziałam...

„Zostaw mnie”. O Boże.

Zalała mnie gwałtowna fala paniki.

– Dlaczego? – szepnęłam.

To nie mogło się stać. Niemożliwe.

– Nie wiem.

W gardle miałam kolce.

– Kto go porwał?

– Nie mam pojęcia.

Przycisnęłam oczy dłońmi. Miałam ochotę wbić sobie paznokcie w mózg. Były dwie opcje – pierwsza, że znów mam halucynacje. Koszmary. Ta wydawała się bardziej prawdopodobna. I druga – że to się dzieje naprawdę i Joseph naprawdę zaginął. Powiedziałam mu, żeby mnie zostawił, i tak się stało.

– Skąd wiesz, gdzie on jest? – drążyłam.

– Nie wiem. Jadę tam, gdzie moim zdaniem powinien być. Ale mogę się mylić. Tak czy owak, trzeba od czegoś zacząć, nie uważasz?

– Powinniśmy zadzwonić na policję – powiedziałam głuchym głosem i sięgnęłam po komórkę.

Ale nie było jej w kieszeni.

Nie było, bo wczoraj trzasnęłam nią o ścianę. Zaledwie wczoraj. Zacisnęłam powieki, przerażona, że tracę kontrolę nad własnym umysłem.

W tym locie na dno dosięgnął mnie głos Noaha.

– Co byś pomyślała, gdyby ktoś powiedział ci, że wie, gdzie może być zaginione dziecko?

Pomyślałabym, że ta osoba coś ukrywa.

– Od razu pojawiłyby się pytania, na które nie mógłbym odpowiedzieć – ciągnął. Wyczułam w jego głosie inny, nowy ton, który mnie przeraził. – Dlatego nie możemy zawiadomić policji. Ani twoich rodziców. Musimy radzić sobie sami.

Pochyliłam się i objęłam głowę rękami. To nie wyglądało na sen. Ani na halucynacje. To musiało się dziać w realu.

Palce Noaha musnęły moją szyję.

– Jeśli go nie znajdziemy, zawiadomimy policję – powiedział łagodnie.

Mój umysł był jak pustynia. Nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Nie byłam w stanie myśleć. Skinęłam głową i zerknęłam na zegar w desce rozdzielczej. Była pierwsza w nocy. Na autostradzie było całkiem sporo samochodów, ale kiedy po godzinie Noah zjechał na ulicę, odgłosy Miami zamarły. Blask nielicznych lamp obmywał samochód żółtawą poświatą, ale było ich coraz mniej, aż wreszcie znikły i została tylko nitka drogi, oświetlona naszymi reflektorami. Ciemność pochłaniała nas jak tunel. Co chwila spoglądałam na Noaha, zaciskając zęby, żeby nie płakać. Albo nie krzyczeć. Miał posepną minę.

Kiedy wreszcie się zatrzymaliśmy, widać było tylko wysokie trawy, falujące w gorących powiewach wiatru. Żadnych domów. Nic.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałam cicho, niemal niesłyszalnie w chórze cykad i świerszczy.

– Everglades City – odpowiedział.

– Nie wygląda jak miasto.

– Jesteśmy na obrzeżach parku narodowego – wyjaśnił Noah i odwrócił się do mnie. – Pewnie nie będziesz chciała zostać w samochodzie, choć bardzo by mi na tym zależało.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie, ale odpowiedziałam.

– Idę z tobą.

– Ostrzegam, że sprawa jest cholernie ryzykowna.

– Trudno.

– Może się nam... – Usta Noaha nie dokończyły zdania, ale zrobiły to jego oczy. Może się nam nie udać, mówiły. Kolejny koszmar. W gardle rosta mi gula. – A jeśli ja... jeśli coś mi się stanie – powiedział – zrób wszystko, co w twojej mocy, żeby obudzić Josepha. Masz. – Wręczył mi kluczyki. – Wpisz swój adres w GPS i szybko jedź do domu. Potem zawiadom policję.

Schowałam kluczyki do tylnej kieszeni dżinsów. Usiłowałam powstrzymać drżenie głosu.

– Przerażasz mnie.

– Wiem. – Wysiedliśmy.

Chciałam od razu ruszyć przed siebie, ale mnie powstrzymał.

Woń bagiennej roślinności wwierciła mi się w nozdrza. Noah zapalił latarkę i oświetlił morze traw przed nami. Zauważyłam, że ślady pobicia na jego twarzy prawie już znikły, ale policzek, przecięty szramą, wyglądał, jakby się zapadł. Wzdrygnęłam się mimo woli.

Byłam totalnie przerażona. Tymi bagnami i myślą, że gdzieś tam może być Joseph. Nie wiadomo, czy uda nam się go znaleźć. Może zaginął, zniknął, zostawiając mnie, jak sobie tego życzyłam, i już więcej go nie zobaczę.

Noah musiał wyczuć tę rozpacz, bo zbliżył się i ujął moją twarz w dłonie.

– Myślę, że nic złego się nie stanie. I nie musimy zapuszczać się zbyt daleko, najwyżej jakieś pięćset metrów. Ale pamiętaj o kluczykach i GPS-ie. Dojeżdż do autostrady i pędź, dopóki nie zobaczysz swojego zjazdu.

Odwrócił się i wszedł w trawy. Ruszyłam za nim.

Może wiedział więcej, niż chciał mi powiedzieć, a może nie. Może to był tylko senny koszmar, a może nie. Ważne, że znajdowałam się w jakiejś rzeczywistości. A jeśli był w niej także Joseph, to go uratuję.

Woda momentalnie wlała mi się do trampek. Noah w milczeniu torował drogę przez moczary. Coś, co wcześniej powiedział, zamajaczyło na chwilę w moim umyśle, ale rozplynęło się w nicości, zanim zdążyłam sobie przypomnieć. Poza tym musiałam bardzo uważać, gdzie stawiam nogi.

Noc wokół nas pulsowała chórem tysięcy żab. Komary cięły niemilosierdzie, a ostre krawędzie traw smagały skórę. Wszystko mnie swędziało, łącznie z zakończeniami nerwów, a brzęczenie wwiercało się w uszy. Byłam tak zdekoncentrowana i poirytowana tym wszystkim, że szłam coraz szybciej i prawie wpadłam na Noaha.

Zatrzymał się na brzegu kanału.

Splątane korzenie wrastały w czarną ciecz, a po drugiej stronie kanału kolejne morze traw rozptywało się w nieskończoność. Srebrny księżyc wisiał na niebie i nigdy w życiu nie widziałam tylu gwiazd. W ich poświacie majaczył zarys niedalekiego budynku. Noah oświetlił latarką dzielącą nas od niego nieruchomą tafłę wody.

– Musimy się dostać na drugą stronę – powiedział.

Nie trzeba było zbytnej domyślności, by wiedzieć, co to znaczy. Aligatory. I węże. Choć mogły się na nas czaić już wcześniej, kiedy szliśmy od samochodu. Czy woda stanowiła jakąś różnicę? Żadnej.

Światło latarki odbijało się w wodzie, lecz jej głębia pozostała nieprzenikniona. Kanał mógł mieć najwyżej dziesięć metrów szerokości. Trudno było ocenić, jak daleko ciągnął się na boki, bo jego brzegi zarastały zastaniające widok wysokie trzciny.

Noah odwrócił się do mnie.

– Umiesz pływać? – Skinęłam głową. – Dobra, w takim razie popłynij za mną, ale dopiero jak będę po drugiej stronie. I nie rób gwałtownych ruchów.

Zsunął się po stromym brzegu i usłyszałam, jak cicho wchodzi do wody. W prawej ręce trzymał latarkę. Przeszedł kilkanaście kroków, zanim zaczął płynąć. Był dużo wyższy ode mnie. Ja tak daleko nie zajdę. Żołądek ścisnął mi się ze strachu o nas oboje. W gardle pulsował niepokój.

Kiedy usłyszałam, że wychodzi z wody, kolana mi się ugięły. Poczułam ulgę. Mignął latarką i błysk światła upiornie wydobył z mroku jego twarz. Kiwnął głową, więc ruszyłam przed siebie.

Stopy zsunęły mi się pomiędzy wodorosty, aż dotknęły mulistego dna. Przez kontrast z gorącym powietrzem woda wydawała się dziwnie chłodna. Teraz sięgała mi do kolan. Ostrożnie ruszyłam przed siebie. Teraz do ud. Dalej. Do pasa. Dalej. Woda zaczęła mi się wlewać pod stanik. Brnęłam ostrożnie przez kanał, uważając, żeby nogi nie zaplątały mi się w wodorosty. Noah oświetlał mi drogę latarką, uważając, żeby nie świecić po oczach. W brunatnej głębi wirowały drobiny glonów i osadu. Mimo obrzydzenia parłam dalej, czekając, aż stracę grunt pod nogami.

– Nie ruszaj się – powiedział Noah.

Zamartam.

Krag światła omiótł wodę wokół mnie. Aligatory pojawiły się nie wiadomo skąd.

Puls zadudnił mi w uszach, kiedy zobaczyłam kilkanaście świetlnych punktów, które zmaterializowały się nagle w mroku po obu moich stronach. Jedna para oczu. Trzy. Siedem. Straciłam rachunek.

Byłam jak sparaliżowana. Nie mogłam się ruszyć ani do przodu, ani do tyłu. Spojrzałam na Noaha. Był jakieś pięć metrów przede mną, ale dzielił nas przestwór oceanu.

– Wejść do wody – powiedział. – Spróbuję je odstraszyć.

– Nie! – szepnęłam przeraźliwie.

Miałam dziwną pewność, że muszę dalej stać bez ruchu.

– Muszę. Jest ich zbyt wiele i mamy za mało czasu.

Wiedziałam, że nie powinnam tego robić, ale oderwałam spojrzenie od postaci Noaha, mającej na brzegu, i rozejrzałam się wokół siebie. Były wszędzie.

– Musisz iść po Josepha – powiedziałam z desperacją.

Noah dał krok przed siebie.

– Proszę, nie.

Zsunął się po brzegu. Promień latarki zatoczył się i usłyszałam, jak Noah plusnął nogami w wodę. Kiedy znów ją oświetlił, ślepią przygasty, aby za moment pojawić się ponownie. Tyle że dużo bliżej.

– Noah, wyłaż!

– Mara, uciekaj! – Noah młócił rękami wodę, oddalając się wzdłuż brzegu.

Część krokodyli popłynęła do niego, ale inne zostały. Idiota, tylko pogorszył sprawę! Za chwilę oboje znajdziemy się w potrzasku, a mój brat zostanie sam.

Poczułam, że jeden z drapieżników sunie do mnie, zanim go zauważyłam. Koszmarna, prehistoryczna paszcza pojawiła się metr przed moją twarzą. Widziałam każdy szczegół pokrytej guzami skóry. Byłam osaczona, spanikowana, ale nie zamierzałam się poddać.

Gdzieś tu był mój brat, samotny i jeszcze bardziej przerażony ode mnie. Tylko my mogliśmy mu pomóc, nikt inny. Tymczasem sami rozpaczliwie potrzebowaliśmy pomocy. Jedyne Noah wiedział, gdzie szukać Josepha, ale zaraz miał zginąć.

Coś zadrgało we mnie dziko pod spojrzeniem okrutnych ślepi. Wielkich, czarnych jak oczy lalki z horroru. Nienawidziłam tych gadów.

Zabiłabym je wszystkie.

Nie zdążyłam do końca zarejestrować tej myśli, bo nagle coś się zmieniło. Niska, ledwie słyszalna wibracja poruszyła wodę i usłyszałam głośny plusk z lewej strony. Odwróciłam się w panice, myśląc, że bestia atakuje, ale nic nie zobaczyłam. Spojrzałam przed siebie, tam, gdzie przed chwilą był gad. Zniknął. Przyjrzałam się powierzchni kanału, którą Noah omiatał światłem latarki. Zobaczyłam ślepią, ale tylko kilka par. Mogłam je teraz policzyć. Pięć. Cztery. Jedna. Znikły gdzieś w ciemności.

– Wychodź! – krzyknęłam do Noaha i odepchnęłam się nogami od dna, żeby doплыć do brzegu.

Słyszałam, jak wychodzi z wody. Młóciłam nogami, nie zważając na wodorosty płączące się wokół stóp. Chciałam podciągnąć się na brzeg, ale dłonie obsunęły mi się po śliskich korzeniach. Noah pochylił się, chwycił mnie za rękę i silnym szarpnięciem wyciągnął w górę. Kiedy znalazłam się na trawie, upadłam na kolana, krztusząc się i wypluwając mulistą wodę.

– Ty... idioto! – wysapałam.

W ciemności nie widziałam jego miny, ale usłyszałam, jak głęboko nabiera powietrza.

– To niemożliwe – szepnął.

Podniosłam się chwiejnie.

– Co? – zapytałam, kiedy odzyskałam oddech.

Zdawał się mnie nie słyszeć.

– Musimy iść – powiedział.

Mokre ciuchy oblepiały mu ciało. Przeczesał palcami włosy. Zgubił gdzieś czapkę. Szybko ruszył przed siebie, a ja za nim, rozchlapując wodę. Kiedy doszliśmy do długiego pasma trawy, puścił się biegiem. Pędziłam za nim, a bagnisty grunt ciamkał mi pod stopami. Kłuło mnie pod żebrami i ciężko dyszałam. Myślałam, że upadnę, kiedy Noah zatrzymał się przed niewielką betonową szopą. W pobliżu majaczył zarys większego budynku.

Spojrzał na mnie, niepewny, co robić dalej.

– Który sprawdzimy najpierw?

Serce ścisnęło mi się na myśl, że Joseph może być tak blisko, niemal w zasięgu ręki.

– Ten – wskazałam na szopę.

Wyminęłam Noaha i szarpnęłam klamkę, ale drzwi były zamknięte,

Noah dotknął mojego ramienia. Podążyłam za jego spojrzeniem i zobaczyłam małe okienko pod samym dachem. Było nie większe od

piwnicznego i znajdowało się zbyt wysoko, by do niego dosięgnąć. Ściany były gładkie, a w pobliżu nie dostrzegłam drabiny ani niczego, na czym można by stanąć.

– Podnieś mnie – powiedziałam bez wahania.

Noah splótł dłonie i postawiłam na nich nogę. Ostrożnie wyprostowałam się i stanęłam mu na barkach. Chwyciłam palcami parapet i zajrzałam do środka. W pomieszczeniu paliła się słaba żarówka. W jej mdłym świetle zobaczyłam narzędzia oparte o ścianę, mały generator, a w rogu kupkę koców rzuconych na podłogę. A potem Josepha. Leżał zwinięty pod tymi kocami.

Musiałam użyć całej siły woli, żeby opanować emocje – ulgę pomieszaną z przerażeniem.

– Jest tam – szepnęłam do Noaha, siłując się z oknem.

Ale czy żyje?

Okno stawiało opór, więc odmówiłam krótką, żarliwą modlitwę do wszystkich bogów, którzy zechcą mnie wysłuchać, aby sprawili, żeby to świństwo się otworzyło.

Okno ustąpiło. Wsadziłam w nie ręce i wężowym ruchem przepchnęłam się przez otwór. Spadłam głową w dół i wylądowałam na wysuniętym barku. Ból przeszył mi bok. Z całej siły zacisnęłam zęby, żeby nie krzyczeć.

Otworzyłam oczy. Joseph leżał nieruchomo.

Myślałam, że oszaleję z przerażenia. Wstałam, krzywiąc się z bólu, ale w ułamku sekundy zapomniałam o nim i podbiegłam do brata. Wyglądał, jakby spał, skulony pod kocami. Przyklęłam przy nim i dławiona strachem, z wahaniem wysunęłam rękę, bojąc się, że będzie już zimny.

Nie był.

Oddychał równo i normalnie. Poczułam ogromną ulgę. Potrząsnęłam nim, aż głowa przechyliła mu się bezwładnie.

– Joseph! – powiedziałam. – Joseph, obudź się!

Zerwałam z niego koce i zobaczyłam, że ręce i nogi ma spętane plastikowymi zaciskami. Zamrugałam, walcząc z zawrotami głowy. Rozejrzałam się po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegoś, czym mogłabym przeciąć twarde tworzywo, ale nic się nie nadawało.

– Noah! – zawołałam. – Tylko nie mów, że nie masz scyzoryka?!

Nie odpowiedział, ale po chwili usłyszałam szcęk metalu uderzającego o szybę otwartego okienka i miękki odgłos noża upadającego w trawę. Nastąpiła seria przekleństw i Noah rzucił jeszcze

raz. Tym razem scyzoryk wpadł do szopy. Chwyciłam go, rozłożyłam ostrze i zaczęłam ciąć.

Kiedy uporałam się z więzami na rękach, miałam zeszywniałe palce, a gdy przecięłam paski na nogach, zupełnie ich nie czułam. Wreszcie mogłam obejrzeć Josepha dokładniej. Miał na sobie szkolne ubranie – spodnie khaki i prążkowaną koszulkę polo. Były czyste. Na ciele nie zauważyłam żadnych obrażeń.

– Mara! – Zza ściany rozległ się głos Noaha. – Pospiesz się!

Usiłowałam podnieść bezwładne ciało, ale ból przeszył mi ramię. Zdławiłam krzyk, zaciskając zęby.

– Co się stało? Mara? – dopytywał się Noah przerażonym głosem.

– Uszkodziłam sobie ramię, kiedy upadłam. Joseph nie chce się obudzić i nie dam rady przerzucić go przez okno.

– A co z drzwiami? Nie możesz otworzyć ich od środka?

Chryste, co za debilka! Zerwałam się i w paru krokach byłam przy drzwiach. Otworzyłam je i Noah wpadł do środka jak bomba.

– Rozumiem, że żyje – powiedział. Pochylił się nad Josephem i uniósł go za ramiona. Mój brat zwisał mu z rąk jak szmaciana lalka. – Co z nim?

– Nieprzytomny, ale nie ma ran ani żadnych śladów, więc nie jest źle. Jak go stąd...

Noah wyciągnął latarkę z tylnej kieszeni dżinsów i mi ją rzucił. Potem przykląkł, zarzucił sobie Josepha na plecy i wstał, trzymając go jedną ręką za przegub, a drugą za kolano. Zwawo ruszył do drzwi, jakby nic mu nie ciążyło, i otworzył je kopnięciem.

– Dobrze, że gostek jest chudy – skomentował.

Zachichotałam nerwowo. Zdążyliśmy odejść kawałek od szopy, kiedy jej ścianę omiótł snop światła samochodowych reflektorów.

– Biegiem! – rzucił Noah.

Gnaliśmy przed siebie, rozbryzgując błoto. Trawy smagały mnie po skórze, a gorące powietrze paliło w gardle. Kiedy stanęliśmy nad brzegiem kanału, zapaliłam latarkę i oświetliłam wodę. Wydawała się spokojna, ale już wiedzieliśmy, że to niewiele oznacza.

– Pójdę pierwsza – powiedziałam do ciemnej toni, jakbym wyzywała aligatory.

Weszłam do wody. Noah opuścił Josepha na ziemię i zsunął się z nim do kanału. Zaczął płynąć, podtrzymując ciało, a ja pomagałam mu, dbając, żeby głowa brata wystawała ponad wodę.

Gdzieś w połowie poczułam, jak coś otarło mi się o nogę. Coś dużego. Zdusiłam krzyk i płynęłam dalej. Nic nas nie ścigało.

Kiedy dotarliśmy na drugą stronę, Noah na chwilę zostawił mi Josepha. Nie wiem, jak zdołałam go utrzymać, bo ramię pękło mi z bólu. Sam szybko wdrapał się na brzeg, wciągnął Josepha i znów zarzucił go sobie na plecy. Pobiegliśmy dalej.

W samochodzie Noah ułożył Josepha na tylnym siedzeniu i wskoczył za kierownicę. Padłam na fotel powalona nagłym atakiem dreszczy od mokrego ubrania, które lepilo mi się do skóry. Noah wcisnął gaz do dechy i rwał jak szaleniec, dopóki nie znaleźliśmy się na I-75. Tam dopiero zwolnił.

Niebo było jeszcze ciemne. Równa jazda usypiała mnie pomimo rwącego bólu w ramieniu. Kręciłam się w fotelu, nie mogąc znaleźć sobie dogodnej pozycji. Kiedy Noah objął mnie jedną ręką, krzyknęłam. Spojrzał na mnie z troską.

– Moje ramię – powiedziałam, odsuwając się.

Zerknęłam na tylne siedzenie. Joseph dalej leżał nieruchomo.

Noah przytrzymał kierownicę kolanami i delikatnie, brudnymi palcami zaczął obmacywać moje ramię, bark i obojczyk. Zagryzałam zęby, żeby nie krzyczeć.

– Musisz pojechać do szpitala – powiedział.

Zamknęłam oczy. Ludzie bez twarzy wyłaniali się z mroku, tłocząc się przy moim łóżku; silne ręce przyciskały mnie do materaca. Gwałtownie pokręciłam głową.

– Nie, nie, żadnych szpitali.

– Ramię trzeba nastawić. – Noah masował mi delikatnie mięśnie palcami. Stłumiłam łkanie. Cofnął rękę. – Nie chciałem sprawić ci bólu.

– Wiem – powiedziałam przez łzy. – Nie o to chodzi. Nienawidzę szpitali.

Zaczęłam się trząść, kiedy przypomniałam sobie ten zapach. Igły. Na myśl o igłach zachichotałam nerwowo, bo jeszcze niedawno chciały mnie pożyć zębate gady – a jednak zastrzyki wydawały mi się czymś straszniejszym.

Noah pogładził szczękę.

– Mogę ci je nastawić – powiedział.

Odwróciłam się do niego i syknęłam z bólu.

– Serio? Naprawdę? – Zrobił jeszcze bardziej groźną minę, ale skinął głową. – Więc zrób to. Proszę.

– Będzie bolało. Nawet nie wyobrażasz sobie jak.

– Trudno – wyszeptałam bez tchu. – W szpitalu też by bolało.

– Niekoniecznie. Mogliby cię znieczulić.

– Nie mogę iść do szpitala. Nie mogę. Noah, błagam. Zro-bisz to?

Zerknął na zegar, a potem we wsteczne lustro. Westchnął i skręcił w najbliższy zjazd. Kiedy wjechaliśmy na pusty, ciemny parking, jeszcze raz zerknęłam do tyłu. Bez zmian.

– Chodź – powiedział Noah, wysiadając.

Postuchałam. Zamknął samochód i odeszliśmy kawałek w bok, za róg zamkniętego sklepu. Noah zatrzymał się pod kępą drzew.

Przymknął oczy i zobaczyłam, że dłonie zwierają mu się w pięści. Mięśnie przedramion napięły się. Rzucił mi mroczne spojrzenie.

– Chodź tutaj – powiedział.

Podeszłam i stanęłam przed nim.

– Bliżej.

Zrobiłam jeszcze krok, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że się nie bałam. Serce łomotało mi w piersi.

Noah westchnął i przesunął się za mnie tak, że piersią dotykał moich pleców. Przyłgnął do nich jeszcze bardziej i zadrżałam, sama nie wiem, czy dlatego, że stałam w przemoczonym ubraniu, czy dlatego, że był tak blisko.

Jedną ręką otoczył mi od tyłu pierś, na wysokości obojczyka, a drugą wsunął pod pachę, aż jego dłonie prawie się stykały.

– Stój bardzo spokojnie – szepnął.

Bez słowa skinęłam głową.

– Zaczynamy. Raz – zaczął odliczać łagodnym, spokojnym głosem z ustami przy moim uchu. Czułam, jak serce bije mi mocno pod jego ręką.
– Dwa.

– Zaczekaj! – zawołałam w panice. – A jeśli krzyknę?

– Nie możesz.

Mój lewy bok eksplodował potwornym bólem. Fajerwerki rozpalonych do białości iskier rozgorzały mi w mózgu i kolana ugięły się pode mną, ale już nie czułam, jak padam. Widziałam tylko ciemność, głęboką i nieprzeniknioną. Odpułyłam.

Obudziłam się, kiedy poczułam, że samochód skręca w naszą ulicę. Noah zatrzymał się przed podjazdem do domu.

– Co się stało? – wymamrotałam.

Włosy mi wyschły i były sztywne od mułu.

– Nastawiłem ci ramię – powiedział Noah wpatrzony w jaśniejący horyzont. – Zemdląłeś.

Przetarłam oczy. Nie czułam już tego koszmarne bólu, tylko tępe, bolesne pulsowanie. Spojrzałam na zegar. Dochodziła szósta. Jeśli byłam w realu, rodzice powinni się wkrótce obudzić.

Joseph już to zrobił.

– Joseph! – zawołałam.

Uśmiechnął się do mnie.

– Cześć, Mara.

– Jak się czujesz?

– Chyba wpadłem w rów przy boisku, tam, gdzie mnie znaleźliście – odpowiedział.

Wymieniłam z Noahem spojrzenia. Nieostrzegalnie pokręcił głową. Naprawdę sądził, że Joseph to kupi?

– Dziwne, ale nie pamiętam, jak się tam znalazłem – ciągnął brat. – Skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać?

Noah potarł brudną dłońią czoło.

– Szczęśliwy traf – wyjaśnił wymijająco.

Joseph patrzył tylko na mnie, nawet kiedy mówił do Noaha.

– Nie pamiętam, że pisałem tego esemesa. Musiałem niezle walnąć się w głowę.

Musiałam wspomóc Noaha w kłamstwach. Mina Josepha świadczyła, że nie wierzy ani w jedno, ani w drugie. A jednak pozwalał się w nie wkręcać.

– Boli cię głowa? – spytałam.

– Trochę. I lekko mnie mdli. Co powiem mamie?

Noah popatrzył przed siebie, pozostawiając mi ciężar rozmowy. Było jasne, co Joseph ma na myśli – czy powinien ujawnić udział mój i Noaha w całej sprawie. I czy może nam zaufać. Z drugiej strony, jeśli przedstawiłby mamie wersję Noaha, absolutnie by w nią nie uwierzyła.

I zaczęłaby zadawać pytania. Te, na które Noah, jak sam mi mówił, nie mógł odpowiedzieć.

Zerknęłam na brata. Był brudny, ale poza tym nic mu nie dolegało. Nieufny, ale spokojny. Nie było widać w nim przerażenia. Z drugiej strony, gdybym wyznała mu prawdę – że ktoś, nie wiadomo kto, porwał go, związał i zamknął w szopie na bagnach, co by mu to dało? Nie byłby już tak spokojny. Przypomniałam sobie jego poszarzałą, zrozpaczoną twarz, kiedy czekał na mnie w szpitalu przed gabinetem zabiegowym, taki mały i biedny. Nie, to było jeszcze gorsze. Porwanie było wyjątkową traumą i wiedziałam najlepiej, jak trudno jest wrócić do normalnego życia po takich wstrząsach. Nie wiadomo, czy w ogóle by mu się udało.

Jeśli jednak nie powiem prawdy Josephowi, nie będę też mogła powiedzieć jej mamie. Zwłaszcza po incydencie z oparzoną ręką. Po tym jak przepisano mi psychotropy. I tak by mi nie uwierzyła.

Podjęłam decyzję. Zerknęłam na brata we wstecznym lusterku.

– Moim zdaniem nie ma sensu mówić o tym rodzicom. Mama się załamie i może ci zabronić futbolu. – Moje kłamstwa były podszyte poczuciem winy, ale prawda mogła załamać Josepha i nie chciałam, żeby stało się to przeze mnie. – A tata może pozwać szkołę. Dlatego proponuję, żebyś obmył się pod prysznicem przy basenie i poszedł spać. Rano powiem mamie, że wczoraj wieczorem kiepsko się poczułeś, więc poprosiłeś mnie i Noaha, żebyśmy przywieźli cię do domu, okej?

Joseph skinął głową.

– Okej – powiedział bezbarwnym głosem.

O nic więcej nie pytał – tak bardzo mi ufał. Poczułam ucisk w gardle.

– Koniec trasy – powiedział Noah.

Wysiadłam szybko, zanim zdążył się ruszyć, żeby mi otworzyć drzwi.

Joseph podszedł do okna od strony kierowcy. Kiedy Noah opuścił szybę, uścisnął mu dłoń.

– Dzięki, stary – powiedział z uśmiechem na piegowatej twarzy.

– Pogadamy później, dobrze? – powiedziałam do Noaha.

Nie odwrócił głowy, wpatrzony w przednią szybę.

– Tak.

Nie wiedziałam, że nieprędko będziemy mieli okazję.

Joseph, już umyty, czekał na mnie na tyłach domu. Wszystkie trzy samochody stały na podjeździe. Cicho weszliśmy do środka przez otwarte okno mojej sypialni. Braciszek zachowywał się jak na podchodach – z konspiracyjnym uśmiechem, przesadnie czającymi się krokami, przekradł się do swojego pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi.

Nie miałam pojęcia, co naprawdę sobie myślał i czemu tak łatwo i bez pytania przystał na moją wersję. Postanowiłam pomyśleć o tym wszystkim później. Zrzuciłam ubłocone ubranie i weszłam pod prysznic, ale byłam tak słaba, że nie mogłam ustać w kabinie. Przykucnęłam pod gorącymi strumieniami wody, ale dreszcze nie chciały ustąpić. Czułam się fatalnie, ale chyba nie byłam chora. Po prostu śmiertelnie zmęczona.

I kompletnie zagubiona.

Kiedy woda zaczęła się robić zimna, wyszłam z kabiny, włożyłam stary, zielony T-shirt i spodnie od piżamy, ale nie poszłam do łóżka. Zamiast tego zeszałam na dół i usiadłam na kanapie w salonie, w nadziei, że jeśli pogapię się w telewizor, oderwę się chociaż na chwilę od nawału myśli, które brzęczały mi w głowie. Sięgnęłam po pilota i zaczęłam skakać po kanałach, lecz o tej porze były tylko programy telezakupowe. U dołu ekranu przepływały paski informacyjne.

„Lokalne media donoszą o nagłym zbiorowym wymarcu ryb w Everglades City”.

Zastrzygłam uszami na wzmiankę o Everglades City. Szybko przełączyłam na wiadomości i skupiłam uwagę na lalkowatej prezenterce.

„Biolodzy, którzy przybyli na miejsce, zakładają wstępnie, że przyczyną mógł być spadek poziomu tlenu w wodzie, spowodowany wielką liczbą unoszących się w niej, rozkładających się ciał aligatorów”. – Przełączono się na transmisję z terenu i na ekranie pojawiła się jasnowłosa, piegowata reporterka w szortach khaki, trzymająca mikrofon przy zasłoniętych bandaną ustach. Stała tyłem do nazbyt dobrze mi znanego pasa mętnej wody. Kamera zaczęła panoramować otoczenie, pokazując wzdęte cielska aligatorów, unoszące się białymi brzuchami do góry, otoczone dziesiątkami martwych ryb. – „Obecność wielkich ilości materii gnilnej w wodzie spowodowała dramatyczny spadek poziomu tlenu, co wywołało wymarcie ryb w całej okolicy. Pozostaje jednak pytanie, co zabiło aligatory? I od razu nasuwa się następne – czy to coś nie zabiło również ryb? Oto klasyczne zagadnienie typu: co było najpierw: kura czy jajko?”. – Obraz wrócił do studia i lala za pulpitem

kontynuowała: – „Badana jest również hipoteza o nielegalnym zrzucie trujących ścieków. Herpetolodzy z miejskiego zoo pobrali już próbki martwych zwierząt do sekcji; jej wyniki powinny zostać ogłoszone za kilka dni. Nasi reporterzy będą śledzić tę tajemniczą sprawę. Na razie nie polecamy turystom wizyt w tym miejscu” – dodała prezenterka, dowcipnie zatykając sobie palcami nos. – „A teraz Bob opowie nam o pogodzie”.

„Masz rację, Margie. Nie chciałbym tam być” – skomentował Bob, zajmując jej miejsce w studiu.

Ręka, w której trzymałam pilota, tak drżała, że z trudem trafiłam w przycisk. Wyłączyłam telewizor i podniosłam się ciężko z kanapy, jakbym była Obcym przybyłym z planety o mniejszej grawitacji. Poczłapałam do kuchni, wyjęłam z szafki kubek i stałam chwilę, ciężko wsparta o blat.

Wydawało mi się teraz, że miejsce, które pokazywała kamera, nie było tym mi znanym.

Z drugiej strony, poznałam je nocą, a w świetle dnia wszystko mogło wyglądać inaczej.

A może jednak było to zupełnie gdzie indziej? Zresztą wszystko jedno; ważniejsze było pytanie, czy coś zatruiło wodę.

A może w ogóle mnie tam nie było.

Nalałam wody do kubka i przyłożyłam go do ust. Kątem oka zobaczyłam swoje odbicie w kuchennym oknie.

Wyglądałam jak zjawą.

Coś się ze mną stało.

Cisnęłam plastikowym kubkiem w szybę. Odbicie zafalowało i znikło.

Nazajutrz obudziłam się na żelaznym, szpitalnym łóżku na Oddziale Psychiatrycznym Zamkniętym Szpitala Tamerlane. Materac był zapadnięty i przegniły. Sprężyny zatrzeszczały, kiedy usiadłam i na siebie spojrzałam. Byłam ubrana na czarno. Ktoś całował mnie z tyłu w szyję. Odwróciłam się gwałtownie.

To był Jude. Z uśmiechem objął mnie ramieniem w talii i przyciągnął do siebie.

– Zostaw, Jude. Nie tutaj. – Wysunęłam się z jego objęć i wstałam z łóżka, potykając się na gruzie i resztkach wykładziny.

Doskoczył do mnie i przyparł mnie do ściany.

– Ciii, wyluzuj – powiedział, muskając palcami mój policzek i zbliżając usta do moich ust.

Odwróciłam głowę. Jego gorący oddech palił mi szyję.

– Nie chcę tego robić teraz – powiedziałam chrapliwie.

Gdzie jest Rachel? Claire?

– Nigdy nie chcesz – wymamrotał z ustami przy mojej szyi.

– Może źle się do tego zabierasz. – Zmartwiałam, słysząc, co mówię.

Jude znieruchomiał. Ukradkiem zerknęłam na jego twarz; oczy miał puste, jakby nieobecne. Uśmiechnął się, lecz w tym uśmiechu nie było ciepła.

– Może dlatego, że się ze mną drażnisz – powiedział i jego uśmiech znikł.

Musiałam stąd wyjść. Natychmiast.

Usiłowałam wysunąć się spomiędzy Jude'a i ściany. Wbiłam mu dłonie w pierś, ale je odepchnął.

To bolało.

Co się z nim działo? Przez dwa miesiące naszej znajomości zdążyłam się zorientować, że z mojego chłopaka wyłazi czasem zwykły buc – władczy, humorzasty, prymitywny – typowy śmieciowy samiec alfa. Ale coś takiego? To była zupełnie nowa odłona. Po prostu...

Jude wgniótł mnie w brudną, splekaną ścianę całym ciężarem swojego cielska, przerywając tok moich myśli. Poczułam, jak włoski jeż mi się na

karku, i gorączkowo zaczęłam rozważać opcje, jakie mi pozostały.

Mogę krzyczeć. Rachel i Claire powinny mnie usłyszeć, choć niekoniecznie. W drugim przypadku moje perspektywy były raczej kiepskie.

Mogę go walnąć. Raczej głupi pomysł, zważywszy na to, że Jude był wyższy i dwa razy cięższy ode mnie.

Mogę nic nie robić. Przecież Rachel w końcu zacznie mnie szukać.

Ale jest pewnie teraz w sali numer trzy, którą tak bardzo chciała zobaczyć. Zrobiło mi się słabo.

Jude na nic nie zważał. Naparł na mnie jeszcze mocniej i fala hysterii zdławiła mi gardło. To było chore, chore, chore. Dysząc, rozgniatą ustami moje usta i niemal już wtapiałam się w ścianę, szorując o nią plecami, aż obłok pyłu otoczył nasze ciała. Chciało mi się rzygać.

– Nie – szepnęłam.

Własny głos dochodził do mnie z daleka.

Nie odpowiedział. Twarde, pożądliwe dłonie brutalnie wdarty się pod moją kurtkę, bluzę i koszulkę. Kurczowo wciągnęłam powietrze, poczuwszy chłód jego skóry na brzuchu. Jude zaśmiał mi się w twarz.

To wyzwoliło we mnie zimną, gwałtowną furję. Miałam ochotę go zabić. Zrobiłabym to, gdybym mogła. Chwyciłam jego rękę i oderwałam ją od ciała z siłą, o jaką się nie podejrzewałam. Sięgnął po mnie znów, a wtedy bez namysłu odwinęłam się i go uderzyłam.

Nie zdążyłam uświadomić sobie, jak zapiekła mnie dłoń, bo poczułam uderzenie na twarzy. Na swojej twarzy! Cios Jude'a był tak błyskawiczny i tak silny, że zdawało mi się, iż zajęło mi całe minuty, niemal godziny, zanim pojęłam, że oddał mi policzek. Miałam wrażenie, że oko wypada mi z oczodołu. Ból kęsał całe ciało.

Roztrzęsiona, zapłakana – naprawdę płakałam? – zaczęłam się osuwać po ścianie. Jude szarpnięciem postawił mnie do pionu i znów unieruchomił. Trzęsłam się tak, że ze ściany sypały się kawałki tynku. Szarpnęłam się, kiedy przeciągnął językiem po moim policzku.

Wtem głos Claire rozbił napiętą ciszę.

– Mara?

Jude cofnął się odrobinę, tylko odrobinę, ale i tak nie byłam w stanie się poruszyć. Policzki miałam zimne i szczypiące od łez, których nie zmyła jego ślina. Mój oddech był nierówny, szarpany tłumionym łkaniem. Byłam wściekła na siebie, że w porę nie rozpoznałam w nim tej obcej bestii. I wściekła na niego, że tak dobrze się maskował, że zwodził mnie,

a potem osaczył i dręczył. Czułam, jak coś wdziera się na peryferie mojego umysłu, grożąc, że nim zawładnie.

Odgłos kroków przywrócił mnie do rzeczywistości. Claire znów mnie wołała. Nie widziałam jej, ale musiała być tuż za drzwiami. Uchwyciłam się rozpaczliwie tego głosu, próbując z jego pomocą zwalczyć wkurzające poczucie bezradności i niemocy, które dławiło mi gardło i ciążyło jak ołów.

Światło latarki zatańczyło po ścianach, aż skupiło się na postaci Jude'a w chwili, kiedy odstał ode mnie, wzniecając nogami chmury pyłu.

– Hej – powiedziała Claire.

– Hej – odpowiedział Jude ze spokojnym, beznamiętnym uśmiechem. Było to jeszcze bardziej przerażające niż jego wcześniejsza furia. – Gdzie jest Rachel?

– W sali wykładowej. Dopisuje nasze nazwiska na tablicy – wyjaśniła spokojnie Claire. – Poprosiła, żebym sprawdziła, czy się nie zgubiliście.

– U nas wszystko w porządku – zapewnił Jude z szerokim uśmiechem przystojnego amerykańskiego chłopaka.

Mrugnął do niej porozumiewawczo.

Moje totalne przerażenie znalazło ujście w słabym, urywanym szepcie:

– Nie odchodź...

Jude rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie. W oczach miał czystą wściekłość. Z uśmiechem odwrócił się do Claire i znacząco przewrócił oczami.

– Znasz Marę – powiedział. – Panikuje jak zwykle, więc próbuję zająć jej myśli czymś przyjemniejszym.

– Aha. – Claire cicho zachichotała. – No to bawcie się dobrze.

Usłyszałam oddalające się kroki.

– Proszę – powiedziałam, tym razem głośniej.

Kroki zatrzymały się na chwilę – sekundę dającą nadzieję – a potem zabrzmiały znów, aż w końcu zapadła cisza.

Jude znów był przy mnie. Jego szeroka dłoń wpiła się w moją pierś, przypierając mnie do ściany.

– Zamknij się – warknął, rozpinając mi kurtkę jednym, zdecydowanym ruchem. Drugim rozpiął bluzę i oba ubrania zwisały mi z ramion.

– Nie ruszaj się – ostrzegł.

Stałam jak sparaliżowana; kompletnie, idiotycznie znieruchomiła. Tylko zęby mi szczękały, a całe ciało trzęsło się z bezsilnej wściekłości.

Jude mocował się z guzikiem moich dżinsów i szarpnięciem wyrwał go z dziurki. Miałam tylko jedną myśl, jedną, która wpełzła do mojego mózgu jak brzęczący owad i trzepotała się w nim, aż przestałam cokolwiek słyszeć, cokolwiek kojarzyć i nic więcej już się nie liczyło. Poza nią jedną.

Zasłużył sobie na śmierć.

Kiedy Jude zaczął rozpinać mi rozporek, trzy rzeczy wydarzyły się w jednym momencie.

Rachel zawołała moje imię.

Dwanaścioro stalowych, tysiącfuntowych drzwi zatrzasnęło się z ogłuszającym hukiem.

I wszystko ogarnęła ciemność.

Dźwięk głosu mamy wyrwał mnie ze snu.

– Sto lat, Maro! – Stała przy łóżku i uśmiechała się do mnie. – Śpioch się obudził, chłopcy! Chodźcie.

Patrzyłam tępo, jak reszta mojej rodziny wkroczyła do sypialni, niosąc tort ze świeczką.

– Sto lat, sto lat! – zaintonowali.

– Niechaj żyje naaam! – dokończył Joseph, akompaniując sobie rękami.

Zakryłam twarz dłońmi, przyciskając palcami skronie. Nie pamiętałam, jak zasnęłam, ale przynajmniej byłam we własnym łóżku. Wybudziłam się z koszmaru odtwarzającego wydarzenia w Tamerlane.

A Everglades?

Co się stało ostatniej nocy? Co się stało tej nocy? Co się działo ze mną? Co się w ogóle działo?

Co się działo?

Tata podsunął mi tort. Mała kropla wosku spływała po świecy i zanim spadła na tort, przez moment drżała jak samotna łąza. Nie chciałam, żeby spadły następne. Przejęłam tort i dmuchnięciem zgasłam świeczkę.

– Jest wpół do dziesiątej – powiedziała mama. – Wystarczy ci czasu, żeby zjeść śniadanie i wziąć prysznic, zanim przyjedzie Noah. – Odgarnęła mi pasmo włosów z twarzy.

Powędrowałam spojrzeniem do Daniela. Mrugnął do mnie. Przeniosłam wzrok na ojca. Nie wydawało się, żeby był zachwycony tym planem. Joseph promieniał i wcale nie wyglądał na zmęczonego. Ani na spiętego.

A ramię już mnie nie bolało.

Czy to wszystko mi się śniło?

Miałam ochotę pogadać z Josephem, ale na razie nie było okazji. Gdyby to była prawda, gdyby rzeczywiście go porwano, nie powinnam nic mówić mamie – przynajmniej dopóki nie porozmawiam z Noahem. A jeśli nie – tym bardziej nie powinna wiedzieć. Bo wtedy na bank wylądowałabym na oddziale psychiatrycznym.

I nie miałabym nawet jak z nią dyskutować.

Balansowałam na krawędzi koszmaru i pamięci, niezdolna

rozstrzygnąć, co jest czym, a jednocześnie przyjmowałam życzenia i całusy od rodziny. Podziękowałam im za prezent – kamerę cyfrową. Wreszcie wyszli. Zsunęłam z łóżka jedną nogę, potem drugą, wstałam i przesuwając je na zmianę, dotarłam do łazienki. Deszcz smagał szyby. Stałam i tępo wpatrzyłam się w mleczone drzwi kabiny prysznicowej. Nie zdobyłam się na odwagę, żeby spojrzeć w lustro.

Pamiętałam tę noc; nie całą, bo częściowo byłam nieprzytomna – ale wystarczyło, by wspomnienia zaczęły przybierać kształt czegoś wszechobecnego i przerażającego. Czegoś ohydneho. Grzebałam dalej w pamięci. Był tam jeszcze Jude, ten drań, ten tchórz, i to, co chciał ze mną zrobić, a potem... już nic. Pustka. Myśli odpłynęły, pozostawiając nieznośną próżnię w moich płatach czołowych. A przecież było coś jeszcze, czego nie potrafiłam wydobyć z niebytu. Kusilo mnie, drażniło, stale się wymykając, a moja wściekłość rosła. Automatycznie wykonywałam swoje zwykłe czynności, nie myśląc, co robię. Trwałam w tym stanie, kiedy Noah zapukał do drzwi.

– Gotowa? – zapytał.

Wiatr wyrywał mu z ręki parasol. Przyjrzałam się jego twarzy. Rana znikła i miał już tylko mały ślad pod okiem.

Jakim cudem wszystko wygoiło się w ciągu jednej nocy?

Najlepszy dowód, że to musiał być senny koszmar albo halucynacje. Bądź też obie rzeczy naraz. Psychiatryk. Everglades. Tak, na pewno.

Nagle zdałam sobie sprawę, że Noah moknie przed drzwiami, czekając na odpowiedź. Kiwnęłam głową.

– Dobra – powiedział, kiedy wsiedliśmy do auta. Odgarnął z czoła mokre włosy. – Dokąd jedziemy? – zapytał zwyczajnym tonem.

A więc mam rację. Spoglądałam ponad jego ramieniem, na szarpaną wiatrem reklamówkę, która zaczepiła się o żywopłot sąsiadów.

– Czy coś się stało? – Przyjrzał mi się uważnie.

Zachowywałam się jak szalona. Nie chciałam tego. Stłumiłam chęć zapytania o Everglades. Nie było sensu pytać o coś, czego nie było.

– Miałam zły sen – odpowiedziałam z nikłym uśmiechem.

Noah spojrzął na mnie spod zastony rzes, na których lśniły kropelki wody. Niebieskie oczy były wpatrzone w moje.

– Jaki?

Dobre pytanie. O Josephie? O Jude'em? Jak miałam mu odpowiedzieć, skoro sama nie wiedziałam, co było rzeczywistością, co koszmarem, a co wspomnieniem.

Dlatego powiedziałam prawdę.

– Nie pamiętam.

Noah patrzył na drogę.

– A chciałabyś sobie przypomnieć?

Zbił mnie z tropu tym pytaniem. Czy chciałabym?

A czy mam wybór?

W mojej głowie rozległ się łomot drzwi. Słyszałam zgrzyt suwaka szarpanego przez Jude'a. I głos Rachel, dźwięczący mi pod czaszką. Już go więcej nie usłyszałam.

A może... jednak? Może przyszła po mnie, tylko tego jeszcze nie pamiętam? Zawołała mnie drugi raz i przyszła, zanim runął na nią budynek?

Zanim ją przygniótł. I zanim przygniótł Jude'a, który przygniótł mnie. Poczułam nagłą suchość w ustach. Jakaś fantomowa pamięć dobijała się do mojego umysłu, dopraszając się o uwagę. To było ważne, ale nie wiedziałam dlaczego.

– Mara? – Głos Noaha sprowadził mnie na ziemię.

Zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle i fale deszczu spływały po przedniej szybie. Palmy rosnące na pasie rozdzielczym jezdni kołysały się i wyginały, jakby miały się zaraz złamać. Ale wiedziałam, że nie trzaskną. Były zbyt giętkie.

Tak jak ja.

Obróciłam się do Noaha i skupiłam na nim wzrok.

– Myślę, że niewiedza jest gorsza – powiedziałam. – Wolalabym pamiętać.

Słowa, które wypowiedziałam, poraziły mnie swoją jasnością. Wszystko, co się działo – halucynacje, paranoja, koszmary – wyniknęły z mojej potrzeby wiedzy, zrozumienia, co się stało tamtej nocy. Co się stało z Rachel. Ze mną. Zaledwie półtora tygodnia temu mówiłam o tym doktor Maillard, a ona z uśmiechem stwierdziła, że tak wygląda normalny proces zdrowienia i z czasem sobie z tym poradzę, choć wymaga to czasu.

A może nie? Może poradzę sobie szybciej?

Muszę podjąć decyzję.

Podjęłam ją.

– Muszę sobie przypomnieć – powiedziałam do Noaha ze stanowczością, która zdumiała nas oboje. – Pomożesz mi?

– Jak?

Teraz, kiedy wiedziałam już, o co chodzi, pojęłam, jak mam to zrobić.

– Hipnoza.

– Hipnoza – powtórzył wolno.

– Tak. – Moja mama nie wierzyła w takie metody. Wierzyła w leczenie farmakologiczne i terapię, które mogły trwać tygodniami, miesiącami i latami. Nie miałam tyle czasu. Moje życie rozpadało się na kawałki, mój świat się rozpadał i musiałam natychmiast wiedzieć, co się ze mną dzieje. Nie do czwartku, kiedy miałam następną wizytę u doktor Maillard. Ale teraz. Dzisiaj.

Noah nie powiedział nic, ale zdjął jedną rękę z kierownicy i wyjął z kieszeni komórkę. Wybrał numer i usłyszałam sygnał.

– Halo, Albercie. Możesz mi umówić na dzisiaj wizytę u hipnotyzera? Jak najszybciej.

Normalnie zadumałabym się nad postacią wiernego sługi Alberta, ale teraz byłam zbyt niespokojna i podekscytowana.

– Wiem, że jest sobota – powiedział Noah. – Zawiadam mnie, jak tylko to załatwisz. Dzięki.

Rozłączył się.

– Przyśle mi esemesa. A na razie powiedz, na co masz ochotę?

Wzruszyłam ramionami.

– Jestem głodny. Co byś powiedziała na lunch?

– Jak sobie życzysz – odparłam.

Noah uśmiechnął się do mnie, ale ten uśmiech nie był wesoły.

Kiedy skręciliśmy do kubańskiej dzielnicy Mała Hawana, już wiedziałam, dokąd jedziemy. Restauracja była dziko zatłoczona.

Stanęliśmy przy barze, czekając na stół. Uśmiechnęłam się, wspominając naszą poprzednią wizytę. Z kuchni słychać było skwierczenie cebuli rzucanej na rozgrzane patelnie. Mimo woli przełknęłam ślinę. Z braku innego zajęcia zaczęłam czytać ulotki przyczepione do tablicy nad barem. Ogłoszenia sprzedaży nieruchomości, seminaria...

Przysunęłam się bliżej.

„Zapraszamy do Botanica Seis na seminarium »Odkrywanie tajemnic własnego umysłu i przeszłości«, prowadzone przez wtajemniczonego kapitana, Abela Lukumi. 15 marca, wstęp \$30.00 od osoby, bez zapisów”.

Zjawił się kelner.

– Proszę za mną – powiedział.

– Chwileczkę – powiedziałam, nie odrywając wzroku od ulotki.

Noah podążył za moim spojrzeniem i przeczytał tekst.

- Chcesz tam iść?

Odkrywanie tajemnic. Obracałam to zdanie w myślach, przygryzając wargę. Czemu nie?

- Wiesz co? Chcę.

- Zdajesz sobie sprawę, że to będą pewnie ezoteryczne, newage'owe nonsensy?

Kiwnęłam głową.

- Chcesz iść, choć nie wierzysz w takie rzeczy?

Znów kiwnęłam głową.

Noah wyjął komórkę.

- Albert się nie odezwał. A seminarium zaczyna się za... - zerknął na ulotkę i znów na ekran - dziesięć minut.

- Możemy jechać? - zapytałam i uśmiechnęłam się, tym razem szczerze. - Dobrze. - Noah poinformował kelnera, że rezygnujemy ze stolika, i odwrócił się do barku, żeby zamówić coś na wynos.

- Masz na coś ochotę? - zapytał.

Czułam jego wzrok, kiedy oglądałam dania za szybą.

- Może być to samo co ty?

Spokojny uśmiech zdjął napięcie z jego twarzy.

- Jasne, że tak.

Pod budynkiem nie było parkingu, więc zatrzymaliśmy się kawalek dalej. Tropikalna ulewa zmieniła się w gęstą mżawkę i Noah rozpiął nade mną parasol. Kuliliśmy się pod nim i bliskość Noaha jak zwykle popędziła mój puls do galopu. Dawno nie byliśmy tak blisko siebie, nie licząc zabiegu ustawiania mojego ramienia wczorajszej nocy. Ramię już nie bolało.

Choć przenikało mnie ciepło jego ciała, i tak drżałam. Ołowiane chmury zgasiły radosną atmosferę Małej Hawany. Park Domino był pusty i tylko paru lumpów kulilo się pod osłoną drzew przy wejściu z murałem. Odprowadzili nas spojrzeniami. Smugi dymu wymykały się z wejścia do pobliskiej palarni cygar, mieszając się z deszczem. Jednostajnie buczał neonowy szyld nad sąsiednim serwisem komputerowym.

– To tu – powiedział Noah. – Calle Ocho 1821.

Spojrzałam na szyld.

– Ale tu naprawiają komputery.

– Sprawdźmy jednak.

Zajrzeliśmy do lokalu, przyciskając nosy do zaparowanej szyby. W środku elektronika i części rozebranych komputerów przemieszane były z dużymi terakotowymi donicami i porcelanowymi figurkami. Spojrzałam na Noaha. Wzruszył ramionami. Pchnęłam drzwi.

Dzwonek przy drzwiach zaanonsował nasze przybycie. Dwóch chłopców kręciło się za szklaną ladą w głębi wąskiego pomieszczenia. Nie było widać nikogo dorosłego.

Moje spojrzenie powędrowało po rzędach półek, zastawionych plastikowymi, przezroczystymi pojemnikami. Wypełniały je chaotyczne składy połówek kokosowych skorup, słoików z miodem w kształcie misiów, różnych rodzajów muszli, zardzewiałych końskich podków, strusich jaj, paczek z watą, małych dzwoneczków, opakowanych gumowych kłapek, paciorków i świec. Zwłaszcza świec było mnóstwo – stały także luzem na półkach i były każdej wielkości, kształtu i koloru; niektóre ozdobione wizerunkami Jezusa, a inne – gotych bab. Były też świeczki tortowe i... kajdanki. Co to za dziwne miejsce?

– Czym mogę służyć?

Odwróciliśmy się jak na komendę. Młoda, ciemnowłosa kobieta

poruszająca się o kulach pojawiła się w drzwiach zaplecza.

Noah uniósł brwi.

– Przyjechaliśmy na seminarium – wyjaśnił. – Czy dobrze trafiliśmy?

– Si, tak, proszę wejść – powiedziała, zachęcając gestem, abyśmy poszli za nią.

Wprowadziła nas do niewielkiej sali, gdzie na białej terakotowej podłodze ustawiono ogrodowe krzesła z białego plastiku. Kobieta wręczyła nam prospekty i przyjęła od Noaha pieniądze, po czym wyszła.

– Dzięki – powiedziałam, kiedy zajęliśmy miejsca z tyłu. – Pewnie miałeś inne plany na tę sobotę.

– Szczerze mówiąc, myślałem, że wybierzesz plażę – powiedział, potrząsając mokrą czupryną – ale to może być równie ekscytujące.

Uśmiechnęłam się. Zaczęłam się czuć lepiej, bardziej normalnie. Powiodłam spojrzeniem po białym pokoju. Neonowe oświetlenie czyniło tę biel jeszcze bardziej sterylną i szpitalną. Dziwnie kontrastowała ze starymi, babciowymi meblami: brązowo-żółtym klubowym fotelem, zieloną biblioteczką i kolejnymi półkami ze świecami. Bardzo to było dziwne.

Ktoś zakaszłał po mojej lewej stronie. Spojrzałam w tę stronę i zobaczyłam bladego, szczupłego mężczyznę w białej szacie, białych kłapkach i dziwnym, trójkątnym kapeluszu, który usadowił się w rzędzie przed nami. Wymieniłam spojrzenie z Noahem. Inni goście wyglądali bardziej zwyczajnie. Przysadzista kobieta w dżinsowych szortach, o krótkich, kręconych jasnych włosach, wachlowała się prospektem. Dwóch bliźniaczo podobnych wą-satych facetów siedziało w rogu, szepcząc coś do siebie. Byli w dżinsach.

Przerwałam obserwację, gdyż na podium pojawił się wykładowca. Zdziwiło mnie, że jest ubrany w nienaganny garnitur, w którym wyglądał jak pastor. Z pewnością był kapłanem – ale jakiej religii, tego nie wiedziałam.

Pan Lukumi – bo tak się przedstawił – położył papiery na mównicy i rozejrzał się po prawie pustej sali. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, jego źrenice rozszerzyły się na moment, jakby coś go zaskoczyło.

Zerknęłam za siebie, żeby sprawdzić, czy na pewno chodzi o mnie. Najwidoczniej tak, bo z tyłu nikt nie siedział. Pan Lukumi odchrząknął, a kiedy zaczął mówić, głos mu lekko drżał.

Znów ta paranoja. Byłam paranoiczna do kwadratu. Idiotka. Usiłowałam skupić się na wykładzie, co jakiś czas zerkając na Noaha,

który udawał, że słucha w skupieniu. Nie wiedziałam, czego się mam spodziewać, ale na pewno nie rozważań nad mistycznymi właściwościami świec i naszyjników z paciorków.

Noah nie ułatwiał mi zadania; potakiwał z zapałem i mruczał coś do siebie w najbardziej nieodpowiednich momentach. W pewnej chwili wyjął kanapkę, którą kupił w kubańskiej restauracji, i zjedliśmy ją na spółkę. Z takim trudem powstrzymywałam śmiech, że o mało się nie zakrztusiłam. Przynajmniej była z tego taka korzyść, że po raz pierwszy w tym piekielnym tygodniu miałam trochę zabawy.

Kiedy wykład się skończył, Noah wstał i podszedł do podestu, gdzie stało już paru ludzi, chętnych do porozmawiania z panem Lukumim. Ja ruszyłam na obchód sali.

Było tam tylko jedno okno, częściowo zasłonięte przez półkę. Na zewnątrz woda bulgotała w rynnie, a odgłos tłumiony przez szyby przypominał ciurkanie pokojowej fontanny. Po kolei odczytywałam nalepki na flakonikach i słoiczkach zawierających rozmaite mikstury i zioła – „mistyczna kąpiel”, „odnowienie życia miłosnego”, „szczęście” i „zagubienie”.

Zagubienie. Odruchowo sięgnęłam po flakonik, kiedy coś pisnęło za moimi plecami. Odwróciłam się tak gwałtownie, że potrąciłam świecę stojącą na sąsiedniej półce. Przechyliła się powoli i spadła na terakotę. Jej szklana obudowa rozprysła się na tysiąc kawałków, a na nich wylądowała srebrzysta pokrywa z dzwoneczkami. Noah i pan Lukumi odwrócili się i popatrzyli w moim kierunku.

Spojrzenie pana Lukumiego przeniosło się ze szczątków na mnie.

– Wyjdź stąd – nakazał, podchodząc.

Zaskoczył mnie jego ostry ton.

– Przepraszam, nie chciałam...

Kapłan przykucnął i przez chwilę przyglądał się szklanym odłamkom, po czym uniósł głowę i popatrzył mi prosto w oczy.

– Idź już. – Jego głos nie był poirytowany, tylko nagłacy.

– Chwileczkę – powiedział Noah, tłumiąc gniew. – Niech pan się nie denerwuje. Zapłacę za szkodę.

Pan Lukumi wyprostował się i zrobił ruch, jakby chciał chwycić mnie za ramię, ale w ostatnim momencie się powstrzymał. Górował nade mną swoją wysoką, chudą postacią. Poczułam się nieswojo.

– Nie masz tu czego szukać – stwierdził powoli i dobitnie. – Proszę, odejść.

Noah stanął przy mnie.

– Odejdź od niej – powiedział cicho.

W jego głosie brzmiała groźba. Kapłan cofnął się postusznie, ale nie spuszczał ze mnie wzroku.

Byłam zbита z tropu i oniemiała. Staliśmy we troje przy drzwiach w niezręcznym milczeniu. Jeden z chłopców chichotał w pomieszczeniu sklepowym. Zastanawiałam się, czym wywołałam taką reakcję pana Lukumiego, i szukałam odpowiedzi w jego twarzy. Nasze spojrzenia spotkały się i zobaczyłam coś w jego oczach. Coś, czego się nie spodziewałam.

Zrozumienie.

– Pan coś wie – powiedziałam do niego spokojnie, choć nie pojmowałam, skąd się wzięła ta nagła pewność. Kątem oka zarejestrowałam zdumioną minę Noaha, ale teraz interesował mnie tylko Lukumi. – Pan wie, co się ze mną dzieje.

Byłam zaburzona. Brałam leki i chodziłam na terapię. Jednocześnie liczyłam, że wizyta u tego szamana wniesie coś jeszcze poza stwierdzeniem, że z moją psychiką jest bardzo, bardzo źle. To mogło być coś gorszego niż szaleństwo. Pan Lukumi opuścił wzrok. Zachowywał się tak, jakby wiedział. Ale co? I skąd mógł wiedzieć? Nieważne skąd. Jakakolwiek była jego teoria, musiałam ją poznać.

– Proszę – powiedziałam błagalnie. – Jestem... – przypominałam sobie o flakoniku, który ścisnęłam w spotniałej dłoni. – Jestem kompletnie zagubiona. Potrzebuję pomocy.

Pan Lukumi popatrzył na moją dłoń.

– To ci nie pomoże. – Jego ton złagodniał.

Noah był nadal czujny, lecz głos miał spokojny.

– Zapłacimy – powiedział i zaczął szukać w kieszeni.

Nie miał pojęcia, co się dzieje, ale starał się pomóc. Wspierał mnie. Niestrudzony Noah, gotów na wszystko. Kochałam go.

Kochałam go.

Zanim zdążyłam oswoić tę myśl, pan Lukumi pokręcił głową i lekko popchnął nas do sklepu. Już chciał otworzyć przed nami drzwi na ulicę, kiedy Noah wyciągnął z kieszeni gruby plik banknotów i zaczął je odliczać. Zrobiłam wielkie oczy.

– Pięć tysięcy za poradę – powiedział, wciskając pieniądze do ręki kapłana.

Nie tylko ja byłam w szoku. Pan Lukumi zawahał się, ale w końcu je

przyjął. Podziękował Noahowi spojrzeniem.

– Ty potrzebujesz pomocy – powiedział do niego, po czym przeniósł wzrok na mnie. – Zaczekajcie tutaj – dodał i skierował się ku drzwiom, których dotąd nie zauważyłam.

Ile jeszcze zakamarków miało to miejsce?

Zanim zamknął za sobą drzwi, dobiegły nas odgłosy gđakania i trzepotania.

– Kury? – zdziwiłam się. – Co to...? – Przerwał mi wrzask, którego nie mogło wydać ludzkie gardło. – Czy on... – Dłonie zacisnęły mi się w pięści. Nie. Tylko nie to.

Noah zerknął na mnie z ukosa.

– Czym się tak przejmujesz?

– Nie żartuj!

– Przecież jadasz martwe zwierzęta.

Jasne, ale tu chodziło o coś innego.

– Jadam, ale nie muszę słyszeć takich rzeczy – zaprotestowałam.

– Nikt nie lubi być hipokrytą, Maro – odpowiedział i w kącikach jego ust pojawił się cień uśmiechu. – Zresztą to twój cyrk. Ja go tylko sponsoruję.

Usiłowałam nie myśleć, co mogło się zdarzyć na zapleczu, i kanapka, którą niedawno zjadłam, zaciążyła mi w żołądku.

– A skoro już mowa o finansach – dodałam – to powiedz mi, po co, u licha, nosisz przy sobie pięć tysięcy dolców?

– Osiem – poprawił mnie. – Bo mam na dzisiaj wielkie plany. Szkoda by to wydać na dziwki, ale ofiara zwierzęca jest warta swojej ceny. Najlepsze życzenia z okazji urodzin, Maro.

– Dzięki – bąknęłam. Mimo wszystko poczułam się bardziej normalnie. Nawet się odprężyłam. – Ale serio, na co ta kasa?

Noah wpatrywał się w drzwi na zapleczu.

– Zaplanowałam, że pojedziemy do dzielnicy artystycznej, aby spotkać się z moim znajomym malarzem. Chcę od niego coś kupić.

– Za taką cenę? W gotówce?

– Powiedzmy, że ma ogromne potrzeby.

– I ty go wspierasz?

Noah wzruszył ramionami.

– Gość jest wybitnie utalentowany.

Popatrzyłam na niego z dezaprobatą.

– Co chcesz? Nikt nie jest ideałem.

Skoro pieniądze Noaha poszły na krwawe szamańskie praktyki zamiast do kieszeni artysty kokainisty, nie miałam prawa się spierać. Powiodłam spojrzeniem po sklepie.

– Powiedz mi, o co chodzi z tą dziwną graciarnią, którą mają na składzie? – zapytałam. – Jakies zardzewiałe podkowy? Miód?

– Chodzi o kult Santeria, który jest tu bardzo popularny, a te graty to wota – wyjaśnił. – Pan Lukumi jest jednym z wyższych kapłanów.

W tym momencie otworzyły się drzwi na zapleczu i pojawił się pan Lukumi ze szklaneczką w ręku. Ozdobioną obrazkiem koguta. Wzdrygnęłam się.

Kapłan pokazał mi gestem brzydki fotel o sraczkowatym obiciu, stojący w rogu.

– Usiądź – powiedział, popychając mnie lekko.

Głos miał całkowicie beznamiętny. Posłuchałam.

Wręczył mi szklaneczkę. Była ciepła.

– Wypij to – nakazał.

Ten pokręcony dzień i całe moje pokręcone życie stawały się coraz bardziej dziwaczne.

– Co tam jest? – zapytałam, przyglądając się zawartości szklanki. Wyglądała jak sok pomidorowy. Musiałam udawać, że to sok pomidorowy.

– Czujesz się zagubiona, tak? Chcesz pamiętać, tak? Więc wypij. To ci pomoże – zapewnił pan Lukumi.

Zerknęłam na Noaha, ale zasłonił się obronnym gestem.

– Nie patrz na mnie – powiedział, po czym odwrócił się do kapłana. – Jeśli po tym coś się jej stanie, wykończę cię – rzekł dobitnie.

Pan Lukumi obojętnie przyjął jego groźbę.

– Będzie spała. Przypomni sobie. To wszystko. A teraz pij.

Wzięłam od niego szklanekę, ale nozdrza mi zadrgały, kiedy przyłożyłam ją do ust. Mdlawo-słona woń wywoływała odruch wymiotny i zawahałam się.

Cała sprawa była pewnie totalnym hochsztaplerstwem. Pan Lukumi zwyczajnie naciągał nas na kasę. Hipnotyzer zrobiłby to samo. I tak by nie pomogło.

Ale pigułki też nie pomagały. Podobnie jak nie pomoże mi terapia. Będę czekała na kolejne seanse z doktor Maillard, podczas gdy koszmary i halucynacje roz Hulają się tak, że będą coraz trudniejsze do ukrycia. W końcu przestanę chodzić do szkoły, a to pogrzebie moje nadzieje na ukończenie jej w terminie, dostanie się na dobrą uczelnię i normalne

życie.

Co za koszmar. Przechyliłam szklanke i wzdrygnęłam się, kiedy moje wargi dotknęły ciepłego płynu. Kubki smakowe broniły się przed przyjęciem dziwnego, metalicznego smaku. Całą siłą woli powstrzymywałam się, żeby tego nie wypluć. Po paru wymuszonych łykach nie wytrzymałam i odsunęłam szklanke od ust. Pan Lukumi pokręcił głową.

– Wypij do końca – powiedział.

Spojrzałam na Noaha. Wzruszył ramionami.

Słusznie. To mój wybór. Sama tego chciałam. Wypij to piwo, którego sobie nawarzyłaś.

Zacisnęłam powieki, przechyliłam głowę i zaczęłam pić. Szkło dzwoniło o zęby, a przetyk kurczył się spazmatycznie, błagając o litość. Ciepłe strużki wyciekły mi z kącików ust i po chwili szklanka była pusta. Wyprostowałam się w fotelu, przyciskając ją do piersi. Zrobiłam to! Uśmiechnęłam się triumfalnie.

– Wyglądasz jak Joker – powiedział Noah.

To była ostatnia rzecz, jaką usłyszałam, zanim pogrążyłam się w nicości.

Kiedy się obudziłam, zobaczyłam przed sobą ścianę książek. Oczy miałam opuchnięte od snu i przetarłam je rękami jak mała dziewczynka. Światło lampy z biurka stojącego w pokoju kładło się na pościeli, wydobywając z półmroku moje wystające gołe nogi.

Leżałam na łóżku Noaha.

W jego pokoju.

Bez ubrania.

O cholera!

Podciągnęłam okrycie pod brodę. Światło błyskawicy zalało okolicę upiornym blaskiem, ukazując wzburzone fale zatoki.

– Noah? – zapytałam drżącym, zaspanym głosem.

Moim ostatnim wspomnieniem był smak ohydneho napoju, który kazał mi wypić pan Lukumi. Ciepłe strużki spływające z ust i ten zapach. Zimno, było mi strasznie zimno. I nic więcej. Nic. Potem wpadłam w studnię bez snów.

– Obudziłaś się. – Noah pojawił się w polu mojego widzenia, w aureoli światła padającego od tyłu. Luźno zawiązane treningowe spodnie wisały mu nisko na biodrach, a T-shirt opinał szczupłe ciało. Kiedy usiadł na krawędzi łóżka przy moich nogach, blask podkreślił jego wyrazisty profil, jak na kamei.

– Która godzina? – spytałam, ciągle nie mogąc otrząsnąć się ze snu.

– Dochodzi dziesiąta.

Zamrugalam.

– Była prawie druga, kiedy skończyło się seminarium, prawda? – Noah przytaknął. – Co się stało?

Spojrzał na mnie dziwnie.

– Nie pamiętasz?

Pokręciłam głową. W milczeniu odwrócił wzrok. Minę miał obojętną, ale dostrzegłam, że drgają mu mięśnie szczęki. Czułam się coraz bardziej zakłopotana. Czemu nie może mi... och. Och, nie. Zerknęłam na okrycie pod swoją brodą.

– Czy...

Noah spojrzał na mnie urażony.

– Nie. Zaczęłaś zdzierać z siebie ubranie i biegałaś po domu, krzycząc:

„To pali! Zabierz to od nas!”.

Gorący rumieniec oblał mi twarz.

– Żartowałem – powiedział Noah z szatańskim uśmieszkiem.

Był zbyt daleko, żeby go walnąć.

– Ale faktem jest, że wskoczyłaś w ubraniu do basenu.

No, cudnie.

– Dobrze, że nie do oceanu – dodał. – Zwłaszcza przy tym sztormie.

– Co się z nim stało? – Noah uniósł brwi. – Z moim ubraniem – dodałam szybko.

– Jest w praniu.

– Jak... – Zaczerwieniłam się jeszcze bardziej. Czy rozebrałam się przy nim?

– Nie zobaczyłem nic, czego bym już nie znał.

Schowałam twarz w dłoniach. Boże, zlituj się!

Noah cicho zachichotał.

– Bez obaw, nawet w tym stanie zachowywałaś się bardzo cnotliwie. Rozebrałaś się w łazience, wyszłaś stamtąd owinięta ręcznikiem, wsunęłaś się pod kołdrę i zasnęłaś. – Noah zmienił pozycję i coś dziwnie pod nim chrupnęło. Popatrzyłam na łóżko, tym razem już przytomnym wzrokiem.

– A to co znowu? – wykrztusiłam, widząc rozrzucone herbatniki w kształcie zwierzątek.

– Wydawało ci się, że to twoje pupilki – odpowiedział, nie próbując nawet ukryć wesołości. – Nie pozwalałaś mi ich dotknąć.

Jezu.

Noah uniósł lekki koc, starając się nie odstaniać moich nóg, i zgarpnął okruchy na dłoń. Wyrzucił je, a potem wyjął z szafy kraciastą flanelową koszulę oraz bokserki i niedbale rzucił mi je na łóżko. Przytrzymując okrycie pod brodą, drugą ręką przyciągnęłam do siebie ubranie. Noah uprzejmie odwrócił się do okna. Kiedy wkładałam jego koszulę, miałam wrażenie, jakby przy mnie był.

W porównaniu z wcześniejszym otepieniem teraz odbierałam wszystko wyostrzonymi zmysłami. Czułam dotyk miękkiej flaneli układającej się na moim ciele. Chłodną, jedwabistą fałdę pościeli pomiędzy nogami. Zapach starych książek, zmieszany z nutą zapachu Noaha, unoszący się w powietrzu. Chłonełam całą rzeczywistość tego pokoju. Byłam ożywiona i witalna po raz pierwszy od bardzo dawna.

– Zaczekaj – powiedziałam, widząc, że Noah wyjmuje książkę z półki i zmierza do drzwi. – Dokąd idziesz?

– Poczytać sobie.

Nie chciałam, żeby mnie tak zostawił.

– Muszę jechać do domu – powiedziałam. Nasze spojrzenia się spotkały. – Starzy mnie zabiją, jeśli zaraz się nie pojawię.

– Spokojnie. Obecnie jesteś u Sophie.

Kocham Sophie.

– Więc... zostaję tutaj?

– Daniel cię kryje.

Kocham Daniela.

– A gdzie jest Katie? – zapytałam, udając obojętność.

– U Elizy.

Kocham Elizę.

– A twoi rodzice? – drążyłam.

– Na jakimś balu dobroczynnym.

Kocham dobroczynność.

– To dlaczego idziesz sobie poczytać, skoro tu jestem? – zapytałam z pretensją i nutą prowokacji, która mnie samą zdziwiła.

Nie myślałam w tym momencie o wszystkim, co się zdarzyło albo mogło się zdarzyć, zwłaszcza tej nocy. Mój umysł zarejestrował jedynie to, że jestem tu, w domu Noaha, w jego łóżku, ubrana w jego rzeczy, a on chce się oddalić.

Noah znieruchomiał. Czułam jego wzrok błędzący po moim ciele.

– Dziś są moje urodziny – powiedziałam.

– Wiem. – Głos miał niski i zachrypnięty.

– Chodź tutaj.

Czujnie zrobił krok w stronę łóżka.

– Bliżej.

Zrobił jeszcze jeden krok. Usiadłam na łóżku i wpatrzyłam się w niego.

– Bliżej.

Pogładził mnie po włosach i zsunął rękę na mój kark, patrząc mi w oczy zdecydowanym, intensywnym spojrzeniem.

– Maro, ja...

– Cicho – szepnęłam, przyciągając go do siebie, aż przykląkł na krawędzi łóżka, pochylony ku mnie.

Było mi obojętne, co chciał powiedzieć. Po prostu pragnęłam jego bliskości. Objęłam Noaha i opadłam na poduszki, pociągając go za sobą. Przywarł do moich pleców i leżeliśmy skuleni na boku jak podwójny znak

zapytania, w tym pokoju pełnym książkowych mądrości. Noah splótł swoje palce z moimi i czułam jego oddech na karku. Tak trwaliśmy przez jakiś czas w ciszy, dopóki nie odezwał się pierwszy.

– Ładnie pachniesz – szepnął mi we włosy, grzejąc mnie swoim ciepłem. Instynktownie wtuliłam się w niego i uśmiechnęłam się do siebie.

– Naprawdę?

– Mmm. Wybornie. Jak śniadaniowy boczek.

Ze śmiechem obróciłam ku niemu głowę i zamachnęłam się, ale Noah złapał mnie za przegub. Z podstępłą miną chciałam go szturchnąć drugą ręką, ale ją także unieruchomił. Przygwoździł mi ramiona nad głową i usiadł na mnie okrakiem. Od jego bliskości krew zagotowała mi się w żyłach.

Lekko pochylił się nade mną. Pragnęłam go straszliwie i miałam wrażenie, że umrę, jeśli dalej będzie trzymał mnie na dystans. Kiedy się odezwał, głos miał niski, wibrujący.

– Co byś zrobiła, gdybym cię teraz pocałował?

Patrzyłam na jego twarz, pożerałam spojrzeniem jego usta i marzyłam, żeby spróbować ich smaku.

– Odwzajemniłabym pocałunek.

Noah rozwarł mi nogi kolanem, a usta językiem i już mogłam go posmakować. Czułam, jak otwieram się pod naciskiem jego ust. Kiedy je cofnął, miałam wrażenie, jakbym straciła życiodajny oddech. Noah wsunął mi rękę pod plecy i uniósł do pozycji siedzącej. Pochyliliśmy się ku sobie jednym ruchem i nasze wargi miękko się zderzyły. Teraz ja popchnęłam go na łóżko, aż padł na materac. Przez moment górowałam nad Noahem, a potem opadłam na niego całym swym ciężarem.

Syciłam się tym pocałunkiem przez całą wieczność. Uśmiechnęłam się z ustami przy ustach Noaha, przeczesalam mu palcami włosy i lekko cofnęłam głowę – tylko po to, by spojrzeć mu w oczy. Ale były zamknięte, a cień rzęs padał na policzki. Odchyliłam się, żeby widzieć więcej, i wtedy zauważyłam, że ma sine wargi.

– Noah. – Mój głos zabrzmiał jak zgrzyt w ciszy.

Ale on nie był Noahem. Tylko Jude'em. Claire. Rachel. I wszystkimi zmarłymi. Widziałam ich – paradę martwych ciał przepływających przede mną; trupa bladość i krew w pyłe upadku upiornego gmachu. Przebłysk pamięci przeorał mój mózg jak kosa, rozświetlając go z bezlitosną jasnością.

Dwanaścioro stalowych drzwi zatrzasnęło się z hukiem.

Ja je zatrzasnęłam.

Nim spadła ciemność, był strach. Ale nie mój.

Jude'a.

W jednym momencie wgniał mnie w ścianę, aż myślałam, że się w nią wtopię. W następnym sam znalazł się w pułapce szpitalnej sali. Razem ze mną. Ale już nie byłam ofiarą.

On nią był.

Zaśmiałam mu się w twarz w porywie szaleńczej furii, która wstrząsnęła posadami szpitala, aż runął, grzebiąc pod sobą Jude'a, Claire i Rachel.

Zabiłam ich, tak jak zabiłam innych. Oprawcę Mabel. Panią Morales.

Ta myśl cofnęła mnie z powrotem do sypialni Noaha i leżącego przede mną nieruchomego ciała. Krzyczałam do niego, ale nie reagował. Wpadłam w histerię. Potrzęsałam nim, szczyptałam go i usiłowałam wtulić się jego ramiona, ale były jak martwe. W końcu, wściekła i przerażona, namacałam jego komórkę na nocnym stoliku. Wybierając jedną ręką 911, drugą z furią, z całej siły, uderzyłam go w twarz.

Ocknął się, spazmatycznie łapiąc oddech. Ręka piekła mnie cholernie.

– Niesamowite – wyszeptał bez tchu, przecierając oczy.

Smak jego pocałunku już dawno rozplynął się w moich ustach.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale uciekło z nich powietrze.

Noah był otumaniony, jak na haju.

– To był najpiękniejszy sen, jaki miałem w życiu. Najpiękniejszy – wyszeptał.

– Przestałeś oddychać – powiedziałam.

Słowa z trudem wydobywały mi się z ust.

– Cała twarz mnie piecze – dodał już przytomniej, patrząc gdzieś ponad moim ramieniem. Mrugał i nie mógł skupić spojrzenia jak ktoś, kto nagle wydobył się z ciemności.

Przyłożyłam drżące dłonie do jego twarzy, uważając, żeby nie przygnieść go swoim ciężarem.

– Umierałeś. – Głos mi się łamał.

– Chyba żartujesz – odpowiedział i na jego wargach uformował się rozbawiony uśmiech.

– Miałeś sine usta.

Jak Rachel, która zginęła. Ja ją zabiłam.

Noah uniósł brwi.

– Skąd wiesz?

– Widziałam. – Nie patrzyłam na Noaha.

Nie mogłam. Zeszłam z niego i usiadł na łóżku, zasłaniając się ręką przed światłem. Spojrzenie miał chmurne, ale już przytomne. Popatrzył mi w oczy.

– Zasnąłem, Maro. A ty spałaś przy mnie. Wciągnęłaś mnie do łóżka, leżałem za tobą i... Boże, to był wspaniały sen. – Oparł się plecami o wezłowie i przymknął oczy.

Kręciło mi się w głowie.

– Całowaliśmy się. Nie pamiętasz?

Wpatrywałam się w niego w osłupieniu. Uśmiechnął się.

– Widzę, że i ty miałaś piękny sen.

Co on gada?

– Powiedziałaś mi, że pachnę jak śniadaniowy boczek.

– Dziwne porównanie – stwierdził bez entuzjazmu.

Zerknęłam na swoje dłonie splecione na podołku.

– Zapytałeś, czy możesz mnie pocałować, i to zrobisz. A potem cię... – Nie mogłam zamienić w słowa widoku martwych twarzy przepływających pod moimi powiekami. Chciałam je zetrzeć z oczu, ale się nie dały. Były realne. Wszystko to było realne. Kapłan Santerii spełnił obietnicę. I teraz, kiedy wiedziałam, kiedy sobie przypominałam, chciałam już tylko zapomnieć. – ...uderzyłam – dokończyłam zdanie.

A to był dopiero początek.

Noah potarł policzek.

– Nic się nie stało – powiedział i przyciągnął mnie do siebie, aż przylgnęłam do niego, opierając mu głowę na ramieniu.

Słyszałam mocne, równe bicie serca pod swoim policzkiem.

– Przypomniałaś sobie coś? – szepnął Noah z twarzą wtuloną w moje włosy. – Czy to podziałało?

Milczałam.

– Nie szkodzi – powiedział bardzo łagodnie, muskając palcami moje żebra. – Po prostu ci się śniło.

Ale pocałunek nie był snem. Noah umierał. Katastrofa w szpitalu nie była przypadkiem. Zabiłam ich.

To było realne. To byłam ja.

Nie mogłam pojąć, dlaczego Noah nie pamięta wydarzeń sprzed paru minut, za to ja przypominałam sobie, co się stało przed paroma miesiącami. Jude osaczył mnie, przygniótł do ściany. Chciałam go ukarać;

chciałam, żeby wiedział, co czuję, bezsilna i złapana w potrzask. I sprawiłam, że to poczuł.

Nie zważając na Claire i Rachel.

Rachel, kochana Rachel, z którą przesiadywałam godzinami w wielkiej oponie na naszym placu zabaw, zwierając się ze swoich szczenięcych miłości. Rachel cierpliwie pozowała mi do portretów, śmiała się i płakała razem ze mną, a teraz jej ciało toczyły robaki. Przeze mnie.

Nie dlatego, że zgodziłam się na wyprawę do Tamerlane, choć wiedziałam, że jest niebezpieczna. Nie dlatego, że zlekceważyłam niewyraźne przeczucie, że coś może się stać. Błąd popełniłam później – straszny błąd, dla którego nie było wytłumaczenia – zgniotłam ten szpital razem z Rachel i Claire, jakby to była paczka chusteczek w mojej kieszeni.

Jak żałosne wydały mi się teraz usprawiedliwienia, które wymyśliłam sobie po zamordowaniu właściciela Mabel i pani Morales. Ja nie byłam chora psychicznie.

Byłam śmiertelnie niebezpieczna.

Dłoń Noaha gładziła moje włosy, a jej dotyk był tak cudowny, tak boleśnie cudowny, że zachciało mi się płakać.

– Powinnam już iść – wyszeptałam z trudem, choć nie chciałam się stąd ruszać.

Chciałam być tylko tu, tylko z nim.

– Mara? – Noah podparł się na łokciu.

Zaczął wodzić palcami po linii mojej szczęki, a skóra ożywała pod jego dotknięciem. Ale serce nie zabiło szybciej. W ogóle nie biło. Bo nie miałam już serca.

Przez chwilę uważnie patrzył mi w twarz.

– Mogę odwieźć cię do domu, ale twoi rodzice będą zdziwieni – powiedział powoli.

Nie odpowiedziałam. Nie byłam w stanie. W gardle miałam potłuczone szkło.

– Czemu nie zostaniesz? – zapytał. – Prześpię się w drugim pokoju. Powiedz tylko słowo.

Nie było już żadnych słów.

Noah usiadł koło mnie, aż materac ugiął się pod jego ciężarem. Czuję ciepło jego ciała, kiedy odgarnął mi na bok włosy i przycisnął wargi do mojej skroni. Przymknęłam oczy, napawając się tą chwilą. Kiedy je otworzyłam, już go nie było.

Deszcz bębnił w okna, kiedy wsunęłam się głębiej w pościel, naciągając okrycie pod brodę. Łóżko Noaha czy nawet jego objęcia nie były azylem, w którym mogłabym się ukryć przed demonami własnego sumienia.

Nazajutrz rano przeżywałam katusze, siedząc obok Noaha, który wiózł mnie do domu. Patrzenie na niego, na jego rozjaśnione słońcem włosy i kontrastujące z nimi smutne oczy, sprawiało mi ból. Nie mogłam z nim rozmawiać. Nie wiedziałabym, co powiedzieć.

Kiedy zajechaliśmy przed dom, powiedziałam, że nie czuję się dobrze (nie kłamałam) i że zadzwonię do niego później (kłamałam). Po wejściu od razu zamknęłam się w swoim pokoju.

Kiedy mama zajrzała tam po południu, zastała mnie w łóżku. Żaluzje były opuszczone, ale słońce i tak przez nie przeświecało, zdobiąc jasnym pręgami ściany, sufit i moją twarz.

– Źle się czujesz, Maro?

– Tak.

– Coś poszło nie tak?

– Wszystko.

Zamknęła za sobą drzwi i troskliwie poprawiła mi okrycie. Dobrze jej odpowiedziałam – coś poszło nie tak, coś się ze mną działo i kompletnie nie wiedziałam, co robić. Co w ogóle mogłabym zrobić? Rodzina przeprowadziła się tutaj ze względu na mnie, licząc, że oderwę się od wspomnień o śmierci, ale trupy szły za mną wszędzie. Co będzie, jeśli to znów się zdarzy, ale tym razem ofiarami będą Daniel i Joseph zamiast Rachel i Claire?

Lodowata łza spłynęła po moim rozpalonym policzku. Łaskotała mnie koło nosa, ale nie otarłam jej. Ani następnej. Po chwili płakałam tak rozpaczliwie, jak powinnam płakać na pogrzebie Rachel. Wtedy nie uрониłam ani jednej łzy.

W poniedziałek nie poszłam do szkoły. Ani we wtorek, choć nie przyśniły mi się nowe koszmary. Szkoda, bo na nie zasłużyłam.

Zasypiałam i wpadałam w studnię bez snów, co było cudowne. Mama przynosiła mi tylko jedzenie i zostawiała mnie samą. Pewnego razu podstuchiałam, jak rozmawia z ojcem na korytarzu, ale byłam tak zobojętniała, że nie zaskoczyło mnie to, co usłyszałam.

– Daniel mówił, że wcześniej było z nią lepiej – powiedział tata. – Powinienem wycofać się z tej sprawy jak najszybciej. Ona nawet nie chce jeść.

– Myślę jednak, że będzie dobrze. Porozmawiam z doktor Maillard. Mara po prostu potrzebuje czasu, żeby do siebie dojść – odpowiedziała mama.

– Nie rozumiem. Przecież naprawdę było lepiej.

– Bardzo przeżyła swoje urodziny. Jest o rok starsza. A Rachel już nie. Musi sobie z tym poradzić. Jeśli nic się nie zmieni po czwartkowej wizycie, wtedy zaczniemy się martwić – stwierdziła mama.

– Ona nawet wygląda inaczej. – Głos ojca był zmartwiony. – Co się dzieje z naszą dziewczynką?

Kiedy wieczorem weszłam do łazienki, zapaliłam światła i spojrzałam w lustro, żeby sprawdzić, czy ją zobaczę. Cieleśna powłoka dziewczyny, która nie nazywała się Mara, odwzajemniła spojrzenie. Zastanawiałam się, w jaki sposób ją zabiłam.

Wróciłam do łóżka na chwiejnych nogach, dzwoniąc zębami, gdyż było to straszne – tak straszne, że nie miałam odwagi się z tym zmierzyć.

Niedługo później Noah zjawił się u mnie, a moje ciało od razu wiedziało to, co za moment potwierdził wzrok. W rękę trzymał książkę – Aksamitnego królika..., którą uwielbiałam w dzieciństwie. Ale nie chciałam go tutaj. Albo to raczej ja nie chciałam być tutaj. Nie byłam jednak w stanie się ruszyć, więc leżałam w łóżku, gapiąc się w ścianę, a Noah zaczął czytać:

„W długie czerwcowe popołudnie, w morzu paproci lśniących jak zamrożone srebro, stopy stapały miękko po poszyciu. Wokół trzepotały białe ćmy. Tulila go w ramionach, a na szyi i we włosach miała kropelki rosy i kwiaty”.

– Czym jest real? – zapytał chłopiec.

– Jest tym, co dzieje się z tobą, kiedy dziewczyna kocha cię od dawna, od bardzo dawna. To poważna sprawa. I ona musi cię naprawdę kochać.

– A czy to boli? – dopytywał się chłopiec.

– Czasami. Kiedy jesteś w realu, nie dbasz o ból. – Noah przerwał na moment i czytał dalej:

„Spała z nim; nocna lampka, stojąca na gzymsie kominka, rozświetlała mrok. Miłość się wzbudziła”.

Hmm.

„Delikatne kołysanie – ciągnął. – Głośnie szelesty. Tunele w pościeli, odwijanie prezentów. Rumieniec pojawił się na jej twarzy...”.

Tak jak na mojej.

„Na wpół sennie podpełzła do poduszki i wyszeptała mu w ucho,

wilgotne od...”.

– To nie jest Aksamitny królik – stwierdziłam zachrypniętym głosem.

– Witaj wśród żywych – powiedział Noah.

Święta prawda.

– To było okropne.

W odpowiedzi Noah poczęstował mnie cytatem z kolejnej dziecięcej książeczki, tym razem Dr. Seussa: Rybka raz, rybka dwa, czerwona, niebieska, mam! – instruktażowym rymem używanym przy masturbacji.

Na szczęście zjawił się Joseph, akurat kiedy Noah zapowiedział następny tytuł: Ciekawski George.

– Mogę postuchać? – zapytał.

– Jasne – przytaknął Noah.

Niewybredne przygody Pana w Żółtym Kapeluszu i jego małpki wywołały wreszcie bunt w moim umyśle.

– Nie – powiedziałam z twarzą w poduszce.

– Nie zwracaj na nią uwagi, Joseph.

– Nie – powtórzyłam głośniejszym głosem.

– Chodź, usiądź tu z nami – zachęcił Josepha Noah.

Usiadłam gwałtownie na łóżku i spojrzałam na niego wściekła.

– Nie waż mu się tego czytać!

Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

– Dlaczego?

– Bo to jest niesmaczne.

Noah odwrócił się do mojego brata i puścił do niego oko.

– Innym razem, stary.

Joseph wyszedł, uśmiechając się pod nosem.

– Cóż – powiedział ostrożnie Noah.

Siedziałam na łóżku po turecku w skotłowanej pościeli.

– Cóż – odpowiedziałam jak echo.

– Naprawdę nie masz ochoty postuchać o nowych przygodach Ciekawskiego George’a?

Pokręciłam głową.

– Jesteś pewna? – nalegał. – To taka wredna małpka.

– Odpuść sobie.

Spojrzał na mnie tak, że serce mi się krajało.

– Co się stało, Maro? – zapytał niskim, spokojnym głosem.

Nie wiem, czy dlatego, że był już wieczór i czułam się bardzo zmęczona, tama nagle puściła i zaczęłam mówić. A może dlatego, że Noah

po raz pierwszy otwarcie zadał mi to pytanie. Albo po prostu był tak niemożliwie przystojny, kiedy siedział na podłodze przy moim łóżku, a światło lampy miękko otaczało jego postać. W każdym razie powiedziałam mu prawdę.

Opowiedziałam wszystko od początku. Niczego nie ukryłam. Noah siedział jak posąg, ani na moment nie spuszczał oczu z mojej twarzy.

– Jezu Chryste – wyszeptał, kiedy skończyłam.

Nie wierzył mi. Odwróciłam wzrok.

– A myślałem, że tylko ja wariuję – powiedział do siebie.

Spojrzałam na niego ostro.

– Co? Co powiedziałaś?

Teraz on gapił się w ścianę.

– Widziałem ciebie – a właściwie twoje dłonie, i słyszałem twój głos. Myślałem, że wariuję. Potem pokazałaś się cała. Niewiarygodne.

– Noah – powiedziałam. Wydawał się nieobecny. Odwróciłam jego głowę ku sobie. – O czym ty mówisz?

– O twoich dłoniach. – Ujął moje dłonie, obrócił je i uważnie obejrzał.

– Przyciskałaś je do czegoś, ale było ciemno. Bolała cię głowa. Widziałem jeszcze twoje paznokcie, całe sine. W uszach ci dzwoniło, ale słyszałem twój głos.

Te zdania nie chciały się spleść w żaden sensowny wzór.

– Nadal nie rozumiem.

– Zanim jeszcze tu przyjechałaś, Maro. Słyszałem twój głos, zanim się tu sprowadziłaś.

Wspomnienie twarzy Noaha z pierwszego dnia szkoły nabrało nagle nowego kształtu. Patrzył wtedy na mnie, jakby mnie znał – i jakimś cudem było to prawdą. Cokolwiek chciałam powiedzieć, umknęło mi z języka i z myśli. To wszystko nie miało za grosz sensu.

– Nie byłaś pierwszą osobą, którą widziałem. I słyszałem. Wcześniej były dwie inne, ale nigdy ich nie spotkałem.

– Inne – szepnęłam.

– Tak, inni ludzie, których ujrzałem w myślach.

Jego słowa wpadły jak kamień w gęste powietrze wokół nas.

– Za pierwszym razem jechałem samochodem, w nocy – pośpiesznie podjął opowieść. – Zobaczyłem, jak zderzam się z kimś, ale to była jakaś obca droga, a wóz, który prowadziłem, nie był mój. Ale pędziłem prosto na nią. Chyba była w naszym wieku. Wgniotło ją w kierownicę. Nie umierała długo – opowiadał beznamiętnym głosem. – Widziałem wszystko,

co się z nią działo, słyszałem wszystko, co ona słyszała, i czułem to, co ona, a jednocześnie jechałem swoją drogą. Pomyślałem, że mam halucynacje, rozumiesz? Zdarza się tak czasem w czasie długiej nocnej jazdy, kiedy wyobrażasz sobie nagle, że lądujesz w rowie albo w kogoś walisz. Ale to było realne – zakończył znękany głosem. – Ten drugi człowiek był bardzo chory. Też w naszym wieku. Pewnej nocy śniło mi się, że szykuję dla niego jedzenie, a potem go karmię, ale te ręce nie były moje. Miał jakąś infekcję i strasznie bolał go kark. Był udręczony, jęczał.

Noah miał bladą, zmęczoną twarz. Pochylił głowę i przetarł dłonią czoło, a potem przejechał palcami czuprynę, strosząc włosy. Wreszcie na mnie popatrzył.

– A w grudniu usłyszałem ciebie.

Krew odpłynęła mi z twarzy.

– Rozpoznałem twój głos pierwszego dnia w szkole. To było tak nieprawdopodobne, że po prostu mnie poraziło. Pomyślałem, że to jakiś obłąd – widzieć w wyobraźni chorych, umierających ludzi i doświadczać tego, co przeżywają. A potem zobaczyłem ciebie i usłyszałem głos z mojego koszmaru, nazywający mnie wypierdupkiem – powiedział i uśmiechnął się blado.

– Zapytałem Daniela o ciebie i opowiedział mi z grubsza, co się z tobą działo, zanim się tu sprowadziliście. Uznałem, że to właśnie musiałem widzieć. Albo o tym śnić. Wtedy pomyślałem, że... sam nie wiem... po prostu, że jeśli cię poznam, może zdołam zrozumieć, co się ze mną dzieje. To było jeszcze przed Josephem.

Miałam wrażenie, jakby w usta wsypano mi piasku.

– Przed Josephem? – Ja też miałam wrażenie, że śnię koszmar.

– Parę tygodni temu, w restauracji, miałem... wizję, jak przypuszczam – wyjaśnił Noah z widocznym zakłopotaniem. – Jakiegoś dokumentu, aktu prawnego z archiwów hrabstwa Collier. – Z wolna pokręcił głową. – Ktoś – mężczyzna z roleksem na rękę – wyjmował dokumenty z kartoteki i je kserował. Jeden oglądał dłużej. Widziałem wszystko dokładnie, jakbym sam trzymał ten papier przed oczami. – Przerwał i głęboko wciągnął powietrze. – Był tam adres jakiejś posiadłości i jej lokalizacja. Kiedy to zobaczyłem, gwałtownie rozbolała mnie głowa, co, jak zdażyłem zauważyć, jest typowym objawem w takich sytuacjach. Nie mogłem wytrzymać tych wszystkich dźwięków, dlatego wyszedłem, żeby odczekać, aż mi przejdzie. – Noah przecesał palcami włosy. – Parę dni później, kiedy wróciłem ze szkoły, straciłem przytomność. Na parę godzin po

prostu odplynąłem. Kiedy się ocknąłem, czułem się świetnie. I zobaczyłem Josepha śpiącego na cementowej podłodze, chwilę WCZEŚNIEJ, zanim ktoś zamknął drzwi do pomieszczenia. Ktokolwiek to był, miał taki sam zegarek.

Siedziałam bez ruchu z podwiniętymi pod siebie nogami. Drętwiały mi, ale nie zmieniłam pozycji, wsłuchana w opowieść Noaha.

– Nie wiedziałem, czy widzę to naprawdę, czy śnię, ale teraz, po usłyszeniu twoich opowieści, jestem prawie pewien, że sytuacja musiała się zdarzyć w realnym czasie. Podobnie jak w przypadku ludzi, o których ci mówiłem. W moich wizjach pojawiały się szczegóły otoczenia, jak szosa czy szpital. Ale wtedy nie przychodziło mi do głowy, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. – Przerwał i wpatrzył się w podłogę, a potem zamknął oczy i mówił dalej zmęczonym głosem: – Dlatego, jadąc po Josepha, zabrałem cię ze sobą, na wypadek gdybym znów zemdlał czy coś w tym stylu. – Zacisnął szczęki. – A kiedy okazało się, że on naprawdę tam jest, jak miałem ci wytłumaczyć, skąd o tym wiedziałem? Myślałem, że zwariowałem. – Zamilkł na moment. – Myślałem, że ja go porwałem.

Usłyszałam głos Noaha mówiącego do mnie: „Zrób wszystko, co w twojej mocy, żeby obudzić Josepha”.

Powiedział to, zanim jeszcze go znaleźliśmy.

– Ja pierniczę – szepnęłam.

– Chciałem wyznać ci prawdę o sobie, o tym, zanim jeszcze na niego trafiliśmy. Ale nie wiedziałem, co właściwie mam powiedzieć. Naprawdę uważałem, że w jakiś sposób jestem odpowiedzialny za jego porwanie. Obawiałem się, że to ja skrzywdziłem ludzi, którzy pojawili się w moich wizjach, i usiłowałem wyprzeć tę świadomość... albo jakoś tak. Tylko co robił w Everglades ten samochód? Dlaczego tam przyjechał?

Pokręciłam głową. To wszystko nie miało sensu. Ja też myślałam, że popadam w obłąd, ale tak nie było. Myślałam, że porwanie Josepha nie zdarzyło się naprawdę. Myliłam się.

– Nie porwałem go – powiedział Noah czystym, silnym głosem, choć nadal intensywnie wpatrywał się w podłogę. Nie we mnie.

Wierzyłam mu, ale zapytałam:

– Więc kto to zrobił?

Po raz pierwszy od czasu, kiedy zaczął swoją opowieść, Noah odwrócił się do mnie.

– Dowiemy się tego.

Usiłowałam ułożyć usłyszane informacje w jakąś sensowną całość.

– Więc Joseph nie przystał ci wiadomości – powiedziałam i serce zabiło mi szybciej.

Noah pokręcił głową, ale uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie.

– Co takiego? – spytałam.

– Słyszę to.

Spojrzałam na niego zdumiona.

– Słyszę ciebie – wyjaśnił spokojnie. – Bicie twojego serca. Puls. Oddech. Całą ciebie.

Mój puls ruszył galopem i Noah uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Masz własny dźwięk. Wszystko ma – zwierzęta, ludzie. Potrafię go usłyszeć. Wiem, kiedy ktoś jest wyczerpany albo zraniony. I myślę... och, kurde. – Spuścił głowę i wczepił palce we włosy. – To, co teraz powiem, zabrzmii jak kompletna paranoja, ale naprawdę myślę, że potrafię im pomóc – dokończył szybko, nie unosząc głowy. Kiedy wreszcie ją uniósł, popatrzył na moją rękę. I na ramię.

Niemożliwe.

– Kiedy zapytałaś mnie, czy palę, odpowiedziałem, że nigdy nie choruję. Nie kłamałem. Po bójkach przez chwilę jestem poobijany, ale potem wszystko znika. Żadnego bólu. Nic.

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Jak tam twoje wybite ramię, Maro?

Milczałam.

– A powinno ci boleć, nawet po nastawieniu. A twoja ręka? – Noah wziął mnie za rękę i przeciągnął palcami od łokcia po przegub. – Przecież powinnaś mieć jeszcze ślady, może nawet blizny – powiedział, patrząc na moją gładką skórę. Uniósł wzrok i nasze spojrzenia się spotkały.

– Kto ci powiedział o oparzeniu? – spytałam.

Własny głos dochodził do mnie jak przez mgłę.

– Nikt mi nie powiedział. Nie musiał. Mabel była prawie umierająca, kiedy przywieźliśmy ją do lecznicy. Mama obawiała się, że nie przeżyje do rana. Zostałem z nią na noc i... nie wiem, po prostu ją trzymałem. I słyszałem, jak zdrowieje.

– To niemożliwe – stwierdziłam.

– Wiem.

– Mówiłeś, że widziałaś ludzi bliskich śmierci i potrafiłaś się w nich wczuć. I że kiedy moje albo czyjeś serce przyspiesza, też to czujesz.

– Tak.

– I że jesteś w stanie usłyszeć, czy mają coś złamanego bądź chorego, i potrafisz to uleczyć.

– Tak.

– Tymczasem jedyną rzeczą, do jakiej ja jestem zdolna, jest...

Zabijanie. Z trudem zdołałam pomyśleć to słowo, a co dopiero je wymówić.

– Przecież ty także masz wizje, prawda? Widzisz różne rzeczy? – Noah wpatrywał mi się w oczy.

Pokręciłam głową.

– Halucynacje. Nic realnego, tylko wspomnienia albo koszmary.

Milczał przez ułamek sekundy.

– Skąd wiesz?

Pomyślałam o wszystkich halucynacjach, które miałam. Ściany klasy. Jude i Claire w lustrze. Kolczyki w wannie. Te rzeczy nie wydarzyły się naprawdę. Ile razy natomiast byłam przekonana, że coś nie mogło się wydarzyć – jak śmierć pani Morales czy właściciela Mabel – myliłam się.

Mam PTSD. To jest fakt. Wiele jeszcze rzeczy, które robiłam, które mi się przydarzyły, było realnych.

– Po prostu wiem – ucięłam. – Patrzyliśmy na siebie bez uśmiechu. Po prostu wpatrywaliśmy się w siebie – Noah z powagą, a ja z niedowierzaniem – aż nagle zawładnęła mną myśl tak przemożna i nagła, że miałam ochotę ją wykrzyczeć. – Uzdrów mnie, Noah – zażądałam. – Zrobiłam takie rzeczy... jest ze mną niedobrze, bardzo niedobrze. Zrób coś z tym, błagam.

Załamam się na widok jego miny, kiedy miękkim ruchem zgarnął mi włosy z twarzy i musnął palcami szyję.

– Nie mogę, Maro.

– Dlaczego? – Bałam się, że głos mi się załamie.

Noah zakrył twarz rękami.

– Bo nic ci nie dolega.

Siedziałam absolutnie nieruchomo, oddychając powoli przez nos. Nie chciałam, żeby cokolwiek mnie rozpraszało. Zacisnęłam powieki, żeby nie płakać, ale tży nie postuchały.

– Więc to tak – powiedziałam ze ściśniętym gardłem.

– Tak.

– Oboje?

– Na to wygląda – odpowiedział Noah, gładząc mnie po zapłakanej twarzy.

- A może są szanse, że...

- Mało prawdopodobne - uciął.

Uśmiechnęłam się. Czułam na swojej twarzy palce Noaha, bliskość nas dwojga, zagubionych i dezorientowanych, niezdolnych pojąć, co się z nami dzieje i dlaczego.

Ale przynajmniej mieliśmy siebie.

Noah przysunął się bliżej i pocałował mnie w czoło. Był spokojny. Niemal odprężony.

- Musisz być strasznie głodna. Przyniosę ci coś z kuchni.

Kiwnęłam głową i Noah wstał. Kiedy otworzył drzwi, zawołałam go. Odwrócił głowę.

- Kiedy mnie wtedy słyszałeś, zanim tu przyjechałam... to co mówiłam?

Cień przemknął mu przez twarz.

- Zabierz ich stąd.

– Muszę powiedzieć, że ten układ mi się podoba.

W życiu nie spodziewałam się, że usłyszę głos Noaha w ciemności mojej sypialni. Ciężar ciała, pod którym ugiął się materac, był obcy i zarazem podniecający. Zagarnął sobie drugą poduszkę i wsunął się pod kołdrę. Przytulił mnie do siebie, aż położyłam głowę na jego ramieniu, z policzkiem na jego piersi. Serce biło mu równo i mocno. Moje szalało. Denerwowałam się, bo wiedziałam, że nie powinien tu być ze mną. Ale nie potrafiłam się zdobyć na to, żeby go wyprosić.

– Jak to zrobiłeś?

Nie wychodziłam z pokoju i nie widziałam mamy od czasu, kiedy na chwilę wpadła do mnie po południu, jeszcze przed wyznaniem Noaha. I moimi. Zastanawiałam się, jak sobie poradzimy z tym wszystkim.

– Oficjalnie śpię teraz w pokoju Daniela.

– Teraz?

– Tak, w tej chwili – powiedział, otaczając ramieniem moje plecy. – Twoja mama nie chciała, żebym wracał po nocy do domu.

– A jutro?

– Dobre pytanie.

Uniosłam głowę i na niego spojrzałam. Z poważną, zamyśloną miną wpatrywał się w sufit.

– Zostaniesz tu jutro? – Starłam się panować nad głosem.

Teraz już wiedziałam, że Noah nie gra ze mną. Jeśli zechce stąd wyjść, pójdzie i nie będzie niczego udawał. Miałam jednak nadzieję, że tego nie zrobi.

Uśmiechnął się.

– Nie wiadomo, co będzie z nami jutro – zwłaszcza kiedy już wiemy, że nie jesteśmy zaburzeni psychicznie.

To pytanie prześladowało mnie przez cały miniony tydzień. Co będzie dalej? Czy powinnam coś z tym zrobić? Próbować to zignorować? Powstrzymać? Czy w ogóle mam jakiś ruch? Za dużo było tych problemów. Serce tłukło mi się w piersi jak szalone.

– Grosik za twoje myśli. – Noah obrócił się i objął mnie mocniej, przyciągając do siebie, aż przywarliśmy do siebie.

– Co? – Byłam kompletnie rozkojarzona.

Noah przekrzywił głowę, jakby chciał mi coś szepnąć do ucha, ale jego usta powędrowały dalej, aż wyszukały dołek za uchem i tam się na moment zatrzymały.

– Serce bije ci szybciej – powiedział, wędrując wargami niżej, do obojczyka.

– Zapomniałam, że to słyszysz – szepnęłam skupiona na dotknięciu jego ręki sunącej po cienkim materiale spodni od pizamy. Po kolanie. Po biodrze.

Noah spojrział mi w oczy z chytrym uśmiechem.

– Maro, jeśli będziesz zmęczona, usłyszę to. Jeśli coś cię będzie bolało, wyczuję to. Jeśli skłamiesz, też będę o tym wiedział.

Zamknęłam oczy, dopiero teraz w pełni zdając sobie sprawę, na czym polega dar Noaha. Nic się przed nim nie ukryje, żadna moja reakcja. Nie tylko moja – każdej osoby.

– Cieszę się, że nie muszę tego dłużej przed tobą ukrywać – powiedział, rozciągając mi palcem koszulkę przy szyi. Pocałował miejsce, które się odstoniło.

Odsunęłam go lekko, żebym mogła widzieć jego twarz.

– Jak sobie z tym radzisz? – Zmieszał się. – Chodzi o to, że stale słyszysz i wyczuwasz doznania ludzi, którzy cię otaczają. Dziwię się, że jeszcze nie oszalałaś.

Ja w każdym razie czułam, że chyba oszaleję, wiedząc, że nie stanowię dla niego żadnej tajemnicy.

Noah zmarszczył czoło.

– Przyzwyczailem się. Przeważnie odczuwam to jako szum w tle, dopóki nie skupię się na jakiejś osobie. – Znow gładził moje kolano, a potem przesunął kciuk wyżej, na udo, aż zareagowałam przyspieszonym biciem serca.

Uśmiechnęłam się.

– Przestań – powiedziałam, odsuwając jego rękę. Uśmiechnął się szeroko i rozkosznie. – Powiedz mi o tym więcej.

– Potrafię usłyszeć wszystko, każdego, ale nie potrafię się wczuć. Wyjątkiem były cztery osoby, o których ci mówiłem, lecz wydaje mi się, że tak jest tylko w sytuacji, kiedy komuś się coś stanie, na przykład ma obrażenia jak ty. Przy czym jesteś pierwszą osobą z wizji, którą realnie poznałem. Drugą był Joseph. Zanim cię spotkałem, widziałem cię w konkretnym miejscu i czułem... słyszałem echo tego, co ty czułaś. Tak samo było z nim.

– Ale jest wielu ludzi, którzy ulegają wypadkom. – Popatrzyłam mu w oczy. – Więc dlaczego my?

– Nie mam pojęcia.

– I co teraz zrobimy?

Uśmiezek pojawił się w kąciku ust Noaha, kiedy dotknął tego samego miejsca u mnie.

– Coś wymyślę.

Uśmiechnęłam się gorzko.

– To mi nie pomoże. – Kiedy wypowiadałam te słowa, doznałam silnego *déjà vu*. Zobaczyłam siebie w tamtym szamańskim sklepie, ściskającą w dłoni flakonik.

„Jestem kompletnie zagubiona – powiedziałam do pana Lukumiego. – Potrzebuję pomocy”.

„To ci nie pomoże” – odpowiedział, patrząc na moją dłoń.

A jednak pomógł mi przypomnieć sobie.

Może zrobi to jeszcze raz.

W ułamku sekundy zerwałam się z łóżka.

– Musimy jechać do Botaniki – powiedziałam i rzuciłam się do szafy.

Noah przestał mi spojrzeć z ukosa.

– Jest już po północy, nikogo tam nie zastaniemy. – Przypatrywał mi się uważnie. – Zresztą, czy na pewno tego chcesz? Ten szaman nie był zbyt miły.

Przypomniałam sobie minę pana Lukumiego i wrażenie, że wszystko o mnie wie. To sprawiło, że podkręciłam się jeszcze bardziej.

– Noah – powiedziałam z tłumioną irytacją. – Zrozum, on wie. Ten człowiek... kapłan, wie, co ze mną jest! Po prostu wie. Dlatego jego środek zadziałał.

Noah uniósł brwi.

– Mówiłaś, że ci nie pomógł.

– Myliłam się. – Mój głos brzmiał dziwnie, a słowa zdawały się rozptywać w nocnej ciszy. – Musimy tam wrócić. – Na moich przedramionach pojawiła się gęsia skórka.

Noah podszedł, przyciągnął mnie do siebie i zaczął gładzić po włosach, aż mój oddech zwolnił. Nie przerywał, patrząc mi głęboko w oczy, dopóki całkiem się nie uspokoiłam. Ręce zwisały mi bezwładnie wzdłuż boków.

– Czyżbyś przypomniała sobie tamtą noc? – zapytał cicho.

Popatrzyłam na niego spod zmrużonych powiek.

– Jeśli masz lepszy pomysł, chętnie posłucham.

Noah sięgnął po moją dłoń i splótł swoje palce z moimi.

*- Dobrze - powiedział, prowadząc mnie z powrotem do łóżka. -
Wygrałaś.*

A jednak podświadomie poczułam, że jestem przegrana.

Nazajutrz obudziłam się u boku Noaha.

Obejmowałam go w pasie i czułam pod jego koszulką żebra poruszane oddechem. Po raz pierwszy widziałam go takim bezbronnym i po raz pierwszy mogłam przyglądać się bez przeszkód. Obserwowałam wypukłość bicepsa, rysującą się pod rękawem. Kędzierzawe włoski, widoczne w rozciągniętym dekolcie starej koszulki. Naszyjnik, który zawsze nosił, rozwiązał się i zsunął z jego szyi. Wreszcie mogłam go sobie obejrzeć. Był to czarny rzemyk z wąskim, srebrnym wisiorkiem, którego jedna połowa miała kształt pióra, a druga – sztyletu. Ozdoba tak samo interesująca i piękna jak jej właściciel.

Kontynuowałam lustrowanie nieziemsko urodziwego chłopaka leżącego w moim łóżku. Jedną dłoń, zaciśniętą w pięść, trzymał przy twarzy. Smuga łagodnego światła rozjaśniała złotem pasma ciemnych, zmierzwionych włosów. Wdychałam jego zapach – woń skóry pomieszaną z wonią mojego szamponu.

Chciałam go pocałować.

Chciałam całować małą konstelację piegów na jego karku, częściowo ukrytą pod włosami. Chciałam poczuć na swoich wargach ukłucie zarostu i dotyk powiek miękkich jak płatki kwiatu pod opuszkami palców. Noah cicho westchnął we śnie.

Byłam pijana ze szczęścia, upojona nim. Przez moment współczułam Annie i innym dziewczynom, które rozkochał w sobie, bo tak wiele straciły. To momentalnie zrodziło następną myśl – jak bardzo może mnie zboleć jego utrata. Obecność Noaha stąpiła krawędzie mojego szaleństwa, aż prawie zapomniałam, co mam na sumieniu.

Prawie.

Sięgnęłam po dłoń Noaha i lekko ją ścisnęłam.

– Dzień dobry – szepnęłam.

Poruszył się.

– Mmm – zamruczał, a potem uśmiechnął się lekko, nie otwierając oczu. – Tak jest.

– Musimy wstawać – powiedziałam, choć wcale nie miałam na to ochoty – zanim moja mama nas nakryje.

Noah uniósł się nade mną na rękach i trwał tak przez sekundę, dwie,

trzy. Serce zaczęło mi łomotać. Uśmiechnął się, szybko wstał z łóżka i wyszedł. Spotkaliśmy się w kuchni, kiedy umyłam się, ubrałam i uznałam, że prezentuję się wystarczająco przyzwoicie. Noah, siedzący przy stole pomiędzy Danielem a Josephem, uśmiechnął się do mnie z nad kubka z kawą.

– Mara! – Mama zrobiła wielkie oczy, widząc mnie w kuchni, ubraną i gotową do działania. Szybko się opanowała. – Na co masz ochotę?

Noah dyskretnie skinął mi głową.

– Może... – przebiegłam wzrokiem po kuchennym blacie – może na grzankę?

Mama z uśmiechem wyjęła pieczywo z paczki i wsadziła do tosterka. Usiadłam przy stole naprzeciwko trzech chłopaków. Miałam wrażenie, że wszyscy usiłują udawać, że nic się nie stało. Jakbym nie spędziła ostatnich paru dni wyizolowana w swoim pokoju.

– To co, dzisiaj do szkoły? – zagadnęła mama.

Noah kiwnął głową.

– Mara może pojechać ze mną – powiedział do Daniela. – Jeśli ci to nie przeszkadza.

Zmarszczyłam brwi, a Noah ostrzegł mnie spojrzeniem. Pod stołem jego dłoń odnalazła moją. Nic już nie mówiłam.

Daniel wstał i uśmiechnął się, wkładając kubek do zlewu.

– Nie ma sprawy. Dla mnie nawet lepiej, bo się nie spóźnię.

Niedostrzegalnie przewróciłam oczami. Mama postawiła przede mną talerz i usiadła obok. Jadłam grzanki, słuchając, jak Joseph z Noahem rozmawiają o weekendowym wypadzie do zoo. Wesoły nastrój rozpanoszył się w kuchni, a w mojej duszy miłość walczyła o lepsze z poczuciem winy. Miłość była bezdyskusyjna. Wina dręczyła mnie z powodu przeżyć, na jakie ich wszystkich naraziłam. I jeszcze narażę, jeśli nie zdołam rozwiązać swoich problemów. Z wysiłkiem odegnałam te myśli, pocałowałam mamę w policzek i ruszyłam do wyjścia.

– Gotowa? – zapytał Noah.

Kiwnęłam głową, choć nie musiałam.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam, widząc, że nie jest to droga do szkoły.

W sumie mi ulżyło, bo szkoła nie była dla mnie bezpiecznym miejscem. Albo raczej żadne miejsce nie było bezpieczne, kiedy się tam znajdowałam.

– Calle Ocho 1821 – odpowiedział Noah. – Chciałaś wrócić do

Botaniki, nie pamiętasz?

– Daniel zauważył, że nie ma mnie w szkole.

Wzruszył ramionami.

– Powiedziałem mu, że potrzebujesz jeszcze jednego dnia na oddech.

Nic nie powie rodzicom.

Miałam nadzieję, że Noah wiedział, co mówi.

Mała Hawana stała się dla nas całkiem znajomym miejscem, ale dzisiaj wszystko wyglądało tu inaczej. Tłumy ludzi płynęły ulicami, powiewając flagami w rytmie gorącej muzyki dudniącej z niewiadomego źródła. Calle Ocho była zamknięta dla ruchu, więc dalej musieliśmy iść piechotą.

– Co tu się dzieje? – zapytałam

Noah spojrział zza ciemnych szkielek okularów na kolorowy tłum.

– Festiwal – wyjaśnił.

Próbowaliśmy się jakoś przepchnąć, ale posuwaliśmy się bardzo powoli. Słońce paliło, kiedy torowaliśmy sobie drogę wśród spoconych ciał. Matki mocno trzymały za ręce dzieciaki z pomalowanymi twarzami, a mężczyźni gadali głośno, przekrzykując muzykę. Chodniki były zastawione stolikami, aby goście licznych lokali mogli się posilać, oglądając pochód. Grupka mężczyzn stała oparta o mur palarni cygar, dyskutując i śmiejąc się w obłokach tytoniowego dymu. Również park był pełen ludzi.

Idąc, patrzyłam na fasady i szukałam wystawy warsztatu komputerowego z posązkami Santerii za szybą, ale niczego takiego tam nie było.

– Stop! – zawołał Noah, przekrzykując muzykę.

Szedł parę kroków za mną.

– Co? – zawróciłam i boleśnie się z kimś zderzyłam.

Ten ktoś miał na głowie bejsbolową czapkę. Zamarłam.

Nieznajomy odwrócił się i tyknął na mnie spod daszka.

– Perdón – powiedział i znikł w tłumie.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze. Po prostu facet w czapce. Jestem kłębkim nerwów. Szybko stanęłam obok Noaha.

Zdjął okulary i popatrzył na fasadę. Twarz miał bez wyrazu, kompletnie beznamiętną.

– Zobacz numery – powiedział.

Spojrzałam na tabliczkę nad drzwiami sklepu z zabawkami.

– 1823 – przeczytałam i spojrzałam na następny numer. Głos uwiązł

mi w gardle, kiedy przeczytałam: 1819. – Gdzie jest 1821?

Noah miał minę pokerzysty, ale zdradziły go oczy. Był wstrząśnięty.

– Może po drugiej stronie? – zapytałam głupio.

Noah milczał. Jeszcze raz przyjrzałam się budynkowi. Nic. Podeszłam do sklepu z zabawkami i przycisnęłam nos do zaparowanych szklanych drzwi. Zobaczyłam wielkie pluszaki, ustawione rządkiem na podłodze. Na wystawie były marionetki, zastygłe w tanecznych pozach wokół lalki przedstawiającej brzuchomówcę. Cofnęłam się. Wnętrze sklepu było tak samo długie i wąskie jak Botaniki, ale większość sąsiednich lokali wyglądała podobnie.

– Może kogoś zapytamy? – zaproponowałam, coraz bardziej zdesperowana.

Serce mi biło, kiedy rozglądałam się po ulicy, zastanawiając się, kto mógłby coś wiedzieć.

Noah stał nieruchomo, gapiąc się na domy.

– Myślę, że to nic nie da – powiedział głosem bez wyrazu. – Jesteśmy zdani tylko na siebie.

W miarę jak posuwaliśmy się ocienioną palmami aleją, zmierzając w kierunku zoo, przerażenie narastało we mnie w przyspieszonym tempie.

– To zły pomysł – powiedziałam do Noaha.

Rozmawialiśmy o tym, wyjeżdżając z Małej Hawany. Wcześniej zadzwoniłam do mamy i powiedziałam, że spędzę z Noahem jakiś czas po szkole – w której nie byliśmy – bo chcę się trochę odprężyć i zmienić otoczenie.

Ponieważ nie było szans dotarcia do pana Lukumiego – jeśli w ogóle tak się nazywał – i nikt inny nie był w stanie nam pomóc, musieliśmy sami wymyślić dla siebie ratunek. Ze zrozumiałych względów ja byłam priorytetem. Chciałam koniecznie się dowiedzieć, co wywoływało moje reakcje, bo tylko to dawało nadzieję, że nauczę się je kontrolować. Doszliśmy do wniosku, że najlepszym sposobem będzie dokonanie eksperymentu. Byłam jednak pełna obaw.

– Musisz mi zaufać – powiedział Noah. – Wiem, że myślę właściwie.

– Pycha poprzedza upadek – skomentowałam z niewesołym uśmiechem. – A może na początek przetestujemy ciebie?

– Chcę sprawdzić, czy potrafisz cię powstrzymać. Sądzę, że to bardzo ważne. Może właśnie dlatego trafiliśmy na siebie, rozumiesz?

– Nie do końca – powiedziałam do okna.

Włosy na karku miałam przepoczone, więc zwinęłam je w węzeł.

– Po prostu się wymigujesz.

– Dobrze ci mówić, bo masz... pożyteczny dar.

Dziwnie było o tym rozmawiać, a zwłaszcza o naszych planach. Bardzo nieetycznych. Bezprawnych.

– Myślę, że masz jeszcze inne zdolności, Maro.

– Może – powiedziałam, powątpiewając. – Tak czy owak, wołałabym mieć twoje.

– Ja też bym tak wolał. – Zamilkł na moment. – Uzdrawianie i okazywanie empatii są uważane za domenę kobiet – dodał.

– Jesteś straszny – mruknęłam, kręcąc głową.

Noah uśmiechnął się irytująco.

– To wcale nie jest zabawne – dodałam, ale też się uśmiechnęłam.

Nadal dręczył mnie niepokój, lecz obecność Noaha, świadomość, że wie wszystko, była dla mnie nieprawdopodobną ulgą. Dawła mi siłę do walki. Do wspólnej walki.

Noah zaparkował przy ogrodzeniu zoo i weszliśmy do ogrodu. Ciekawiło mnie, na jakiej podstawie wpuszczono nas po godzinach otwarcia, ale nie pytałam. Za bramą powitały nas sztuczne skały, pod którymi urządzono staw. Na wodzie spały pelikany z dziobami wtulonymi pod skrzydła. Po drugiej stronie flamingi jaśniejące bladym różem w świetle halogenowych lamp stały skupione w małą gromadę, niczym milczący strażnicy, którzy zdawali się nie dostrzegać naszej obecności.

Szliśmy dalej, trzymając się za ręce, a powiewy gorącej bryzy rozwiewały nam włosy. Kiedy mijaliśmy zagrodę z gazelami i antylopami, zwierzęta niespokojnie się poruszyły. Zatupotały kopyta, dały się słyszeć zaniepokojone chrapnięcia. Przyspieszyliśmy kroku.

Coś zaszeleściło w koronach drzew nad naszymi głowami, ale w ciemności nic nie było widać. Idąc, czytałam tabliczki informacyjne: białe gibony po prawej, szympanse po lewej. Nagle przeraźliwy wrzask przeszył powietrze i coś zakotłowało się w krzakach z boku alei. Zamartam w pół kroku, sparaliżowana strachem.

Na krawędzi fosy przykucnął szympan. Nie był to jeden z tych małych, bystrych, uroczych łobuziaków, które tak kocha przemysł rozrywkowy; ta małpa była wyjątkowo wielka. Siedziała tam, skupiona i przyczajona. Zwierzę wpatrywało się we mnie baczny, ludzkim spojrzeniem i odprowadziło nas wzrokiem, kiedy ruszyliśmy. Poczułam, że włoski jeź mi się na karku.

Noah skręcił w wąską alejkę i wyciągnął z kieszeni klucze, kiedy zbliżaliśmy się do niewielkiego budynku ukrytego wśród bujnej roślinności i drzew. Na drzwiach była tabliczka: TYLKO DLA PERSONELU.

– Co robisz? – zapytałam.

– Tu jest pracownia. Przygotowują się do wystawy owadów z całego świata czy czegoś w tym stylu – wyjaśnił, otwierając drzwi.

Wzdrygnęłam się na myśl, że miałabym coś uśmiercić, ale owady rozmnażają się jak... powiedzmy, karaluchy, więc śmierć kilkunastu sztuk nie będzie dla nich wielką stratą.

– Jak to sobie wyobrażasz? – drążyłam temat, rozglądając się czujnie.

Czułam ciarki. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jesteśmy obserwowani.

- Moja matka udziela się tu społecznie i przekazuje dla nich nieprzytomne sumy pieniędzy.

Włączył oświetlenie i zamknął drzwi. Zobaczyłam długi, centralnie ustawiony, metalowy stół. Wzdłuż ścian stały metalowe półki wypełnione pudełkami i cylindrycznymi plastikowymi pojemnikami. Noah zaczął obchodzić pomieszczenie, czytając niewielkie nalepki. Ja zostałam przy drzwiach i z tej odległości nie widziałam napisów.

Wreszcie zdjął z półki przezroczysty plastikowy pojemnik. Zmrużyłam oczy.

- Co tam jest?

- Pijawki – wyjaśnił obojętnym tonem.

Unikał mojego wzroku.

Wzdrygnęłam się z obrzydzenia.

- O, nie. Nie ma mowy.

- Musisz.

- Wybierz coś innego – mruknęłam i przeszłam na sam koniec sali. – O, to. – Pokazałam na cylindryczny pojemnik z nazwą, której nie potrafiłam wymówić. – Jakieś tam jakieś tam skorpiony.

- One są jadowite – powiedział i popatrzył na mnie.

- Tym lepiej.

- I zagrożone wyginięciem.

- Jasne – odparłam. Głos i nogi trzęsły mi się, kiedy podeszłam do następnego pojemnika. – W takim razie ten wielki pajak.

Noah zbliżył się i przeczytał nalepkę. W ręku trzymał pudełko z pijawkami.

- Jest jadowity.

- Brzmi zachęcająco.

- Może cię ukąsić, zanim go zabijesz.

Serce wdzierło mi się do gardła.

- To będzie idealna okazja, żebyś wykazał się darem uzdrawiania – wydusiłam z siebie.

Noah pokręcił głową.

- Nie mam zamiaru eksperymentować z twoim życiem. Wykluczone.

- W takim razie wybierz coś innego – powiedziałam, ledwie żywa ze strachu. – Tylko nie pijawki.

Noah potarł czoło.

- One są nieszkodliwe, Maro.

- Mam to gdzieś! – wrzasnęłam.

Owady w całym pomieszczeniu poruszyły się nagle, chrzęszcząc chityną za ścianami swoich plastikowych cel. Czułam, że zaraz zemdleję.

– Jeśli to nie zadziała, natychmiast cię stąd zabiorę – powiedział Noah. – Nic ci się nie stanie.

– Nie, Noah. Mówię serio – nie mogę tego zrobić. Pijawki wgryzają się w skórę i wysysają krew. O Boże, mój Boże. – Zacisnęłam ramiona na ciele, usiłując powstrzymać drżenie.

– Zaraz będzie po wszystkim, obiecuję – zapewnił. – Nic nie poczujesz. – Otworzył pojemnik i włożył do niego rękę.

– Nie. – Moje słowo zabrzmiało jak chrapliwy skrzek.

Nie mogłam oddychać. Pod powiekami wykwitły mi kolorowe plamy, które nie dały się przegonić mruganiem.

Noah wyciągnął do mnie rękę z pijawką zwisającą w palcach i poczułam, że mdleję. Wtem...

Nic.

– Mara. – Zamrugałam i otworzyłam oczy. – Ona jest martwa. Nieprawdopodobne. Zrobiłaś to.

Wsunął ku mnie dłoń, żebym sama to zobaczyła, ale cofnęłam się histerycznie do drzwi. Popatrzył na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy i wrzucił martwą pijawkę do pojemnika. Kiedy odkładał go na półkę, zatrzymał się w pół ruchu.

– Rany boskie... – wyszeptał.

– Co? – zapytałam drżącym szeptem.

– Wszystkie są martwe!

– Pijawki?

Noah odstawił pojemnik na miejsce trzęsącą się ręką i ruszył wzdłuż półek, przypatrując się uważnie okazom i otwierając niektóre pojemniki, żeby sprawdzić.

Kiedy okrążył całą salę, stanął i wpatrzył się w ścianę.

– Wszystkie – powiedział. – Wszystkie nie żyją.

Woń rozkładu wypełniła moje nozdrza i głos zadźwięczał mi w uszach. „Biolodzy, którzy przybyli na miejsce, wstępnie zakładają, że przyczyną mógł być spadek poziomu tlenu w wodzie”.

Obrazy wzdętych bladych brzuchów aligatorów unoszących się na wodzie pojawiły się w mojej zamroczonej świadomości.

„Pozostaje jednak pytanie, co zabiło aligatory?”

Ja je zabiłam. Tak jak te zwierzaki teraz.

Noah nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nie patrzył na mnie i nie winiłam go za to. Namacałam kłankę i wybiegłam w mrok. Zabrzmiał mi w uszach chór pisków, wyc i poszczekiwań. Pocieszające, że ta rzeź nie była totalna.

Czułam do siebie wstręt. Kiedy Noah zrównał się ze mną, zobaczyłam, że on też.

Milczał, unikając mojego wzroku. Widok jego dłoni zaciśniętych w pięści i odraza malująca się na jego twarzy ścisnęły mi serce, uwalniając łzy. Żałosne. Ale kiedy zaczęłam, nie mogłam przestać i nawet nie chciałam. Dławiłam się tkaniem, lecz było to dobroczynne cierpienie. Zastużone.

Noah trwał w milczeniu. Ruszył się, dopiero gdy osunęłam się na ziemię, niezdolna ustać. Chwycił mnie za ręce i podniósł. Nogi mi drżały. Nie byłam w stanie się ruszyć. Noah objął mnie i przytrzymał, choć tego nie chciałam. Wolałabym uciekać.

Szarpałam się w uścisku, naprężając szczupłe ręce wczepione w jego pierś.

– Puść mnie.

– Nie.

– Proszę – jęknęłam.

Lekko rozluźnił chwyt.

– Puszczę, jeśli obiecasz, że nie będziesz uciekać.

Nie panowałam nad sobą i Noah o tym wiedział. Obawiał się, że mogę wywołać jeszcze większe szkody, i musiał mieć pewność, że do tego nie dojdzie.

– Obiecuję – szepnęłam.

Odwrócił mnie twarzą do siebie i puścił. Nie mogłam się zdobyć na to,

żeby spojrzeć mu w oczy, więc skupiłam się na wzorze jego koszuli, a potem na ziemi pod naszymi stopami.

– Chodźmy – powiedziałam po chwili.

Szliśmy bez słowa wśród pomruków i skrzeków. Teraz zwierzęta w całym zoo były pobudzone; antylopy stłoczyły się w kącie zagrody, tupiąc i przepychając się w przerażeniu. Ptaki biły skrzydłami, a kiedy zbliżaliśmy się do bramy, jeden z pelikanów na ślepo rzucił się ze skały i wpadł do wody, ciągnąc za sobą opadające, złamane skrzydło. Chciałam już tylko umrzeć.

Biegiem dopadłam do samochodu Noaha i szarpnęłam klamkę.

– Otwórz – zażądałam, nie patrząc na niego.

– Maro...

– Otwórz!

– Najpierw na mnie popatrz.

– Nie poradzę sobie z tym – powiedziałam przez zaciśnięte zęby. – Po prostu otwórz drzwi. – Pisanął pilot. Wsiadłam i skuliłam się na siedzeniu.

– Zawieź mnie do domu, dobrze?

– Maro...

– Proszę!

Włączył silnik i ruszyliśmy. Przez całą drogę trwałam ze spuszczoną głową w milczeniu, wpatrzona w swoje kolana. Dopiero gdy skręciliśmy na podjazd, popatrzyłam przez okno. Otoczenie było znajome, ale inne. Kiedy przejeżdżaliśmy przez bramę posiadłości Noaha, spojrzałam na niego wrogo.

– Dlaczego mnie tu przywiozłeś?

Nie odpowiedział i zrozumiałam dlaczego. Od czasu, kiedy wyznałam mu wszystko, Noah po prostu się ze mną cackał. Mówił, że mi wierzy, i może nawet przyjął, że coś jest na rzeczy, że coś się ze mną dzieje, ale nie pojął prawdy. Uważał, że kiedy całowałam go i omal nie umarł, to tylko mi się śniło. Sądził, że Rachel, Claire i Jude zginęli w ruinach walącego się, starego budynku. Że właściciel Mabel przewrócił się nieszczęśliwie i rozbił sobie czaszkę, a pani Morales miała wstrząs anafilaktyczny i że ta cała seria wypadków była jedynie ciągiem koszmarnych zbiegów okoliczności.

Teraz nie mógł już tak myśleć. Nie po tym, co zrobiłam niedawno. Tego nie sposób było zbagatelizować. To się zdarzyło na jego oczach. Musiał się jakoś od tego odciąć. Na całe szczęście.

Dalej będę musiała radzić sobie sama.

Noah wjechał do garażu i otworzył drzwi od strony pasażera. Nie poruszyłam się.

– Maro, wysiądź.

– Skończmy to. Chcę do domu.

Teraz, kiedy zostałam kompletnie, absolutnie samotna ze swoim problemem, musiałam sobie wszystko na nowo przemyśleć. Nie mogłam dłużej tak żyć. Potrzebowałam planu.

– Proszę, tylko na chwilę.

Wysiadłam z ociąganiem, ale zawahałam się przed wejściem. Ostatnio psy wyczuły we mnie zło i miały rację. Nie chciałam znów tego oglądać.

– A co z Mabel i Ruby?

– Są zamknięte na tyłach domu.

Odetchnęłam i pozwoliłam Noahowi poprowadzić się korytarzem i dalej po wąskich schodach na górę. Chciał wziąć mnie za rękę, ale nie pozwoliłam na to. Jego dotyk tylko pogorszyłby sprawę. Kopnięciem otworzył drzwi i znaleźliśmy się w jego pokoju. Tam odwrócił się do mnie. W oczach miał cichą, wszelkimi siłami powściąganą furję.

– Przepraszam – powiedział.

Tak jak się spodziewałam – straciłam go i dziwiłam się tylko, że nie reaguję rozpaczą ani żalem. Byłam totalnie zubożona.

– Nie ma sprawy.

– Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Nie ma już o czym mówić. – Mój głos był spokojny, wycofany.

– Spójrz na mnie, Maro.

Spojrzałam. Miał tak dziki wzrok, że normalnie bym się przestraszyła. Ale z nas dwojga to mnie trzeba było się bać.

– Jest mi nieskończenie, nieprawdopodobnie przykro – powiedział. Głos miał tak zmieniony, że aż coś ścisnęło mnie w piersi. Nie powinien czuć się winny. Nie winiłam go za nic. Pokręciłam głową. – Nie – zaprotestowałam. – Spieprzyłem wszystko. Do końca.

Słowa uleciały mi z ust, zanim zdążyłam je powstrzymać.

– Jak to?

– Nie powinienem posunąć się tak daleko.

Byłam w szoku.

– Noah, przecież nic nie zrobiłeś.

– Chyba żartujesz? Dręczyłem cię. Torturowałem. – Znów ta cicha furia w jego głosie.

Napiął mięśnie i wyglądał, jakby chciał coś zmiażdżyć. Znałam to

uczucie.

– Zrobiłeś to, co i tak trzeba było zrobić.

– Nie wierzę ci – powiedział gorzkim tonem.

Wiedziałam, że tak powie.

– Chwileczkę – zaprotestowałam. – Czy kłamałeś, opowiadając o swoich zdolnościach?

– Nie.

– Czyli w tamtym momencie nie zrobiłeś nic?

Rysy Noaha stwardniały.

– Wszystko działało się zbyt szybko. Dźwięk – czy jak mam to nazwać – był inny niż w przypadku Morales.

– Morales? – powtórzyłam. – Słyszałeś to?

– Coś słyszałem. Ciebie. I brzmiało to źle. Ale nie wiedziałem dlaczego ani co to może znaczyć. W przypadku Aideny i Anny albo wtedy, kiedy wyrzucano Jamiego, też czułem, że jest niedobrze, i nie potrafiłem tego zinterpretować. Wiedziałem tylko, że Aiden ci grozi, i chciałem dać mu nauczkę. Ale dzisiaj było inaczej, podobnie jak w przypadku aligatorów.

Zaszczoło mi w ustach, kiedy Noah potwierdził moje czyny. Bezradnym gestem przesunął dłońmi po twarzy i po włosach.

– Za dużo się działo... słyszałem zbyt wiele dźwięków wszystkiego, co żyje na bagnach. Myślałem, że aligatory po prostu znikły, choć z drugiej strony czułem, że coś się stało. – Przerwał i na jego twarz znów powrócił posepny spokój. – Przepraszam – dodał tonem wypranym z emocji.

Czułam się fatalnie; dusiło mnie w gardle i z trudnością oddychałam. Poczułam, że muszę natychmiast stąd wyjść. Zawróciłam do drzwi.

– Nie wychodź – poprosił Noah.

Zrobił ruch, żeby mnie zatrzymać, ale wymknęłam się. A jednak chwycił mnie za rękę i pociągnął w stronę łóżka. Nie protestowałam, wiedząc, że to może być nasza ostatnia rozmowa. I choć świadomość straty sprawiała mi ogromny ból i wiedziałam, że jest nieunikniona, nie wyobrażałam sobie tak szybkiego rozstania. Usiedliśmy obok siebie, ale nie chciałam, żeby Noah trzymał mnie za rękę. Odwróciłam głowę.

– Myślałem... myślałem, że masz jedynie dar widzenia tego, co wkrótce ma się wydarzyć... że widzisz i czujesz pewne rzeczy podobnie jak ja. Sądziłem, że masz poczucie winy z powodu Rachel.

Tak samo mówiła moja mama.

– Nie pojmowałem, że jest inaczej, i prowokowałem cię, aż posunąłem się za daleko.

Zerknął na mnie spod tych swoich obłądnych rzęs, a jego spojrzenie dosięgło wyrwy, w której kiedyś znajdowało się moje serce. Był wściekły na siebie, nie na mnie. Ogrom tej pomyłki mnie zmroził.

– To nie była twoja wina, Noah. – Chciał zaprotestować, ale położyłam palec na jego idealnie wykrojonych ustach. Ich dotyk bolał. – Pierwszy raz byłeś tego świadkiem. Ale ja zrobiłam to nie pierwszy raz. Gdybym nie... – Ugryzłam się w język, zanim zdążyłam powiedzieć, co moim zdaniem muszę zrobić. I co już dawno powinnam zrobić. – Nie zniosę wyrazu twojej twarzy, kiedy coś takiego wydarzy się jeszcze raz, rozumiesz?

Noah zgromił mnie wzrokiem.

– To się stało przeze mnie, Maro. Ja cię zmusiłem.

– Nie kazałeś mi zabić wszystkich stworzeń w tej sali. Sama to zrobiłam.

– Nie zabiłaś wszystkich.

– Słucham?

– Nie zabiłaś wszystkiego w tej sali.

– Wszystko, poza nami.

Roześmiał się z nagłym rozbawieniem.

– No właśnie. A przecież mogłaś mnie zabić. Dręczyłem cię i wcale bym się nie dziwił, gdybyś chciała się pozbyć dręczyciela. Jednak nie zrobiłaś tego – powiedział, odgarniając mi włosy z twarzy.

– Jesteś silniejszy, niż myślisz.

Palce Noaha pozostały na moim policzku. Zacisnęłam powieki.

– Oboje nie mamy pojęcia, jak i dlaczego takie rzeczy dzieją się z tobą... z nami – powiedział. – Ale wyjaśnimy to.

Otworzyłam oczy i na niego popatrzyłam.

– Nie masz takiego obowiązku.

– Mam, i to jak cholera. Chcę ci pomóc.

Głośno wciągnęłam powietrze.

– Co będzie jutro? Będą się zastanawiać, co zabiło te setki cennych okazów.

– Nie martw się. Mogę...

– Co możesz, Noah? Przywrócić je do życia?

Wypowiadając te słowa, wiedziałam, że dokładnie tak myśli. Wbrew zdrowemu rozsądkowi uważał, że potrafi uzdrowić także mnie, podobnie jak wszystko inne.

– Uważasz, że odtąd będziemy działać w ten sposób? Ja będę

niszczyła, a ty naprawiał?

Byłam tylko kolejnym problemem, który da się rozwiązać, jeśli się ma wystarczająco wiele czasu, doświadczenia i kasy. Kasy, którą można wydać na mnie; na eksperymenty, które raz wyjdą, a raz nie, i w których będą ginęli ludzie. A Noah znów zacznie się oskarżać i znienawidzi siebie, że nie zapobiegł złu. Że nie zdołał mnie powstrzymać. Nie chciałam mu tego robić. Dlatego powiedziałam jedyne słowa, które w tej sytuacji mogłam powiedzieć.

– Nie chcę twojej pomocy. Nie chcę ciebie. – Słowa z trudem przeszły mi przez gardło. I uderzyły w Noaha jak policzek.

– Kłamiesz – powiedział cicho i spokojnie.

Mój głos był chłodny i zdystansowany.

– Sądzę, że będzie lepiej, jeśli przestaniemy się widywać. – Byłam zdumiona, skąd znalazłam w sobie siłę, żeby to powiedzieć, ale cieszyłam się, że mi jej wystarczyło.

– Czemu to robisz? – zapytał, przewiercając mnie lodowatym spojrzeniem.

Zaczęłam tracić cierpliwość.

– O co mnie pytasz? Zabiłam pięć osób!

– Przypadkiem.

– Chciałam tego.

– Na Boga, Maro, czy myślisz, że jesteś jedyna, która życzy śmierci złym ludziom?

– Nie, ale jestem jedyną osobą, której życzenie śmierci się spełnia – odparowałam. – Nawiasem mówiąc, Rachel była dobrym człowiekiem. Kochałam ją i nic złego mi nie zrobiła, a teraz nie żyje. Przeze mnie.

– Możliwe.

Drgnęłam, jakby coś mnie ukąsiło.

– Co? Co powiedziałaś?

– Nadal nie wiesz, czy ten szpital nie zawalił się przypadkiem.

– Zaczynamy od początku?

– Posłuchaj mnie. Nawet jeśli nie...

– To nie był przypadek – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

– Nawet gdyby to nie był przypadek – ciągnął Noah – następnym razem będę w stanie cię ostrzec.

Zniżyłam głos jeszcze bardziej.

– Tak jak ostrzegłeś mnie, zanim zabiłam Morales?

– To nie fair i wiesz o tym. Wtedy nie mogłem wiedzieć, co się dzieje.

Teraz wiem. Dlatego ostrzegę cię, kiedy coś znów się zacznie, a wtedy się powstrzymasz.

– Raczej ty mnie powstrzymasz.

– Nie, ja tylko ostrzegę. Ty dokonasz wyboru. Zawsze masz wybór. Nawet gdybyś się pogubiła, spróbuję sprowadzić cię na właściwą drogę.

– A jeśli coś się stanie i nie będzie cię przy mnie? – zapytałam.

– Będę.

– A jeśli nie? – naciskałam.

– Wtedy ja będę winny.

– No właśnie.

Noah miał obojętną minę.

– Potrzebuję chłopaka, a nie niańki, Noah. Ale dobrze, powiedzmy, że zgodzę się na twój plan i będziesz przy mnie, lecz nie zdołasz niczemu zapobiec. Wtedy zaczniesz się oskarżać. Czy chcesz, żebym cię miała na sumieniu? Przestań być taki egoistyczny.

Noah zacisnął szczęki.

– Nie chcę tego.

– Dobrze. Nie chcesz. Ale i tak odchodzę.

Wstałam z łóżka, lecz poczułam, że Noah lekko przytrzymuje mnie za uda. Ledwie czułam jego dotyk przez materiał dżinsów, ale i tak zamarłam.

– Pójdę za tobą – powiedział z uporem.

Zobaczyłam, jak zgarnia palcami włosy z posępnej twarzy; powieki miał ciężkie i na wpół przymknięte. Siedział na łóżku z głową na poziomie mojego pępka. Dreszcz przebiegł mi ciało.

– Spadaj – powiedziałam bez przekonania.

Przez jego wargi przemknął niedostrzegalny uśmiech.

– Ty pierwsza.

Zamrugałam i popatrzyłam na niego uważnie.

– Słuchaj, to niebezpieczna gra.

– Ja w nic nie gram.

Nozdrza mi się uniosły. Prowokował mnie. Celowo, żeby sprawdzić, jak zareaguję. W jednym momencie zapragnęłam i walnąć go, i wczepić palce w jego włosy, przyciągając go do siebie.

– Nie pozwolę ci tego zrobić – powiedziałam.

– Nie powstrzymasz mnie. – Głos miał teraz niski, bardzo podniecający.

Zamknęłam oczy.

– Cholernie się mylisz – szepnęłam. – Mogłabym cię zabić.

– W takim razie umrę szczęśliwy.

– Mało zabawne.

– Wcale nie żartuję.

Otworzyłam oczy i skupiłam na nim spojrzenie.

– Będę szczęśliwsza bez ciebie – skłamałam najbardziej przekonująco jak umiałam.

– Szkoda. – Wargi Noaha skrzywiły się w uśmiešku, znienawidzonym i ukochanym zarazem, niebezpiecznie blisko mojego łona.

Głowę miałam jak z waty.

– Powinieneś powiedzieć: „Nade wszystko zależy mi, żebyś była szczęśliwa. Dlatego zrobię wszystko, nawet gdyby to oznaczało rozstanie”.

– Wybacz, nie jestem aż tak wielkoduszny. – Dłonie Noaha przesunęły się w górę i dotarły do mojej talii, wsuwając się pod koszulkę. Opuszkami palców gładził moją skórę. Usiłowałam okietznić swój puls. Na próżno.

– Chcesz mnie – powiedział po prostu, tonem stwierdzenia. – Tylko nie kłam. Słyszę to.

– To nieważne – wyszeptałam bez tchu.

– Nie, bardzo ważne. Chcesz mnie tak jak ja ciebie. A ja chcę tylko ciebie.

Moje słowa przeczyły myślom.

– Dzisiaj – szepnęłam.

Noah wstał, przesuwając się ciałem po moim ciele.

– Dzisiaj. Jutro. Zawsze. – Patrzył mi prosto w oczy, a w jego spojrzeniu kryła się nieskończoność. – Jestem stworzony dla ciebie, Maro. – W tym momencie, choć nie pojmowałam, jak to jest możliwe, uwierzyłam mu. – Ty też o tym wiesz, dlatego powiedz prawdę. Chcesz mnie? – dopytywał.

Głos miał silny, pewny siebie, jakby z góry znał odpowiedź.

Ale w niemal niedostrzegalnym marsie na czole, w milimetrowym uniesieniu brwi, dostrzegłam niepewność.

Czyżby jednak nie wiedział? Zanim zdążyłam na dobre przyswoić sobie tę nieprawdopodobną myśl, niezłomna pewność siebie Noaha wyraźnie zaczęła się łamać.

Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli pozostawię pytanie bez odpowiedzi. Niech myśli, że go nie chcę, choć nadal wydawało mi się to nieprawdopodobne. Że go nie kocham. Że wszystko skończone.

*Wiedziałam, że już nigdy nie spotkam kogoś takiego jak Noah, ale najważniejsze było dla mnie jego bezpieczeństwo. Musiałam wybierać.
I wybrałam źle.*

Zarzuciłam Noahowi ramiona na szyję i wtuliłam się w niego.

– Tak – szepnęłam z ustami w jego włosach, czując, jak mnie obejmuje.

– Co „tak”? – zapytał i wiedziałam, że się uśmiechnął.

– Chcę ciebie – odpowiedziałam z uśmiechem.

– Więc po co się martwić o resztę?

Czułam dotyk dłoni Noaha na swojej twarzy, na ciele, tak znajomy, jakby zawsze tu był. Odchyliłam się, żeby poszukać w jego oczach potwierdzenia, a kiedy to zrobiłam, rozpadłam się na tysiąc kawałków.

Noah wierzył we mnie. Teraz dopiero dotarło do mnie, ile było trzeba czasu, żebym wreszcie to zobaczyła.

Zadrżałam, czując cudowne klucie jego zarostu na swojej skórze. Wargi Noaha wędrowały po moim obojczyku, a kiedy przyłgnął do mnie biodrami, myślałam, że stracę zmysły. Wczepiłam palce w jego włosy i przywarłam ustami do jego ust. Świat zaczął się rozpadać.

Wtem ciężkie powietrze starego szpitala psychiatrycznego wypełniło mi płuca. Pod powiekami mignęła twarz Jude'a i szarpnęłam się w tył, gwałtownie łapiąc oddech.

– Maro, co się stało?

Nie odpowiedziałam. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Za każdym razem, kiedy zaczynaliśmy się całować, coś w ostatniej chwili nam przerywało – czasem ja, czasem Noah, a czasem po prostu okoliczności. Dotąd tylko raz mogło nam się udać – wtedy, kiedy Noah zdawał się umierać. Serce buntowało mi się na tę myśl, ale niestety tak było. Co się ze mną działo? I co z Noahem, kiedy się całowaliśmy?

– O co chodzi? – zapytał.

Wiedziałam, że muszę w końcu mu odpowiedzieć, ale nie miałam ochoty ujawniać tej paranoi.

– Ja... po prostu nie chcę, żebyś umarł – wykrztusiłam.

Jeśli był rozczarowany, starał się to ukryć.

– Okej – powiedział, odgarniając mi włosy z twarzy. – W takim razie nie umrę.

Odwróciłam wzrok, ale Noah przechylił głowę i wyłapał moje spojrzenie.

– Posłuchaj, Maro, nie ma pośpiechu. – Musnął palcami moją twarz. – To... – powiedział, przenosząc pieśczętę na szyję i ramiona – mi wystarczy. – Splótł palce z moimi, ciągle patrząc mi w oczy. Czułam, że jest szczerzy. – Wystarczy, jeśli wiem, że jesteś moja. – Puścił moją dłoń i przyłożył swoją do mojej twarzy, wpatrując się w palce spoczywające na moich ustach. – Wiem, że nikt nie będzie cię dotykał w ten sposób – dodał. – Że na nikogo nie będziesz patrzyła tak jak na mnie. I będę słyszał, jak brzmisz, kiedy jesteś ze mną.

Lekki, krzywy uśmieшек zaigrał na jego wargach. Wpatrywałam się w nie łakomie.

Frustracja i pragnienie ośmieliły mnie. Chwyciłam Noaha za rękę i pociągnęłam w stronę łóżka. Popchnęłam go, aż usiadł, władowałam mu się na kolana, nie zważając na znacząco uniesione brwi. Zaczęłam się szarpać z guzikami jego koszuli, usiłując je rozpiąć trzęsącymi się rękami. Cały mój rozsądek przysł i przestałam dbać o pozory.

Noah wsunął mi palec pod brodę, chcąc zmusić, żebym popatrzyła mu w oczy.

– Co robisz?

– Przecież możemy robić inne rzeczy – wysapałam, ściągając mu koszulę z barków.

Nie byłam pewna, czy naprawdę wierzę w to, co mówię, ale było mi już wszystko jedno. Chciałam za wszelką cenę poczuć dotyk jego skóry na swojej. Zaczęłam ściągać swoją koszulę przez głowę.

Noah łagodnie przytrzymał mnie za przeguby.

– Chcesz się ze mną kochać, a nie chcesz się całować?

No, tak. Otworzyłam usta, ale zamknęłam je szybko, żeby nie uleciało z nich żadne niepotrzebne słowo.

Noah zdjął mnie z kolan.

– Nie – powiedział, wkładając z powrotem koszulę.

– Nie?

– Nie.

Spojrzałam na niego spod zmrużonych powiek.

– Dlaczego nie? Nie mów, że nie robiłeś tego wcześniej.

Odwrócił wzrok.

– Robiłem. Dla przyjemności.

– Teraz też może być przyjemnie – powiedziałam spokojnie.

– Wiem. – Znów patrzył mi w oczy.

– Nie ufasz mi.

Odpowiedział, starannie dobierając słowa:

– To ty nie ufasz sobie, Maro. Nie umrę tylko dlatego, że mnie pocałujesz, już ci o tym mówiłem. Jednak uparcie sądzisz, że tak będzie. Więc nie.

– Żartujesz sobie ze mnie – stwierdziłam z niedowierzaniem.

Coś podobnego – Noah Shaw zrezygnował ze zdobyczy!

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto sobie żartuje? – Noah udał śmiertelną powagę.

Zignorowałam go i wstałam.

– Nie chcesz mnie.

Odrzucił głowę do tyłu i ryknął głośnym śmiechem. Palący rumieniec wypełził mi na policzki. Miałam ochotę trzasnąć go w wyprężoną grdykę.

– Nie masz pojęcia, co ty ze mną robisz – powiedział i również wstał.

– Zeszłej nocy z trudem zdołałem utrzymać ręce przy sobie, choć wiedziałem, że miałaś koszmarne tygodnie i jesteś w rozsypce. I gotów jestem przez wieczność smażyć się w piekle za sen o tobie, który śniłem w twoje urodziny. Dałbym wszystko, żeby śnić go jeszcze raz. – Wziął moją dłoń i obrócił ją, jakby chciał odczytać z niej los. – Maro, nigdy, wobec nikogo nie czułem tego co do ciebie. Kiedy będziesz gotowa, żebym ci to udowodnił – powiedział, odgarniając mi włosy na bok – wtedy cię pocałuję. – Kciukiem gładził mi ucho, a drugą ręką objął szyję. Odchylił mnie i przymknęłam oczy. Wdychałam jego zapach, kiedy mnie pocałował za uchem. – I nie poprzestanę na tym – dodał.

Pociągnął mnie z powrotem na łóżko. Byłam kompletnie oszołomiona, ale nie na tyle, żeby zlekceważyć zbójcecki uśmiešek, którym mnie poczęstował.

– Nienawidzę cię – mruknęłam.

Noah uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Wiem.

Było oczywiste, że nazajutrz też nie pójdę do szkoły. Miałam ważniejsze rzeczy na głowie. Musiałam ustalić, co spowodowało śmierć kilku ludzi – czy wystarczyła tylko moja przypadkowa myśl? A co ze zwierzętami, które zginęły, choć nie życzyłam im śmierci? Co z Rachel?

Czułam, że muszę zdefiniować na nowo mój świat i określić swoje w nim miejsce, aby bezpiecznie funkcjonować wśród ludzi. Powiedziałam mamie, że wczorajszy dzień w szkole okazał się dla mnie zbyt ciężką próbą i chciałabym zostać w domu. Przypomniałam, że mam dzisiaj wizytę u doktor Maillard i liczę, że po niej poczuję się lepiej. W kontekście moich ostatnich zachowań musiało to do niej trafić, gdyż zgodziła się bez oporu.

Do lunchu nic się nie działo. Ale kiedy stałam w kuchni, szykując sobie jedzenie, ktoś zaczął walić do drzwi wejściowych.

Zamartłam. Zmory wróciły.

Cicho wyszłam do holu i wyjrzałam przez wizjer. Odetchnęłam z ulgą, kiedy zobaczyłam Noaha. Włosy miał jeszcze bardziej rozwichrzony niż zwykle i był w stanie totalnego wzburzenia.

– Szybko, do samochodu – rzucił. – Musisz koniecznie coś zobaczyć.

– Co? Co się...

– Chodzi o twojego ojca. Musimy sprawdzić pewną rzecz, zanim zakończy się proces. Chodź, w drodze ci wytłumaczę.

Zachodziłam w głowę, co znowu wymyślił, ale posłusznie zamknęłam dom i wyszłam. Tym razem Noah nie odstawił ceremonii otwierania drzwi i zaledwie usiadłam, ruszył z piskiem opon. Kiedy wyjechaliśmy na drogę, sięgnął do tyłu po gazetę. Cisnął mi na kolana „Miami Herald” i zaczął śmigać po pasach jezdni, ignorując trąbienie poirytowanych kierowców.

Przeczytałam tytuł: ZDJĘCIA Z MIEJSCA ZBRODNI WYCIĘKŁY W OSTATNIM DNIU SPRAWY PALMER. Przyjrzałam się fotografiom; jedna z nich przedstawiała Leona Lassitera, którego bronił mój ojciec. Potem szybko przebiegłam wzrokiem artykułu. Zawierał szczegółowy opis procesu, ale czegoś mi tu brakowało.

– Nie rozumiem – powiedziałam, dostrzegając zaciśnięte szczęki Noaha i jego gniewny wzrok.

– Przyjrzałaś się zdjęciom? Dokładnie?

Przeniosłam spojrzenie na fotografie, choć niezbyt miałam ochotę je oglądać. Dwie przedstawiały pokawałkowane zwłoki Jordana Palmer, leżące w wysokiej trawie; z tydek, ramion i tułowia powycinano kawałki ciała. Na trzecim widać było nocny krajobraz sfotografowany z oddali, ale z zakreślonym markerem miejscem, w którym znaleziono ciało. Na granicy cienia, gdzie rozmywało się światło flesza, majaczyła mała betonowa szopa, w której razem z Noahem znalazłam Josepha.

Odruchowo zakryłam usta ręką.

– O Boże!

– Zobaczyłem to, kiedy w czasie lunchu poszedłem po fajki. Od razu do ciebie zadzwoniłem, ale stacjonarny nie odpowiadał, a nie masz nowej komórki. Dlatego przyjechałem prosto ze szkoły – wyjaśnił w pośpiechu. – To jest ta sama szopa, Maro. Ta sama.

Przypomniałam sobie Josepha leżącego na betonowej podłodze pod stertą koców, ze związanymi rękami i nogami. Uratowaliśmy go w ostatniej chwili.

Gdyby nie my, skończyłyby jak Jordana. Ogarnęły mnie mdłości.

– Co to oznacza? – zapytałam, choć znałam odpowiedź.

Noah przesunął ręką po włosach i jeszcze przyspieszył. Rwał teraz sto pięćdziesiąt na godzinę.

– Nie mam pojęcia. Na tych zdjęciach widać, że Lassiter ma roleksa na prawym przegubie. Kiedy miałem wizję dokumentu z archiwum hrabstwa Collier, ten, kto go oglądał, nosił taki sam zegarek. – Przerwał i przełknął z wysiłkiem ślinę. – Ale nie jestem do końca pewien.

– To on porwał Josepha – powiedziałam, z trudem panując nad myślami i językiem, jakbym była na haju.

Noah zmarszczył czoło.

– Nie widzę w tym większego sensu. Czemu miałyby porywać dziecko adwokata, który go broni?

Wyobraźnia podsunęła mi obrazy. Joseph w dniu porwania, czekający na szkolnym parkingu na podwózkę. Moi rodzice i ich podniesione głosy, kiedy dyskutowali o rezygnacji taty z prowadzenia sprawy. Ojciec dzwoniący do Lassitera...

Tego właśnie dnia.

– Mój tata chciał zrezygnować ze sprawy – powiedziałam, dziwnie poruszona. – Ze względu na mnie, bo byłam coraz bardziej zaburzona. Rozmawiał z nim tamtego popołudnia.

– Nadal nic mi się nie klei. Przecież twój ojciec z całą pewnością zrezygnowałby ze sprawy, gdyby jedno z jego dzieci zostało porwane. Nie mówiąc już o tym, że sędzia zarządziłby zastępstwo.

– W takim razie porwał go, bo jest chory umysłowo – powiedziałam ze złowieszczą nutą w głosie.

Mój mózg pracował na pełnych obrotach, pędząc tak, że słowa nie były w stanie za nim nadążyć. Nagle w pamięci odtworzyła mi się scena, w której za chwilę miałam się dowiedzieć o nowej sprawie ojca, jeszcze zanim to wszystko się stało. Joseph oglądał telewizję w salonie, a Daniel znalazł w poczcie kopertę bez adresu zwrotnego i znaczka.

„Skąd to się wzięło?” – zapytał Daniel.

„Klient taty przyniósł ten list na chwilę przed waszym przyjazdem” – wyjaśnił Joseph.

Zatem Lassiter poznał Josepha. I wiedział, gdzie mieszkamy.

– Zabiję go. – Wypowiedziałam te szokujące słowa tak łagodnie, że nie byłam pewna, czy w ogóle wyszły z moich ust.

Zastanawiałam się chwilę, czy tylko tak pomyślałam, ale Noah spojrzał na mnie.

– Nie – powiedział dobitnie. – Pojedziemy do sądu, znajdziemy twojego ojca i doprowadzimy do przedłużenia procesu. Powiemy mu, co się stało. Wtedy wycofa się z obrony.

– Za późno – westchnęłam. Słowa zaciążyły mi na języku jak ołów. – Proces kończy się dzisiaj, zaraz. Zapadnie wyrok – i koniec.

Noah pokręcił głową.

– Dzwoniłem do sądu. Rozprawa potrwa jeszcze jakiś czas. Uda nam się – powiedział, zerknąwszy na zegar na desce rozdzielczej.

Jeszcze raz podniosłam gazetę do oczu i wpatrzyłam się w nią, a fala czarnych myśli wezbrała w mojej głowie, pochłaniając jakiegokolwiek sensowne pomysły.

– Ten, kto udostępnił te zdjęcia, chciał wpłynąć na proces – powiedziałam. – Zrobił to, ponieważ mój ojciec – czy raczej Lassiter – wygrywa. Ma szansę być uniewinniony. Będzie wolny.

Nie mogłam do tego dopuścić.

Ale czy mi się uda?

Pragnęłam śmierci Jude’a i tak się stało. Zabiłam Morales i właściciela Mabel, bo chciałam tego i myślałam o tym; wyobrażałam sobie jej konwulsje i jego roztrzaskaną czaszkę. Wspomnienie tych wizji przyprawiało mnie o mdłości, ale przełknęłam kulę, rosnącą mi w gardle,

i zmusiłam się do rozpamiętywania szczegółów. Chciałam zrozumieć ten mechanizm, na wypadek gdybym znów musiała się posłużyć swoim straszliwym darem. Zawalenie się budynku, szok anafilaktyczny, rana głowy – takie były bezpośrednie przyczyny zgonów.

A ja byłam czynnikiem sprawczym.

Głos Noaha gwałtownie wyrwał mnie z zamyślenia.

– Coś tu jest cholernie nie tak. Wiem, czuję to i dlatego ciebie tu zabrałem. Ale nie mamy motywu. Musimy jak najszybciej pogadać z twoim ojcem.

– I co dalej?

– Złożymy zeznanie o porwaniu Josepha i rzucimy podejrzenie na Lassitera.

– Nic z tego, Lassiter się wywinie, tak jak i teraz. Jakie dowody możemy przedstawić? – powiedziałam głosem na granicy krzyku. Nie wierzyłam w plan Noaha, a jednak narastał we mnie jakiś dziwny, chorobliwy zapach i adrenalina buzowała mi w żyłach. – Joseph nie pamięta nic poza kłamstwami, które mu wmówiliśmy. A ja jestem na prochach. – W miarę jak mówiłam, mój głos stawał się coraz spokojniejszy. – Nikt nam nie uwierzy.

Noah zmienił taktykę, gdyż nie mógł nie przyznać mi racji.

– Zabrałem cię, bo ci wierzę. Nie chcesz tego zrobić – powiedział stłumionym głosem.

„Skąd on może wiedzieć, czego chcę?” – pomyślałam buntowniczo.

– Czemu nie? Zabijałam ludzi za przewinienia mniej poważne niż zamordowanie i poćwiartowanie nastolatki, a potem porwanie mojego młodszego brata. – Miałam poczucie, że wymykam się sobie spod kontroli.

– Sądziłem, że w zeszłym tygodniu przemyślałaś sobie wszystko na nowo. Czyżbym się mylił?

To mnie zastopowało, lecz tylko na chwilę.

– Może jestem socjopatką, ale nie mam wyrzutów sumienia z powodu właściciela Mabel. Najmniejszych.

– Ja również bym nie miał – zgodził się Noah. W szczęce zadrgał mu mięsień. – Jude także zasłużył na swój los.

Spojrzałam na niego spod oka.

– Czyżby? Mówisz tak, bo o mało mnie nie skrzywdził i...

– Skrzywdził cię – przerwał mi z nagłą gwałtownością. – To, że mogło być jeszcze gorzej, nie znaczy, że nie zrobił ci krzywdy.

– Nie zgwałcił mnie, Noah. Uderzył mnie. Całował. Za to go zabiłam. Noah się nachmurzył.

– I dobrze.

Pokręciłam głową.

– Uważasz, że to fair?

Nie odpowiedział; miał daleki i nieobecny wzrok.

– W takim razie traktujesz go tak samo jak ja Lassitera.

– Nie – odparł i zjechał z autostrady na zatłoczoną ulicę. W oddali zobaczyłam gmach sądu. – Jest różnica. W przypadku Jude’a byłaś na jego łasce, śmiertelnie przerażona, i twój umysł zareagował podświadomie, w akcie samoobrony. W przypadku Lassitera byłaby to egzekucja. – Duszne powietrze pochłonęło jego słowa, nie pozwalając im właściwie wybrzmieć. Po chwili podjął: – Są inne sposoby rozwiązania tego problemu, Maro.

Zaparkował na parkingu przed sądem i zgasił silnik. Wskoczyliśmy z auta. Obracałam w myślach jego słowa, kiedy wbiegaliśmy na schody gmachu.

Zdaniem Noaha były inne sposoby, ale ja wiedziałam, że żaden nie zadziała.

Z trudem łapałam oddech, kiedy stanęliśmy przed przeszklonym wejściem. Noah pierwszy przeszedł przez bramkę. Opróżniłam zawartość kieszeni i położyłam rzeczy na plastikowej tacce, a potem stanęłam z uniesionymi rękami, żeby strażnik mógł mnie sprawdzić wykrywaczem metalu. Niecierpliwie kiwałam się na piętach, coraz bardziej zdenerwowana.

Po chwili nasze pospieszne kroki rozbrzmiały w ogromnym holu. Dreptałam za Noahem, sprawdzając po drodze numery sal. Noah zatrzymał się przed 213.

Rękawem otarłam pot z czoła.

– Co teraz?

Wszedł i znaleźliśmy się w sekretariacie. Stanęłam przy drzwiach i obserwowałam, jak podchodzi do biurka i zagaduje siedzącego przy nim młodego człowieka. Nie słyszałam, co mówi, ale próbowałam odczytać coś z jego twarzy. Minę miał nieodgadnioną.

Wreszcie skończył i poprowadził mnie z powrotem do wyjścia. Nie odezwał się słowem, dopóki nie znaleźliśmy się na schodach przed gmachem.

– Co się stało? – zapytałam.

– Obraduje ława przysięgłych. Dwie godziny przerwy.

Moje nogi skamieniały. Nie mogłam się ruszyć.

– Nie jest za późno – powiedział spokojnie Noah. – Powinni wrócić z werdyktem. Floryda stosuje karę śmierci. Nie ulżysz sobie.

Zjeżyłam się, słysząc jego ton.

– On chciał zabić mojego brata, Noah.

Położył mi dłonie na ramionach i zmusił, żebym popatrzyła mu w twarz.

– Będę go chronił – powiedział. Usiłowałam się wyrwać. – Patrz na mnie, Maro. Znajdę sposób, obiecuję.

Chciałam mu wierzyć. Jego pewność siebie była niezachwiana. Noah zawsze był pewny siebie. Ale czasami się mylił. I dobrze, bo inaczej bym tego nie zniostała.

– Nie możesz go ochronić, Noah. Nie potrafisz tego. – Chciał odpowiedzieć, ale nie dałam mu dojść do słowa. – Po śmierci Rachel

byłam zupełnie zagubiona. I chciałam dobrze, wierz mi. W przypadku Mabel zadzwoniłam do straży dla zwierząt, ze skargą na Morales poszłam do dyrektora. Ale nic nie skutkowało, dopóki nie załatwiłam sprawy po swojemu – mówiłam, a własne słowa coś we mnie wzbudziły. – Bo wszystko, co się wydarzyło, od początku w jakiś sposób było związane ze mną. Muszę zrozumieć, kim naprawdę jestem i jak powinnam postępować. To moje najważniejsze zadanie. Na nim muszę się skupić.

Noah popatrzył mi w oczy.

– Nie, Maro. Nie chodzi tylko o ciebie. To dotyczy nas i muszę wiedzieć dlaczego. Nie zostawię cię samej.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– Czy naprawdę nie widzisz, że ciebie to nie dotyczy? Masz bóle głowy i widzisz cierpiących ludzi. Czy coś się zmieni, jeśli zaczniesz dochodzić dlaczego? Nic. – Głos załamał mi się na ostatnim słowie.

Oczy Noaha przygasty.

– Jakie twoim zdaniem znaczenie ma fakt, że uratowaliśmy Josepha?

– Milczałam. – Takie, że dwoje ludzi, których widziałem, istniało. Nie pomogłem im i oni umarli.

Przełknęłam z wysiłkiem ślinę, próbując się pozbierać.

– To nie to samo.

– Nie? Czemu?

– Bo teraz już wiesz. I masz wybór, a ja nie. Dopóki nie nauczę się sterować swoim... darem i może nawet używać go do pewnych celów, będzie coraz gorzej. Wszystko psuję. – Łza potoczyła mi się po rozpalonym policzku.

Zacisnęłam powieki i poczułam palce Noaha na swojej skórze.

– Dzięki tobie stałem się lepszy.

Ciężar, który gniótł mi pierś, na chwilę ustąpił. Patrzyłam na Noaha, próbując spojrzeć na wszystko jego oczami. Usiłowałam zobaczyć nas nie pojedynczo – aroganckiego, pięknego, zagubionego chłopaka i gniewną, doświadczoną przez los dziewczynę – tylko parę ludzi: niepewnych, kim naprawdę są i co ich połączyło. Próbowałam przypomnieć sobie dotyk jego ręki pod moim kuchennym stołem i uczucie, którego doznałam po raz pierwszy od opuszczenia Rhode Island, że nie jestem z tym wszystkim sama. Że mam wsparcie.

Noah przerwał tok moich myśli.

– Kiedy wróciła ci pamięć, zrozumiałem, co tak naprawdę przeszłaś i jakie są tego skutki. Odtąd nie śmiałybym pomyśleć, że robiłaś to

wszystko celowo. – Noah przymknął oczy, a kiedy je otworzył, na jego twarzy pojawiła się udręka. – Tylko ty to wiesz, Maro. Nikt nie zna mnie tak jak ty. Nie chcę cię stracić.

– Może nie stracisz – odpowiedziałam, ale był już myślami daleko.

Popatrzyłam na niego i zobaczyłam, że także to wie.

Objął mnie. Jedną ręką otoczył moją szyję, a drugą gładził mój policzek.

Chciał mnie pocałować, teraz, tutaj, po wszystkim, co zrobiłam. Byłam trucizną, a Noah lekarstwem, które pomogłoby mi zapomnieć

Tym bardziej nie mogłam na to pozwolić.

Musiał zobaczyć sprzeciw w moich oczach albo usłyszał go w moim sercu, bo opuścił ręce i się cofnął.

– Myślałem, że po prostu pragniesz normalności.

Popatrzyłam na marmurowe stopnie pod naszymi stopami.

– Myliłam się – powiedziałam, walcząc z załamującym się głosem. – Muszę wykroczyć poza normalność. Dla Josepha.

I dla Rachel. Także dla Noaha, choć nie powiedziałam tego głośno. Nie mogłam.

– Jeśli to zrobisz – powiedział wolno – staniesz się kimś innym.

Spojrzałam mu w oczy.

– Już jestem.

W ułamku sekundy przerwał kontakt wzrokowy i pokręcił głową.

– Nie – szepnął cicho, jakby do siebie. – Nie, Maro. Jesteś dziewczyną, która nazwała mnie wypierdupkiem już w naszej pierwszej rozmowie. Dziewczyną, która chciała zapłacić za swój obiad, wiedząc, że mam więcej kasy niż sam Bóg. Która ryzykowała, żeby uratować umierającego psa. Dziewczyną, której pragnę do bólu, obojętnie, czy ma na sobie jedwabie, czy wytarte dżinsy. Jesteś dziewczyną, którą... – przerwał i podszedł o krok bliżej. – Jesteś moją dziewczyną – powiedział po prostu, bo tak było. – Ale powtarzam, jeśli to zrobisz, będziesz kimś innym.

Walczyłam o oddech, o dopływ tlenu do mojego złamanego serca, wiedząc, że nawet gdyby miało pęknąć, i tak muszę zrobić swoje.

– Znam cię, Maro. Wiem wszystko. I nie obchodzi mnie to.

Kiedy wypowiadał te słowa, zachciało mi się płakać. Żałowałam, że nie mogę, ale nie było we mnie łez. Mój głos nabrał niespodziewanej twardości.

– Może teraz cię nie obchodzi. Ale kiedyś będzie – powiedziałam.

Noah wziął mnie za rękę. Ten prosty gest poruszył mnie tak bardzo, że

zaczęłam wątpić.

– Nie – powiedział. – Sprawiasz, że zacząłem naprawdę żyć. Dotąd zadawałem innym ból dla ciebie i przez ciebie i byłem z tego zadowolony. Ale to, co chcesz zrobić, zostanie z tobą na zawsze. Nie rób tego, proszę.

Usiadłam na stopniach, bo nogi trzęsy mi się tak, że nie mogłam ustać.

– Nie zrobię nic, jeśli zostanie uznany za winnego.

– A jeśli go uniewinnią...?

– Wtedy będę musiała – ucięłam łamiącym się głosem.

Jeśli Lassiter wyjdzie na wolność, może znów zaatakować mojego brata. A ja mogę temu zapobiec. Ja i tylko ja.

– Nie będę miała wyboru.

Noah usiadł przy mnie z ponurą miną.

– Zawsze jest jakiś wybór.

Zamilkliśmy i cisza zdawała się trwać godzinami. Siedziałam na kamieniu, a jego chłód przenikał przez materiał dzinsów. Wciąż od nowa i od nowa obracałam w głowie wydarzenia nocy, w której zawałił się szpital, aż myśli i obrazy zbiły się w wir koszmarnego cyklonu.

Cyklon. Rachel i Claire porwał wir mojej furii, która była zbyt gwałtowna i ślepa, żeby wybierać cele.

Ale dzisiaj będzie inaczej.

Otworzono wejście do gmachu i w jednej chwili schody wokół nas zapętniły się tłumem ludzi. Dziennikarze z mikrofonami, kamerzyści i fotoreporterzy rzucili się w stronę mojego ojca, zaczynając spektakl fleszy. Był na froncie, wystawiony na ostrzał.

Za nim pojawił się Lassiter. Promieniejący. Triumfujący. Lodowaty gniew burzył mi się w żyłach, kiedy patrzyłam, jak nadchodzi, eskortowany przez policjantów z bronią w kaburach.

W ułamku sekundy zrozumiałam. Już wiedziałam, jak sprawić, żeby nikt nie ucierpiał, kiedy ukarzę Lassitera za to, co próbował zrobić. Żeby nikogo więcej nie skrzywdził.

Tata ruszył w stronę mównicy znajdującej się niedaleko miejsca, w którym staliśmy, ale usunęłam się z zasięgu jego wzroku. Noah trzymał mnie za rękę i ścisnął ją dla dodania mi otuchy. Nie cofnęłam dłoni. To już nie miało znaczenia.

Dziennikarze podstawiali mikrofony do twarzy mojego ojca, przepychając się między sobą w walce o lepszą pozycję, ale nie wydawał

się spieszący.

– Mam wam wiele do powiedzenia i pewnie nawet domyślacie się co – rzucił w ich stronę, wywołując szmer. – Prawdziwymi zwycięzcami są Leon Lassiter i obywatele Florydy. Ponieważ nie mogę przekazać mikrofonu mieszkańcom Florydy, niech przemówi Leon.

„Zobaczyłam rewolwer. Metaliczny połysk lufy był przeraźliwie realny i oczywisty. Czułam pod palcami twardą gładkość metalu. Rzeźba rękojeści odciskała mi się w zaciśniętej dłoni, choć wyglądał niemal jak zabawka”.

Ojciec zszedł z podium, dając znak ruchem głowy, i Leon Lassiter zajął jego miejsce. Stałam tuż za nim.

„Dziwnie było trzymać ten przedmiot, który niepokojąco, groźnie ciążył mi w ręce. Zajrzałam w wylot lufy. Po prostu w okrągły otwór”.

– Dziękuję ci, Marcus. – Lassiter uśmiechnął się i klepnął tatę po ramieniu. – Żaden ze mnie mówca, ale chciałbym powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, jestem wdzięczny, niezmiernie wdzięczny, że trafił mi się taki obrońca jak Marcus Dyer...

„Wycelowalam pistolet”.

– ...który zechciał poświęcić swój czas, zabrany żonie i dzieciom, aby bronić mnie i doprowadzić do sprawiedliwego wyroku. Gdyby nie on, nie stałbym tu teraz przed wami.

Pociemniało mi przed oczami. Czułam trzymające mnie ramiona, czułam dotyk warg, muskających mi ucho, ale nic nie słyszałam.

– Po drugie, chcę powiedzieć rodzicom Jordany...

I stała się jeszcze dziwniejsza rzecz: zanim kolejna myśl zdążyła wypłynąć z głębi mojego umysłu, ktoś zaczął smażyć popcorn – tu, przed gmachem sądu. Dźwięk był tak głośny, że wdarł mi się w uszy. I wtedy usłyszałam krzyk.

Po chwili wróciła mi zdolność widzenia i zobaczyłam schylone głowy, trzymane w dłoniach tuż nad kolanami. Ręce, które mnie trzymały, znikły.

– Rzuć broń! – ktoś krzyknął. – Natychmiast rzuć broń!

Stałam nieruchomo, patrząc przed siebie, prosto przed siebie, aż zobaczyłam blade ramię wyciągnięte w moim kierunku. Ręka trzymała broń.

Rewolwer z trzaskiem upadł na schody i odbił się od stopni. Krzyki wybuchły ze zdwojoną siłą.

Nie znałam kobiety stojącej przed mną. Nie była już młoda, a jej

twarz znaczyły czerwone plamy i smugi rozmazanego makijażu. Oskarżycielsko pokazywała mi palec.

W myślach usłyszałam głos Rachel, głos mojej najlepszej przyjaciółki.

„Jak ja umrę?”

– On ją zabił – powiedziała spokojnie kobieta. – Zabił moje dziecko.

Policjanci otoczyli ją i delikatnie, niemal z szacunkiem, wykręcili jej ręce za plecy.

– Cheryl Palmer, ma pani prawo zachować milczenie.

„Wskaźnik zatoczył półkole na tabliczce – zaczął od A, lecz nie zatrzymał się, tylko sunął dalej, aż zwolnił przy K i minął L. Zatrzymał się na M”.

– Wszystko, co pani powie, może być użyte przeciwko pani.

„Stanął na A”.

Dźwięk ucichł i ciężar ubył mi z ręki. Obejrzałam się, ale nie było za mną Noaha.

„Wskaźnik śmignął po tabliczce i śmiech Rachel zamarł. R”.

Ogarnięta falą paniki, czując, że zaraz porwie mnie z sobą, rozpaczliwie szukałam wzrokiem Noaha. Po mojej prawej stronie wrzała gorączkowa aktywność. Ratownicy roili się wokół bezwładnego ciała leżącego na schodach.

„Znów wrócił do początku. Do A”.

Noah klęczał przy nim. Omal nie zemdlałam z ulgi, że widzę go żywego. Chwiejnie dałam krok, żeby do niego podejść. Wtedy wyraźniej zobaczyłam ciało. To nie był Leon Lassiter.

To mój ojciec.

Aparatura z lewej strony szpitalnego łóżka, na którym leżał mój tata, popiskiwała jednostajnie; ta z prawej cicho syczała. Jeszcze godzinę temu dowcipkował, udając, że nic mu nie jest, a teraz zasnął, naszpikowany środkami przeciwbólowymi. Siedzieli przy nim mama, Daniel, Joseph i Noah.

Ja trzymałam się z tyłu. Nie wystarczyło już dla mnie miejsca.

Nie spodziewałam się, że dane mi będzie świadomie prze-żyć ten niesłychany moment, w którym moje myśli zamieniły się w czyn. Zaledwie wczoraj patrzyłam na chaos – którego sama pragnęłam – a teraz stałam bezsilnie, widząc, jak krew mojego ojca spływa po białym marmurze schodów. Zrozpaczona matka została aresztowana i jej nieszczęsna rodzina poniosła kolejną stratę. Ale przynajmniej nie była już dla nikogo zagrożeniem.

Za to ja byłam zagrożeniem dla wszystkich.

Lekarz zajrzał do sali.

– Pani Dyer? Czy mogę panią prosić na chwilę?

Mama wstała i odruchowo założyła pasmo włosów za ucho. Spędziła noc w szpitalu, ale wyglądała, jakby siedziała tu wieki. Minęła mnie przy drzwiach i poczułam muśnięcie jej dłoni. Zaciśnęłam usta.

Głos lekarza docierał do nas przez otwarte drzwi. Słuchałam.

– Muszę powiedzieć, pani Dyer, że mąż miał wielkie szczęście.

– Więc wyzdrowieje? – Głos mamy był napięty do granic możliwości.

Łzy zakręciły mi się w oczach.

– Wszystko będzie dobrze. To cud, że nie wykrwawił się na śmierć w drodze do szpitala.

Usłyszałam nagłe łkające westchnienie.

– Nie spotkałem się z takim przypadkiem w całej mojej praktyce.

Spojrzałam w kierunku Noaha. Siedział obok Josepha i patrzył na mojego ojca. Miał chmurny wyraz twarzy. Nie odwzajemnił spojrzenia.

– Kiedy mąż będzie mógł wrócić do domu? – zapytała mama.

– Za kilka dni. Rana od kuli goi się wspaniale i tak naprawdę trzymamy go tylko dla obserwacji. Aby mieć pewność, że nie wdała się infekcja i proces zdrowienia postępuje prawidłowo. Jeszcze raz powtarzam, że jest szczęściarzem.

- A Lassiter?

Doktor zniżył głos.

- Nadal nie odzyskał przytomności. Podejrzewamy poważne uszkodzenie mózgu. Może się już nie obudzić.

- Bardzo panu dziękuję, doktorze Tasker. - powiedziała mama, gdy wróciła do pokoju.

Patrzyłam, jak bezszelestnie sadowi się na swoim miejscu obok szafki przy łóżku.

Jeszcze raz przyjrzałam się rodzinie. Znałam każdą zmarszczkę mimiczną na twarzy mamy, każdy z uśmiechów Josepha i każdy wyraz oczu Daniela. Przeniostałam spojrzenie na ojca. Na twarz człowieka, który uczył mnie jeździć na rowerze, wyciągał do mnie ramiona, kiedy bałam się skoczyć w głęboki kraniec basenu. Twarz, którą kochałam. Która przeze mnie mogła zniknąć na zawsze.

I wreszcie Noah. Chłopak, który uratował mojego ojca, ale nie potrafił naprawić mnie. Choć próbował. Teraz było to dla mnie jasne. Noah był tym, na kogo podświadomie czekałam. Dlatego pozwoliłam mu zostać. Dokonałam złego wyboru.

Wszystkie moje wybory były złe. Wszystko, czego dotknęłam, niszczyłam. Jeśli zostaną z nimi, następny może być Joseph, Daniel, moja mama albo Noah. Ale nie mogłam tak po prostu zniknąć; przy możliwościach moich rodziców zostałamby odnaleziona w parę godzin.

Usłyszałam, jak mama pociąga nosem, i moje myśli skupiły się na niej. Uświadomiłam sobie, że mogłabym jej wszystko powiedzieć. Mogłabym wyznać jej prawdę o tym, co zrobiłam z właścicielem Mabel, z panią Morales i ze zwierzętami z Everglades. Na pewno doprowadziłaby do sądowego skierowania mnie do szpitala psychiatrycznego.

Tylko czy oddział zamknięty był właściwym miejscem dla mnie? Znając rodziców, mogłam być pewna, że załatwią mi ekskluzywną klinikę, gdzie będzie terapia sztuką, joga i niekończące się dyskusje na temat każdego drgnienia mojej duszy. A przecież nie byłam osobą zaburzoną psychicznie. Byłam morderczynią.

Nagle zrozumiałam, co powinnam zrobić.

Ostatni raz popatrzyłam na każdego z nich w milczącym pożegnaniu.

Niepostrzeżenie wymknęłam się z pokoju w chwili, kiedy Noah odwracał ku mnie głowę. Mknęłam przez korytarze, wymijając po drodze pielęgniarki, pacjentów i odwiedzających. W holu kręciło się jeszcze paru reporterów. Wybiegłam na parking i skierowałam się prosto do

samochodu Daniela zaparkowanego pod drzewami, które obsiadły gawrony. Usiadłam za kierownicą i przekręciłam kluczyk. Po krótkiej jeździe zatrzymałam się przed trzynastym komisariatem policji w Miami. Wysiadłam, trzasnęłam drzwiami i ruszyłam do budynku, żeby złożyć zeznania.

Kiedy detektyw Gadsen rozmawiał ze mną ostatnio, był dość podejrzliwy. Teraz miał się przekonać, że to, czego się niejasno domyślał, było prawdą. Chciałam się przyznać, że zmiażdżyłam czaszkę właściciela Mabel. A także ukradłam aplikator z lekiem wziewnym pani Morales i wpuściłam jej mrówki ogniste do szuflady biurka. Ze względu na wiek nie mogli mnie wsadzić do więzienia, ale istniała duża szansa, że wyląduję w zakładzie zamkniętym dla nieletnich. Plan nie był idealny, ale na razie była to najlepsza autodestrukcyjna opcja, jaką zdołałam wymyślić. Tak silny był mój pęd do samozniszczenia.

Puls, dudniący w głowie, głużył odgłos moich kroków na chodniku. Głośno wciągnęłam powietrze i pokonałam ostatnie metry, które dzieliły mnie od upragnionego przeznaczenia. Przekroczyłam drzwi komisariatu, podeszłam do dyżurki i powiedziałam, że chcę się widzieć z detektywem Gadsenem.

Nie zauważyłam, że ktoś stanął za mną, dopóki nie usłyszałam jego głosu.

– Czy może mi pan powiedzieć, gdzie mogę zgłosić zaginięcie? Chyba się zgubiłem.

Odwróciłam się. Nogi miałam jak z ołowiu.

Patrzył na mnie spod daszka swojej ukochanej czapki Patriotsów i uśmiechał się. Na jego przegubie błyszczał srebrny rolex.

To był Jude.

Jude.

Na komisariacie policji. W Miami.

O trzy kroki ode mnie.

Zacisnęłam powieki. Niemożliwe. Nie mogło go tam być. Znowu te halucynacje...

– Te drzwi i dalej korytarzem – poinformował go dyżurny.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, jak policjant wskazuje kierunek za moimi plecami.

– Pierwsze drzwi na lewo – dodał.

Powoli przeniosłam wzrok z policjanta na Jude'a. Żyły ścięta mi lodowata fala strachu, a w głowie zawirowały wspomnienia: pierwszy

dzień w nowej szkole, kiedy usłyszałam śmiech Jude'a, a potem zobaczyłam go stojącego kilkanaście metrów ode mnie. Restauracja w Małej Hawanie, kiedy pokazał mi się po wyjściu Noaha, zanim dosiadł się do mnie Alain.

Tamtego wieczoru, w klubie? I kiedy zastałam otwarte drzwi do domu? Wyświetliło mi się jeszcze coś.

„Nadal poszukuje się szczątków siedemnastoletniego Jude'a Lowe'a. Ratownicy podejrzewają, że mogą się znajdować w ocalałym skrzydle budynku, lecz mury w każdej chwili grożą zawaleniem”.

To było niemożliwe. Niemożliwe.

Jude uniósł rękę, żeby podziękować policjantowi skinieniem. Znów błysnął srebrny rolex i na moment nasze spojrzenia się spotkały.

Moje wargi ułożyły się w jego imię, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk.

W tym momencie pojawił się detektyw Gadsen i powiedział coś, ale jego głos był tak stłumiony, że nic nie słyszałam. Prawie nie poczułam, jak położył mi rękę na ramieniu, delikatnie popychając, żebym ruszyła.

– Jude – wyszeptałam, bo widziałam tylko jego.

Przeszedł obok mnie i poczułam przelotne, leciutkie muśnięcie jego ramienia, kiedy mnie mijał.

Miałam wrażenie, że trzasnęła mi kość.

Pchnął wahadłowe drzwi i zniknął za nimi, nie oglądając się.

Chciałam rzucić się do nich, zanim się zamkną, ale nie mogłam nawet ustać.

– Jude! – krzyknęłam.

Silne ręce chwyciły mnie, nie dając upaść, ale to już nie miało znaczenia. Nie miało najmniejszego znaczenia, jak wyglądałam – oszalała, bezsilna, osuwająca się na podłogę – bo po raz pierwszy od czasu tragicznej nocy w starym szpitalu moim największym problemem nie był już fakt, że tracę rozum. Czy nawet to, że jestem morderczynią.

Teraz była nim świadomość, że Jude żyje.

Podziękowania

Jest wielu ludzi, którym pragnę podziękować za niezłomne poparcie dla Mary Dyer i dla mnie:

Mojej wydawczyni, Courtney Bongiolatti, za jej fantastyczną robotę. Od początku po mistrzowsku prowadziła sprawę Mary i jestem ci za to niezmiernie wdzięczna.

Mojemu redaktorowi, Justinowi Chandzie, za to, że uwierzył w szanse mojej dziwnej książeczki, i za to, że tak jak ja uwielbia wszystko, co mrozi krew w żyłach.

Mojemu agentowi, Barry'emu Goldblattowi, który był moim rycerzem na białym koniu, nieznanym słowa „niemożliwe”.

Mojemu niesamowitemu agentowi prasowemu Paulowi Crichtonowi oraz Christy Noh, Sienie Koncsol, Mattowi Pantoliano, Lucille Rettino, Laurze Antonacii i całej utalentowanej załodze wydawnictwa Simon & Schuster za ich nieślabnący entuzjazm i poświęcenie, a także Lucy Ruth Cummis za stworzenie okładki, która zachwyciła wszystkich.

Dziękuję Beth Revis, Rachel Hawkins, Kirsten Miller i Cassandrze Claire za ich ofiarność; Kami Garcii, dla której po prostu nie mam słów uznania; Jodi Meadows i Sandrze Mitchell za absolutnie trafne uwagi; Kody Keplinger za prawdziwie przyjacielskie wsparcie oraz Veronice Roth, Nieustraszonej, która jest najodważniejszą osobą, jaką znam.

Dziękuję moim wszystkim przemiłym, dowcipnym, inteligentnym przyjaciołom z blogów i Twittera. Z wami każda chwila tej jazdy bez trzymanki była czystą radością. Dzięki za towarzyszenie mi w pisarskiej podróży i za zaszczyt towarzyszenia wam w waszych własnych przeżyciach.

Dziękuję moim wybawcom – wiecie, o kim mówię. Świat jest lepszy dzięki wam.

Dziękuję moim czytelniczkom: Amandzie, Noelle, Sarah, Ali i Mary za wnikliwy wgląd w moją pracę. Oraz wytrwałym wojowniczkom mojego Oddziału Beta: Emily L. za to, że pierwsza pokochała Noaha. Emily T. za pokochanie Noaha zanim zdążyłam jej to zasugerować; Christi, która kiedy trzeba, potrafiła powiedzieć mi „nie”, oraz Beccy, która stała się bóstwem opiekuńczym fabuły. Dziękuję Kate za cuda, których dokonywała za pięć dwunasta, i Natanowi, który pilnował, żebym za wcześniej nie

wystrzelała całej amunicji. Nie starczyłoby mi palców u rąk i nóg do wyliczenia Waszych zasług. Zawsze zresztą byłam kiepska w liczeniu. Wielkie dzięki dla Stelli, która niezliczoną ilość razy udzielała mi noclegu, podobnie jak Stephanie. Po prostu Was kocham.

Dziękuję moim bliskim, którzy potrafili sprawić, że czuję się tak, jakbym wygrała los na rodzinnej loterii: mojej niepowtarzalnej, wyjątkowej cioci Helene i wujowi Jeffowi za Pesach. Za Dulong. Za Jacoba, Zeva, Esther, Yehudę, Simchę i Rochula. Dzięki Jeffreyowi za aż tyle; Bretowi i Melissie za Blair Witch oraz wiele innych niezwykłych rzeczy; Barbarze i Peterowi za to, że są Barbarą i Peterem, oraz cioci Viri i wujkowi Paulowi za pomysł mojego ulubionego wątku w następnym tomie i za nieustające wsparcie. I na koniec: Yardana Hodkin – uwielbiam Cię.

Andrew, dziękuję ci za najwspanialsze podarki. I za to, że potrafisz być tak niewyobrażalnie miły. Zastępujesz na medal albo i dziesięć tysięcy medali.

Wielkie dzięki dla Nanny i Zadie, Z”L. Zakończenie intrygi na pewno ci się spodoba.

Dziękuję Janie i dziadkowi Bobowi, którzy kibicują mi od chwili moich narodzin aż do dzisiaj.

Oraz Martinowi i Jeremy’emu, dwóm młodszym koniom w zaprzęgu. Zawsze będziecie w moim sercu, choć żyjemy tak daleko od siebie. Nie wyobrażam sobie, że miałabym mieć siostry.

Jestem nieustająco wdzięczna mojej mamie, że zawsze sięga do najwyższej półki. I za Joss Bird. Za Brandy. Za to, że pomogła mi zostać pieśniarką, a nie akrobatką. Za to, że jest kobietą mnóstwa wspaniałych zalet. Słów mi nie wystarcza na pochwały.

Na koniec ostatni, lecz nie mniej ważni – Wy, moi Czytelnicy. Dzięki za przeczytanie tej książki. Razem z Wami nie mogę się doczekać, co będzie dalej.

Przekład: Małgorzata Fabianowska

Redakcja: Agnieszka Jędrzejczak-Sprycha

Korekta: Grażyna Nawrocka, Katarzyna Derdulska, Ilona Siwak

Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki i projekt okładki: Jacket photography copyright © 2011

by Heather Landis

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.wab.com.pl

ISBN 978-83-7881-472-6

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)

i Aleksandra Łapińska / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow



*Michelle Hodkin dorastała na Florydzie, ukończyła nowojorskie liceum, by studiować prawo w Michigan. Kiedy akurat nie zajmuje się pisarstwem, wyciąga najdziwniejsze rzeczy z paszcz jednego z wielu zwierzaków, które trzyma w domu. **The Unbecoming of Mara Dyer** (Mara Dyer. Tajemnica) to jej pierwsza książka, sprzedana do ostatniego egzemplarza wszędzie tam, gdzie została wydana. To samo spotkało sequel – **The Evolution of Mara Dyer**. Michelle aktualnie pracuje nad trzecią częścią trylogii – **The Retribution of Mara Dyer**.*

*Opowiada o sobie: "W wieku szesnastu lat straciłam prawa do własnej duszy, grając w pokera z piratami na południe od Natchez. Wkrótce potem dołączyłam do trupy i podróżowałam po świecie. Wszystko to działo się przed napisaniem pierwszej powieści **The Unbecoming of Mara Dyer**. Uprzedzam, że nie jestem wiarygodnym narratorem własnego życia".*